

Elif Safak

LUSTRA MIASTA

Tytuł oryginału

Şehrin Aynalan

C Melis Yayinian. 2000

PierWSZE i drugie wydanie: 1999. Iletigun

Trzecie wydanie: 2001. Melis

Czwarte wydanie: 2002

C Copyright for the Polish translation

by Wydawnictwo Literackie. 2011

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04556-5

Ilekcć ogarnie mnie zniechęcenie, przypominam sobie, po
co tu przyjechałem. Powtarzam to niestrudzenie, raz po raz.

by przegnać z umysłu wszelkie wątpliwości:

„Przybyłem do Miasta Luster, gdyż jestem częścią opo-
wieści, spisanej jeszcze przede mną. Znalazłem się w Mie-
ście Luster, by dowiedzieć się. kim jestem”.

Odkąd tu przyjechałem, z rzadka opuszczam dom. Raz
przepłynąłem łódką na drugą stronę. Kilkakrotnie wcześ-
nie rano przemierzyłem bezludne ulice Haskby. I tyle. Raz
wrzuciłem kamień do słynnej studni w dzielnicy położo-
nej na wzgórzu nad Złotym Rogiem. Oparłem się potem
o cembrowinę i długo nadśluchiwałem, czy z głębi dobieg-
nie jakiś dźwięk. Ale nie usłyszałem odgłosu kamienia ani

wpadającego do wody, ani uderzającego o ziemię... Jakby kamień rozpułnął się, zanim dotarł na dno studni, jakby wyparował w połowie drogi. Ta studnia przyprawiła mnie o dreszcz. Czy tylko ona? całe to miasto mnie przeraża.

Nie jest podobne do niczego, do żadnego innego miejsca

na ziemi. Ludzie biegają w popłochu, na ulicach panuje chaos. Czekam w napięciu, w każdej ujranej twarzy staram się wyczytać oznaki zbliżającego się końca świata. Kto wie, może to ja jestem dziwakiem. Wyrosłem w strachu, zawsze się czegoś albo kogoś bałem, i dlatego to miasto tak mnie przeraża. Ale jednego wciąż nie rozumiem. Co w nim — dla mnie pachnącym obcością — tak urzekło mojego ojca? Czemu wybrał właśnie je? I dlaczego nazwał je Miastem Luster?

Kilkakrotnie odwiedził mnie rabbi Jakub. Jest tak stary, że nie tylko włosy ma siwe, ale nawet jego skóra jakby pobieliała. Nie mogę się zdobyć na poproszenie go, aby mi opowiedział o moim ojcu. A on sam też nie wydaje się zbyt skory do poruszania tego tematu. Dziwny człowiek. Niekiedy mam wrażenie, że rozumie moją sytuację i przyznaje mi słuszność. W takich chwilach dostrzegam w jego oczach błysk czułości, który jest dla mnie czymś nieznanym, lecz bynajmniej nie wzbudzającym niepokoju. Czasem zaś złości się, że nadal nie biorę udziału w życiu gminy. Łaje mnie, raz podnosząc, raz ścisząc głos. Nie można odmówić mu racji. Do tej pory pierwszą rzeczą, jaką robili żydzi, gdy po wielu perypetiach udawało im się postawić stopę w tym mieście, było oswojenie się z wiarą, z którą musieli

się ukrywać. z którą mogli obcować tylko w snach. Ludzie ci Za każdym razem, gdy przyjmowali nowe imię, dostawali nową przeszłość. Jeśli o mnie chodzi, nie byłem pewien, czy tego chcę. Sięgać po religię, nie wiedząc jeszcze, kim się jest. nie ma, moim zdaniem. sensu. To jakby szyć strój dla cienia. Jakiz to cień potrzebuie ubrania?

Jest tu pewna kobieta, która zajmuje się domem i gotowaniem. Stara muzułmanka o imieniu Zisan. Mimo podeszłego wieku jest tak pracowita, że wprawia mnie w zdumienie. Gdy pracuje, jej wargi nieustannie się poruszają. Bez przerwy się modli. Od czasu do czasu spogląda na mnie z zainteresowaniem, ale o nic nie pyta. Zdarza się, że ukradkiem wysypuje mi pod poduszkę ziarenka czarnuszki, nad którymi wyszeptwała zaklęcia. Wtedy śpię twardo aż do rana, nie budząc się ani razu. Cieszę się. że Zisan jest że mną. Być może religijność tej prostej kobiety napawa mnie spokojem. W jej zabobonnej wierze jest coś, co trzyma na wodzy pustkę ogarniającą moją duszę, coś, co łagodzi lęki. A może po prostu jestem zadowolony. bo spotkałem kogoś. kto tak jak ja milsi żyć ze swoim strachem. Zisan wszędzie. gdzie spojrzy, w każdym usłyszonym szeleście doszukuje się tego, co niewidzialne. niesłyszalne. Najbardziej boi się grobowca świętego męża po drugiej stronie ulicy. Wierzy, że w deszczowe noce zmarły wstaje z grobu i krąży po ulicach, a czasem z czystej złośliwości puka do drzwi. Jeśli w taką noc ktoś odważy się spojrzeć na grobowiec. naruszy tym spokój świątobliwego, który może spakować manatki i przenieść się gdzie indziej, zabierając ze sobą błogosławieństwo. Zisan szepce mi na ucho. że jeśli po deszczowej

nocy wstanę wcześniej rano, zanim zrobi się zupełnie jasno, umyję twarz, usunę śpiochy z kącików oczu i dopiero wtedy wyjrzę przez okno, ujrzę w błocie ślady stóp świętego męża, rozsypane niczym koraliki z drogocennego naszyjnika.

Czasem Zisan wychodzi z domu i ostrożnym krokiem podróznego pełnego lęku przed czającymi się przy drodze zbójcami idzie na grób świętego. Zabiera ze sobą ziarenka prosa. Rozsypuje je wokół grobowca i modli się, podobnie jak wiele innych muzułmanek. Nie mam zamiaru robić na złość Zisan, ale lubię w deszczowe noce patrzeć na gro-

bowiec. Myślę wtedy nie o świętym mężu, lecz o rozrzuconych tu i tam ziarenkach prosa, z każdą kroplą deszczu coraz głębiej zapadających się w ziemię.

Rano Zisan podaje mi kawę w filiżance w niebieskie kwiatuszki, z pozłacanym uszkiem. Odkąd tu przyjechałem, nic tylko piję kawę. Nie zastąpiła mi czekolady, ale chyba na dobre się do niej przyzwyczailem. Jeśli nie napiję się kawy, robię się niespokojny, moje lęki olbrzymieją. Zisan nalega, by mi powróżyć z fusów. Nie chcę jednak dowiedzieć się tego. czego nie wiem. zbywam ją więc pod byle pretekstem.

Od mojego przyjazdu do tego miasta ciągle pada. Zisan się niepokoi, że eskapady noc w noc mogą wyczerpać siły świętego męża. A ja. ilekroć zatęsknię za złotym blaskiem słońca. przypominam sobie, po co tu przyjechałem.

„Przybyłem do Miasta Luster, gdyż na drodze mojej opowieści stanęła inna opowieść. spisana jeszcze przede mną. Znalazłem się w Mieście Luster. bo jeśli raz zdołam

przerwać tę tamę, wody się wzburzą i popłyną jak szalone:
czuję to".

Nie zawsze udaje mi się budować również kwiciate
zdania. Czasem. gdy rzeczywistość staje mi przed oczyma
z całą ohydą i brzydotą. opuszcza mnie chęć przystraja-
nia swego losu w słowne ozdobniki. W takich chwilach
zamykam oczy. opieram się plecami o ścianę i bawię się
cierpkim smakiem, jaki pozostawiają mi w ustach słowa
bliskie przekleństwom.

„Przybyłem do Miasta Luster, gdyż jestem tchórzem
i jak każdy tchórz. który nie wie, kim jest, skrywam ten
sekret przed samym sobą".

TAJEMNICE

Wiedział bowiem, że atomy powstały z mórz,
a morza z atomów.

YAKUP KADRI KARAOSMANOGLU

KIELICH

Morze życia im spokojniejsze, tym straszniejsze
Gdyż pod ciszą kryje się burza.

Luis DE LEON. Obres.

W przestronnej jadalni. której ściany zdobiły wizerunki
diabłów i aniołów, czas zdawał się drzemać. Miejsce to
przypominało zarośnięte wodorostami, mgliste, płacziwe
jezioro. którego spokoju nikt nie śmiał zakłócać falami. Pta-
ki i owady, dzikie gęsi i węgorze. żyjąc wokół niego, nad
nim i w jego wnętrzu. nauczyły się go nie poruszać. gdyż
jezioro nie znosiło ani dotykać. ani być dotykane. Gdy od

czasu do czasu odgarniało spowijające je opary i omdlałym wzrokiem przyglądało się swemu odbiciu, nie życzyło sobie ujrzeć nawet jednego cienia, który mógłby pokusić się o zmącenie jego wiecznego bezruchu. Choć nigdy by się do tego nie przyznało, jego historia kryła się w przeszłości, przeszłość zaś — w złożonej ongiś przysiędze. Było tak bowiem od dnia, w którym zebrawszy swe wody, przysięgło utopić je, jeśli choć odrobinę się poruszą.

Alonso Perez de Herrera jak co dzień zmówił przed posiłkiem modlitwę, prosząc w niej Boga, żeby ten raczej zabrał od razu jego duszę, niż pozwolił, by owładnięty żą-

dzą posiadania, uznał dobra na tym stole za niewystarczające i zaczął wieść życie pełne głodu wśród sytości i pełne ubóstwa wśród bogactwa. Gdy skończył modlitwę, której wzruszające słowa przyprawiły go o dreszcz i wypełniały mu łzami oczy, jego wzrok zatrzymał się na obrazie wiszącym dokładnie naprzeciwko. Nakrywający do stołu służący chodzili na paluszkach, starając się przemykać niepostrzeżenie. Wielki dom wypełniała niczym niezmacona cisza. Jedyną rzeczą, która nie starała się dostosować do panującego wokół bezruchu, była para unosząca się znad talerza zupy. Przekorna i niefrasobliwa, krnąbrna i zawzięta była to para. Wijąc się jak w tańcu do wtóru muzyki, falując i gęstniejąc, rzucała uwodzicielskie spojrzenia niczym jakaś niezrównana piękność; rozkoszowała się swą wyjątkowością. Jeśli zaś chodzi o Alonsa Pereza de Herrereę, zupełnie nie zwracał on uwagi na harce pary, gdyż nigdy nie podniósł do ust łyżki zupy, dopóki się nie upewnił, że wystygła, a poza

tym w zamyśleniu nadal wpatrywał się w wiszący przed nim obraz.

Czas udał się na spoczynek.

a jezioro znów złościło się nie wiadomo na co.

Po chwili Alonso Perez de Menera najwolniej, jak tylko było to możliwe, by nie wzburzyć wód jeziora, zaczął jeść.

Od czasu do czasu przestawał i z powagą kręcił głową. potem znów z uroczystą powagą jadł dalej. Słuchał swego głosu. W tej chwili głos, którego nikt poza nim nie słyszał. rozbrzmiewał z wiszącego naprzeciw obrazu. Pokrywające bogato rzeźbioną ramę thx:one motywy przypominały z daleka liście figowe, gęste i nieprzeniknione. splecione ze sobą, by skryć jakąś wstydliwą tajemnicę. Zajmującą znaczną część ściany wielkie płutno przedstawiało Monza Pereza de Herrerę leżącego na łożu śmierci. Zamówił je cztery lata temu u pewnego włoskiego artysty, który — zadłużony po uszy — oferował swój kunszt za miskę stawy. Odkąd gotowe dzieło zawisło na ścianie. Alonso Perez de Herrera miał w zwyczaju zasiadać przed nim do posiłków, popijać trunki i podejmować najtrudniejsze, najważniejsze decyzje.

Obraz nie tyle przedstawiał świat poza jadalnią, ile raczej stanowił jego dalszy ciąg, albo wręcz przeciwieństwo.

Nie było na nim krwi, nie było żadnego koloru, który raziłby wzrok. Mrok na obrazie zlewał się z mrokiem panującym w komnacie, tworzył z nim jedność. W jedynym jasnym miejscu na płótnie na szerokim sienniku leżał Alonso Perez de Herrera z twarzą pożółkłą jak cytryna. Jego lewa ręka zwisała poza łoże, a palce sprawiały wrażenie, jakby pochwyciły w locie, ratując je przed spadnięciem na ziemię,

jakieś niewidzialne piórko. W drugim końcu pomieszczenia. w miejscu oświetlonym smugą światła, której jakimś cudem udało się prześlizgnąć przez szczelnie zaciągnięte zasłony. siedział Alonso Perez de Herrera z twarzą pożółkłą jak cytryna i zadowolony, że w życiu może wyglądać tak jak na obrazie, obserwował siebie samego na płótnie naprzeciwko.

Przyglądał się sobie na obrazie naprzeciwko.

Przedstawiał on życie pod postacią śmierci.

Pierwsze, co zrobił, gdy obraz zawisł na ścianie. to wymienił sprzęty w jadalni. Rzeczy, które nie pasowały do barw na obrazie, nie chciały uznać ich hegemonii, jedna po drugiej opuszczały komnatę. Nie poprzestawszy na tym.

Alonso Perez de Herrera zlecił u rzemieślnika ozdobienie motywami śmierci wszystkich naczyń, mis i talerzy. których używał podczas posiłków. Jego ulubionym przedmio-

tem był niewątpliwie kielich o złoconych brzegach, z którym się nie rozstawał, gdy przebywał w domu. Widniał na nim kościotrup o oczodołach namalowanych zieloną farbą. Biegąca od podstawy naczynia czarna linia na pierwszy rzut oka mogła się wydawać uschniętą gałęzią. w rzeczywistości był to jednak wąż uginający się pod ciężarem nagromadzonych płatów starej skóry, której nie udało mu się rzucić. W gruncie rzeczy nieporadny był nie tyle wąż, ile rzemieślnik, który go namalował. Ponieważ jednak Alonso Perez de Herrera w braku podobieństwa tego węża do węża dostrzegł głęboki sens, nie żywił urazy do mistrza, spod którego ręki wyszedł kielich: wręcz przeciwnie, wysoko go cenił. Czerwony język węża niepodobnego do węża do-

tykał prawej stopy szkieletu, czego ten wydawał się nie zauważać. Głównym zamiarem gada nie było zresztą pochwycenie kościotrupa. lecz upicie z kielicha choćby małego łyżka wina. miał bowiem nadzieję. że kropla trunku zdejmie z jego grzbietu ciężar martwej skóry i uczyni go na powrót młodym. Dlatego kręcił się i wiercił. niestrudzenie zmieniając kształty: wił się na tysiąc sposobów. by znaleźć drogę do celu. Alonso Perez de Herrera od dnia, w którym po raz pierwszy wziął kielich do ręki. czerpał niezwykłą przyjemność z picia z niego wina. Rozprowadzając trunek po języku. jednocześnie miażdżył węża. którego jęki i bezsilne konwulsje sprawiały mu satysfakcję. Z każdym łykiem na porośniętym czarnymi jak smoła włosami ciele diabła otwierała się nowa rana: i choć rannym był sam szatan, i choć starał się, by nie popłynęła krew...

Zawsze lubił mówić o śmierci. Był przekonany, że jego zadaniem na tym świecie jest przedstawiać ludziom okropność śmierci. ich własnej śmierci. Przy każdej okazji wykrzykiwał w twarz nieszczęsnym śmiertelnikom, że choćby nie wiem jak próbowali uciec przed tym przykrym zdarzeniem, ich starania są daremne. Potem cofał się o krok, obserwował, jak obłoki lęku zasnuwają ich oblicza, i cierpliwie czekał, aż lunie z nich deszcz. Ten nigdy nie zwlekał, nigdy się nie spóźniał. Czarne chmury zasłaniały niebo, wszystko wokół jęczało od ogłuszających gromów, a przerażeni śmiertelnicy padali na kolana. zanosząc się od płaczu. Wtedy niebiosy spotykały się z ziemią, chmury z glebą, nasiona z wodą; rozszalałe morze błota błyskawicznie wciągało w swą toń ciała grzeszników. Alonsa Pereza

de Herrery nie wzruszał widok rąk wyciągających się ku niemu z błotnej otchłani; pozostawał obojętny na krzyki i wypowiedane w ostatniej chwili słowa skruchy. Nic więcej nie mógł dla nich zrobić.

Skończywszy jeść rozłożone na talerzu płaty mięsa.

rozparł się w fotelu. Służący wiedzieli, że mięso musi być dobrze wysmażone. Ich pan nie znosił bowiem widoku krwi; cokolwiek jadł, cokolwiek robił, krew nie mogła przy tym płynąć. Na obrazie życia i śmierci nie powinien się pojawić żaden kolor, który raziłby oczy.

Odczekawszy chwilę, skosztował zimnej już zupy.

Zmrużył oczy i zmarszczył brwi. jakby chciał podkreślić

wagę wykonywanej teraz czynności. Mlasnął kilka razy językiem o podniebienie i szybko go cofnął. Zupa może i była smaczna, lecz dodano do niej niewłaściwe składniki. Alonsowi Perezowi de Herrerze smak stawianej przed nim zupy nigdy jeszcze nie przypadł do gustu, i z tego względu co rusz szukał nowego kucharza. Gdy ten okazywał się jeszcze gorszy od swego poprzednika, jego pracodawca przez jakiś czas nie okazywał rozczarowania. po czym pewnego pięknego dnia wyrzucił z pracy na zbity pysk nieszczęśnika, który w żaden sposób nie mógł odgadnąć, dlaczego został zwolniony. Największy mistrz patelni na świecie też nic by na to nie poradził — aprobaty Alonsa Pereza de Herrery nie mogła zyskać żadna, nawet najsmakowitsza zupa. Zmieniał więc kucharzy jak rękawiczki. A przecież ten smak, którego Herrera tak nie cierpiał. brał się nie ze składników, ale z owej przekornej pary unoszącej się znad talerza. Rozpływała się ona bez śladu w powietrzu. lecz na

znak swej krótkiej, ulotnej egzystencji pozostawiała po sobie kwaśny posmak. I to on, czcząc pamięć pary, przenikał do zupy. Gdyby Alonso Perez de Herrera o tym wiedział, zapewne zrezygnowałby w ogóle z jądania zup. Jednak nigdy nie skierował swych podejrzeń na parę. niezmiennie natomiast obarczał winą kucharzy. dlatego teraz też się skrzywił i odsunął na bok talerz, postanawiając w duchu, że jak najszybciej rozejrzy się za nowym kuchmistrem. Upiwszy z pucharu łyk wina, pogłaskał mimochodem głowę czegoś niepodobnego do węża i wrócił do podziwiania obrazu. był zmęczony. Na pewnym zebraniu wygłosił mowę tak płomienną. że cały oblał się potem. Podczas każdego kazania było tak samo: bez reszty poddawał się czarowi Głosu. W gruncie rzeczy tylko otwierał i zamykał usta: sypiące się z nich słowa pochodziły skądinąd, od kogoś innego. Po powrocie do domu głos wyfruwał zeń jak ptak uwolniony z klatki, zagnieźdżał się w wiszącym na ścianie obrazie i stamtąd zaczynał mówić. Gdy opuszczał ciało Alonsa Pereza de Herren: ten drżał i bladł, jakby wyszano z niego całą krew, po czym pogrążał się w milczeniu. ów słynny w całym kraju kaznodzieja, mistrz słowa. w murach własnego domu stawał się cichy i nieruchomy jak trup.

Żałobna cisza ogarniała wszystkie pokoje. Służący dobrze znali zwyczaj swego pana, dlatego z całych sił starali się nie wydawać żadnych dźwięków. Jadalnia przypominała mgliste, zarośnięte wodorostami, płaczliwe jezioro, którego spokoju nikt nie śmiał zakłócić falami.

Napełnił kielich winem. Nie dość, że zabronił służą-

cym dolewać sobie trunku, nie wolno im było nawet zbliżyć się do jego ulubionego naczynia. Bał się, że drżenie ich rąk wzburzy wody jeziora. a wtedy napój straci swój wyborny smak. wąż zaś — jedną z warstw martwej skóry. Odchylił głowę do tyłu i pozwolił, by wino — czerwone jak krew — obmyło mu język. podniebienie i zęby. Picie z pucharu o połączonych brzegach bez wątpienia stanowiło niezrównaną przyjemność. Znów usłyszał Głos, który dobiegał z obrazu:

— jak wiele trudu po raz kolejny dziś sobie zadaliśmy. prawda? Z dobrym jednakże skutkiem. Przestraszyli się. Lęk przeniknął ich do szpiku kości.

Alonso Perez de Herrera skinął głową. Na jego ustach pojawił się ledwie widoczny uśmiech. Gdy poznał głos. był małym dzieckiem. Przyszedł na świat w Mili. w niezbyt dużym domku, jako piąty syn zmęczonego życiem piekarza. Dwóch najstarszych braci nie żyło długo. zostało ich więc trzech. Bóg najwyraźniej chciał wynagrodzić rodzicom słabe i chorowite ciała zmarłych chłopców. bo kolejnych dwóch obdarzył zdrowiem, krzepą i rumianymi jak jabłka policzkami. Dbając jednak, by sprawiedliwości stało się zadość, pominął przy tym Alonsa, który ani odrobinę nie przypominał swych starszych braci. Jeśli mały Alonso był do czegoś podobny. to do miasta Mila. Zamknięte z czterech stron murami, smagane suchym wiatrem, przeniknęło zarówno do jego ciała, jak i ducha, a w dodatku odcisnęło swą przeszłość na jego przyszłości jak piętno. Naturę miało samolubną, dzieje smutne, pamięć długą. Przed wiekami przez dziewięć znojących lat setki bu-

downicznych w pocie czoła wznosiły bastiony mające chronić miasto przed Arabami. Gdy w końcu ostatni kamień spoczął na swoim miejscu i budowę ukończono, żółte mury na wieczność oddzieliły przyjaciół od wrogów; wszystkich, którzy znaleźli się pomiędzy, przygniotły całym swym ciężarem. Od tej pory pierwszą rzeczą, jaką zauważał każdy cudzoziemiec przybywający do Avili, było to, że nie jest to miejsce, w którym mogłyby się rozgrywać przyprawiające o szybsze bicie serca miłosne historie, w którym dziadkowie przekazywaliby wnukom opowieści o wielkich czynach i które byłyby świadkiem budzących podziw aktów bohaterstwa. Ubóstwo w tym mieście było widoczne gołym okiem. Co krok spotykało się żebraków pokrytych ranami, z których sączyła się ropa, okradających się nawzajem z jałmużny, zalegających na rogach ulic niczym stosy brudnych szmat. Złodzieje o sercach twardych jak kamień, brudni, jakby od dnia narodzin wody nie widzieli, których jedynymi wiernymi towarzyszami były ich własne wszy, harcowali po byle jak skleconych dachach domów. Musieli chyba pozazdrościć świętym aureoli, bo nad głowami nosili koła fortuny. Czasem tylko, o zachodzie słońca, w odpowiedzi na gniewne okrzyki pewnego dowódcy — po latach tryumfalnego pochodu od zwycięstwa do zwycięstwa niepotrafiącego się pogodzić z chorobą pustoszącą jego ciało, chorobą tak straszną, że jej nazwa nie przechodziła mu przez usta — zatrzymywali się i błogosławili miasto, które uważali za swój matecznik.

Miasto Avila zamknęło się przed światem i to być może

spowodowało, że w krótkim czasie zaczęło pożerać własne dzieci. Uznało, że miejscowi Żydzi i Arabowie rozrosli się jak chwasty, szybko wypłeniło więc jednych i drugich. Gdy chwasty zostały wypalone, pola straciły żyzność i zamieniły się w ugory, zasnute dymami niebo przypominało TAIŚ czarną kopułę. Ogarnięte szaleńcami miasto jak okrutny smok ziało ogniem i wypluwało za mury białe kości pożartych ofiar. Ojciec był porywczy. Za swój ból i nędzę wyżywał się na klientach, a jeszcze bardziej na własnych synach. Jego jedynym pragnieniem było wykształcić choć jednego z nich i w ten sposób wydostać się z biedy, która wpiła się w nie-

go jak kleszcz i wysysała zeń krew. Nie wiedział tylko, na którego z chłopców powinien paść wybór. Choć nie zdał sobie z tego sprawy. Ostatnim, którego chciałby widzieć

w swoim śnie o wspaniałej przyszłości, był z pewnością mały Alonso. Najmłodszy z braci niemal zupełnie się nie odzywał. Nie mógł mówić. Jego głos bowiem bardziej przypominał ptasi niż ludzki. Ilekroć próbował coś powiedzieć. zaczynał pisać jak polny ptak miłosnym ćwierkaniem przyzywający samiczkę. tracił dech jak jaskółka złapana w sieć i drażnił uszy przeraźliwym piskiem jak jastrząb. zanim rzuci się na zdobycz. Wstydził się swego głosu. Wolał więc milczeć, by nie narażać się na szyderstwa ze strony otoczenia. Gdy skończył siedem lat, został przyjęty do kościelnego chóru. Tam doznał ulgi i znalazł spokój. za którym tak długo tęsknił. W mrocznym wnętrzu świątyni jego słabe, chorowite ciało było niewidoczne. a piskliwy głos nie zwracał nikomu uwagi. nie stawał się obiektem drwin. Zdarzało się nawet, że otrzymywał pochwały, gdy zaśpiewał bezbłęd-

nie pieśń. która dla innych chórzystów była zbyt trudna.

19

Gdyby mógł, nie wychodziłby z kościoła. Najchętniej zostałby tam przez całe życie, za żelaznymi kratami, rzeźbionymi drzwiami, wśród złotych świeczników. łez Maryi Dziewicy, smutnych spojrzeń świętych, drżących płomieni świec, różańców o dużych paciorkach, najświętszej hostii i kadzideł, których zapach przyprawiał o zawrót głowy; żyłby tam, nic nie słysząc, choć nie był głuchy, nic nie mówiąc, choć nie był niemy, nic nie czując, choć przecież miał serce. Kościół był dlań ciepłym gniazdkiem. bezpiecznym schronieniem z dala od nieprzyjaznych spojrzeń. Wtedy właśnie poznał głos.

Pewnego razu, gdy chórzyści rozchodzili się do domów, on jak zawsze się ociągał, aby upewnić się, że wszyscy sobie poszli. Nie miał przyjaciół. stronił od ludzi. Wiedział aż za dobrze, że jeśli poza kościołem otworzy usta, będą się z niego naśmiewać. Dlatego niespiesznie szedł w stronę wielkich rzeźbionych drzwi, gdy ktoś za nim zawołał:

— Alonso... Alonso. poczekaj!

Aż podskoczył ze strachu. Dookoła nie było nikogo.

Uznawszy, że to Maryja Dziewica do niego przemówiła, przeżegnał się trwożnie. Zaczął iść na paluszkach, by wymknąć się niepostrzeżenie. i wtedy znów usłyszał głos:

— To ja. Alonso. całe życie jestem z tobą.

— K...k...ktoś ty?

— Przestań się jąkać. Alonso. Nigdy więcej się nie

jąkaj. Nie milcz. Krzycz najgłośniej. jak umiesz, mów, aż opadniesz z sił. Nie lękaj się. to ja będę przemawiał przez twoje usta. Nie będziesz się już wstydził swego głosu. Alonso. Dzięki głosowi zaczniesz istnieć.

Przestał drżeć. Zastygł nieruchomo. Nie mógł zrobić kroku, nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Nagle jakby

na rozkaz ożywił się i z szybkością błyskawicy wypadł z kościoła. Gdy na zewnątrz silny podmuch wiatru uderzył go w twarz, oprzytomniał. Nie panował nad sobą, zmoczył się. Czuł się samotny i bezradny.

Stracił swoje bezpieczne schronienie, jedyne miejsce. w którym nie musiał się wstydzić swego głosu: wynajdował najrozmaitsze wymówki, byle tylko nie iść do kościoła. Za każdą dostawał od ojca lanie. Na szczęście piekarz był zbyt zmęczony życiem, by zajmować się chłopcem, którego i tak uważał za niezbyt rozgarniętego. Szybko stracił zapał i pozostawił syna jego własnej głupocie. Alonsowi trudno było wytrzymać w domu: pojął wtedy, że musi wziąć się w garść.

Życie jest tak okropne. że nie ma sensu się lękać. iż stanie się jeszcze gorsze. Zebrawszy się na odwagę. poszedł do kościoła, by ponownie śpiewać w chórze. Znów śpiewał nabożne pieśni swym cienkim, ptasim głosikiem. znów na koniec został sam jeden. Niepotrzebnie się bał. Nie słyhać było żadnego głosu. Cokolwiek to było. odeszło. A może w ogóle niczego nie było.

Szybko jednak zrozumiał, jak bardzo się mylił. głos znów się pojawił. był w domu i w kościele, na ulicy i w piekarni, dobiegał z talerzy, drzwi, ścian i drzew. Nie-

ustannie mówił i mówił. Stopniowo Alonso przestał się go obawiać. W końcu pewnego wieczoru ów tajemniczy głos powiedział:

— To ciebie powinien wybrać ojciec. To ty powinienes iść na uniwersytet.

Wtedy chłopiec polubił głos. Zrozumiał, że głos jest jego jedynym przyjacielem, jego przewodnikiem przez życie. Być może on też był samotny i nieszczęśliwy. Dlatego zapewne wśród tylu ludzi znalazł właśnie jego, milczącego

i osamotnionego syna piekarza z Avili. Niekiedy nawiedzał Monsa w obecności innych osób, ale tylko on słyszał głos. To uprzywilejowanie coraz bardziej mu odpowiadało, zaczął uważać, że bycie innym niż wszyscy wcale nie jest takie złe. W końcu pewnego dnia zebrał się na odwagę i zrobił to, do czego od dawna namawiał go Głos — poszedł do ojca.

— Ojczy, kiedy wreszcie zaczniesz mnie dostrzegać?

Piekarz osłupiał. Spojrzał na bladego chłopca o ptasim głosie, na swojego syna, którego uważał za najmniej podobnego do siebie i najmniej lubił. Nie zamierzał tracić dlań czasu, wzruszył więc ramionami i wrócił do swych zajęć. Lecz Alonso z nieoczekiwaną śmiałością znów mu przeszkodził. Podniósł głowę i spojrzał na potężnego mężczyznę, który przy nim wydawał się olbrzymem.

— Mnie wybierz, ojczy! — powiedział.

Nie prosił, raczej rozkazywał. Choć z powodu niezmiernie piskliwego głosu trudno było traktować malca poważnie, nie dało się jednak nie dostrzec zdecydowania

malującego się na jego twarzy. Piekarz nie mógł zrozumieć nagłej przemiany. Jaka dokonała się w jego najmłodszym synu. Podrapał się po głowie. Popatrzył za odchodzącym chłopcem i zaniepokoił się. Czy ten aby nie oszalał: ale nie zrobił nic.

Następnego dnia Alonso spotkał się z Głosem w kościele. Gdy po próbie chórzyci się rozchodzili, jak zwykle został z tyłu. Kościół opustoszał i wtedy głos wezwał chłopca przed krucyfiks. Na zewnątrz stygnące słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Jesienny wiatr jęczał i zawodził w murach obronnych Avili. Kończący pracę żebracy przeciągali się. By przywrócić krążenie krwi w zdrętwiałych członkach. Omiótłszy spojrzeniem cały kościół, chłopiec utkwiał wzrok w dłoniach Jezusa rozpiętego na krzyżu.

— Alonso, nadszedł już czas. Ty i ja musimy się połączyć.

Alonso drżał na całym ciele, bo nie wiedział, na co nadszedł czas, na jego czole perlił się pot. Bał się, że będzie bolało. Raz po raz zerkał na własne stopy. Jakby za chwilę miały zacząć same z siebie się poruszać i rzucić do ucieczki. Lecz choć jego strach był wielki, nie mógł pozwolić, by poniosły go z powrotem do złych dni przeszłości.

Na szczęście głos nie pozostawił go na długo w trwoźnym oczekiwaniu. Kazał mu otworzyć usta i krzyknąć głośno. Ile sił. Chłopiec był jednak tak podniecony, że nie mógł wydobyć z siebie nawet jęku. Stał nieruchomo, że wzrokiem wbitym we własne stopy i z sercem w gardle. Po chwili Głos powtórzył polecenie. Tym razem Alonso, wyężywszy się, krzyczał, aż zbrakło mu tchu. Poczzerwieniał na twarzy.

oblał się potem. Z jego ciałem coś się działo. miał wrażenie.

Że jego stopy oderwały się od posadzki i wznosi się teraz ku niebu, a krew krążąca w żyłach cofa się i odpływa. Do-
bywający się z gardła krzyk rozrywał jego myśli na strzępy.
a jednocześnie cierpliwie zbierał je i składał. Alonso krzy-
czał. Umiał krzyczeć. Jego głos, piskliwy, ptasi. przykry dla
uszu, przedmiot szyderstw, rozlegał się echem w starych.
wilgotnych murach kościoła, odbijał się od cienkich, złot-
conych świec.

Działo się coś dziwnego. Cienie topniejących świec
olbrzymiały, wykrzywione od wilgoci mury prostowały
się. Cienki, ptasi głos stawał się niski. Alonso zaś. szczęś-
liwy. że pierwszy raz w życiu może ryczeć jak oszalały.
upajał się nim. To musiał być cud! Dziwny głos, który nie
opuszczał go przez ostatnie tygodnie, nie dość, że rozta-
czał nad nim opiekę, to jeszcze wszedł w niego i odmienił
jego losy. Musiał to uczcić, rozgłosić szczęśliwą nowinę.
Krzyczał i krzyczał. Wrzeszczał. Gdyby mógł, to znaczy
gdyby Głos mu pozwolił, darłby się tak całymi godzinami,
a nawet dniami. Mógłby wreszcie pozbyć się tkwiącego
w nim gniewu, który niczym psujący się ząb z każdym
mijającym dniem wywoływał coraz paskudniejszy posmak,
coraz intensywniejszy smród: mógłby wyprawić w dal swą
samotność i bezradność. Ale głos na to nie pozwolił.

— już wystarczy!

Alonso był zaskoczony. Nie chciał być posłuszny
Głosowi. Teraz gdy uwolnił się od swego głosu, wiecznej
i jedynej przyczyny nieszczęścia i beznadziei, źródła wsty-
du i przedmiotu drwin, pragnął nacieszyć się tą cudowną

przemianą. Jeśli to wszystko miało być tylko snem. on nie zamierzał się budzić. Już chciał otworzyć usta i na nowo zacząć krzyczeć, gdy jakaś niewidzialna ręka chwyciła go za włosy i brutalnie potrząsnęła jego głową. Chłopiec poczuł straszny ból. Wszystko stało się w jednej chwili. miał wrażenie, że coś wykrzywiło mu wargi. Zdumiony i przerażony, obmacał usta i szczękę. głos był zirytowany.

— Nigdy więcej tego nie rób, mój mały! Nie waż się nie słuchać tego. co mówię!

Alonso dobrze znał ten gniewny ton. głos mówił tak jak jego ojciec. z taką samą złością. zniechęceniem i groźbą. Tyle miało wystarczyć. Szczęście chłopca trwało krótko — zastąpił je palący ból.

Po chwili jednak głos znów zaczął doń czule przemawiać, jakby chciał zatrzeć w jego pamięci wyrządzoną mu przykrość.

24

— Ty i ja nie możemy tracić czasu na drobne gierki. Za ciasno nam tu. Przed nami wielkie cele. Alonso. Nie męcz mnie nadmiernie — nakazał i zamilkł na chwilę. Alonso wpił paznokcie w dłoń i przygryzł wargi, by powstrzymać płacz. — Zapamiętaj sobie. Nie wtedy, kiedy ty chcesz. ale wtedy, kiedy ja chcę... twój głos będzie moim głosem tylko wówczas, gdy ja zechcę. Nie zapominaj o tym!

Nie zapomniał. Alonso Perez de Herrera nigdy więcej nie powtórzył błędu, który popełnił owego wieczoru.

Wypadki potoczyły się tak, jak zapowiedział głos.

W dniu, w którym wyjeżdżał na studia i opuszczał mury Avili, z radością witał otwierającą się przed nim nową drogę; jej celu ani ojciec piekarz, ani dorodni bracia nie byli w stanie nawet sobie wyobrazić. Ani razu nie obejrzał się za siebie. To, co powinien pamiętać, miał wyryte w pamięci, to zaś, o czym powinien zapomnieć — szybko z niej wymazał. W zadziwiająco krótkim czasie stał się jednym z najstynniejszych kaznodziejów w kraju: jego słowa zapadały głęboko w serca oraz sny ludzi, którzy przybywali z odległych miast i wsi, by go posłuchać. Jediną niedogodnością było to, że o wszystkim decydował głos. To od jego widzimisię zależało, kiedy wstąpi w Alonso, a kiedy go opuści, robiąc miejsce dawnemu, słabemu, ptasiemu głosikowi.

Alonso Perez de Herera nigdy nie przygotowywał swoich kazań. Nie wiedział nawet, o czym będzie mówić. Czekał i w odpowiednim momencie oddawał się w ręce szpilem Głosu. Do tego sprowadzała się jego rola. Gdy głos milkł, patrzył pustym wzrokiem na skulonych ze strachu ludzi o oczach zaczerwienionych od łez, jakby próbował zrozumieć, co przywiodło ich do tego stanu, po czym pośpiesznie wracał do domu. Uważał, by po kazaniu z nikim nie rozmawiać. Jeśli musiał coś powiedzieć, czuł straszliwe zażenowanie. Wiedział bowiem, że głos, który z siebie wyda, nie będzie tym, który rozlegał się chwilę wcześniej, podczas kazania.

Tematem dzisiejszego kazania głos uczynił serię osobliwych narodzin, która ostatnio miała miejsce. Najpierw

wspomniał o dwugłowym cielęciu z dwoma ogonami i sześcioma nogami, które przyszło na świat w wiosce Botorrita. Ciemni wieśniacy nie dopatrzili się w tym ostrzeżenia przed karą za popełnione grzechy w wiosce dojdzie więc na pewno do innych niespotykanych zdarzeń. Następnie Głos opowiedział o całkowicie porośniętym włosami dziecku potworku z Rioseco. Ledwie się urodziło, już umiało chodzić, a zamiast uszu miało małe, różowe rogi. Palce jego stóp były połączone błoną jak u gęsi. u rąk zaś wyrastały szpony niczym u drapieżnego ptaka. Nie ulegało wątpliwości. że niemowlę jest dziełem szatana, więc wieśniacy niezwłocznie oddali je katu. Ten pociął je na kawałki i każdą część z osobna wrzucił w ogień. Lecz za każdym razem płomienie natychmiast gasły: na nic się zdało dokładanie drew. podpałki ani suchych chwastów. W końcu pewien wędrowny mnich znalazł rozwiązanie: w miejscu, w którym w południe pada cień dzwonu na kościelnej wieży, kazał wykopać głęboki dół a w każdym z czterech rogów umieścić krzyż. Dopiero tam udało się rozpalić ogień i uwolnić od tego diabelskiego nasienia. ()powiedziawszy o owych straszliwych wypadkach, głos zapowiedział, że to nie koniec podobnych narodzin w tym kraju, po czym — jak to nieraz robił — nawiązał do nieszczęścia nadchodzącego ze Wschodu.

—To najokrutniejsza, najbardziej spragniona krwi armia. Gdziekolwiek stanie ich stopa, wyrzynają w pień wszystkich chrześcijan, nie wyłączając kobiet i dzieci. Co zrobi! sułtan Soliman, gdy pod Wiedniem te diabły spotkała

klęska? Czyż nie zabił czterystu tysięcy chrześcijan tylko po to, by nasycić swą żądzę zemsty? Dlaczegoż jego potomkowie mieliby okazać się łaskawsi, bardziej litościwi? Pamiętajcie, walczyć z katastrofą nadchodzącą ze Wschodu to jak walczyć z samym szatanem. Pytam się was, czy zastanawialiście się kiedykolwiek, dlaczego Bóg Najwyższy pozwala tej okrutnej armii rosnąć w siłę i posuwać się naprzód? Dlaczego nie ześle na Turków gradu kamieni, nie wsadzi na głowy ich własnych pałaców? Tak. Bóg pozwala im iść naprzód. bo świat chrześcijański pełen jest grzechu! Tak, świat chrześcijański tapla się w błocie występku! Wszyscy jesteśmy grzesznikami, wszyscy jesteście grzesznikami!

Po Turkach przyszła kolej na Żydów. Mons() Perez de Herrera nie mógł się nadziwić, że mimo upływu tylu lat wciąż odczuwa ból w małym palcu lewej dłoni, ilekroć ktoś poruszy ten temat. W takich chwilach wspomnienia tamtego niespokojnego drżenia, które pospiesznie skrył głęboko w sobie wtedy, gdy dowiedział się od Głosu wstydlivej prawdy, przemieszczały się bezgłośnie do koniuszka palca i tam wznosiły swoje szczyty. Nikt nikogo nie atakował, nie dochodziło więc do starcia. Opancerzeni wojownicy czekali na siły niezidentyfikowanego wroga. po czym — odśpiewawszy churem pieśń o niezrozumiałych słowach — wycofywali się również bezgłośnie i niepostrzeżenie. jak przyszli. Na szczęście krew się nie lała. Od tamtego okropnego dnia. w którym po raz pierwszy i ostatni popłynęła jego własna krew, Alonso Perez de Herrera nie znośił czerwieni.

— Twoje życie będzie odtąd zupełnie inne. Nie jesteś

już najmłodszym synem piekarza z Avili. Pożegnaj się z tym chudym, nieśmiałym chłopcem.

Owego dnia niebiosy przybrały barwę ołowiu. Zbierało się na deszcz. Alonso z uśmiechem zadowolenia na ustach wsłuchiwał się w głos.

— Jest jednak pewien sekret, którego dotąd nie poznałeś. I ty, mój mały przyjacielu. będziesz musiał nosić ten sekret przez całe życie.

W owych czasach Alonso Perez de Herrera nie znał jeszcze zbyt dobrze Głosu. Nie wiedział, że potrafi on z równym powodzeniem koić najgłębsze nawet urazy, jak i niweczyć radości, które nie są jego udziałem.

— Widzisz leżący tam nóż. Alonso? Weź go. Dalej, nie ociągaj się. Weź go. mówię!

Czekał z nożem w ręku. Zaś wyraz jego twarzy zdradzał, że nie bierze poważnie tego, co usłyszał. Podniósł głowę i uśmiechnął się do chmur, niosących deszcz.

— Chcę teraz, byś naciął nim swój mały palec. Mały palec u lewej ręki.

Zrobił to, co mu kazano. miał dość tej dziwacznej gry. Zlizał spływającą krew i już miał pogrążyć się w uprzednim błogostanie. gdy głos ryknął:

— Alonso. przyjrzyj się swojej krwi! Przyjrzyj się jej uważnie. Chrześcijańska krew, nieskalana. czysta chrześcijańska krew jest czerwona. Jaskrawoczerwona. Lecz żydowska krew jest ciemna. Jej odcień trąci czernią. Przyjrzyj się swojej krwi. Czy jest wystarczająco czerwona?

Alonso się przeraził. Szeroko otwartymi ze strachu oczami spojrzał na nacięcie na małym palcu. Czuł, że są-

cząca się zeń krew nie krzepnie, wręcz przeciwnie. zaczyna

płynąć coraz mocniej i wkrótce zabarwi go całego na kolor, który wszystko zdradza. Prawą dłoń, zawisłą w próżni, podniósł do szyi pokrytej zimnym potem; jego oddech był urywany: Alonso się dusił.

— Tak! — jęknął, gdy nieco oprzytomniał. — Moja krew na pewno jest czerwona. Na pewno... Czysta chrześcijańska krew.

głos się zaśmiał. Gdzieś w oddali błysnęło. Sklepienie nieba pojaśniało. Lada chwila miał lunąć deszcz.

— Patrz uważnie, Alonso. Czy nie zauważyłeś kilku kropel czerni mączącej czerwień krwi? Nie widzisz? Błady jak ściana Alonso nie był w stanie czegokolwiek dostrzec.

— Nie znałeś swojego dziadka, Alonso. Nigdy się o nim nie mówiło. Ciekawe dlaczego? Dlatego że dziadek zepsuł krew twojej rodziny. Wziął za żonę córkę bogatego żydowskiego kupca. Pokochał ją i wprowadził za mury miasta Avila. Zmieszał jej krew z krwią twojej rodziny. Stąd tych kilka kropel czerni w krwi płynącej z palca. Oto twoja mała tajemnica!

Alonso wydał z siebie ostry krzyk. Piskliwy, ptasi ton zabolął go bardziej niż rozcięty palec. Zgięty wpół z bólu. padł na kolana i zalewając się łzami. wyjęczał:

— Nie! To nieprawda! Kłamiesz!

— Czy kiedykolwiek cię okłamałem. Alonso? Czarna plama na krwi, która krąży w twoich żyłach. Oto skrywana przed tobą prawda. Prawda, którą ty też będziesz musiał

ukrywać przez całe życie.

Skrywał ją. Z nikim nie podzielił się tym strasznym sekretem, zachował go tylko dla siebie. Zdobywając pozycję i sławę, nie obawiał się, że wyjdzie na jaw. Nie było

29

powodów do niepokoju. Gdyby były, Głos na pewno by go ostrzegł. Na wszelki wypadek jednak warto było zachować ostrożność. Tak też zrobił. Stał się twardy, pryncypialny i zniechęcił żydów.

— Conversoss... Są obłudni, fałszywi. Na pozór wydają się gorąco wierzącymi chrześcijanami, lecz w głębi duszy pozostają żydami. Są jak ropa sącząca się z rany, którą trzeba oczyścić. W ich żyłach płynie czarna krew, czarna jak smoła. I tylko szukają okazji. by zbryzgać wszystko tą brudną krwią. Ale nie uda im się to! Ich przeznaczeniem jest utopić się we własnej krwi. Dotkną ich plagi na podobieństwo egipskich, trąd przeżre ich ciała, nie ma dla nich ucieczki! Na ich głowy spadną przekleństwa w miastach i wioskach, na placach i polach. Ich mężczyźni staną się bezpłodni, kobiety nie wydadzą potomstwa. Przekleństwo Sodomy i Gomory będzie podążało ich śladem!

W przestronnej jadalni. której ściany ozdobione były wizerunkami aniołów i diabłów, upił łyk wina z kielicha o złotych brzegach i ukontentowany, że wąż niepodobny do węża wije się na jego rozkaz. wpatrywał się uparcie w obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Od czasu do czasu kiwał głową na znak, że zgadza się z tym. co mówi Głos. którego nikt poza nim nie słyszał. Potem znów pogrążał się w bezruchu, miękkim jak ptasi puch.

— Ileż zadawali dziś pytań! Ale nas wymęczyli!

30

Alonso Perez de Herrera skinął głową potakująco, choć w zasadzie zadano tylko jedno pytanie. Gdy kazanie dobiegło końca, jedna z kobiet, szlochając, zapytała:

— Dlaczego Bóg pozwala, by ginęli niewinni ludzie?

To pytanie rozwścieczyło Głos.

— Ach, ty nierozumne stworzenie! Szukasz przyczyn swoim ograniczonym rozumem? Posłuchaj mnie tedy. Spotyka ich śmierć nie z powodu grzechów, które popełnili, lecz z powodu grzechu pierworodnego!

I

STUDNIA

Studnia patrzy na lata, gdy wiadro powoli
wydostaje się z głębi i nagle wiadro szybko
spada w dół, szybciej, niż zdążysz pochylić się
i podążyć za nim wzrokiem.

FRANZ KAFKA

Z okna mogła dostrzec studnię na dziedzińcu. Ta mała,
chłodna, mroczna komnata była jej twierdzą. Wychodzące
zaś na dziedziniec ze studnią okno — samym środkiem,
sercem tego bastionu. W niektóre dni Isabel całymimi godzi-
nami wyglądała przez nie i obserwowała deszcze zalewa-
jące dziedziniec, prażące go promienie słońca. smagające

go podmuchy wiatru. Innym znów razem starała się nawet nie zbliżyć do okna. Jakby chciała uciec gdzie pieprz rośnie przed tym, co mogłaby zobaczyć. Natomiast dzisiaj była kompletnie niezdecydowana. Co chwilę podchodziła do okna i rzucała ukradkowe spojrzenie. Po czym szybko się oddalała. Nie była w stanie ani przez nie wyglądać, ani trzymać się od niego z daleka. Drżała z niepokoju. Nie opuszczał jej od wielu dni. Nie pozwalał przespać nocy. Pod wielkimi, czarnymi jak noc oczami pojawiły się sine cienie, wzywające pomocy, obwieszczające wszem wobec jej godny pożalowania stan. Dręczyły ją nocne koszmary. A to, co w nich widziała, nie wróżyło niczego dobrego. Nie czuła wstydu. Była gotowa ponieść konsekwencje, gdyby popełniony przed laty grzech miał teraz wyjść na jaw. Dobrze wiedziała, że tamto sekretne wspomnienie będzie nosić w sobie bez wstydu, bez lęku aż po dzień, w którym wyda ostatnie tchnienie. Ostatnio, by sprawdzić samą siebie, często zaglądała we własne serce, starannie analizowała swoje uczucia. Nie, wśród nich nie było wstydu. Ale nie mogła się uwolnić od głębokiego smutku, który zostawiał za sobą błękitne ślady. Miała ochotę chwycić go za ramiona i potrząsnąć nim mocno: usłyszeć, za czym tak uporczywie goni. Zaraz jednak tłumiła ogarniający ją gniew. Wiedziała przecież. Wiedziała, że smutek jest jak pojedynczy siwy włos wśród jej bujnych, czarnych loków. Wyrwanie go nic nie da, bo zaraz wyrosną następne, których nie da się ujarzmić. Jej stan nie uszedł uwagi nawet małego Andresa. Malec mniej niż zazwyczaj marudził, mniej hałasował. Próbując zrozumieć, co się dzieje. Jeszcze szerzej otwierał odzie-

dziczone po matce wielkie. czarne oczy. Nie mówił był milczącym dzieckiem. z upływem Czasu coraz bardziej zamkniętym w sobie. Isabel patrzyła na syna jak na statek, który podniósł kotwice i oddała się w nieznane, lecz nie pragnęła ani wskoczyć do wody i popłynąć za nim. ani zostać na brzegu. by zalewając się łzami, machać chusteczką. Czasem wyrwała kilka siwych włosów i rzucała na wody dzielące ją od syna. Nie protestowała, gdy morze połykało je łapczywie w miejscu. w którym spienione fale uderzają o brzeg, czyli tam gdzie życie rozpada się na kawałki. a zamiast niego ożywa śmierć.

Prawdopodobnie jedyną osobą, która nie dostrzegała dziwnego zachowania Isabel, był jej mąż. Antonio Pereirę pochłaniały własne zmartwienia. Od dawna marzył o stanowisku profesora katedry filozofii. Narzekał, że w domu nie ma warunków do pracy. Na byle hałas marszczył brwi, zrywał się z miejsca i zaczynał nerwowo chodzić tam i z powrotem. Nic jednak nie mówił, nie krzychał, nie wyrzucał z siebie nagromadzonej złości. Nie był zresztą człowiekiem, który podniósłby rękę na żonę czy syna. Każdego, z najbliższymi łącznie. traktował z dystansem. w wyważony sposób. Isabel Nufiez Alvarez już w pierwszych miesiącach małżeństwa przekonała się. że próżno oczekiwać od męża jakichkolwiek gwałtownych reakcji. Na początku próbowała go prowokować. wybadać, jak bardzo może naruszyć granice. które Antonio mimowolnie wyznaczył, lecz dawno już tego zaprzestała. Być może, podobnie jak on, pogodziła się z tym, że jest jak jest: być może zubożyła najpierw względem męża. a potem stopniowo na cały świat.

Cokolwiek to było, nie miało dla niej żadnego znaczenia.

Wiedziała zresztą, że jej smutek nie ma związku z małżeństwem. które kropla po kropli rozpływało się jak lody sople w promieniach słońca. Od wielu dni dręczył ją zgoła inny niepokój, którego przyczyny zupełnie nie mogła określić.

Przypomniały się jej słowa. które wypowiedziała Beatriz Blasquez podczas ich ostatniego spotkania: "Czego ty jeszcze chcesz Isabel? Twój mąż robi karierę. masz ślicznego synka. wspierała rodzinę. Żadnych zgryzot, wygodne życie. Spokój w domu. Ale ty... Ty nie umiesz się tym cieszyć. Isabel.

Uwagę Isabel Niañez Alvarez przykuły wtedy nie tylko słowa, ile wyraz twarzy przyjaciółki. W oczach Beatriz wychwyciła cień robaka zazdrości. żyjącego w ukryciu pod ziemią i wychodzącego na powierzchnię tylko wtedy, gdy

44

słońce świeci najmocniej i najbardziej oślepiająco. Pojawił się i od razu znikł, na mgnienie oka wychynął z ziemnej rozpadliny, jakby chciał skorzystać z chwilowego roztargnienia słońca lub udowodnić, że jest jedynie złudzeniem wzrokowym...

Wzdrygnęła się na odgłos kroków na schodach. Do komnaty weszła służąca Ana i oznajmiła, że przyszła Elena Rodriguez. Przez chwilę Isabel i Ana patrzyły na siebie z wahaniem. Obie nie przepadały za tą kobietą. Ilekroć Elena Rodriguez przekraczała próg tego domu, wносиła że sobą

powiew zimnego wiatru. Jednak ta zimna i małomówna sąsiadka żywiła dziwną czułość dla małego Andresa. Często prosiła, by pozwolono jej zabrać chłopczyka na spacer albo pobawić się z nim. Isabel, mimo przemożnej chęci pokazania drzwi tej kobiecie, którą uważała za w najwyższym stopniu niesympatyczną. uznała, że z dwóch powodów nie powinna tego robić. Po pierwsze. zdawała sobie sprawę, że Andres niejako zastępuje sąsiadce synka. którego ta utraciła dwa lata wcześniej. Gdy Diego zmarł. Elena szalała z rozpaczy. Skoro Andres łagodzi jej ból. Isabel nie mogła zabronić jej widywania go — to byłoby niestosowne. Po drugie. gdy Andres wychodził z domu. Isabel zostawała sama i mogła przesiadywać w tym pokoju. Teraz potrzebowała tego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Skinięciem głowy dała znak służącej. Nie próbując nawet ukryć niezadowolenia. Ana wprowadziła Elenę Rodriguez.

Kiedy kobiety zostały sam na sam, wymieniły grzecznościowe formułki powitalne. po czym zapadła głęboka cisza. Zbita z tropu Elena Rodriguez w nagłym ataku kaszlu długo przytykała do ust koronkową chusteczkę, aż w końcu odezwała się smutnym głosem:

15

— Dziś Corpus Christi. Pomyślałam, że moglibyśmy z Andresem pójść na procesję.

— Oczywiście — odpowiedziała Isabel z wymuszonym uśmiechem. — Oczywiście, dlaczego nie.

— A pani? Nie wybierze się pani na uroczystości?

Udała, że nie słyszy nuty potępienia pobrzmiewającej w tych słowach.

— Niestety, bardzo bym chciała, lecz głowa tak mnie boli, że zdaje się pękać. Powinnam się położyć.

Elena Rodriguez posłała Isabel pełen zrozumienia uśmiech. W jej oczach, które przed chwilą przybrały zielonkawą odcień, rozbłysły pogodne ogniki. Starając się nie zepsuć atmosfery serdeczności, jaka ku zdziwieniu obu kobiet zapanowała między nimi, mierzyły się pełnym dystansem. lecz przyjaźniejszym niż zazwyczaj wzrokiem. W tym momencie do pomieszczenia wszedł Andres. Kobiety zniechęciły się: nie wiedziały, jak się zachować. Chłopiec jednak szybko przerwał tę niezręczną chwilę. Chwyciwszy się matczynej spódnicy. skierował swe piękne oczy na Elenę Rodriguez. Zadowolony tym zarówno kobietę. o której kolana się opierał. jak i tę. na którą patrzył. Potem, gdy ubierano go do wyjścia, nie padło już ani jedno słowo. Isabel przyglądała się. jak sąsiadka. trzymając jej syna za rękę. zmierza do drzwi. Widziała, jak jego mała rączka niknie między jej długimi, kościstymi palcami. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że znów stoi w milczeniu. jakby z nabrzeża spoglądała w ślad za odpływającym okrętem.

Elena Rodriguez już miała wychodzić. gdy nagle się zatrzymała.

— Ach. prawie bym zapomniała. Upiekłam dla was chrup-chrup — oświadczyła i niczym władca, dumny ze swej skromności, zrobiła ręką ruch mający oznaczać, że nie oczekuje podziękowań, po czym z uśmiechem przyklejo-

nym do warg przeszła przez próg.

Na dźwięk słów „chrup-chrup” Isabel się wzdrygnęła. Synek sąsiadki uwielbiał ten rodzaj ciastek. Elena Rodriguez w wyrabianą ręcznie i uformowaną w kształt pierścienia białą, słodką masę wtykała tu i ówdzie, tak by z zewnątrz pozostawały niewidoczne i dawały się wyczuć dopiero w ustach, pojedyncze paciorki. Diego, gdy tylko natrafił na któryś, z radością pokazywał wszystkim swoje znalezisko. Zbierał koraliki, by kiedyś zrobić z nich naszyjnik i podarować narzeczonej. Niestety, nie było dane biedactwu żyć dostatecznie długo: kiedy zmarł, matka, jęcząc i lamentując, wyrzuciła całą garść paciorków przez okno. Ostatnio znów zaczęła piec te ciasteczka, nazywane przez chłopca chrup-chrup, choć po jego śmierci przysięgała nigdy więcej ich nie robić. Isabel, dygocąc, rozglądała się po pokoju w poszukiwaniu słodczy, nie znalazła ich jednak. Była niezadowolona, że są gdzieś w domu. Nie lubiła ukrytych paciorków, które ujawniały się dopiero po rozgryzieniu ciastka. Według niej była to nie tyle zabawa dla małych dzieci, ile gra, zarówno niewinna, jak i niebezpieczna. Jej lęki znikły, gdy służąca, nie darząca sąsiadki sympatią, znalazła ciastka i przyszła, aby je pokazać swojej pani. Isabel Nuflez Alvarez miała pewność, że Ana pozbędzie się ich z domu i w ten sposób zneutralizuje perfidną pułapkę. Mogła teraz zostać sama i się odprężyć. Pokręciwszy się po domu, weszła do gabinetu Antonia. Książka leżała tam, gdzie ją zostawiła. Otworzyła na stronie zaznaczonej — jak zakładką — pojedynczym siwym włosem i uśmiechnęła się. Już jako mała dziewczynka odkryła niezwykłą przy-

jemność płynącą z lektury. Ojciec zadbał by jego córka jedynaczka nauczyła się czytać i pisać i dzięki temu mogła wejść do jego świata. Te starania zostały uwieńczone sukcesem: Isabel ochoczo pochłaniała podsuwane jej książki. Jednak gdy mała dziewczynka zaczęła dorastać, nabrała zwyczajów, które jej ojciec niezbyt pochwalał. W dwóch różnych pokojach rodzinnego domu odkryła dwa różne światy. W jednym znajdowały się poważne, solidne dzieła z biblioteki ojca: De «bras Cycerona. Oc mnsolatione ahdosophine Boecjusza. Sentencje Serki oraz dzieło juana Padilli Hetablo dc la uda dr CI-C:to. W drugim ZAŚ - książki należące ongiś do matki Isabel. zupełnie inne od tamtych, opowiadające o odwadze, jaką daje miłość. i niewoli. w którą wpędza człowieka namiętność. Dzięki nim dziewczyna poznała emocjonujące, skomplikowane losy nieustraszonych rycerzy, butnych olbrzymów oraz szlachetnych i nieszczęśliwych dam. Czytała o ich przygodach najpierw z czystej ciekawości, potem zaś z rosnącą sympatią. I choć ojciec stanowczo zabronił jej sięgać po te, jak twierdził, pospolite i tylko mieszające w głowie powieści. Isabel z pasją pochłaniała książki z obu bibliotek. tworząc w umyśle mieszankę tak zupełnie różnych. gdyby je porównać, liter, sylab, słów i zdań.

Piękna była wioska. w której upłynęło dzieciństwo Isabel. Nazywała się Tordesillas. Wszystkie domy wsluchiwały się w pieśni nucone latem i zimą przez rzekę I Moro. Ta płynęła wartko, ruchliwa jak niepostuszne. nieszczęśliwe dziecko. Przerzucony nad nią kamienny most przy-

pominał pogodnego pana domu zapraszającego wszystkich przechodniów bez różnicy: znajomych i nieznajomych. Nie było w nim nic z hałaśliwego niepokoju płynącej pod nim bystrej wody: z uśmiechem obiecującym spokój i zadowolenie prowadził gości do klasztoru Santa Clara. Rzeka Duero tylko wzruszała ramionami i odwracała wzrok. Nie miała nic przeciwko spokojowi, po prostu nie umiała być spokojna, i tyle. Pod maską porywczosci chciała ukryć głęboko zranione serce. Zatem ilekroć pojawiał się ktoś, kto próbował odkryć jej tajemnicę i ujawnić ją przed światem, topiła go wśród rozdzierających krzyków. Co roku, gdy ustawały smagające nurt deszcze i poziom wody opadał, na brzegu znajdowano kilka ciał. Czasem rozpędzała się i próbowała skruszyć od spodu kamienny most, którego obecności nie znośiła: chciała wgryźć się w niego. rozbić na kawałki. Lecz gdy jej gniew nie napotykał gniewu, gdy docierało do niej, że choćby nie wiem jak się starała. z twarzy mostu nie zniknie przyklejony doń uśmiech, bezsilna padała na kolana i zanosiła się szlochem. Rzeka Duero była nieszczęśliwym dzieciakiem, niespokojnym duchem. A Isabel była do niej podobna.

Rozbolały ją plecy. Wstała, zrobiła kilka kroków po pokoju. Od czasu do czasu zerknęła ukradkiem na dziedziniec. Nie mogła się zdecydować. Była jednak również niecierpliwa, jak niezdecydowana. Nie mogła dłużej czekać. Wybiegła w pośpiechu. jakby miała się spóźnić na umówione spotkanie. Najpierw, jak podczas najbardziej sennych godzin jakiegoś powolnego, nie zakłócanego żadnymi troskami dnia. skupiła uwagę na kwiatkach, wciągnęła w płuca ich upojną

woń wypełniającą dziedziniec. Kwiaty zawsze przypominały jej Starą. Starą, która była teraz tak daleko. Ilekroć myślała o Starej, nie mogła powstrzymać napływających do oczu łez. Wzięła głęboki oddech i próbowała się opanować. Studnia, miła studnia czekała już na nią. Ukryta pod wiadrem szkatułka chroniła w swym wnętrzu najskrytszą tajemnicę małej dziewczynki, próbującej uwolnić się od wspomnień szalonej rzeki Duero — przemożną chęć spisania tego. czego nie można opowiedzieć.

Dziedziniec niczym zakątek rajskiego ogrodu,
z wyschniętą studnią pośrodku,
a pod wiadrem ukryta złocona szkatułka;
w niej swą rozdartą na kawałki duszę
przechowywała Isabel Nufiez Alvarez.

EGZAMIN

Kochałem ich, nadal ich kocham. Lecz nigdy nie udało mi się wejść do ich zwyczajnego świata.

JULIO CORTAZAR

Zbliżając się do domu rektora. Antonio Pereira po raz ostatni przyjrzał się sobie uważnie. Dziś ubrał się wyjątkowo starannie i elegancko. Nie posiadał się z radości na myśl. że już za chwilę przekroczy próg tych okazałych drzwi i otrzyma dobrą wiadomość, na którą długo czekał. Tak dobrze nie czuł się już od dawna — właściwie bał się tego nagłego szczęścia. Nie przerażała go perspektywa smutku, który niewątpliwie musiał nadejść po radości. ani związanego z nim rozczarowania: przerażało go raczej szczęście

jako takie. Przez całe życie starał się unikać wszystkiego, co byłoby szybsze niż jego własny puls. wiedział więc dobrze, że nie będzie w stanie dotrzymać kroku wiecznie się spieszącemu, niecierpliwemu szczęściu. Ale nie mógł przestać się uśmiechać. Wstydlivy uśmiech, który od rana gościł na jego wargach, nabrał nagle śmiałości, jak małe kocię, które znalazło schronienie w czyichś ciepłych ramionach; już się szykowało, by wybuchnąć kaskadą radosnego śmiechu, lecz nie mógł tego zrobić. skierował więc siłę do wewnątrz,

jak krzyk zduszony dłońmi przyciśniętymi do ust. Antonio Pereira nie był bowiem przyzwyczajony do tak gwałtownych reakcji, dlatego — choć uśmiech nie rezygnował i ponawiał próby — mężczyzna stawiał mu opór. starając się zapanować nad wargami i zachować choćby resztki powagi. Przychodziło mu to z trudem, a malująca się na jego fizjonomii walka przeciwstawnych emocji przybierała na sile w miarę zbliżania się do domu rektora.

Dokładnie trzy lata temu podczas pewnej biesiady kapitan jednego z przybyłych ze Wschodu okrętów położył na stole dwa małe pudełka i powiedział, by Antonio wybrał sobie któreś. W jednym znajdowała się maska z połową twarzy uśmiechniętą, a połową smutną, niczym port porzucony przez dwa roztargnione statki, które zapomniawszy, że są związane linami, podniosły oba żagle naraz, by odpłynąć w przeciwległe strony świata. Drugie pudełko kryło długą, misterną spinkę, ozdobę kobiecej fryzury. Nie zastanawiając się długo, wybrał spinkę. W owym czasie nie zauważał jeszcze, jak bardzo oddalili się od siebie z Isa-

bel, i sądził, że taki niespodziewany podarunek ucieszy
żonę. Isabel przyjęła spinkę z uśmiechem, lecz ani razu nie
wpięła jej we włosy. Teraz jego własna twarz wydawała mu
się podobna do tamtej odłożonej obojętnie na bok maski.
Ona również stała się jakby polem walki pomiędzy dwiema
wrogimi siłami, stojącymi naprzeciwko siebie i czekającymi
na sygnał do ataku. W dodatku obie armie szkoliły się do
boju bynajmniej nie o świetlaną przyszłość. lecz o dawno
zapomnianą przeszłość. Tymczasem Antonio Perejra za po-
zbawione sensu uważał zarówno lament nad przeszłością.
jak i walkę o nią. A skoro ci. którzy przeszłość uważali
za swą ojczyznę, skazani byli na życie na obczyźnie po

kres swoich dni, należało rozdzielić albo pamięć od wspo-
mnień, albo wspomnienia od czasu, do którego należały.

W przeciwnym bowiem razie przeszłość uwierała boleśnie
i zadawała człowiekowi niepotrzebne rany.

Isabel straciła zainteresowanie nie tylko upominkami

od męża. ale wszystkim dookoła; kapitan wypłynął w rejs

i więcej nie wrócił: maska o na wpół roześmianej, na wpół

ponurej twarzy trafiła w nie wiadomo czyje ręce. Nagle
wieczoru wybrał spin-

Antonio poczuł silny żal, że tamtego

kę. A przecież dziś, zamiast rozpaczać nad utratą glinianej

; maski, powinien się radować. Zasłużył na nagrodę. musi

wreszcie zebrać owoce swojej pracy. dlatego nie powinien

lękać się czekającego go szczęścia. Zaczerpnął głęboko po-

, wietrza. Uspokoił się. Przyspieszając kroku, gestem zdra-

dzającym zadowolenie z siebie pogładził rudo-czarną bro-

dę. W tym samym momencie nadchodzące z naprzeciwka dwie młode kobiety obrzuciły go zaciekawionym spojrzeniem, szepcząc coś między sobą, lecz on ich nie zauważył. Poszły dalej, zalotnie drobiąc kroki. Antonio zaś wciąż gładził brodę.

Jak szybko minęły ostatnie tygodnie! Gdy nadeszła wieść o śmierci Gonzaleza. natychmiast zgłosił swą kandydaturę na zwolnione stanowisko profesora katedry filozofii. Jego rywalem był Pedro Arbues. człowiek wielkiej wiedzy. lecz kiepski mówca. Gdy mówił, czuł się skrępowany. a gdy był skrępowany. twarz pokrywały mu kropelki potu. Kiedy Antonio Pereira poznał nazwisko przeciwnika. z którym miał się zmierzyć, nie zmartwił się zbyt. jeśli istnieje coś takiego jak szczęście. na pewno będzie po jego stronie. Obu kandydatów czekał egzamin, o czym dano im znać w niedzielę. Antonio Pereira z początku nie mógł tej nocy

zasnąć, zdecydowany jednak unikać wszystkiego, co mogłoby zmniejszyć jego szanse na egzaminie, zdołał przekonać samego siebie, że potrzebuje dobrego, głębokiego snu, i rzeczywiście dobrze się wyspał. Wstał radosny i ruszył do domu rektora, gdzie wszyscy zainteresowani mieli się spotkać. Pereira i Arbues dowiedzieli się. czego będzie dotyczył egzamin. Każdy z nich miał wybrać fragment z Metafizyki Arystotelesa i omówić go na wykładzie. Antonio Pereira, który — jako młodszy — miał wystąpić pierwszy, wybrał O substancji i pozostałą część dnia spędził na przygotowywaniu wystąpienia. Lubił pracować w zupełnej ciszy, dlatego służąca Ana zabrała małego Andresa na cało-

dzienny spacer. Wieczorem zmordowane dziecko padło bez sił i natychmiast, bez jednego krzyku. Zasnęło. Przez moment Antonio miał wyrzuty sumienia, uznał jednak, że te trudne dni zapewnią chłopcu lepszą przyszłość. i uspokojony — na powrót zagrzebał się w książkach. Isabel cały czas mu się przyglądała: w jej wielkich, czarnych oczach widać było) nieskrywany smutek, lecz z jej ust nie padło nawet jedno słowo — ani wyrzutu. ani aprobaty.

We wtorek. 19 września. w gronie słuchaczy złożonym z profesorów i studentów odbył się jego wykład. Pedro Arkes od początku do końca z należytą uwagą wysłuchał jego wystąpienia, gdy zaś Antonio skończył i podziękowawszy obecnym, zszedł z katedry wstał i poddał je krytyce. Jednakowoż zarzuty rywala dotyczyły nie tyle treści, ile kolejności omawianych zagadnień. dlatego Antonio poczuł. że pierwszą próbę przeszedł pomyślnie. Następnego dnia odczyt wygłosił Arbues. On za temat obrał sobie rozdział o właściwościach. był lepiej przygotowany. niż Antonio mógł przypuszczać: gdyby nie liczyć kilku zająknięć. całkiem

44

płynnie przedstawił problem. Antonio Pereira, sporo ryzykując, oświadczył. że nie zamierza krytykować swego kolegi po fachu, co więcej, jest przekonany, że wykład został należycie przygotowany. W wielkiej sali zaległa cisza, po czym wszyscy się rozeszli.

Po dniu odpoczynku zeszli się znowu, tym razem — by podyskutować na temat Arystotelesowskiej Fizyki. Z tego dzieła Antonio Pereira wybrał rozdział O nieskończoności,

Arbues zaś Kosmos. Oba wystąpienia przebiegły bardzo dobrze, a mówcy sporo się natrudzili, by znaleźć nieścistości,

które mogliby wytknąć przeciwnikowi. Wkrótce miała zapadć ostateczna decyzja, kto obejmie katedrę filozofii.

Gdy Antonio Pereira dotarł do domu rektora, wszyscy już tam byli. Mimo spóźnienia spotkał się z niezwykle gościnnym przyjęciem, co umocniło go w przekonaniu, że to on właśnie wyjdzie zwycięsko z pojedynku. W tej chwili ten wspaniały dom, w którym wcześniej już przecież bywał a także obecni tam, spotykani nie raz i nie dwa, odświętnie ubrani ludzie. a nawet wykwinne dania. których nie

- odważył się skosztować, gdyż nie znał ich smaku. wydały mu się jakieś odmienione. Nie miał już żadnych wątpliwości: jemu należał się tryumf! Rozpierała go duma. Nagle poczuł właściwą zwycięzcom chęć ukoronowania niezwyklej rozkoszy płynącej z poczucia władzy gestem mającym świadczyć o ich skromności — zapragnął odszukać rywala

- i okazać mu serdeczność. Pedro Arbues, siedzący samotnie w kącie sali, wydawał się zdenerwowany. Wpatrywał się w trzymany w ręku kryształowy kielich, jakby to była czarodziejska szklana kula, z której próbował wyczytać przyszłość. Przybrał tak dziwną pozycję ciała i wyraz twarzy tak pełen bólu, że każdy, kto na niego patrzył czuł

się nieswojo. Wzrok Arbuesa wydawał się przebijać kielich i sięgać głębiej, pod leżący na posadzce perski dywan, w ziemię, obserwować splecione korzenie drzew, wijące się dżdżownicę szukające ujścia wody, gnijące zwłoki i stosy

kości. Choć Antonio Pereira nigdy nie uważał go za poważnego rywala, stan. w jakim znajdował się kolega po fachu, przeraził go. Nie wiedząc, co ma robić, sterczał osłupiały z wciąż malującym się na twarzy wyrazem tryumfu i czekał, aż ktoś wyrwie go z zakłętego kręgu Arbuesa. Na szczęście w tym momencie rektor zabrał głos.

W długim i nudnym przemówieniu, pochwaliwszy obu kandydatów, ogłosił ostateczną decyzję: Antoniowi Pereirze przypadła w udziale katedra filozofii, Pedrowi Arbuesowi zaś — katedra logiki. Rektor wyraził przekonanie, że była to najślusniejsza decyzja. obaj profesorowie zaś bez wątpienia bardzo się przysłużą uniwersytetowi. Następnie dodał, że dla studentów będą właściwymi przewodnikami nie tylko dzięki posiadanej wiedzy i przymiotom ducha, lecz także ze względu na czystość krwi. Podkreślił, że do tej ostatniej kwestii już na wielu uczelniach przykładą się szczególną wagę: na przykład w Colegio de San Bartolome w Salamance wprowadzono wymóg, by chrześcijanami czystej krwi byli nie tylko wykładowcy i studenci, lecz nawet kucharze i słuźący,

Wzrok Pereiry padł znowu na Arbuesa. pijącego z kryształowej kuli ciepłe czerwone wino, które spływało mu po brodzie: pił łapczywie. jak wycieńczony skazaniec przez wiele dni pozbawiony wody. Zaniepokojony Antonio omiótł wzrokiem pozostałych zgromadzonych, wydawało się jednak, że nikt nie zwracał uwagi na dziwny stan. w jakim znajduje się jego kolega. Poczul ulgę. Nic to. wino było dobre, jedzenie smaczne, życie piękne. Nie pozwoli, by coś

— lub ktoś — rzuciło cień na jego zwycięstwo.

Opuszczając dom rektora, nie pamiętał już o na wpół roześmianej, na wpół zasmuconej masce ani o lęku w oczach Pedra Arbuesa. Myślał tylko o tym, jak pogodzić kierowanie katedrą filozofii z praktyką lekarską. W rodzinie Pereirów, który dwa pokolenia wcześniej opuścił Portugalię i osiadł na hiszpańskiej ziemi, zawód medyka był świętym dziedzictwem przekazywanym synom przez ojców. Dla Antonia Pereiry ważne było nie to, co przejął po ojcu, lecz to, co pozostawi synowi.

— Mój syn — szepnął — mój syn będzie bardzo dobrym lekarzem.

Antonio przywołał obraz wielkich, czarnych, smutnych oczu, które chłopiec odziedziczył po matce. Skąd ten smutek, ten ból w spojrzeniu tak małego jeszcze dziecka? Jakby... jakby mały Andres był owocem katastrofy; katastrofy, która wydarzyła się dawno albo jeszcze się nie wydarzyła.

Nerwowo tarmosząc rudo-czarną brodę, zadał sobie w duchu pytanie, dlaczego w tym szczęśliwym dniu zadręcza się takimi przykrymi myślami. Powinien odpędzić te ściskające serce myśli, pójść szybko na ulicę Fortuny i obwieścić domownikom radosną nowinę. Powinien rozkoszować się zwycięstwem, na które przecież zasłużył. Bo choć na twarzy Isabel nigdy nie gościł uśmiech, oczy Andresa wypełniał niezwykle jak na jego wiek smutek. Miguel zaś wciąż nie mógł się usatkwować, on powinien im nieustrudzenie wyjaśniać, że życie nie składa się wyłącznie z dziś, że przeszłość nie istnieje, dopóki nie zostanie przypominana.

a rzeczywistość jest niczym innym, jak właśnie przyszło-

ścią. Jeśli mimo to nadal nie będą go rozumieć, powinien pogodzić się z tym, że zamiast wskrzeszać dawno wygasły ogień, lepiej spróbować podpalić nową, jeszcze niewyschniętą gałąź. Tak, musi wyrwać syna z ich rąk, ocalić przynajmniej jego życie.

Przyspieszył kroku.

— Mój syn będzie dobrym lekarzem. Tak jak ja, jak mój ojciec i dziadek. Nie pozwolę, by stał się podobny do Miguela! — mamrotał pod nosem.

Nagle się zatrzymał. Jego wzrok spoczął na kałuży wypełnionej brudną wodą. Poszukał w niej swojego odbicia.

— Mój syn będzie podobny do swego ojca.

BLIŹNI ĘTA

Kto usłyszał go [język Boga) w dzieciństwie,
ten będzie go słyszał przez całe swe życie,
słodki, mocny i straszny.

HERMAN NESSE. Peter Cemennnd

(Sum. E. Sionska)

Od razu wiedziała, że to będzie ciężki poród. Zanim zaczęła sprowadzać dziecko na ten świat, pogładziła czoło zwijającej się z bólu młodej kobiety. Rodząca była zlane potem. Spływające z czoła krople mieszały się ze łzami i wyznaczały wąziutkie ścieżki na jej ładnej twarzy. Rodziła po raz pierwszy. Bała się i o dziecko, i o siebie. Przy każdym

ruchu. każdym skurczu, jak z wolna tłące się kadzidło, wydzielala woń strachu. Zebrane w komnacie kobiety modliły się za nią, pamiętając o tych, które odbyły tę samą drogę, i tych, które nią podążą — o sobie i swoich córkach. Jedna z nich grała na flecie. Grała na flecie, bo Stara zawsze sobie tego życzyła.

Tak chciała Stara. Wierzyła, że głos fletu drażni uszy złych duchów. a rodzącemu się dziecku podszeptuje. że da się tu żyć. Ale żeby dziecko mogło łatwo przyjść na świat. jego matka. zdaniem Starej, powinna przede wszystkim pozbyć się lęku. W przeciwnym razie dziecko z całej siły uczepi się macicy i nie będzie chciało jej opuścić. Niektóre noworodki, które panicznie obawiały się tego, co czekało je

49

na zewnątrz, bo wiedziały, że ciemność jest bezpieczniejsza od jasności, wołały zasupłać sobie na szyi pępowinę i od razu wyzionąć ducha, niż się poddać. Dlatego rodząca powinna dać dziecku swą krew, swój charakter, część swej duszy, wszystko, ale nie strach. Dziecko powinno się urodzić wolne od niego i jeśli to tylko możliwe — żyć, nie wiedząc, co to strach. A jeśli to niemożliwe, to i tak łatwiej mu będzie radzić sobie z poznanymi później lękami niż z obawą przed przejściem z dobrze znanej ciemności w nieznaną jasność.

Stara zanurzyła wskazujący palec w niebieskim płynie, którym napełniła srebrną miseczkę. Następnie na czole kobiety, zwijającej się z bólu, nakreśliła trzy litery. Gdy napi-

sała trzecią, pochyliła się i ucałowała rodzącą. Ta, spalająca się powoli jak kadzidło i nieświadoma słów wypisanych na swym czole, otworzyła oczy i spojrzała na Starą. Na jej spieczonych wargach pojawił się ledwie zauważalny uśmiech. W niebieskozielonych oczach Starej dostrzegła samą siebie. W niebieskozielonym lustrze dostrzegła na wpół samolubną, na wpół niefrasobliwą świeżość, którą daje młodość — przyprawiające o rumieniec żądze w pełnych blasku oczach, rozwiewające się na wietrze długie, falujące czarne włosy, rumiane policzki. kropelki potu perlące się na czole podczas uprawiania miłości. zakrzepniętą krew na paznokciach wbitych w mrok nocy, siatkę niebieskich żyłek pokrywającą nabrzmiące, białe jak mleko piersi. mleko skapujące ze stwardniałych i szorstkich jak skorupki orzecha brodawek, malutkie znamię, które umiejscowiło się na brodzie, by ogłosić światu jej macierzyństwo, swój zapadły brzuch, pomarszczony jak leżące pod drzewem jabłko, różnokolorowe paciorki pobrzękującej przy każdym kroku bransolety na kostce, śpiące spokojnie, zawinięte w powijaki dziecko i patrzącego na nie z zachwytem mężczyznę. Pokochała wszystko, co ujrzała. I uspokoiła się. Łagodny głos fletu rozproszył dym kadzidła, przyszła pora powitać

dziecko.

Stara usiadła na naszykowanym dla niej zydłu. jedna z kobiet obeszła po kolei wszystkie okna, by wiązki słonecznego światła, którym udało się przeniknąć przez grube kotary, wypchnąć z powrotem. Okna zostały ścielnie zasłonięte. i słońce musiało dołączyć do niecierpliwie czekających na zewnątrz mężczyzn. W pomieszczeniu było

ciemno choć oko wykol i poza Starą nikt nic nie widział. Ta całkowita ciemność rozpościerała się jak most przed dzieckiem. które zaciekawione wyglądało z łona matki. Wiszący most poruszał się powoli, jak kołyska w takt melodii wygrwanej przez flet. Było to tak niezwykle, tak zadziwiające.

że kobietom trudno było zebrać myśli, co chwila myliły im się słowa modlitwy, którą należało odmówić czterdzieści raz, raz po raz zaczynały ją więc od początku. Podczas gdy one usiłowały dojść do czterdziestki. Stara zmówiła cicho jedną tylko modlitwę. Potem chuchnęła najpierw w prawą, potem w lewą stronę i przywołała anioły, które od lat nie schodziły z jej ramion i spisywały w jednostronicowych zeszytach dobre i złe uczynki. Nie zapomniała przy okazji pozdrowić dwóch duchów, jednego podobnego do nocy.

a drugiego do dnia.

Pierwszy miał na imię Noc, lecz lubił, gdy nazywano go Gon. Swą prawdziwą naturę skrywał pod gałgankiem ciasno obwiązanym poniżej pasa: z zarzuconym na ramiona szalem, umalowanymi henną oczami, spódnicami założonymi jedna na drugą i kwiatami wplecionymi we włosy udawał kobietę. Stanik wypychał czasem sianem, czasem owocami, innym znów razem — wiejącym nocą ciepłym wiatrem. Nie omieszkał wsunąć między piersi czerwonej róży. Był cały czarny, od stóp do głów. W jego wielkich oczach migotały gwiazdy; księżyc wciąż zmieniał kształt, i statki gubiły drogę. Jeśli tylko nie wpadł w szal zazdrości. był łagodny i przyjazny. nie skrzywdziłby nawet muchy i zawsze chętnie spieszył każdemu z pomocą. Drugi duch

nazywał się Neizd, lecz nie znał swego rodu, więc starał się jak najrzadziej używać tego imienia i przedstawiał się jako Dzień. Górną część ciała miał niebieską, dolną białą. Często podbierał Gonowi jego szmatki i ciasno obwiązywał nimi piersi. Przyprawiał sobie brodę ze słomy i wąsy z suchych chwastów, lepił z wosku członek. Cały dzień obserwował ze szczytu góry, co porabiają synowie Adama. gotów na najgorsze rzeczy, byle tylko się do nich upodobnić — tak jak oni dosiadać konia i wymachiwać szablą, upijać się i puszczać wiązanki soczystych przekleństw. Czasem dla żartu z głośnym plaśnięciem klepał po ramieniu pod różnymi wyruszających w drogę. zakładał im buty lewy na prawą, a prawy na lewą nogę albo. pociągnąwszy kogoś za włosy. błyskawicznie uciekał. Nie miał jednak złych zamiarów i nikogo nie ranił. Podobnie jak Lon. on także był więźniem. Obu przed wielu laty przyłapano na buszowaniu w pewnej spiżarni; musieli wówczas uznać nad sobą władzę człowieka. Na znak poddaństwa oba duchy miały szydła wbite w szyję. W gruncie rzeczy wystarczyłoby. żeby jeden wyjął szydło z własnej szyi. a drugi odzyskałby wolność — niewola jednego zależała od woli drugiego. Mogliby na przykład się umówić i wyjąć igły jednocześnie. ponieważ jednak nie żywili do siebie nawzajem ani krzty zaufania, takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Skoro ani Con, ani Dzień nie byli zainteresowani usunięciem szydła ze swoich szyj, od lat nie byli w stanie wyzwolić się z jasyru, w który zostali wzięci niegdyś w pewnej spiżarni.

Obaj lubili porody. Ilekroć wzywano Starą, porzucali swe zajęcia. by jej towarzyszyć. W takich wypadkach przerwali kłótnie i siedzieli zgodnie jak dwa gołąbki, czekając na pojawienie się na świecie małej ludzkiej istoty. Nie zapomnieli bowiem, co spotkało ich dawno temu, gdy byli jeszcze zbyt niedoświadczeni, by wiedzieć, czym grozi gniew Starej. i zajęli się kobietą wydającą na świat ósme dziecko. Rodząca była żoną wioskowego wariata. połowa mieszkańców wioski uważała, że to ona doprowadziła męża do szaleństwa, druga połowa zaś była zdania, że człowiek ten od urodzenia musiał być niespełna rozumu, bo nikt, kto miałby nieco oleju w głowie, nie wziąłby sobie takiej baby za żonę. W gruncie rzeczy jedyną winą tej kobiety była zbyt potężna budowa. Szerokością dorównywała trzem beczkom ustawionym jedna obok drugiej. a wzrostu była tak wysokiego, że podskoczywszy, mogła dosięgnąć owoców rosnących na czubku drzewa. Zupełnie się nie przejmowała, że jej obfite piersi ku osłupieniu przypadkowych widzów coraz to wyskakiwały z dekoltu: jeśli chodzi o przekleństwa. język miała niepohamowany. a pojęcie „zachować coś w tajemnicy” było jej zupełnie nieznaną: z tego względu wielu ludzi przyprawiała o gwałtowny rumieniec wstydu. Serce miała jednak dobre. Choć łatwo wpadała w gniew. z nikim we wsi nigdy się nie pokłóciła — nikt zresztą nie odważyłby się z nią zadzierać. W przeciwieństwie do innych nie bała się samotności, nie kryła się też w cudzym cieniu. Pracowała niestrudzenie, a robotę wykonywała za trzech. Gdy wracała z pola, niosła na plecach głupiego męża i siódmkę

dzieci: przed chatą zwała wszystkich jedno na drugie. jak worki z mąką. I mąż. i dzieci nie mieli nic przeciwko takiemu traktowaniu, wszyscy bowiem ubóstwiali tę olbrzymkę. I kiedy właśnie ta kobieta rodziła ósme dziecko, wiedzni skłonnością do psot Con i Dzień związali jej włosy z włosami dziewczyny, która siedziała obok i grała na flecie. Nikt niczego nie zauważył i dopiero po dłuższej chwili, gdy rodząca, która wiele godzin wiła się w bólach i miała już wszystkiego dość, nagle usiadła i pochyliła się do przodu, sprawa się wydała. Młoda flecistka była nader delikatnej postury: sprawiała wrażenie, że zaraz zwiędnie jak kwiat, a przez jej skórę można było policzyć wszystkie kości. Nic dziwnego. że nim zdążyła się zorientować, co się dzieje. wystrzeliła w powietrze, a potem spadła na postanie rodzącej. W tym samym momencie, gdy dziewczyna rąbnęła w łóżko, rozbijając na kawałki trzymany w ręku flet. z łona wyczerpanej porodem kobiety wyleciało dziecko i wpadło w ramiona Starej. I choć noworodek przyszedł na świat całkiem zdrowy, jego matka wyszła z tego zdarzenia jedynie z paroma zadrapaniami. flecistce zaś, która przez cały dzień nie mogła dojść do siebie, kupiono nowy instrument. Stara nie wybaczyła duchom tego psikusa. Przez kilka następnych dni Gon i Dzień starali się wyrwać z zielononiebieskich oczu Starej, które niczego nie zdradzały, jaka spotka ich kara. A ponieważ nie wiedzieli, co ich czeka, wór przypuszczeń się rozsuptał na całą szerokość; wdychali unoszący się zeń kurz i nie mogli usiedzieć w miejscu. Stara nie odzywała się do nich słowem. oni zaś wili się w mękach niepewności. przewidując kary. jedne

bardziej wymyślne od drugich, i raz po raz głośno żałując tego, co zrobili. Gdy w końcu pewnego dnia Stara, prowadząc ich za sobą, wyruszyła w stronę lasu w pobliżu wsi. zrozumieli, że w końcu dostaną za swoje. i odetchnęli z ulgą. Perspektywa, że w każdej chwili może się zdarzyć wszystko, była bowiem o wiele straszniejsza niż samo przeżycie czegoś strasznego.

Ponieważ od wielu dni stale wymyślali dla siebie najcięższe, najsroższe kary, ta, którą wymierzyła Stara, wydała im się całkiem lekka. Nie ociągając się, usiedli w dziupli w stuletnim drzewie rosnącym pośrodku lasu i chwycili w dłonie wręczone im lustra. Dalej mogło być tylko lepiej. bo konkretna udręka nie mogła być przecież trudniejsza do zniesienia niż oczekiwanie nie wiadomo na co. Przez trzy dni i trzy noce, zaciskając zęby. wpatrywali się w zwierciadła pokazujące każdemu nie jego własne odbicie, lecz obraz tego drugiego. A ponieważ w dziupli było ciasno, za każdym razem, gdy odwracali oczy od lustrzanej tafli, ich wzrok i tak padał na twarz towarzysza. Gon i Dzień szybko ;! zrozumieli, jak bardzo się mylili, uznając tę karę za lekką.

Już pierwszego dnia pobledli stracili humor. Widok twarzy, którą bez przerwy mieli przed oczami. nieważne. czy wpatrywali się w lustro, czy też odwracali od niego wzrok. był tak straszny, że w porównaniu z tą udręką wszystkie wymyślane uprzednio okrutne męki zaczęły im się jawić jako bardziej miłosierne. Gdy upłynął wyznaczony czas. Stara wypuściła ich z dziupli. Gon i Dzień nigdy więcej nawet nie wspomnieli o tym zdarzeniu, próbując wymazać

je z pamięci. Ale mimo to nie zapomnieli o tym. co przeżyli, bo odtąd podczas porodów siedzieli cicho jak mysz pod miotłą.

Bali się Starej. Słuchali jej od dnia, w którym dali się złapać w spiżarni.

Teraz też siedzieli cicho, czekając, aż mała ludzka istota wyjdzie z łona matki. Jeden z duchów przysiadł na lewej, drugi na prawej nodze rodzącej. Wokół panowała ciemność, więc nikt oprócz Starej nie mógł ich zobaczyć. Nagle obaj w tym samym momencie pochylili się, by zajrzeć do środka. Zderzywszy się głowami, skrzywili się ze złością i wymienili wrogie spojrzenia. Starej nie interesowało jednak, co robią duchy. Była zajęta wyjaśnianiem swoim zręcznym dłoniom, które przez tyle lat tak wielu dzieciom pomogły przyjść na świat, że dziś sporo się natrudzą, bo poród zapowiadał się ciężki. Dziecko było odwrotnie ułożone.

Stara wzięła głęboki wdech i kazała obecnym się uciszyć. Kobiety, którym wciąż nie udawało się czterdziestokrotnie powtórzyć modlitwy, zasłoniły dłońmi usta. Gon i Dzień odwrócili głowy, by na siebie nie patrzeć. melodia fletu urwała się w pół dźwięku. Skoro dziecko uparcie nie chciało się odwrócić. Stara sama musiała się tym zająć.

Nie tracąc czasu, wsunęła ręce w łono rodzącej i obróciła je. Stało się to tak szybko, że dziecko nie zdążyło się zorientować, co się dzieje. i stawić oporu. Gdy Stara złapała i wyciągnęła umazane krwią ciało. podekscytowani Gon i Dzień nie potrafili powstrzymać okrzyku. Kobiety uznały ich pisk za płacz dziecka, ono zaś — ponieważ usły-

szalo czyjś krzyk, zanim zdążyło wydać własny — osłupiało. Stara, z trudem powstrzymując śmiech, posłała duchom karcące spojrzenie.

Jedna z kobiet, które nie zdołały pomodlić się czterdzieści razy, umyła noworodka i owinęła go w powijaki,

56

czemu z daleka przyglądały się Con i Dzień, wiedząc, że nie wolno im dotknąć maleństwa. Już Stara miała wstać z zydlu, a młoda dziewczyna zagrać na flecie radosną melodię.

gdy na odgłos dobywający się z brzucha matki wszyscy znieruchomieli. Z otwartego łona wysuwała się jeszcze jedna zakrwawiona główka.

Gdy Stara złapała za nóżki drugiego noworodka, obecnym zaparło dech w piersiach. Con i Dzień gorączkowo przysunęły się bliżej, mając nadzieję skorzystać ze sposobności i dotknąć dziecka. Ale Stara szybko podała je jednej z kobiet, duchy zaś, którym zbierało się na płacz, pozostawiając samym sobie. W pokoju zapanowała dziwna cisza: z nadarzającej się okazji natychmiast skorzystało drugie dziecko i przerwało ją płaczem. Pierwsze natomiast, które okrzyk duchów zbił z tropu i nie zdążyło wydać swojego wrzasku, dopiero teraz zaczęło przeraźliwie płakać. Spóźniło się, niestety. Choć jako pierwsze przyszło na świat, jako drugie go powitało.

Stara obmyła dłonie w ciepłej wodzie. Potem zanurzyła palec wskazujący w białym płynie w srebrnej miseczce.

Zamazala napis na czole położnicy, stawiając w odwrotnej kolejności litery, które nakreśliła kilka godzin wcześniej.

Gdy napis znikł. ucałowała czoło wyczerpanej. ale szczęśliwej młodej kobiety. która — nim zapadła w sen — resztką sił chwyciła kościste dłonie Starej.

Drzwi się otworzyły i Stara, w dziennym świetle ślepa jak nietoperz. z małą dziewczynką na ręku ruszyła do domu, prowadząc za sobą oba duchy. Mieszkańcy wioski Plasencia del Monte pozdrawiali ją, z szacunkiem ustępując jej z drogi. Stara jak Zawsze rozpoznawała wszystkich. Czasami się zatrzymywała i pytała o zdrowie. Zasłona. za

dnia przesłaniająca jej oczy, nie przeszkadzała jej widzieć, jak szybko rosną dzieci, którym pomogła przyjść na świat, jak sypie się zarost chłopcom, których w tajemnicy obrzeżała, jak w oczach dziewcząt. które uczyła czytania i pisanie, rozbłyskują psotne ogniki. jak wszyscy we wsi, od niemowląt po starców, noszą muski*, które przygotowała, i jak w ich pamięć oraz serca wryły się recytowane przez nią wersety Koranu, którego nigdy nie widzieli. Kochała ich. Lecz jakaś część jej serca biła w miejscu bardzo odległym od wioski Plasencia del Monte. Myślała o Niej. Myślała o Niej i tęskniła.

Gdy spotkały się po raz pierwszy. Isabel była jeszcze małą dziewczynką. Małą i chorą. Rozpaloną wysoką gorączką przyniesiono ją do Starej, która od razu uznała. że trzymający dziewczynkę w ramionach i błagający o jej uzdrowienie wysoki. dobrze zbudowany mężczyzna to ~verso. I że przywiózł jedyną córkę tu. do odległej wioski. z ostatnią nadzieją na ratunek. Chore dziecko położono na łóżku Starej.

— Teraz idź — rozkazała mężczyźnie o oczach zaczerwienionych od płaczu. — Idź i wróć tu za trzydzieści dni, by odzyskać jej serce.

Nocami czuwała przy Isabel: prowadziła długie rozmowy ze śmiercią krążącą po młodziutkim ciele. Śmierć była Nocami czuwała przy Isabel: prowadziła długie rozmowy ze śmiercią krążącą po młodziutkim ciele. Śmierć była Muska — modlitwy z Koranu wypisane na różnego rodzaju przedmiotach [np. na karteczkach zaszytych w ubraniu lub w specjalnym woreczku noszonym na szyi. Zadaniem ich było odstraszać złe duchy (przyp. tłum),

samotna i rozgoryczona. Skarżyła się, że nikt jej nie kocha. Nie miała żadnych pretensji do Isabel, po prostu chciała uwolnić się od samotności, to wszystko. Ludzie starali się nie dopuszczać jej do siebie, przedstawiali ją jako straszną i brzydką, a ona, choć udawała obojętność, coraz gorzej to znosiła. Niestety, jej istnienie wiązało się z nieistnieniem innych. Aby istnieć, musiała unicestwiać. Czasem przychodziło jej na myśl, że jedyny sposób na wyrwanie się z tego zaklętego kręgu to samej odejść, ale nie starczało jej odwagi. Jakkolwiek by na to patrzeć, śmierć kochała życie.

Minęło jeszcze wiele dni i nocy, aż wreszcie pewnego ranka wyfrunęła przez otwarte okno. Po jej wcześniejszym rozgoryczeniu nie pozostało nawet śladu. Lecz Stara wiedziała, że wkrótce śmierć znów poczuje się samotna i znów będzie szukać towarzystwa, patrzyła więc za nią ze smutkiem.

Tego ranka, gdy śmierć wyfrunęła przez okno, dziew-

czynka nagle otworzyła oczy i spojrzawszy na Starą, powiedziała, skrupulatnie dzieląc słowo na poszczególne litery:

— S-t-a-r-a!

— A ty skąd wiesz, jak mnie wołają?

Wyczerpana wielodniową gorączką dziewczynka odpowiedziała pytaniem na pytanie:

— Dlaczego wołają cię Stara? Byłaś stara już wtedy.

kiedy byłaś mała?

ULICA

Z moim bratem było zupełnie inaczej

Dla niego wszystko było powodem,

by wszcząć gwałtowną wojnę.

AMIN MAALOUF, Les échelles du Levant

— Miguel... Miguel Pereira!

Mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach obejrzał

się za siebie i uśmiechnął na widok osoby która go wołała.

W jego stronę. posapując. toczył się Rodrigo. Przyjaciel

Miguela należał do niewielkiego grona osób, których wy-

sokość i szerokość są sobie równe. Mimo tuszy biegł tak

szybko, że dopiero po dłuższej chwili doszedł do siebie.

Jego pызate policzki były czerwone, na czole perlił się pot.

Miguel z rozbawieniem przyglądał się grubasowi. W końcu

między łąpczywymi haustami powietrza Rodrigo zdołał

wysapać kilka słów.

— Dokąd idziesz? Dziś mają ogłosić. wyniki...

— Wiem — odpowiedział Miguel. — Ale nie mam co

sprawdzać. Nie zdałem ani jednego egzaminu.

Rodrigo się skrzywił, jakby usłyszał ciężką obelgę. Wi-

dząc to. Miguel poczuł, że powinien pocieszyć przyjaciela.

— Ależ Rodrigo, sam wiesz, że ze mnie żaden medyk ani nawet konował nie będzie. Jestem czarną owcą w zac-
60

nej rodzinie Pereirów. Ale mają przecież Antonia. czy to nie wystarczy? Ktoś musi kontynuować świętą rodzinną tradycję i mój kochany brat się temu poświęcił. Cały nasz ród jest mu za to niepomrotnie wdzięczny.

Rodrigo Mendez Silva że spuszczoną głową słuchał słów przyjaciela. Sam zdał pomyślnie wszystkie egzaminy, teraz jednak jakby wstydził się swego sukcesu. Miguel od razu dostrzegł jego zmieszanie. Szybko znalazł pretekst, by przerwać tę niezręczną rozmowę, i obiecawszy, że następnego dnia się spotkają. pożegnał kolegę. Mógł teraz bez przeszkód snuć się znowu bez celu po ulicach, przyglądać przechodniom. przystawać to tu, to tam. Lubił się włóczyć po mieście. Nie pojmował, jak niektórzy ludzie są w stanie spędzać życie w domu, zamknięci w czterech ścianach.

— Cóż za dziwne zrzędzenie losu! Dziś znalazły zakończenie dwie ważne sprawy. Ja oblałem egzaminy, Antonio zaś dostał katedrę filozofii. Dwie szczęśliwe nowiny naraz! Koniecznie trzeba to uczcić! — zaśmiał się pod nosem.

Opuszczając tawernę, ledwo trzymał się na nogach.

Ilekcję zaczynał pić, ciąg dalszy był zawsze taki sam: po pierwszych kieliszkach nabierał humoru, tryskał radością, ale nie mijała chwila. a pojawiała się melancholia, której nie umiał powstrzymać. Nadchodziła, kołyszac się kokieteryjnie. przysiadła Miguelowi na ramieniu i nie ruszała

się z miejsca przez cały wieczór. Gdy go dopadała. Miguel nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o niej. Na początku był to rodzaj gry. Niewinnej zabawy. Może chodziło o nagromadzony latami gniew, małą, malutką zemstę. Ale nim się spostrzegł. sprawy przyjęły nieoczekiwany obrót. Zakochał się. choć w jego rachubach nie było miejsca na miłość.

61

Od lat zawsze, gdy się upijał. trzeci kielich wznosił na jej cześć. Trzeci kielich był dla niej, wychylał go za jej zdrowie. Przy pierwszym łyku smak czerwonego wina wydawał mu się smakiem jej ust, kielich. w którym szybko ukazywało się dno, pachniał jej włosami. Po trzecim kielichu mógł myśleć już tylko o niej, tylko za nią tęsknić.

Dziś tęsknota wydawała się nie do wytrzymania. powinien znaleźć sposób. by się z nią zobaczyć. Ale jak miał się jej pokazać w tym stanie, pijany i nieszczęśliwy? Miałby spojrzeć jej prosto w oczy i powiedzieć. że po raz kolejny poniósł klęskę? Po to. by znowu cierpieć. uświadomiwszy sobie, że po namiętności. która niegdyś płonęła w tych oczach, nie ma już śladu? Nie chciał tego zrozumieć. Bał się zrozumieć. Nie mógł pojąć. jak kobieta, niegdyś ciałem i duszą oddająca się namiętności, ciałem i duszą oddająca się miłości, ciałem i duszą oddająca się jemu. mogła być teraz taka zimna i niedostępna. Jak to się stało, że ktoś kochany stał się nagle kimś obcym? Woluit, blisko, tuż-tuż było miasto, którego ulice po wielokroć przemierzał. którego

tajne przejścia, boczne uliczki i zaułki znał jak własną kieszeń. Pragnął spędzić w nim całe życie. należeć do niego. Nie mógł pojąć, dlaczego został wyrzucony poza jego mury, za jakie winy ukarano go zakazem powrotu. Niekiedy gdy brak nadziei stawał się nie do wytrzymania. uparcie bił głową w zamknięte bramy. Nie zdołał ich sforsować. Innym znów razem. depcząc resztki dumy czołgał się do miasta na kolanach. Nie udało mu się ani odrobinę uchylić jego bram. W żaden sposób nie umiał przekonać tej kobiety, by wyjęła złoty klucz, który trzymała pomiędzy białymi jak mleko piersiami.

62

Czasami człowiek potrzebuje mapy. Nie miejsc, w których nie był lub w których właśnie często bywał, lecz miejsc. do których nigdy z powrotem by nie trafił. Mapy, dzięki której przeszłość przestanie być snem, która prze-

- kona go, że tamto miejsce istnieje i będzie istnieć nadal. która przywróci przyszłości nadzieję. Niekiedy człowiek potrzebuje sporządzić mapę ukochanej osoby. Mapę, która pozwoli zapomnieć o bólu bycia porzuconym albo pomnoży ten ból.

Z mapą w ręku szedł chwiejnym krokiem ulicami

Madrytu. Dawno już zrezygnował z zamiaru powrotu na ulicę Fortuny. Teraz miał ochotę na seks. Chciał zrobić tę jedną jedyną rzecz w życiu, którą robił lepiej od Antonia: uwieść jakąś kobietę. Myśl o bracie przywołała na jego usta arogancki uśmiech. Antonio i kobiety... Przyciskając mapę do piersi, zaśmiał się z przymusem. Biedny Antonio! Gdy spotykał piękną kobietę i widział, nie daj Boże. że ona się

nim interesuje, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. z trudem wykrztuszał ledwie kilka słów, aż w końcu milkł zrezygowany. Tymczasem Miguel w takiej sytuacji śmiało roztaczał swój wdzięk i nie potrzebował wiele czasu, by wzbudzić zachwyty w przedstawicielce płci przeciwnej. Szczególnie jego bujne, kręcone, kruczoczarne włosy rozpałały w kobietach ogień.

Bezwiednie uniósł rękę i pogładził falującą czuprynę.

Przypomniała mu się Lukrecja, zwana La Loca*, główna amantka wędrownego trupy teatralnej, która swą sławę zawdzięczała, nie ma co ukrywać, nie tyle talentom scenicznym,

ile miłosnym podbojom. Była z niej beztroska, figlar-na, ognista kobieta. Trudno byłoby nazwać ją piękną, ale doskonale znała wszelkie miłosne sztuczki, i mogła uwieść każdego mężczyznę, który wpadł jej w oko. Na młodzieńca o czarnych lokach z miejsca zagięła parol. Poznali się na początku lata i szybko się do siebie zbliżyli. Spotykali się często; rozumieli się bez słów, jakby czytali w swoich myślach. Gdy patrzyli na siebie, jedno w drugim widziało własne odbicie. Miguel pokochał tę trzpiotkę. Przy niej czuł się wolny i szczęśliwy. Niestety, Lukrecja wyruszyła w drogę ze swą trupą. Mieli odwiedzić wiele miast i Miguel był pewien, że w każdym z nich Lukrecja złamie z trzaskiem jeszcze niejedno serce. Uśmiechnął się. Gdy wróci, przeczyta mu na pewno kilka stron ze swego grubego rejestru miłosnych podbojów. wybuchając przy tym co chwila szalonym śmiechem.

miał ochotę przespać się z kobietą. Nigdy dotąd nie

robił tego za pieniądze. Co prawda swego czasu zabawiał się z pewną hrabiną i nie widział niczego niestosownego w przyjmowaniu od niej kosztownych upominków, ale to było dawno. Wyliczał w myślach drzwi, do których mógłby zapukać, gdy nagle twarz rozjaśnił mu lubieżny uśmiech.

— Beatriz! — powiedział. smakując każdą głoskę. —

Ależ ze mnie idiota! Oczywiście, że Beatriz!

Zapewne widok Miguela ją zaskoczy. Dawno już wy-czuł, że ta rudowłosa piękność aż się do niego pali. Czemuż więc nie pójść i nie ugasić trawiącego ją ognia? Wprawdzie nie należała do kobiet, z którymi Miguel długo by wytrzymał, ale co tam! Miguel Pereira był, jaki był. Długie zastanawianie się, rozważanie za i przeciw nie leżało w jego naturze.

64

Zapadał zmrok. Jako że nie miał powodów, by po drodze nie wstąpić jeszcze w kilka miejsc na jednego, nogi naprawdę mu się teraz plątały. Szedł, zataczając się, kiedy nagle usłyszał krzyk: Agua va!*, i gdyby nie zrozumiał

\
przesłania i nie odsunął się w porę, wylewana przez okno zawartość nocnika trafiłaby prosto na jego głowę. Na ulicach Madrytu zdarzało się to nieraz. Ofiarami takich niesmacznych wypadków bywali najczęściej niedoświadczeni kochankowie, wyśpiewujący pod balkonami serenady. Gdy lamenty nieszczęśników wzbiły się pod niebiosa. wprowadzono nowe prawo, które zabraniało opróżniania nocników przed godziną dziesiątą wieczorem. Nie wolno

też było robić tego przez okno czy z balkonu, lecz należało wynieść naczynie przed drzwi. Sprawca zajścia, przez którego Miguel o mały włos nie ucierpiał. najwyraźniej albo nie słyszał o nowym zarządzeniu, albo miał w nosie porządek publiczny. Miguel wymamrotał coś z dezaprobatą. Na szczęście wyszedł z tego cało. Mapa też nie została zamoczona. Pogroził pięścią osobnikowi, który wciąż stał na balkonie. i wypuścił w jego stronę wiązkę soczystych przekleństw. Ten nie pozostał mu dłużny. po czym, ściskając nocnik w objęciach. wszedł z powrotem do środka. Miguel Pereira przyjrzał się uważnie miejscu zdarzenia. Stwierdził że jest to niewielki, zrujnowany zajazd. zaś człowiek, który tak śmiało wylewał na ulicę zawartość nocnika, był zapewne jego właścicielem. Szybko zapisał w pamięci to paskudne miejsce, by móc w razie czego przypomnieć je sobie w przyszłości.

*Aguava — woda idzie.

61

Na widok Miguela Beatriz oniemiała ze zdumienia. Ten zaś był wyraźnie kontent z wrażenia, jakie na niej wywarł. Wszystko szło zgodnie z planem. Młoda, rudowłosa kobieta nie opierała się. Miguel z podziwem przyglądał się jej ciału o idealnych kształtach. Beatriz była ładna, jej twarz i ciało miały doskonałe proporcje, brakowało im jednak czegoś magicznego, co czyniłoby je wyjątkowymi. Dlatego była tylko ładna. Patrzenie na nią sprawiało przyjemność, lecz rozłąka z nią nie budziła w sercu tęsknoty.

Nad ranem Miguel Pereira opuścił dom Beatriz. Czuł się nieswojo. Poprzedniego wieczoru, gdy zmierzał do niej w radosnych podskokach, nawet mu przez myśl nie przeszło, że może być jej pierwszym mężczyzną. Kiedy się zorientował, było już za późno. Nie lubił dziewic. Nie chciał być przy niej, gdy się obudzi, dlatego cichaczem wymknął się o pierwszym brzasku.

Czuł w ustach paskudny posmak. Wino, którym Beatriz poczęstowała go w nocy, paliło mu żołądek. Przez jakiś czas beczynn timer wędrował się po ulicach; napotkał jedynie żebraka, który wcześniej zaczął pracę. Miguel lubił wdawać się w pogawędki z ludźmi różnych stanów i różnych profesji.

Lubił słyszeć z ich ust nieznane słowa, patrzeć na nieznane twarze. Podszedł i bez wahania przysiadł obok żebraka.

Wyciągnął nogi i odwrócił się, by przywitać nowego kolegę.

To, co zobaczył, sprawiło, że zamarł w bezruchu. Twarz żebraka pokrywały straszliwe rany. Jedna z nich znajdowała się dokładnie na nosie. Spod odsłoniętych różowych tkanek wyglądała kość. Błyskawicznie otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Miguel zaczął wpatrywać się w nieszczęśnika, jakby podziwiał jego urodę. Żebrak zapewne czuł się nieswojo pod przeszywającymi spojrzeniami młodzieńca,

należał jednak do ludzi, którzy nie zaprzatają sobie głowy byle czym. Nie zareagował więc. Miguel zaś przez moment poczuł chęć zostania lekarzem. Gdyby tak wyleczył tego człowieka, opatrzył mu rany... Szybko odgonił tę myśl. Po pierwsze, wyzdrowienie oznaczałoby dla żebraka utratę pracy, dzięki której mógł napełnić brzuch. Po drugie, po

co miałby zostać dobrym lekarzem? By napełnić sobie kiesę. piąć się coraz wyżej, zdobywać sławę? By tkwić po szyję w bagnie grzechu. móc swobodnie oddychać? Bo zazdrościł Antoniowi? Nie, zawód medyka nie był dla niego. Lepiej zostawić żebraka w spokoju. Dyskutując w duchu sam ze sobą, wstał i szybko ruszył dalej. Żebrak przez chwilę spoglądał w ślad za tym dziwnym młodym człowiekiem. po czym, odsłaniając białe zęby. wybuchnął głośnym śmiechem, jakby stał się świadkiem jakiegoś komicznego zdarzenia.

Mijając klasztor Om Azul*. Miguel dostrzegł ludzi czekających na darmową zupę. Co dzień o tej porze brama klasztoru się otwierała i dwóch mnichów wynosiło olbrzymi kocioł. Za nimi szedł trzeci, trzymając przed sobą wielki kosz chleba. Tę poranną ceremonię z zadowoleniem obserwowali wszyscy ci, którzy z zamkniętymi oczami umieli nakreślić mapę nędzy w tym mieście — trędowaci. których ciało pożerała straszna choroba, żebracy obnażający okaleczone ciała, by wzbudzać litość, bezrobotni szukający zajęcia, zubożali szlachcice, którzy co do szeląga roztrwonili rodowe majątki, przybyli do miasta młodzi wieśniacy. wciąż pachnący rolą, którą porzucili, zdegradowani żołnierze

* om Atut — Błękitne Złoto

67

rze, nieszczęśnicy, którzy stracili pamięć, i ubodzy studenci, marzący, by znaleźć się pod opiekuńczymi skrzydłami jakiejś bogatej wdowy. Nie czekając, aż zupa wystygnie, szybko zanurzali łyżki w stojących przed nimi miskach.

Miguel Pereira był w tym miejscu nieraz. dlatego znał dobrze nie tylko smak wydawanej tu zupy. ale też pojawiający się później ból brzucha.

Zastanawiając się, gdzie mógłby coś zjeść, przypomniał sobie, że miał się dziś spotkać z Rodrigo. Przyjaciół był mu winien solidne śniadanie. Nim przyspieszył kroku, zatrzymał się na chwilę i popatrzył na swe odbicie w brudnej kałuży, która przywykła już do pełnienia funkcji lustra.

Młody człowiek spoglądający owego ranka z mętnej tafli na Miguela Pereirę był wyraźnie niespokojny i poirytowany. Deszcz, który jeszcze tego samego dnia lunął jak z cebra, pochłonął kałużę i poniósł ją do najbliższego morza.

WZNIESIENIE

Wcześnie przeżyte, później zaś zapomniane wrażenia (...) nazywamy traumami.

ZYGMUND FREUD, Człowiek imieniem Mojżesz a religia monoteistyczna (tłum. A Ochocki R Reszko)

Oparła się plecami o mur i próbowała złapać oddech. Podejście było strome, zdawało się nie mieć końca. Przypominało wznoszące się aż do nieba kręte, wąskie schody o połamanych i wykrzywionych stopniach. Ze szpar wyglądały owady i jaszczurki, spośród chwastów i wyschniętych ekskrementów wysuwały swoje chropawe języki i próbowały podrapać jej nogi. Schody podobne były do śmierci: z tego punktu nie dało się dostrzec, co jest dalej.

Mogła zawrócić. Mogła zrezygnować. Mogła pójść za głosem obolałych kolan i rzucić się w dół. Potoczyć się, podskakując, jak spadłe z gałęzi jabłko albo oderwany

od ziemi kamyk; beztrąsko, niefrasobliwie, bez przedtem
i bez potem zejść ze wzgórza. Być może pragnęłaby jak
szalona, by na jej drodze pojawił się jakiś wybój i ją za-
trzymał, ale jednocześnie zaznałaby oszałamiającej radości
z pokonywania przeszkód. Wiatr smagałby ją po twarzy.
aż w końcu z radosnym uśmiechem wylądowałaby u stóp
wzgórza. nie zdążywszy nawet pożałować. że wszystko. co

piękne, trwa tak krótko. Mogła umrzeć, gdyby chciała, albo
żyć dalej.

W tej chwili myślała jednak wyłącznie o kazaniu,
którego wysłuchała dzień wcześniej. Wciąż zastanawiała
się nad tym, co powiedział Alonso Perez de Herrera swym
niesamowitym głosem: zastanawiała się nad bohaterką jego
opowieści, grzeszną kobietą.

„Kobieta owa wywodziła się ze szlacheckiej, religijnej
rodziny. Ona również była głęboko wierząca, a jej zachowa-
nie pod względem moralnym nie rzucało cienia na dobre
imię rodziny. Lecz szatan wykorzystał chwilę jej słabości
i pochwycił ją w swe szpony. Zawrócił z dobrej drogi jej
umysł. podbił jej serce, przeniknął do jej krwi. Kazał tej
przezroczystej kobiecie popełnić najstraszliwszy grzech. Bie-
daczka nikomu nie mogła go wyznać. Nawet gdy poszła do
spowiedzi. milczała. Nie była w stanie dobyć głosu. Każ-
dej nocy, zalewając się łzami, modliła się o oczyszczenie
z grzechu. Każdego dnia robiła rachunek sumienia. W koń-
cu udała się do klasztoru. wyrzekając się wszelkich dóbr,
jakie posiadała. Pozostawiła za sobą życie w bogactwie
i dostatku. Oddała się Jezusowi. Pod koniec życia została

przeoryszą. Ale nawet wtedy nie wyznała nikomu grzechu. który popełniła przed laty. Nawet wówczas. gdy wydawała ostatnie tchnienie. zachowała go dla siebie. Dlatego jej dusza nie zaznała spokoju. Duch kobiety błąka się teraz nocami po korytarzach klasztoru. dręczony wyrzutami sumienia".

Jej pierś unosiła się w górę i w dół jak kowalski miech. Gdy wdrapywała się mozolnie na nie kończące się wzgórze, w uszach stale dźwięczał jej głos Alonsa Perresa de Herrery. Tak, przybyła tu, by nie być podobna do kobiety, o której wczoraj od niego usłyszała. By nie nosić przez całe życie. tak jak tamta, ciężaru straszliwego grzechu.

„Prawda wyszła na jaw. Poznały ją wszystkie mniszki. młode i stare. Kiedy bowiem kobieta zmarła, nie wyznawszy swego występku, nie opowiedziawszy o swym wstydzie. odezwał się jej grzech. Grzech przemówił w jej imieniu!" Elena Rodriguez z niepokojem pokiwała głową. Od- kąd się dowiedziała, że grzech może przemówić. jakby coś w niej pękło. Przez szczelinę do jej duszy wdzierał się chłód, czuła zimno.

"Gdy grzesznik milczy, przemawia jego grzech!"

Dlatego tu przyszła. Dlatego musiała wdrapać się na to strome wzniesienie. Wiedzieć o czyimś grzechu i o nim nie powiedzieć. Czy mogło to oznaczać coś innego niż współ- uczestnictwo w występku?

„Wszyscy zapomną. ale przekleństwo nie zapomina.

Przekleństwo nie dochowa tajemnicy! Pewnego dnia z pewnością przemówi!"

Któż lepiej niż szatan może wiedzieć, czym jest prze-

kleństwo? Przez szatana przeklęta jest przeszłość i przeklęta jest przyszłość. Czyż to nie mówi o jego perfidii więcej niż cokolwiek innego? I czy zaraźliwość przekleństwa nie jest jedyną na tym świecie pociechą szatana, który czołgając się i szamocząc, próbuje się wyzwolić z upokarzającego upadku. uwolnić od samotności?

Szatan stale tylko czeka na okazję. by zarażać przekleństwem. szuka ran, które mógłby otworzyć, wody, którą mógłby zmącić. Może nadejść zewsząd, wszędzie się pojawić. Tak jak smuga żółtego, jaskrawożółtego światła potrafi przeniknąć przez najmniejszy otwór, najwęższą szparę. ro-

zedrzeć pazurami dziurkę wygryzioną przez mole w cennym, wielobarwnym kobiercu; jak monstrualny ślimak, pozostawiający za sobą śliski, lepki ślad, rzucać wyzwania pancerzom odpornym na strzały, murów więzień i potężnym fortyfikacjom. Szukając naczynia. by przelać doń jad. ciała, by zarazić je przekleństwem. może niepokoić nawet duszę niewinnego dziecka.

— Diego! — jęknęła.

Dlaczego pozwoliła, by zabrał jej syna? Dlaczego nie przeszkodziła mu, gdy wziął za rączkę jej malutkiego synka — który od dnia narodzin zawsze był z nią i nie znał innego zapachu niż zapach matki — i poprowadził na jarmark to niewinne maleństwo? Sądziła, że może mu zaufać, bo znała smak jego potu. czuła jego zapach. smakowała jego śliny, leżała pod nim? A nawet jeśli mu ufała, jeśli w obliczu Boga została mu oddana, czyż mały Diego nie był jej i tylko jej dzieckiem? Czyż nie z jej krwi był ten. który

tak pięknie rósł i się rozwijał? Czyż małe, białe, pulchne rączki dziecka nie są najoczywistszym dowodem, że należy ono bardziej do matki niż do ojca? Jej synem był Diego. miał nim pozostać do czasu, aż na jego czystej i gładkiej jak marmur twarzy pojawi się zarost. a drobne dziecięce rączki zamienią się w mocne, owłosione, szorstkie dłonie mężczyzny. Dlaczego, wiedząc o tym, pozwoliła by zabrał jej synka?

jak; śliczny, jaki wesoły był tamtego dnia mały Diego.

Miał na sobie granatowy aksamitny kubraczek. w oczach zaś niewinne ogniki. na widok których czułość przepętniała jej serce. Jego wargi miały rozkoszny czerwony kolor. jakby chłopczyk wypił dzban wina. Czerwone na białym. Krew na bieli. Pomachała mu na pożegnanie.

71

Ojciec i syn wyszli z domu razem. Wieczorem ojciec wrócił sam. Spojrzała na niego i pociemniało jej w oczach. Gdy doszła do siebie, dowiedziała się, że Diego został już pochowany. Nie zobaczyła nawet jego ciała.

Od tego dnia żyli pod jednym dachem, nie widując się, nie spotykając. Mężczyzna już wcześniej nie rozstawał się z bukłakiem trunku, ale po śmierci Diega zrobił się z niego prawdziwy morderca. Nie miał odwagi spojrzeć żonie w twarz. Nie pojmował, jak piękna, promienna twarz kobiety, dla której niegdyś żywiej zabiło jego serce, mogła tak szernieć i się pomarszczyć: jak wesołe ogniki w jej oczach

•

mogły przeistoczyć się w ponure płomienie gniewu. On też cierpiał. On też rozpaczał. Mógł prosić Boga o nowe dziecko. Może tym razem byłaby to dziewczynka. Lecz Elena stała się wyjąłowioną, przepełnioną nienawiścią pustynią. Zasoloną, gniewną ziemią. na której nie wyrosną nawet chwasty.

W dniu, w którym poszła na grób synka. padał deszcz. Z szeroko otwartymi ustami, jak zaplątana w sieci wielka ryba, w której zmętniałych oczach wciąż widać strach. długo wpatrywała się w niebo. Potem włożyła dłonie między nogi i znalazła tam kawał lepkiej wieprzowiny. z której tłuszcz skapywał w ogień. Jej pełen przerażenia krzyk

- zmienił się w drapieżnego ptaka i wzleciał w przestworza.

Z oddali figlarnie mrugał do niej dziwny stwór o świńskiej głowie i świńskim ogonie, o ciele pokrytym rybią łuską i tęczowych skrzydłach. Był tak brzydki, że nie można się było powstrzymać od patrzenia na niego. Był tak brzydki, że z urody, którą znieważał, czerpał siłę i urok. Nie budził strachu ani odrazy. Przez moment uśmiechał się nie-

dostrzegalnie, na wpół wstydliwie, na wpół prowokująco.

Kobieta śniła. Poddała się snom. Ziemia, woda i powietrze wymieszały się ze sobą, a jej ból ustał. W końcu wypuściła z rąk mięso i uniosła dłonie — na palcach miała krew. Krew na bieli. Własnymi dłońmi osuszyła macicę. Chwyliła za włosy żyjącą w jej ciepłym, mrocznym wnętrzu radosną kobietę i wywłókłszy ją na światło dzienne, rzuciła na ziemię. Potem wyostrzone ciągłymi modlitwami zęby wbiła w atramentowoniebieskie żyły na szyi swojego sobowtóra

i wypła do ostatniej kropli jego pienistą krew. Była czy-
sta. Żyjącą w niej dziwkę złożyła w ofierze Bogu, który
przyjął niewinnego Diega. świat zmienił się w czerwone
jezioro. Krople padającego deszczu dziurawiły czerwień,
pozostawiając na niej białe ślady. Od grobu syna wstała
podziurawiona jak sito i — na złość deszczowi, symbolowi
płodności — jałowa jak ugór.

Krew więcej się nie pojawiła.

Nie uprawiała miłości.

Nie zaznała miłości.

Podejście było strome, zdawało się nie mieć końca.

Przypominało wznoszące się aż do nieba kręte, wąskie
schody. Schody podobne były do śmierci: z tego punktu
nie dało się dostrzec, co jest dalej. mogła zawrócić. Mogła
zrezygnować. Mogła umrzeć. gdyby chciała, albo żyć da-
lej. Wiedziała już, że gdy grzesznik milczy, przemawia jego
grzech. Pętla się zaciskała. a ona szamotała się. by ominąć
cień szatana i nie wpaść w jego szpony. Serce miała roz-
darte na kawałki. jej język był przypalony żelazem. O sercu
dawno już zapomniała. ale z językiem miała jeszcze nie-
wyrównane rachunki.

„Kiedy kobieta zmarła, nie wyznawszy swego występ-
ku, nie opowiedziawszy o swym wstydzie, odezwał się jej
grzech”.

Szatan przyszedł nocą. Począł, aż zapadnie ciemność
I nastanie cisza, i skrycie wślizgnął się do sypialni Eleny
Rodriguez. Po cichu omiół ciepłym oddechem szyję i usta
kobiety. Lecz zaraz szybko wyszedł i ciągnąc swój cień za
sobą, pobiegł do kuchni. Wydawał się zdenerwowany. Jak-

by był spóźniony i spieszył się. by wyrządzić zło. Naparł na drzwi, wstrząsnął murami, wyrwał okna. Potem zaczął uderzać w chochle, garnki i patelnie. Jednak potworny rumor, który nie pozwalał Elenie Rodriguez zebrać myśli. był tylko przygrywką, drobnym ostrzeżeniem. Wskoczyła z łóżka i próbując uspokoić bijące jak oszalone serce, skierowała się do kuchni. Wtedy go zobaczyła. W tym momencie oderwała przeszłość od przyszłości. ból od radości, fakty od marzeń. Teraz istniało już przedtem i potem. Dwa odrębne obrazy, dwa wrogie spojrzenia, obserwujące się nawzajem z dwóch przeciwległych krańców.

Mały Diego. którego martwego ciała nie widziała, na którego grobie pozbyła się swej kobiecości, którego zapachu nigdy nie zapomniała, podskakiwał na blacie drewnianego kuchennego stołu. Rozhukany, radosny i niesforny. Dźwięki dobywające się spomiędzy jego rozchylonych warg odbijały się od kamiennej posadzki. Na białym tle czerwień. jaskrawa czerwień. Od czasu do czasu kątem oka zerkał na matkę i śmiał się. Zwierzęcy, dziki i dziecinny.

Gdy otworzyła oczy, było już rano. Zgięta wpół siedziała na podłodze w kuchni. W ustach czuła dziwny smak, nieprzyjemną gorycz na języku. Kiedy próbowała dobyć głosu, poczuła, że z końca języka zwisa różowy i bojaźliwy

kawałek mięsa. Bezwiednie przegryzła sobie język. Kurwa dziewica. Padła na kolana. Nie przebaczaj, nie przebaczaj. Grzeszny róż. Odgryzła. rozkawałkowała, zakrwawiła, urwała, ale nie uwolniła się od niego. Nie mówiąc słowa mężowi, wybiegła z domu. Wiedziała, dokąd powinna

pójść. Myślała tylko o tym, by znaleźć schronienie w głosie Alonsa Pereza de Herrery.

Teraz czuła, że ze straszliwą prędkością się ześlizguje.

Ale nie w dół, lecz w górę wzniesienia. A przecież mogła się potoczyć, podskakując. Jak spadłe z gałęzi jabłko albo oderwany od ziemi kamyk: beztrosko, niefrasobliwie, bez przedtem i bez potem zejść ze wzgórza. Wiatr smagałby ją po twarzy, aż w końcu z radosnym uśmiechem wylądowałaby u stóp wzgórza, nie zdążywszy nawet pożałować, że wszystko, co piękne, trwa tak krótko. Mogła umrzeć, gdyby chciała, albo żyć dalej.

W przestronnej jadalni o ścianach pokrytych wizerunkami aniołów i diabłów Alonso Perez de Herrera powoli popijał wino. Od czasu do czasu unosił głowę i spoglądał na obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Potem chwycił za gęsie pióro i pisał. Dzieło, nad którym właśnie pracował, nadał tytuł Drogi pewne do rozpoznania i rozróżnienia utajonych odstępców.

którzy na pozór wydają się gorąco wierzącymi chrześcijanami. w sekrecie są odstępcami. Lecz choćby nie wiem jak bardzo się starali ukryć. rozpoznać ich można całkiem łatwo. Gdyż zasłona, którą próbują się okryć i którą cierpliwie łatają, nie wystarczy, by całkowicie zasłonić ich grzeszne ciała. Rozsuwa się zasłona, ciało zostaje obnażone,

prawda wychodzi na jaw. Nie uda im się długo zachować w tajemnicy swej tożsamości.

W piątkowe popołudnia sprzątaj domostwa: nim zapadnie zmrok, zapalają świece. W sobotni poranek wdzie-

wają czyste odzienie. Dnia tego stawy nie gotują, gdyż przygotowali ją już dzień wcześniej i włożyli do pieca. Wystarczy wejść na szczyt wzgórza i popatrzeć zeń na wioskę czy miasto, by od razu spostrzec domy, z których kominów w soboty nie unosi się dym".

Był zmęczony. Aby nie poddawać się nadchodzącej migrenie, której pierwsze zwiastuny już wyczuł, starał się pisać dalej, lecz trudno mu było układać zdania tak mocne, jak by tego pragnął. Kiedy natchnienie go opuszczało, unosił kielich o złożonych brzegach i szukał pomocy w osadzie na jego dnie. Wyobrażał sobie, jak pisze na grubej, martwej skórze węża, zmieniawszy kielich w pióro, a wino w atrament.

„Nie klękają, gdy się modlą. Tkwiący w nich niegodziwy duch wygina ich ciała i choćby chcieli, nie ustoją spokojnie podczas modlitwy. Ten zły duch panuje nad całym ich ciałem, od palców u nóg po paznokcie u rąk. Dlatego nie wyrzucają obciętych paznokci, lecz koniecznie je palą. Wszak tak jak paznokcie płoną w ogniu..."

Marszcząc brwi, spojrzął na służącą, która bezgłośnie wślizgnęła się do pokoju. Oznaczało to, że przybył niezapowiedziany gość. Innego dnia komuś, kto przyszedł do jego domu bez zaproszenia i nie uprzedziwszy o swej wizycie, kazałby odejść. Ale dziś, gdy pisanie nie szło mu najlepiej, uznał za stosowne zrobić sobie krótką przerwę.

Gdy tylko kobieta weszła do jadalni, pospiesznie chwyciła Alonsa Pereza de Herrera za dłonie. Stała tak przez chwilę bez słowa, z trudem łapiąc: oddech. Jej obecność nie

wzbudziła fal na tafli mglistego, zarośniętego wodorostami,

płaczliwego jeziora, nie zmaciła jego wód. Kiedy w końcu przemówiła, nie była w stanie zapanować nad dźwiękami, zapobiec rozpadaniu się wyrazów na pojedyncze, urwane sylaby. Za każdym razem, gdy otwierała usta, wysuwał się z nich różowy kawałek mięsa i zwisał na zewnątrz. Jej język. podobnie jak język węża widniejącego na kielichu o połączonych brzegach, wykrzykiwał o doznawanych cierpieniach. Nie odgryziony język wywarł jednak największe wrażenie na Alonso Perezie de Herrerze. lecz rozpadanie się słów wypowiedzianych przez kobietę na urwane sylaby. zduszone jęki. Być może dlatego zdecydował się poświęcić czas niespodziewanemu gościowi. Usadowiwszy się wygodnie w fotelu, słuchał z uwagą.

— Dostojny panie. mieszkam przy ulicy Fortuny. My, mieszkańcy tej ulicy, jesteśmy dobrymi chrześcijanami. Obawiam się jednak, że wśród nas są zdrajcy. Przyszłam do pana, gdyż chcę panu opowiedzieć o pewnej rodzinie. Lękam się, że jeśli wiem, jak grzeszą. i nie wyjawię tego, stanę się współniczką ich występków.

Elena Rodriguez zamilkła i przełknęła ślinę. Poczuła, że nie może, nawet gdyby chciała, opowiedzieć o swych przeżyciach z ostatniej nocy. o małym Diego. bólu i cierpieniu. Może kiedy indziej, gdy pójdzie do kościoła się wyświadczyć, łatwiej jej będzie o tym mówić. A może dopiero wtedy, gdy obie części języka się zrosną.

— Ach, panie, ludzie ci mają małego synka imieniem Andres. Ach, wychowanie małego Andresa. Andresilla jest w ich rękach i z tym nie mogę się pogodzić Panie, kocham tego chłopca jak własnego syna, którego straciłam.

Któregoś dnia opowiedział mi, co robią jego stryj i inni

członkowie rodziny. Malec nie był niczego świadomy, nie chciałam więc go wypytywać, żeby się nie przestraszył.

Potem jednak kilkakrotnie wracałam do tego tematu. Za każdym razem mówił to samo, nabrałam więc pewności, że nie kłamie. Dlatego do pana przyszedłam.

Opowieść kobiety wydała się Głosowi na tyle interesująca, że stracił chęć powrotu na obraz przedstawiający Alonsa Pereza de Herrerę na łożu śmierci. Sam zaś Alonso Perez de Herrera czekał, zadowolony, że potężny głos znów w nim gości, był jednak zaniepokojony zainteresowaniem, jakim ten obdarzył kobietę.

— Ten chłopiec... Andres... Co on ci właściwie powiedział?

— Panie, wyznał mi, że w ich domu co tydzień spotyka się spora grupa osób. Że zaciągają zasłony, zamykają drzwi i rozmawiają o czymś w sekrecie. I jeszcze... i jeszcze że... Powiedział, że...

— Uspokój się, dobra kobieto. Opowiedz mi o wszystkim, co wiesz. Opowiedz, by żaden grzech nie uszedł na leżytej kary.

Na te słowa Elena Rodriguez zalała się łzami i przypadła do kolan Alonsa Pereza de Herrery.

— Och, to straszne! Dios mło. Potworne. Powiedział mi, że... jego stryj i jego przyjaciele..., oni wszyscy... zadają męki naszemu Panu, Jezusowi Chrystusowi. A Pan Jezus zalewa się łzami... Pyta ich, dlaczego Go męczą. lecz oni dalej chłostają Go biczami. Cały jest we krwi. Tak właśnie

rodzina Pereira zadaje cierpienia Zbawicielowi.

Na te słowa Alonso Perez de Henna zerwał się na równe nogi. Tak jak podczas kazań, tak i teraz stał się z Głosem jedną duszą, jednym ciałem. Gniew bił z jego oczu.

— Przychodząc tu, zrobiłaś dobry uczynek, moja córko! Teraz uspokój się i opowiedz mi wszystko jeszcze raz, od początku.

Podejście było strome, zdawało się nie mieć końca. Podobne było do śmierci: z tego punktu nie dało się dostrzec, co jest dalej.

Wzięła głęboki oddech. Spojrzała na wzniesienie. tak czy siak, zejście z niego będzie łatwiejsze niż wspinaczka pod górę.

CZARY

Z tej to przyczyny nasze zabawy odbywają się po kryjomu.

MARIO VARGAS LLOSA, Pochwała macochy

(Hum C Marrodan Casas)

Podeksytowana Beatriz Blasquez z niecierpliwością czekała, aż nadejdzie wyznaczona godzina. "Nie przed północą!"

— powiedziała tamta kobieta. Beatriz miała wrażenie, że czas stoi w miejscu.

Do owego domu poszła za radą przyjaciółki. Jego właścicielka cieszyła się sławą najlepszej w całym Madrycie specjalistki od miłosnej magii. Jej klientkami były kobiety wszystkich stanów. w każdym wieku. Wszystkie miały je-

den problem: nieszczęśliwą miłość! Przychodziły do niej
żony imające się tysiąca sposobów. by zatrzymać przy sobie
męża: chore z miłości, które oddały serce, lecz nie znalazły
wzajemności: panny dniem i nocą rozpalone od pocałun-
ków wymaganych kochanków: te. które spłonęły już
na popiół od miłosnego żaru i teraz w desperacji wypatrują
namiętnego złodzieja pragnącego wślizgnąć się do
nich, a także te, które — choć nie wiedzą dokładnie,
— nie potrafią przestać czegoś chcieć. Zwano ją

La Barbuda*. Wystarczyło na nią spojrzeć. by zrozumieć,
że aż nadto zasłużyła na to przezwisko. Ze zwisającym
z podbródka kłębem długich, splątanych czarnych włosów
przypominała dziwne, na wpół ludzkie, na wpół kozie pie-
kielne stworzenia. Na ciemnej twarzy nosiła dwa potworne,
głębokie ślady po cięciach nożem: jeden na czole, drugi
na lewym policzku. Opowiadały one o jakimś zdarzeniu,
które pozostawiło trwały znak, wypaliło to znamię, nim
samo zmieniło się w popiół. Ona jednak najwyraźniej sta-
rała się ukryć prawdę. bezlitośnie obnażaną przez blizny,
gdyż wyglądała, jakby wykąpała się w beczce farby. Policz-
ki miała uszmkowane na czerwono, wargi pomalowane
na wściekły odcień różu, powieki zaś na jaskrawozielono.
W uszach nosiła kolczyki w kształcie wielkich kół. a na
nadgarstkach mnóstwo tanich. kolorowych, brzęczących
bransoletek. Jej palce zdobiły pierścionki z błyszczącymi
oczkami z cennych kamieni. Na ramiona zarzucała szal
z frędzlami sięgającymi do ziemi. na szalu zaś pysznił się
wyhaftowany paw. Nie zapominała także o przywiedłym

dekolcie — owijała wokół szyi szarobury wilczy ogon, który ongiś musiał należeć do potężnego dzikiego zwierzęcia. W tym stroju sprawiała wrażenie, jakby zeszła z obrazu jakiegoś kompletnie pijanego malarza. Jednak kakofonia barw bijąca od tej dziwacznej i brzydkiej postaci nie czyniła jej śmieszną, wręcz przeciwnie — dodawała jej majestatyczności i siły. Ze swą jarmarczną pstrokacizną La Barbuda stała się niezwykła: w ludziach, którzy nie mogli oderwać od niej wzroku i patrzyli na nią z ciekawością wymieszaną z odrazą, budziła szacunek podszyty lękiem.

* Barboala — Brudna

141

Jak szeptem zdradzały blizny na jej twarzy, La Barbuda przeżyła dwa życia w ciągu jednego. Gdy pierwsze dobiegło kresu, zatrzymała się i niczym głodny pies obwąchała pustkę. Krok dalej było albo zatracenie, albo ratunek. Cokolwiek miało się jeszcze wydarzyć — co się skończyło, to się skończyło, co minęło, to minęło. całe lata przemknęły. a ona nie zdołała ani rozbić skorupy monotonii, ani wyjść za mąż. tak jak tego chciała, ani wyprostować karku. Była bezradna i stłamszona, biedna i ciemna. Samotna matka trojga potomstwa. Patrzyła w milczeniu, jak ta sama choroba zabiera po kolei jej dzieci. Nie uroniła ani jednej łzy. Potem mogła albo o nich zapomnieć, albo do nich dołączyć. Kiedy stała, nie mogąc się zdecydować, przed wyborem: żyć dalej lub odebrać sobie życie, znalazła przypadkiem stary. zardzewiały klucz — otworzył on przed nią świat czarów. Nie miała nic do stracenia, więc śmiało zrobiła

krok naprzód. Potem kolejny i jeszcze jeden. i jeszcze...

Z każdym krokiem coraz wyżej unosiła głowę, coraz pewniej się czuła, coraz szybciej stawiała stopy. aż w końcu marsz przestał jej wystarczać, zaczęła biec. Być może jej celem była zemsta. Na mężczyznach wiązanych przez nią nićmi zakłóć mściła się jak na swoich kochankach, którzy porzucali ją z dzieckiem w brzuchu czy u piersi: klientkom. którym mąciła w głowach i które oskubywała z pieniędzy. niezauważalnie rewanzowała się za przykrości doznane od innych kobiet. Któż mógłby ją potępić? Nie niszczyła rodzin, nie wrywała serc z piersi. nie ściągała na siebie do-rzeczzeń... Tylko jedno drapnięcie, lekkie kąśnięcie... Z cukru nie są. nic im się nie stanie. Nie zostawiała przecież na ich twarzach śladów noża. których nie zakryją nawet tony pudru. Zresztą każda rana prędzej czy później się zagoi.

Wrażliwe jak mimoza damy, impertynency panowie niech pocierpią sobie troszeczkę. Niech ich zaboli, lecz niech nie poznają przyczyny. Wyrządzanie trwałych szkód nie leżało przecież w interesie La Barbudy. Nie była taka głupia, by wypuszczać z rąk władzę, którą zyskała po tylu latach.

Gdy przyszła jej kolej. Beatriz, złorzecząc pod nosem koleżance, która ją tu przysłała. weszła do izby, gdzie przyjmowała Barbuda. Od poczekalni oddzielała owo pomieszczenie połatana kotara w jaskrawych kolorach. Dziesiątki naszytych dzwoneczków różnej wielkości nieznośnie brzęczały przy jej najmniejszym poruszeniu. W ten sposób każdy klient, nim stanął przed obliczem La barbudy. zapowiadał swe przybycie brzękliwymi fanfarami. Znalazłszy się za

zasłoną. Beatriz szybko rozejrzała się dookoła. Zobaczyła szklane buteleczki ustawione rzędami na półkach. pudełka z maściami z nieznanymi składnikami, wiązki ziół zawieszono pod powałą. szklane bączki. których przeznaczenia nie umiała odgadnąć, książki o pozótkłych stronicach, receptury zapisane na karteluszkach koślawym pismem. długie. puszyste ogony. które niegdyś dodawały majestatu różnym zwierzętom. i naszyjniki. zrobione prawdopodobnie z zębów tychże stworzeń. Chciała zatkać nos, ale było już za późno. Dziesiątki zapachów unoszących się w pokoju połączyły się i z radością, przekorą i złością zalały ją całą, od stóp do głów.

Widoczny przestrach nowej. niedoświadczonej klientki wyraźnie rozbawił przedmioty. które znajdowały się w pokoju. Czarki z chińskiej porcelany wypełnione wodą różaną, nocnym hiacyntem. janowcem, rozmarynem i esencją pomarańczową. kolorowe Moje kryjące w sobie kawałeczki piżma. gorzkie migdały. korzeń psiej pietruszki,

korzeń fiołka, węgiel drzewny i gałkę muskatołową, srebrne misy z mlekiem kozic, wieprzowym smalcem, białkiem kaczego jaja. olejkami z sosnowych szyszek i orzechów włoskich oraz bukiety trujących ziół parsknęły śmiechem.

Zirytowana tym balasem krew węży i kóz, skrzepnięta w srebrnych, miedzianych, złotych i szklanych czarkach, zaczęła szemrać. W całym tym harmidrze szklana kulka spadła z półki i rozbiła się w drobny mak. Pudełeczko z czernidłem do oczu, które od lat w sekrecie kochało się w kulce, chciało skoczyć za nią. ale nie mogło. Zaczęło więc

lamentować zduszonym głosem. Bryłka oliwinu. która przy każdej okazji udawiała, że miłości i namiętności nie traktuje poważnie. właśnie wydymała z przekąsem wargi nad rozpaczą nieszczęśliwego kochanka. gdy spostrzegła. że z berta wyrzeźbionego w drzewie różanym przygląda się jej uważnie jakiś wprawiony weń oliwkowozielony kamień. Poczerwieniała. Zapanował rozgardiasz.

La Barbuda siedziała nieporuszona pośród tego szalonego harmidru. Stara lisica sprytnie wszystko zaplanowała. Dobrze wiedziała, że panujący wokół bałagan i zamęt zbija ją ludzi z tropu. zebrała więc najróżniejsze. najdziwniejsze. nieważne — potrzebne czy nie — przedmioty. Wiedziała oczywiście, że to może być niebezpieczne. już pięciokrotnie oskarżano ją o czary i wzywano przed oblicze Świętej Inkwizycji. Do tej pory jednak los jej sprzyjał i wychodziła cało z opresji. Za każdym razem wracała do domu stęskniona, niczym wędrowiec po dalekiej podróży. i wiodła dalej takie samo życie, jak przedtem.

Teraz obserwowała spod oka pobladłą klientkę. Choć nie dawała tego po sobie poznać. była bardzo dumna z wrażenia, jakie nagromadzone w pokoju rupiecie robiły

na każdym nowo przybyłym. Nic tak nie rozprasza uwagi, jak mnóstwo przedmiotów dookoła, ten zaś, kto nie potrafi skupić uwagi. traci czujność i staje się bardziej łatwowierny, dlatego La Barbuda unikała prostoty i porządku.

Mistrzynie miłosnych czarów powitała młodą klientkę głośnym mlaśnięciem. jakby właśnie skończyła smaczny posiłek. Dzięki latom doświadczenia wystarczyła jej krótka

chwila, by poznać. z czym przychodzi do niej ta dziewczyna oraz jakie ma usposobienie i charakter. Tymczasem Beatriz odwracała wzrok, starając się unikać spojrzeń czarownicy przewiercających ją na wskroś. Miała mętlik w głowie. Jeden głos szeptał. że skoro tu przyszła. powinna doprowadzić sprawę do końca, drugi zaś radził, by uciekała jak najdalej od tej baby z gębą posiekaną jak flaki na zupę. La Barbuda słyszała oba głosy. Jako kobieta doświadczona przez życie. a przy tym biegła w swej profesji. nie zamierzała dopuścić do tego. by jej nowa ofiara się zawahała. To ona pociągała za sznurki i mocno trzymała ich końce. Nie omieszkała więc przypomnieć, kto tu potrzebuje pomocy. Z przyjaznym uśmiechem zadała to najważniejsze pytanie:

— Powiedz mi. moja najmilsza, jak się nazywa ten młodzian?

Beatriz najwyraźniej miała dość wahania i niepewności, bo natychmiast odpowiedziała:

— Miguel, proszę pani. Miguel Pereira.

— Ach. Miguel... Cudnie! Nietrudno będzie zczarować kogoś, kto nosi to imię. Zobaczmy najpierw. co to za jeden, ten Miguel!

La Barbuda uniosła leżący przed nią pomarańczowy jedwabny szal, pod którym kryła się czara z żółtego mosią-

dzu wypełniona mętną wodą. Jeszcze bardziej marszcząc swą poraną zmarszczkami twarz, wymamrotała kilka niezrozumiałych słów. Potem jedno po drugim wrzuciła do naczynia pięć ziaren ciecioriki, nie wywołując przy tym naj-

mniejszych rozbrygów wody. Za każdym razem spluwała przez lewe ramię, po czym dwukrotnie dmuchała przez prawe. Następnie zanurzyła w wodzie srebrną monetę z dziurką pośrodku, która zwisała z jej szyi na ozdobnej wstążce. Choć wstążka była długa, kobieta musiała mocno pochylić się do przodu, gdy moneta sięgnęła dna. Każdy jej gest był tak poważny, tak uroczysty, że Beatriz się przeraziła

ła. Rzeczy, które w każdym innym miejscu i czasie uznała by za kompletną bzdurę, teraz wydawały się jej tajemnymi znakami przynoszącymi wieści z zaświatów. W ruchach starej czarownicy dostrzegała głębokie znaczenie, doszukiwała się w nich przepowiedni. Tymczasem la Barbuda była w swoim żywiole. Aby wzbudzić w klientce, która zaczynała już osiągać właściwy stan, pełną napięcia ciekawość, milczała dłuższą chwilę. Wykrzywiając twarz w przesad-

nym grymasie, patrzyła raz na Beatriz, raz w wodę. Jakby dostrzegła w niej jakieś straszne rzeczy, których nie umiała opisać. W końcu przysunęła twarz do twarzy dziewczyny: zionęło od niej czosnkiem.

— Włosy... Ma gęste, czarne, kręcone włosy.

— Tak, właśnie takie ma włosy! — zawołała podniecona Beatriz.

— Obawiam się, że jego dusza jest również uparta i nieza- posłuszna jak jego czupryna. Nie jest taki, jak jego imię. Myliłam się, moja śliczna. Nie będzie łatwo rzucić urok na tego młodziana. Jego oczy dostrzegają tylko jedną, jedyną kobietę. Tę o czarnych włosach i białej cerze...

Beatriz z płaczącą miną wpatrywała się w mętną wodę.

— Ach, ale ta kobieta jest mu zakazana! — te słowa zabrzmiały w ustach staruchy jak krzyk rozpacz. W rzeczywistości jednak pozostawała całkowicie spokojna, z wycuciem odgrywała swoją rolę. Bawiło ją to, czego właśnie było* świadkiem, manipulowanie Beatriz dawało jej satysfakcję.

Tylko jedno drapnięcie, parę lekkich ukąszeń... A niech ta młoda i ładna dziewczyna też trochę pocierpi. Od tego się nie umiera. Ból nie trwa wiecznie, kiedyś się skończy, jak wszystko. Ale najpierw ostatnie kąśnięcie. Niech trochę posinieje ta gładka jak aksamit skóra. Wszak zarówno truciznę, jak i lek na nią wytwarza się z tego samego...

— To znaczy, że niedobry z niego chłopak i do złego skłonny, a skoro tak, to ty... uważaj, moja śliczna, byś nie stała się taka jak on.

Te ostatnie słowa dodała z czystej złośliwości. Dawno już przecież przestała oddzielać dobro od zła. grzech od dobrych uczynków. Jej zadaniem było zwodzić na manowce. a nie sprowadzać na właściwą drogę. jej dom dawał oparcie poszukującym tego. co im się należało. a nie tym, którzy chcieli robić rachunek sumienia. Tak jak przypuszczała, w miejscu. w którym zatopiła zęby, natychmiast powstał siny krąg. Teraz trzeba było wycelować w sam jego środek. Gdy strzała dosięgnie celu, młoda kobieta jeszcze bardziej się przerazi. A cóż w tym złego? Niech się przestraszy, niech moc starej czarownicy zrobi na niej wrażenie, niech jeszcze silniej w nią uwierzy.

La Barbuda wyjęła zza pazuchy bury woreczek i wystudiowanym gestem wysypała z niego do wody nieco

woskowożółtego proszku. Aby osiągnąć. jeszcze większy efekt, powtórzyła ten zabieg kilkakrotnie. Była to jedna z jej szalbierczych sztuczek. Barwna para unosząca się nad wodą zadała ostateczny cios woli Beatriz, wpatrującej się w to zjawisko z sercem w gardle. Czarownica miała ją już w garści. Teraz dziewczyna była gotowa zrobić wszystko, co ta jej powie.

— Tak, widzę. Miguel Pereira... Trudno będzie. oj, trudno! Ktoś go chroni. Jest blisko niego, ale twój młodzieniec o tym nie wie. Tak, ma kogoś. kto go chroni. Ale ten ktoś nie zna się na miłosnych czarach, nie powinien więc nam przeszkodzić.

Powiedziawszy to. odchyliła się do tyłu i wyprostowała. Srebrna moneta z dziurką pośrodku wynurzyła się z wody i znalazła znowu między pomarszczonymi piersiami staruchy. Gdy na miejsce wrócił także pomarańczowy jedwabny szal, zabawa się skończyła. la Barbuda powiedziała. co miała powiedzieć. zdradziła tyle, Za ile jej zapłacono. Skoro nie pozostała już żadna tajemnica do wyjawienia, żadna twierdza do zdobycia, nadszedł czas, aby poszukać nowej ofiary do zabawy, nowego ciała, które można by posiniaczyć. Ale Beatriz nie zamierzała tak po prostu wstać i wyjść. Wahanie. z którym tu weszła. znikło. i wcale nie miała ochoty opuszczać tego dziwnego miejsca, szukała pretekstu, by zostać tu jak najdłużej. Jakby mieściło się tu centrum pragnień, a specjalistka od miłosnych czarów była mędrce. który posiadał wszystkie tajemnice życia. Jakby Beatriz się obawiała, że gdy stąd wyjdzie, nie będzie mogła tu wrócić, bo wszystko okaże się snem.

La Barbuda wręczyła Beatriz dwa smukłe flakoniki.

W jednym znajdowała się jasnożółta. w drugim zaś ciemnożółta ciecz. Zawartość pierwszego kazała dziewczynie wylać na ślady jej własnych stóp, drugiego — na ślady stóp

89

Miguela. Beatriz mocno ścisnęła w dłoniach buteleczki, jakby się bała, że ktoś je zabierze. Widok ten sprawił, że stara czarownica nieco złagodniała, poczuła odrobinę ciepła w swym zlodowaciałym sercu. Ślad po cięciu nożem na lewym policzku skorzystał z okazji — i zabolał. Drugi zaś, któremu nie w smak była litość, rozżłościł się i zganił swego towarzysza. Podczas gdy obie blizny się kłóciły. starucha postanowiła dać młodej klientce drobny upominek. Zanim, pogładziwszy ją po plecach. kazała się jej wynosić, nauczyła ją słów pewnej piosenki. Dziewczyna powinna ją zaśpiewać, gdy tylko ujrzy z daleka Miguela F'ereirę. Im głośniej to zrobi, tym skuteczniej zadziała czar, ale jeśli nie zdoła. wystarczy, że będzie ją mruczeć pod nosem. jednocześnie powinna niepostrzeżenie wsunąć rękę pod suknię i wyrwać trzy włosy z łona. W sprzyjającym momencie należy je wplątać w czuprynę chłopaka. Ta porada nie była wliczona w opłatę. La Barbuda ofiarowała dziewczynie aż tyle, bo zaczęła dawać się jej we znaki blizna na lewym policzku. Ale na więcej nie pozwalała jej ta druga, gniewna. przecinająca czoło. Starucha jeszcze raz powtórzyła słowa piosenki i nakazała po raz ostatni:

— Pamiętaj, będziesz wypowiadać każde słowo z osob-

na. Usłyszycie je tylko ty i twoje serce.

Każde słowo z twych ust

Zadźwięczy echem w tobie

I w twoim sercu.

Beatriz nie mogła się doczekać następnego dnia. Gdy tylko zrobiło się jasno, pobiegła na ulicę Fortuny. Obsesyjnie pragnęła jak najdokładniej wprowadzić w życie Zalecenia La Barbudy. Spodziewała się, że to Miguel otworzy

90

drzwi, lecz na progu zamiast ukochanego ujrzała zaspaną

Isabel. Zaskoczona tą niezapowiedzianą wizytą nie w porę. Isabel zaczęła chyba coś podejrzewać, lecz aby nie łamać zasad dobrego wychowania, pospiesznie zaprosiła Beatriz do środka. Miguela nie było w domu. Nie wiadomo, gdzie się włóczył, nie dał nawet znać, że nie wróci na noc. Beatriz nie przejęła się tym. Jeśli czar się powiedzie, otrzyma sowitą rekompensatę za wszystkie cierpienia. Musi zacisnąć zęby i poczekać, tylko tyle. Skoro Miguela nie było w domu, dalsze przesiadywanie tu nie miało sensu. Nie miała ochoty nawet na krótką pogawędkę z przyjaciółką. Ostatnio Isabel wydawała się bardzo niespokojna. Skoro nie było niczego, co mogłoby ją martwić i przygnębiać, musiała sobie coś uroić. Najlepiej więc było) pozostawić ją samą z jej ponurymi myślami.

Ledwie wyszła na ulicę, zdarzył się cud. Zataczając się, nadchodził Miguel. Chyba niezupełnie jeszcze wytrzeźwiał. Coraz to zginał się wpół, jakby chciał zwymiotować. po czym brał się w garść i niepewnym krokiem szedł dalej.

Nie dostrzegł dziewczyny. i dobrze. Beatriz serce podeszło do gardła. Jak błyskawica przebiegła na drugą stronę ulicy i schowała się za murem domu naprzeciwko. Gdyby w tym momencie uniosła głowę. ujrzałaby Elenę Rodriguez. z uwagą i zaciekawieniem obserwującą ją przez okno. nie Beatriz nie widziała nikogo poza Miguelem i nie myślała o niczym innym, jak tylko o słowach starej czarownicy. Dlatego nie mogła zauważyć ukrytego obserwatora. Kiedy Miguel ją minął, skoczyła za nim i skropiła ślady jego stóp ciemnożółtym płynem z buteleczki. Jasnożółty zaś wylała na własne. Potem. rozglądając się na prawo i lewo, zaczęła mamrotać słowa piosenki-zaklęcia, której nauczyła ją

91

la Barbuda. Trochę się natrudziła, nim udało się jej wyrwać włosy z łona, lecz zanim Miguel zniknął w drzwiach domu, zdążyła przeprowadzić wszystkie magiczne zabiegi.

Jak było silny,

jak ogień gorący

będziesz we mnie.

I jak te włosy z cipy

będziesz na zawsze należał

do mojego ciała, Miguelu Pereiro,

Miguelu Pereiro.

Miguelu Pereiro!

Gdy mamrotała te słowa, nie zdołała powściągnąć

rumieńca oblewającego jej policzki. ale nie czuła wstydu.

Była gotowa na wszystko, byle zdobyć serce ukochanego

mężczyzny. Wszystko idealnie zgrało się w czasie. Z ostatnim słowem piosenki Miguel wszedł do domu, drzwi się za nim zamknęły. Beatriz głęboko zaczerpnęła powietrza. Ulica Fortuny, wciąż zadziwiona niepojętą różnorodnością ludzkich postępów. przywdziała nocną koszulę i udała na spoczynek. Tymczasem dla Beatriz dzień dopiero się zaczynał. W tej chwili pozostało jej jedynie wplątać swe włosy łożonowe w bujne loki ukochanego.

Czar zadziałał i to, co wydawało się niemożliwe, rzeczywiście się stało. Minęło zaledwie kilka dni, gdy do drzwi Beatriz zapukał Miguel. Co prawda minę miał ponurą. wydawał się zmęczony i nieszczęśliwy. lecz wszystko to przestało się liczyć, gdy zaczęli się kochać. Beatriz oddała mu się bez reszty. W jednej chwili zakosztowała strachu i radości.

podniecenia i bólu. Oszalała ją i jednocześnie przerażały żądza, jaką pałał Miguel, jego zwierzęce okrzyki, dłonie, nie tyle pieszczące jej ciało, ile zadające mu ból, wargi nie tyle całujące, ile wgrzyzające się w jej usta, i jego nagość, tak nieskrępowanie odsłanianą na przekór odwracającej wzrok Beatriz. Dziewczyna toczyła się bezwładnie w straszliwą otchłań; spadając, próbowała chwytać się cierni rosnących między istnieniem a nieistnieniem. Jej zakrwawione dłonie nie były w stanie utrzymać ciężaru ciała; przepaść w dole otworzyła paszczę. podobną do mrocznej jaskini, i połknęła zdobycz. Wszędzie dookoła była pustka. Pochłonęła północ i południe, wschód i zachód. Rozdygotane łóżko było małym kąskiem dla coraz bardziej żartoczej nicości. Choć pożerała wszystko, wciąż była nienasycona, i w końcu

połknęłyby samą siebie. Beatriz pierwszy raz w życiu tak blisko poczuła śmierć. Mężczyzna, za którym od dawna tęskniła, którego imię tyle razy szeptała w sekrecie, zmienił się raz w bezlitosnego mordercę. raz w szalonego kochanka, to znów w niesfornego urwisa albo w wystannika samego szatana. Przy nim nie była w stanie dobyć głosu. krew krzepła jej w żyłach. traciła władzę nad własnym ciałem. Nie była to miłość, o jakiej marzyła w bezsenne noce. przewracając się w łóżku z boku na bok. Pragnęła spełnienia, które zaczęłyby się od słodkich słówek, niewinnych całusów i delikatnych dotknięć i stopniowo wiodłoby ją przez kolejne stopnie namiętności. Najpierw powoli, potem coraz więcej, coraz mocniej. Ale Miguel wołał przeskakiwać po kilka stopni naraz. Jakby dokądś się spieszył. Jakby dokonywał spóźnionej zemsty. Dlatego Beatriz nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Z jednej strony było jej przykro, że ukochany osiąga miłosne spełnienie nie wespół z nią, lecz sam, że nic nie jest tak, jak sobie wymarzyła, a nicość sięga coraz dalej. Z drugiej jednak strony się cieszyła, że mimo wszystko czar zadziałał, przeżywa chwilę, o której sądziła wcześniej, iż nigdy nie nadejdzie, że ten, który był tak odległy, nagle znalazł się blisko niej. Jak suchy liść targany podmuchami jesiennego wiatru miotana się raz w tę, raz w przeciwną stronę: nie mogła zebrać myśli.

nie nie tylko ona była zaskoczona tym, co się wydarzyło. Gdy wzburzone wody uspokoily się i odzyskały przejrzystość, twarz wyrzuconego na ląd Miguela zdradzała zdziwienie jeszcze większe niż zdziwienie Beatriz. Nawet

przez myśl mu nie przeszło. że może być jej pierwszym mężczyzną. Co prawda kiedy się zorientował, nie mógł się już cofnąć, ale nie lubił takich jak ona. Tak samo nie lubił bezruchu i uległości. Nawet kwiat zaprotestuje, gdy zostanie brutalnie szarpnięty, dziewica tymczasem ani piśnie. Od gorących uścisków nawet trup nabierze ochoty na miłość, dziewica zaś ani drgnie. I kielich będzie odurzony gdy wleje się do niego wina. lecz dziewicy nawet nie za szumi w głowie. Zdaniem Miguela dziewice były nudne a w dodatku niebezpieczne. Nudne. bo zawsze chciały, by się z nimi delikatnie obchodzić. krygowały się i czerwieniły. Niebezpieczne. bo wydawało im się, że ofiarowują mu niezrównany dar, więc traktowały go jak dłużnika i oczekiwały czegoś w zamian. Od dziewic wolał kobiety doświadczone, które doceniały. jak wspaniałym był kochankiem. umiały dawać i przyjmować rozkosz. potrafiły kochać się same ze sobą. Lubiał kobiety posyłające buziaki swojemu odbiciu w lustrze. Namiętne. które zgiąwszy się. by possać własne sutki, śmiały się do rozpuku i robiły fikołki na łóżku. Dla Miguela Pereiry kobieta była ziemią

94

— urodzajną i szczodłą, wodą — szemrzącą i bezlitosną, ogniem — gorącym i łapczywym. powietrzem — lekkim i nieobliczalnym. Jej ciało stanowiło tajemniczy, skomplikowany labirynt bez początku i bez końca, bez leżącego w samym środku punktu docelowego. Pragnął, by kobieta była w tym labiryncie jego przewodnikiem — nie po to, by znaleźć zeń wyjście, lecz by całkowicie się w nim zatracić.

Tak jak robiła to Tamta owego deszczowego, jesiennego poranka.

Nie był pewien, czy Beatriz by to rozumiała. Nie rozumiała przecież samej siebie. Nie dotykała swego ciała. Jak więc miała czerpać przyjemność z tego, że ktoś inny jej dotykał? Dla Miguela jej cenny skarb, przez tyle lat zamknięty na wszystkie spusty i pilnie strzeżony, był nic niewart. Nie chodziło o odsłonięcie zasłony. lecz o to. co się za tą zasłoną znajdowało. Tego jednak nie był w stanie jej wytłumaczyć. Dlatego teraz gorączkowo szukał sposobu. by jak najmniejszym kosztem uratować skórę. zanim będzie za późno. Zaskoczony i zaniepokojony. bezradnie rozglądał się dookoła. Beatriz zaś dziwny wyraz twarzy kochanka uznała za oznakę wdzięczności. Co prawda nie rozpętała się nawałnica, tak jak dziewczyna tego oczekiwała. ziemia się nie zatrzęsła. ale mimo to czuła się szczęśliwa. Otoczywszy nagimi ramionami szyję mężczyzny. zasnęła słodkim snem. Przyśniła się jej La Barbuda. Paskudna wiedźma tańczyła z aniołami, rozpościerała śnieżnobiałe skrzydła i przelatowała z obłoku na obłok. Na jej szyi wisiał wielki dzwon. Malutkie aniołki uwiesiły się na przymocowanym do niego sznurze i ciągnęły z całych sił, a wtedy potężny głos dzwonu, zwielokrotniony echem, docierał do ziemi. każde uderzenie dzwonu unicestwiała jedną z owiec pasących się na łące, La Barbuda zaś wciągała umierające zwierzę do nieba. Pasterz stał na dole. wygrażając jej pięścią i złorzecząc, ale wiedźma na jego przekleństwa odpowiadała jedynie głośnym śmiechem. Gdy Beatriz otworzyła oczy,

w pokoju panował półmrok, a Miguela przy niej nie było. Musiał wymknąć się wcześniej. Może i lepiej? Początek nie wyglądał tak, jak sobie wymarzyła, ale ciąg dalszy na pewno nastąpi. Bądź co bądź dopełniła magicznego rytuału. Poweselała na myśl, że kochanek, opuszczając jej dom, nie wiedział, że w swej kędzierzawej czuprynie nosi ukryte włosy łonowe przyszłej żony.

Nie mogła się doczekać poranka. Gdy zrobiło się jasno, pobiegła do La Barbudy. Czekać na swoją kolej, nie mogła usiedzieć w miejscu. Zastanawiała się, jak stara czarownica przyjmie drobny upominek, który jej przyniosła w podziękowanie. Kiedy wreszcie pstrokata zasłona się uchyliła i wpuszczono ją do środka, przypadła do kolan wiedźmy. W pokryte chropawą, stwardniałą skórą dłonie wsunęła złoty naszyjnik. Na jego widok La Barbuda, odsłaniając poźółtkie zęby i roztaczając dookoła smród czosnku, wybuchnęła nie kończącym się śmiechem. Zabrzęczały ozdoby, którymi była obwieszona, jaskrawe barwy jej strojów stały się jeszcze jaskrawsze, a zgromadzone wokół najrozmaitsze rupiecie zaczęły się mnożyć, jakby wydawały na świat potomstwo. Beatriz też zaczęła się śmiać na całe gardło, powiększając panujący w pokoju harmider. Jedynie blizna po ranie zadanej nożem na czole starej wiedźmy siedziała naburmuszona, by pokazać, że gardzi podobnymi wygłupami.

Teraz Beatriz Blasquez czekała, aż nadejdzie właściwa pora. „Nie przed północą — powiedziała tamta kobieta. Wydawało się, że czas stoi w miejscu.

W końcu wybiła północ i Beatriz ocknęła się z zamyślenia. Zerwała się na równe nogi. Serce waliło jej jak młotem, czuła, że nogi się pod nią uginają. Wszystko było gotowe.

Do oliwnej lampki wetknęła knot zrobiony z poplamionego krwią prześcieradła. Potem wzięła głęboki oddech i zaczęła recytować zaklęcie, czując, jak każde słowo odbija się echem w jej duszy:

Jak płonie ten knot,
wilgotny od dziewiczej krwi,
jak płomieniem goreje,
tak niech serce Miguela
zajmuje się ogniem. ilekroć on mnie ujrzy.

Nauczyła ją tego La Barbuda podczas drugiej wizyty.

Ale Beatriz to nie wystarczyło. Uznała za stosowne dodać kilka słów od siebie:

— I niech odtąd nie widzi nikogo poza mną. Kimkolwiek jest tamta kobieta, niech jej nigdy więcej nie zobaczy!

ZAKRĘT

Każda podróż kryje w swoich szlakach

— w zaniechanej ścieżce, w zignorowanym

zakręcie — jakąś inną wędrówkę,

JEANETTE WINTERSON, *Piec ~sns*

(num Z Batkol

Drżące światło świec gładziło włosy kobiety, delikatnie,

czule. W tym żółtym, rozedrganym, trwożnym blasku biel

jej cery wydawała się jeszcze bardziej nieskazitelna, ona

sama zaś odległa, niedostępna. nieosiągalna. Krople wosku

skapywały z topniejących świec. czas sączył się powoli.

Woskowe łzy spadały kropla po kropli w jej dłonie. Nie widziała mężczyzny, który obserwował, jak drżące światło płomyków gładzi jej włosy: robił to w milczeniu, z gniewem, do którego nie przyznawał się nawet przed samym sobą.

Była sobota, siódmy dzień tygodnia. Dzień wcześniej Isabel zakończyła wszelkie przygotowania. zrobiła wszystko, co było do zrobienia. Upiekła chleb. Lubiła to robić. nie dlatego, że Pan Bóg powiedział, iż każdą, która nie wypełnia kobiecych obowiązków, choć urodziła się jako kobieta, uśmierci podczas porodu. Sprawiało jej przyjemność. kiedy czuła, jak ciasto pomiędzy palcami nabiera kształtu, zamienia się w kłębek miękkiej jak główka niemowlęcia, bia-

98

ły jak anioł śmierci, którego w dzieciństwie spotkała i do tej pory zachowała o nim niejasne wspomnienia, jak staje się okrągła niczym róża pustyni, nieustannie wirująca w marzeniach i zmieniająca kolory w bezbarwność, a głosy w ciszę. Dlatego lubiła piec chleb. Nad bochenkiem szeptała swoje imię. Za każdym razem próbowała też odczytać historię wypisaną na jego spieczonej skórce, lecz choć dobrze znała litery, milczała bezradnie wobec nieznanego języka. Antonio Pereira podniósł na wysokość oczu włos wyrwany z brody. by lepiej mu się przyjrzeć, a wtedy jego wzrok napotkał spojrzenie jednej z ryb leżących na stole. Bał się rybich oczu. Ilekroć jedli ryby, czuł się nieswojo, gdy Miguel z wielkim apetytem pożerał rybnie łby. Przy każdym chrupnięciu wydawało mu się, że to jego głowa jest

odrywana od tułowia. Wzdrygnął się. Pomyślał o oczach. Widziały morskie głębin, może poznały najskrytsze tajemnice wszechświata, aż pewnego dnia zupełnie nieoczekiwanie wpadły w sieci jakiegoś ciemnego, ale odważnego rybaka, ich opowieść zaś znalazła zakończenie, gdy szamotały się w brzuchu Miguela. Wiecznie otwarte, wiecznie głodne oczy.

— Antonio, to będzie długa podróż. Ja tu zostanę. Ja

I Andresillo. Pojedziesz sam.

Antonio Pereira spojrział na żonę. Zawsze zachowująca dystans, chłodna i nieosiągalna. wydawała mu się inna od wszystkich kobiet i dlatego być może nigdy nie widział w niej kobiety. Nigdy jednak nie miał dość patrzenia na jej urodę, choć sprawiała mu ból. Nagle dostrzegł podobieństwo swego losu do losu ryb leżących na stole; jedyną różnicą było to, że dał się złapać w sieć, nim uchylił zastonę

99

mórz skrywającą tajemnice wszechświata. A jeszcze tego ranka, gdy z zapałem opowiadał o propozycji Alonsa Pranco de Leona, jego serce wypełniała nadzieja, że coś się zmieni. Propozycja była kusząca. Miał wyjechać na pewien czas do Włoch i uczyć tam na wykłady na różnych uniwersytetach. Po powrocie jego sława i poważanie na pewno by wzrosły, a jednocześnie mógłby przekazywać zdobytą wiedzę hiszpańskim studentom. Podczas pobytu za granicą wszystkie koszty utrzymania Antonia i jego rodziny miał pokrywać szczerze przekonany o konieczności śledzenia

najnowszych osiągnięć filozofii i medycyny Alonso Franco de Leon, który poprzysiągł sobie nie dopuścić. By hiszpańskie uniwersytety dostały się w ręce fanatyków. W dodatku ten potężny i uparty magnat wielokrotnie powtarzał, że pragnie roztoczyć patronat nad dziełami Antonia Pereiry, tymi już napisanymi oraz tymi, które powstaną w przyszłości.

— Dlaczego. Isabel? Dlaczego mój świat wydaje ci się taki daleki? Dlaczego uciekasz przed wszystkim, co ma ze mną związek? Nigdzie mi nie towarzyszysz, unikasz moich przyjaciół. Czasem mi się wydaje, że robisz to wyłącznie po to, by mi dokuczyć...

Dźwięk własnego głosu wydał się Antoniowi Pereirze tak przykry, że nie mógł dalej mówić. Wydał z siebie jeszcze dwa odgłosy przypominające szloch, po czym zamilkł i stał ze spuszczoną głową. Czuł, że rybie oczy wpatrują się w niego. Brakowało -mu po-wie-trza.

— Chcę od ciebie tylko jednego — odezwała się w końcu Isabel, przerywając ciszę. Mówiła do niego jak do dziecka, możliwie najdelikatniej i najostrożniej. — Jak widzę, zamierzasz na długo opuścić dom. Dlatego chcę, byś zawezwał Starą.

100

Antonio Pereira spojrzał na żonę zaskoczony.

— Myślałem, że nie będziemy więcej wracać do tego tematu.

— Chciałeś tak myśleć! — krzyknęła Isabel. — Ja nie wyrzeknę się Starej. Dobrze o tym wiesz.

— A ty wiesz, że to niebezpieczne. W obecnych czasach... Nie masz pojęcia, co się teraz dzieje. Nie wiesz, że ludzie z byle powodu trafiają pod sąd. Ktoś taki jak Stara może sprowadzić na nas nieszczęście.

— Nic mnie to nie obchodzi — oznajmiła Isabel. —
Tęsknię za nią. Wiem, że się nie znosicie. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, by tu zamieszkała, kiedy wyjedziesz. Potrzebuję Starej. Powiedz mi. Antonio, czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy potrzebować kogoś?

Antonio Pereira wydawał się załamany.

— Jak chcesz — wydusił w końcu. — Jutro wyślę kogoś, by ją sprowadził.

— Nie rób tego, proszę — zaproponowała. — Daj jej tylko znać. Przyjedzie, jeśli zechce i kiedy zechce.

POTWÓR

— Niech przyjdzie — powiedział Mali.

A potem zapytał: — Co to za stworzenie?

— Och, to ogromna bestia! — odpowiedzieli.

JOSEPH CAMPBELL, *Primiwnie Mythology*

Czasem, kiedy wszystko wokół mieni się tysiącem barw, jak na obrazku namalowanym przez dziecko obdarzone nieograniczoną fantazją. jedna rzecz. czy to pośrodku, czy gdzieś z boku, razi oko upartą czernią. Takim właśnie jedynym czarnym punktem wśród feerii kolorów była postać kobiety mocno trzymającej ZA rączkę chłopczyka. Może pędzel małego malarza. nanosząc farbę. pominął ich

w chwili nieuwagi. albo gruby pancerz. w który, byli zakuci, zatrzymał potoki barw, a może należeli do zupełnie innego obrazka i znaleźli się tu przypadkiem? Jakkolwiek było, nikt nie dostrzegał ich odmienności. Jedynie bezdomny pies pokryty świerzbem zbliżył się i dokładnie oboje obwąchał. Ich zapach musiał w nim wzbudzić ciekawość. gdyż przez dłuższy czas szedł za nimi krok w krok. Chłopiec chciał się nawet zatrzymać i pogłaskać kundla. lecz zabrakło mu odwagi. Wiedział, że kobieta zaraz zmarszczy brwi i powie. by nie dotykał zwierzęcia. bo jest brudne. po czym wyjmie śnieżnobiałą chusteczkę obszytą koronką

102.

i zacznie nią wycierać swoje i jego dłonie tak mocno, jakby chciała je rozetrzeć na miazgę.

Elena Rodriguez miała bowiem w zwyczaju w najmniej oczekiwanych momentach wyciągać chusteczkę i pocierać nią różowe policzki, delikatne rączki i usteczka malca. Czasem posuwała się dalej — całymi godzinami przecierała do połysku jego buciki, przeczesywała włosy w poszukiwaniu pasożytów lub wydłubywała brud zza malutkich paznokci. Chłopiec, choć nie przepadał za tymi żmudnymi i długotrwałymi zabiegami higienicznymi, w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko przebywaniu w towarzystwie tej kobiety. Obdarzała go czułością, jakiej nigdy nie zaznał od ojca, i zainteresowaniem, którego od jakiegoś czasu skąpiła mu matka: okazując w zamian za to sympatię tej oziębłej kobiecie, próbował przypomnieć o swym istnieniu tym, którzy

nie zwracali na niego uwagi. By dopiec pozostałym członkom rodziny. w ich obecności, a zwłaszcza w obecności matki, okazywał sędziadce przywiązanie, lecz gdy zostawali sam na sam, szybko zamykał się w skorupce. Od CZASU do czasu po cieniu przemykającym przez twarz matki domyślał się. że udało mu się jej dokuczyć, być może wzbudzić w niej zazdrość, ale wciąż nie rozumiał, dlaczego niczego to nie zmienia. jeśli chodzi o ojca. to ten był jak Zawsze obcy i daleki. Pomiędzy ich światami leżały nie bezkresne morza i nieprzebyte drogi. lecz pożółkłe stronice ksiąg. Chłopiec. choćby nie wiadomo jak się starał, nie był w stanie pokonać tej bariery dzielącej go od ojca.

Czasami zakradał się cichaczem do jego gabinetu i próbował poznać zamknięty w nim świat. jak głodne zwierzę obwąchiwał stosy tomów złożonych jeden na drugim. rękopisy, kałamarze, rysunki przedstawiające człowieka i wszechświat, gęsie pióra. Za każdym razem się krzywił, gdy się okazywało. że żadna z tych rzeczy nie pachnie obiecująco. Wodził dłońmi po okładkach ksiąg, pokrytych tłoczonymi ornamentami, próbując zrozumieć, co w nich tak pociąga ojca: z góry, z boku, prosto i do góry nogami patrzył na litery wypełniające stronice, by znaleźć w nich podobieństwo do czegośkolwiek. Próżny wysiłek sprawiał, że zaczynał ich nienawidzić, gniew wzbierał w nim jak fala. Te małe znaczki. Ułożone rzędami bazgroły, kręte zawijasy pozbawione sensu. O czym mogły opowiadać, skoro nie miały ust? Co takiego widział w nich ojciec, że spędzał nad nimi całe noce? Że jadł w pośpiechu. byle tylko gnać najszybciej z powrotem do nich pobiec?

Śmierć o wiele łatwiej byłoby zrozumieć. Gdyby ojciec umarł, po prostu by go nie było. O ileż trudniej pogodzić się z nieobecnością ojca, który żyje. Dawniej nie przygnębiało go to tak bardzo, gdyż mógł się pocieszać matczyną miłością. Teraz jednak i mama gdzieś znikła. Była smutna, wiecznie zamyślona. A stryj Miguel okazał się najbardziej niewdzięczny z nich wszystkich. Wracał do domu, gdy malec już spał. wychodził, zanim ten się obudził. Niegdyś bawili się razem. wypełniając: dom śmiechem i radością: oto do namiotu króla zakrada się szpieg na usługach wrogów. lecz zostaje przyłapany i uwięziony Chłopiec: najpierw krępuje jeńca. klęczącego i błagającego o litość, po czym zaczyna okładać go piąstkami. Gdy ciosy stają się zbyt mocne, szpieg nagle zsuwa więzy. chwytą brzdąca pod pachy i podrzuca wysoko do góry. Czasem wybiega z nim na podwórko, na słońce. Chłopiec zanosi się od radosnego śmiechu, a jednocześnie drży. bo się boi, że spadnie. już ma dotknąć dłońmi nieba, gdy obudzone radosnymi okrzykami słońce nadyma policzki i gorący wiatr strąca go wprost w bezpieczne ramiona stryja. Obawy malca były próżne — mocne ręce chwytają go za każdym razem i przyciskają do piersi.

Jednak w ostatnich miesiącach w domu przy ulicy Fortuny panowała martwa cisza. Domownicy zaczęli wieść osobne życia, nikt nikogo nie dotykał, nikt na nikogo nawet nie patrzył. Chłopiec nie miał się już z kim bawić. Nikt go nie lubił, nikt za nim nie tęsknił, nikt go nie chciał. Skoro tak, to może wina leżała po jego stronie? Może nie powinien był się w ogóle urodzić? A tak się starał być dobrym dziec-

kiem. Nie złościł nikogo, robił to, co mu kazano. i każdego wieczoru przed pójściem spać zmaśniał pacierz, roniąc łzy. Znosił do Boga modlitwy nie o pomoc, lecz o to, by mógł Go ujrzeć. Niczego tak nie pragnął. jak Go zobaczyć: był zły. że dotąd mu się to nie udało. Dałby wszystko, by wiedzieć, jak wygląda, usłyszeć jego głos... Nocami błagał Boga. by potrzymał go za rękę. Śniło mu się, że wdrapuje się na białe obłoki i zapada w ich miękkość. A po przebudzeniu okazywało się. że znowu się zmoczył. Mama nie była na niego zła z tego powodu. A szkoda! Szkoda, że go nie skrzyczała. nie cisnęła mu w twarz mokrego prześcieradła. Kto wie, może mama się gniewała, a Bóg mówił, mamrocząc pod nosem. tylko on tego nie słyszał? Może był głuchy od urodzenia? Albo jeszcze gorzej — może przez popełniony grzech ściągnął na siebie to wszystko? Nie powinien był się w ogóle urodzić. Bóg o tym wiedział i dlatego się od niego odwrócił. Był dzieckiem, którego nikt nie kochał. Nikogo nie obchodził. Z wyjątkiem jednej osoby: Ellenv Rodriguez! Gdy przebywał w jej towarzystwie, takie myśli przestawały go dręczyć. Sąsiadka dawała mu śliczne upominki.

piekła dla niego rozmaite słodkości, a jeśli akurat nie patrzyła z obrzydzeniem na sprzedawane na ulicy przysmaki, zdarzało się nawet, że kupowała mu czekoladę. Chłopiec zwracał się do niej per „proszę pani”. a Elena, choć nie lubiła tego zwrotu, który podkreślał dystans, nie protestowała. Bolała nad tym, że nie widuje chłopca tak często, jak by sobie tego życzyła. ale nie chciała psuć tych chwil, które spędzali razem. Niech mały na razie mówi do niej

seriom. Z czasem przywyknie do niej i zacznie zwracać się serdeczniej. Z nadzieją, że kiedyś tak się stanie, kobieta spełniała wszelkie zachcianki malca, obchodziła się z nim jak z jajkiem. To był najlepszy dowód Bożej sprawiedliwości: Stwórca zabrał do siebie jej syna, lecz widząc, jak rozpacza, użalił się nad nią i zesał jej małego Andresa. Tak, bez wątpienia Andresillo był nagrodą za jej cierpienia. darem Bozym. I jeśli teraz jeszcze nikt o tym nie wie, wkrótce wszyscy się dowiedzą. Na razie jedyne, co musi zrobić, to zacisnąć zęby, uzbroić się w cierpliwość i pomału zaskarbiać sobie sympatię chłopczyka. Tylko w ten sposób rzuci w końcu z ramion nieznośny ciężar przeszłości.

Po śmierci Diega nieraz chciała odebrać sobie życie. ale głęboka wiara odwozila ją od popełnienia tego strasznego grzechu. Nie zamierzała pójść na rękę szatanowi, choć każdy nowy dzień był wypełniony bólem, a każdy ranek spowity mgłą. Gdy w końcu ujrzała to nikłe, lecz uparte światelko, ten znak od Boga. zdziwiła się. że jej wybawiciel jest tak blisko. a ona go nie spostrzegła. Tak, dla Eleny Rodriguez wybawienie było blisko, bardzo blisko. Odkąd to zrozumiała, dni przestały być jak nieznośne, noce stały się mniej mroczne. Nie minie wiele czasu, a jej cierpienia się skończą i zapanuje jasność.

Był wietrzny, pochmurny dzień. Elena Rodriguez wstąpiła po drodze do domu i wyjęła z szafy czapkę z fioletowego aksamitu. należąca ongiś do jej syna. Nieco za duża na malca, zapewniała mu jednak ochronę zarówno przed wiatrem, jak i przed deszczem. Chłopiec rósł zresztą jak na

drożdżach i wkrótce będzie na niego w sam raz. Mimo to duszę kobiety dręczył lekki niepokój. A jeśli Diego nie chce, by kochała Andresa? Czy to dlatego nocami targował się z szatanem, wracał na ziemię i trząsał drzwiami, nie dając spokoju matce? Jeśli tak, była to wielka niesprawiedliwość. Jak mały Diego mógłby sprzeciwiać się łaskawości Bożej? A może Diegowi, jej jedynemu Diegowi bliższy od matki był ojciec, któremu w głowie nawet nie powstało być dobrym chrześcijaninem, który nie troszczył się o zbawienie duszy, przez tyle lat ani razu nie żałował za grzechy i nie uro- nił ani jednej łzy po śmierci dziecka? Nie, to niemożliwe! Diego ponad wszelką wątpliwość był synem swojej matki, a Andres dzięki swej urodzie i niewinności sprawi z pewnością, że i tamten zmarły aniołek odnajdzie spokój.

Wypili razem czekoladę. Andras uwielbiał jej smak. Zapach i lepka gęstość. Nim skończył jedną porcję, już prosił o następną. Kobieta pośliniła rożek białej, koronkowej chusteczki i dokładnie wytarła czekoladowe wąsy na wargach chłopca. Potem ruszyli powoli, pozostawiając za sobą ulicę Fortuny, i zapuścili się w labirynt bocznych uliczek. Na jednej przyplątał się do nich beżowy pies. Był na drugiej ich opuścić. W końcu dotarli na miejsce, z którego wyruszała procesja. Ulica nieco się rozszerzała i tam właśnie zgromadziło się najwięcej ludzi. Tłum widzów w kolorowych strojach nie tylko wypełniał przestrzeń między domami, lecz także zasiadał na balkonach i oknach, a nawet na konarach drzew. Większość z nich obficie raczyła się winem, było więc jasne, że wkrótce wielu padnie zamroczonych. Nie-

którzy już mieli przekrwione oczy i nosy zaczerwienione od trunku. z trudem trzymali się na nogach. W zacisznych zaułkach namiętnie całowały się pary. Gdy Andres zaczął się im z zainteresowaniem przyglądać. Elena szybko poprowadziła go dalej. W pobliżu rozstawiono stragany z jadłem i napojami. Z zadowolenia malującego się na twarzach kupców i pękatych sakiewek wiszących im u pasa łatwo można było wywnioskować. że interesy idą nie najgorzej. Apetyczne wonie mięs. słodczy i wypieków mieszały się z odorem potu. alkoholu, moczu i wymiocin, którego nie był w stanie pokonać letni wiatr. środkiem ulicy podążała procesja. Płynęła jak rzeka rozpryskująca swe wody na ludzi stojących na brzegu. tylko kobieta i dziecko, które trzymała za rękę. jedyne czarne sylwetki na obrazie pełnym barw, pozostawali suchuteńcy.

Elena Rodriguez przez chwilę rozglądała się za miejscem, z którego Andres mógłby wygodnie obserwować uroczystość. Jednak tłum był tak gęsty, że szpilki nie dałoby się wetknąć. Popychani i poszturchiwani. w końcu zostali zapędzeni w jakiś ciasny kąt. Andresillo wspiął się na palce. próbując cokolwiek zobaczyć. Ale nie zdołał ujrzeć niczego zza otaczającego go ze wszystkich stron muru ciał. Wyraz twarzy ludzi, którzy stali obok. zdradzał. że muszą widzieć coś pięknego. Andresa zżerała ciekawość. Elena wahała się przez moment, lecz po chwili wzięła chłopca na rękę. Oboje byli tym zaskoczeni. Nigdy jeszcze nie znaleźli się tak blisko siebie. kobieta się przestraszyła. że dziecko wyślizgnie się z jej objęć. lecz malec, powierciwszy się nieco, usadowił się wygodnie w jej ramionach, po czym

jak gdyby nigdy nic zaczął obserwować procesję. Z jego szeroko otwartych, pięknych oczu łatwo było wyczytać, że pierwszy raz w życiu widzi tak liczny i tak barwny tłum.

Elena Rodriguez wpatrywała się nie tyle w procesję, ile w jasną twarzyczkę chłopca. jedyną istotą, która w jakiś sposób zdołała pozostać nieskalana w lepkim bagnie występku, było to dziecko, trzymane przez nią w ramionach. Była przekonana, że tylko temu czystemu sercu miasto zawdzięczało to, że nadal istnieje, że niebo nie runęło na ziemię, wody nie wezbrały wzburzone, a góry wciąż się wznosiły. To jedno wolne od grzechu serduszko odwróciło od miasta gniew boży. Tak, tylko przez wzgląd na Andre-silla Bóg nie zesłał na Madryt deszczu kamieni. jeśli to gniazdo grzechu nie zostało jeszcze zrównane z ziemią, zniszczone przez trzęsienia ziemi. tak że kamień na kamieniu nie pozostał. jeśli zamieszkująca je rzesza nędznych grzeszników wiernie służących szatanowi nie smaży się jeszcze w ogniu piekielnym. to wyłącznie dzięki temu dziecku. Przez wzgląd na to niewiniątko Bóg pozwalał żyć tylu grzesznikom. Jej zaś powierzył zadanie ochrony tej delikatnej i kruchej istoty, jedynego wybawcy wszechświata. Bez wątpienia tylko nieliczni mogli się cieszyć tak ogromną łaską.

Przed nimi przemaszerowała grupa barwnie ubranych kobiet i mężczyzn. Idąc. podskakiwali w tanecznym korowodzie. Andresowi wydali się podobni do zajęcy. które tak zabawnie naśladował wujek Miguel. Drobne dzwoneczki naszyte na karykaturalnie wielkich kapeluszach

w odcieniu dojrzałego kawona oraz bransolety na kostkach
brzęcały głośno przy każdym ruchu przebierańców.
za nimi szli inni. ubrani od stóp do głów na zielono, z ja-
skrawozielonymi laskami w rękach. Sypali w tłum zielo-
ne listki, widzowie zaś, niczym kury łapczywie dziobiące
pszenicę, rzucili się, by je zbierać, przepychając się przy
tym i tratując. Jakby nie były to liście, lecz złote mone-
ty. W mgnieniu oka zostały wybierane wszystkie, co do
jednego. Następnie nadciągnęli kuglarze odziani w inten-
sywnie pomarańczowe stroje. Z wielką wprawą zonglowali
złocistymi piłeczkami strojnymi w długie frędzle. Czasem
udawali, że któraś wypada im z rąk. a wtedy widzom serca
podchodziły do gardła, lecz zawsze łapali ją tuż nad ziemią
i podrzucali wysoko. Tłum gorąco oklaskiwał ich występ.
Andres też zawzięcie bił brawo, aż poczerwieniały mu dło-
nie. Wirujące w powietrzu piłeczki bardzo mu się podoba-
ły. W ślad za kuglarzami pojawili się mężczyźni w maskach
i pelerynach, jadący na wozie ciągniętym przez starego,
zmęczonego muła. Pozdrawiali tłum. wymachując kape-
luszami, z których każdy ozdobiony był piórem. Od czasu
do czasu wyciągali szpady i straszili gapiów tłoczących
się po obu stronach ulicy. a jeden z nich posunął się na-
wet dalej i czubkiem broni rozdarł pas jednemu z widzów,
podpitemu jegomościowi o czerwonym nosie i pokaźnym
brzuszyku. Nieszczęśnik ani się spostrzegł, jak został w sa-
mych gaciach. Gdy jego złorzeczenia zagłuszył głośny re-
chot rozbawionego tłumu, bezczelny śmiałek. zadowolony
z wrażenia, jakie zrobił, ukłonił się publiczności. Wtem

jego spojrzenie spoczęło na jednej z dam obserwujących procesję z balkonów. Z girlandy zdobiącej wóz zerwał różę. powąchał ją. po czym, zerkając spod oka na młodą kobietę na balkonie, przytknął kwiat do warg i ucałował. Czerwona róża, wirując wokół własnej osi. poszybowała w powietrze i dosięgła celu. Dziewczyna, która ją złapała. zarumieniła

się z podniecenia. Przechylając swe krągłe piersi nad poręczą. posłała śmiałkowi pocałunek. Na widok tych zalotów w tłumie zerwały się oklaski; tylko nieświadom niczego stary, zmęczony muł powoli ciągnął dalej wóz.

Andres nie wiedział, w którą stronę patrzeć. Kolory, dźwięki i zapachy mieszały się ze sobą; natłok wrażeń napierał na niego jak wszechogarniająca ognista kula. Nagle w tym zamęcie ujrzał przed sobą wielkie rusztowanie wznoszące się ku niebu. To byli gigantess! Mimo monstrualnych rozmiarów falowali na wietrze jak płatek listkowego złota, pokładając się raz w jedną, raz w drugą stronę. Jeden z nich miał postać kobiety. W uszach dyndały mu długie kolczyki, na szyi miał sznury wielkich koralii. Nagle zerwał znamię z lewej strony krwistoczerwonych ust i cisnął je w tłum widzów. Powstałe w tym miejscu zagłębienie natychmiast wypełnił wiatr, którego podmuchy niosły czarną sadzę. Drugi olbrzym miał brodę i okulary, a na plecach niósł worek pełen grubych ksiąg. Trzeci był dużo młodszy od pozostałych i miał gładką twarz. Ten z brodą wydał się Andresowi podobny do ojca. Ojciec" go jednak nie poznał; wlokąc swe wielkie ciało, przeszedł obojętnie obok. Widzowie przepychali się i podskakiwali, starając się pomacać

któregoś z olbrzymów. Andres też wyciągnął ręce. Gdyby udało mu się wdrapać na głowę któregoś z nich, mógłby dotknąć nieba. Może wtedy zobaczyłby Boga. zapytałby. dlaczego nie ukazuje mu się nocami, by potrzymać go za rękę. Ale gigantes oddalili się bardzo szybko.

Zanim Andres zdołał się otrząsnąć z zaskoczenia, jakim było pojawienie się olbrzymów. ujrzał przed sobą karty.

* Gigantes — olbrzymi.

Pod ciężarem wielkich głów ich drobne ciała z trudem się poruszały. Ledwie stawiali kroki. Coraz to jakiś bezwstydnik z tłumu popychał ich lekko, a oni — ku radości gapiów — przewracali się. turlali po ziemi i wierzgali. Pozostali pomagali im wstać, oni zaś się otrzepywali i nie tracąc rezonu, dreptali dalej. kołyszac olbrzymimi głowami.

Nagle go dostrzegł. Jak węgorz prześlizgujący się wśród fal szybko zmierzał w jego kierunku. Zniżał lot niczym drapieżny ptak. który wypatrzył ofiarę i sposobi się do ataku. Andres starał się na niego nie patrzeć. ale ciekawość zwyciężyła nad strachem i nie mógł już oderwać od niego wzroku. Był to olbrzymi wąż osadzony na kołach. miał wielką głowę, plamistą skórę. rozdwojony język i ostre zęby. Jego oczy były zamglone. a jednocześnie przepastne. Język zwisał spomiędzy zębów. czerwony, ociekający jadem: wydawało się. że wąż szuka wśród tłumu ofiary. by ją ukąsić. Wijąc się to w jedną, to w drugą stronę, potrącał gapiów przyglądających mu się z zaciekawieniem, strącał kapelusze z ich głów. śmiali się wszyscy: zarówno ci, których to spotkało, jak i ci. którzy się temu przyglądali.

Uśmiech pojawił się nawet na wargach Eleny Rodriguez. dotąd obojętnie śledzącej występy. W tłumie gęstym jak w dzień Sądu Ostatecznego jedynym, który się nie śmiał, był Andres.

Olbrzymi wąż zbliżył się do kobiety i chłopca i nagle się zatrzymał. Kręcił głową to w prawo, to w lewo, do góry i do dołu, aż znalazł to, czego szukał. Andres zastygł z przerażenia. czuł, że to on jest ofiarą, ale nie mógł nawet drgnąć. a co dopiero uciec. Wąż był coraz bliżej. Malcowi się wydawało, że za chwilę zniknie w przepastnej paszczy i resztę życia spędzi w brzuchu potwora. Zacisnął powieki.

Zaraz zostanie połknięty. Usłyszał krzyki i lamenty dochodzące z domu przy ulicy Fortuny. Oczami wyobraźni ujrzał matkę w rozpacz, ojca wyrywającego sobie włosy z brody, stryja podskakującego jak zając i zalewającego się łzami oraz pokryte nagniotkami dłonie Boga. Wyobraził sobie, jak co roku małe dzieci, trzymając matki za ręce, zaglądają w paszczę węża i modlą się za małego Andresa, który w niej zniknął. Wąż przypominał mu olbrzymie ciastko chrup-chrup, a on sam był jak wetknięty w nie malutki, okrągły, niebieski koralik. Czekał, czekał i czekał. Ale nic się nie wydarzyło. Nie rozległ się zgrzyt zębów rozrywających ciało ofiary, nie poczuł ani smaku śliny wymieszanej z krwią, ani bólu... Po dłuższej chwili zebrał się na odwagę i otworzył oczy. Dookoła panowała nieprzenikniona ciemność. Musiał znajdować się w paszczy węża albo w jego brzuchu. Zrobił krok naprzód, i jeszcze jeden. Najpierw stopa, a potem całe ciało znalazły się w pustce: zaczął szybko zsuwać się

w dół. Sunąc tak w ciemności, uczeplił się kurczowo pierwszej rzeczy, którą udało mu się pochwycić. Nie po to, by podciągnąć się wyżej, by szukać drogi ratunku, po prostu instynktownie chciał się czegoś przytrzymać. Jakby to nie wąż jego. ale on połykał węża.

Smak węża był gorzki. Gorycz miała smak węża.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia. Elena Rodriguez próbowała uwolnić włosy z zaciśniętych pięstek malca. Tego dnia znowu się przekonała, że Andres nie przypomina innych dzieci, i po raz pierwszy poczuła przed nim lęk.

Olbrzymi wąż był już wtedy daleko. Ludzie po obu stronach ulicy szukali swoich kapeluszy, strąconych przez potwora. Jedni byli zadowoleni, bo znaleźli nakrycia głowy

ładniejsze niż ich własne, i starali się wymknąć niepostrzeżenie, by nie zostać złapani przez prawowitych właścicieli kapeluszy. Andres rozejrzał się dookoła pustym wzrokiem, jak ktoś, kto właśnie obudził się ze snu. Niepojęte, że ludzie byli rozbawieni spotkaniem z tym monstrum. Czyżby w ogóle nie czuli strachu? Czy zachowywaliby się tak swobodnie, gdyby się go bali? Nagle jego zeszywniałe z napięcia ciało się rozluźniło i chłopiec z całej siły przytulił się do Eleny Rodriguez. Kobieta znieruchomiała. Nie wiedziała, jak ma zareagować na tak niespodziewaną, nagłą serdeczność z jego strony. Wtuliła wargi w gęste, kręcone włosy chłopca. Wciągnęła w płuca jego słodki, mleczny zapach. Ze szczęścia chciało jej się płakać.

— Mój maleńki — powiedziała głosem pełnym czułości — przestraszyłeś się? Nie bój się. syneczku. Jestem

przy tobie.

To był wietrzny, deszczowy dzień. W drodze powrotnej na ulicę Fortuny Andres nie odezwał się nawet słowem. Jego twarzyczka przypominała marmurową rzeźbę. W gładkim kamieniu zastygły radość, gniew i smutek chłopca.

BUNT

Co czas zabarwi!, ufarbowałam. ale na darmo

Farba nie trwała i barwę swoją czas mnie

ogarnął

O pięknej kobiecie z siwymi włosami

Księga tysiąca i jednej nocy

Tłum J Flcowski)

Styczniowy wieczór roku pańskiego tysiąc pięćset siedemdziesiątego piątego. Na wyboistej górskiej drodze pojawiło się trzech jeźdźców na czarnych koniach. Byli najwyraźniej obcy w tych stronach i uzbrojeni. Uzbrojeni i zawzięci. Jakby przysięgli sobie ani na chwilę nie odrywać oczu od zachodzącego słońca. By nie rozcieńczać gadulstwem gorzkiego smaku tej przysięgi, milczeli jak zakłęci. Ziemię te co prawda zwykli już gościć podobnych przybyszy. milczących i tajemniczych, lecz ci ludzie wyglądem i zachowaniem zdawali się obwieszczać. że nie zamierzają ani jedynie tędy przejechać, ani też zatrzymać się tu na dłużej. Ani przejechać. ani się zatrzymać... Przybyli tu, by złapać i zbadać, zbadać i utoczyć krwi, utoczyć krwi i zabrać. Reszta to już nie był ich problem. tym niech zajmują się inni. Kiedy wypełnią swą misję, nigdy już nie wspomną nawet tych trudnych do przebycia górskich dróg.

Byli zmęczeni. Natychmiast po otrzymaniu rozkazu od Świętej Inkwizycji wyruszyli w drogę. Pędzili dniem i nocą.

nie zatrzymując się nigdzie na popas. by wieść o ich przybyciu i zamiarach nie dotarła na miejsce przed nimi. Wszak ściany — i nie tylko one — mają uszy. Taka wyczerpująca podróż to dla nich bynajmniej nie pierwszozna. Zjeździli już w ten sposób znaczną część kraju. Na dźwięk podobnego rozkazu nieraz już dosiadali koni i ruszali w drogę. Wszędzie, gdzie dotarli, budzili w ludzkich sercach lęk. Ale co tam! Bali się tylko ci, którzy mieli powody. by się bać. Ci, którzy zboczyli ze słusznej drogi. dali się ogarnąć ciemności, zanurzyli w bagnie grzechu. Jedyne. co można było dla nich zrobić, to w chwili gdy się tego nie spodziewali, oświetlić ich jasnym światłem wiary. Należało zanieść je tym. którzy próbowali skryć się w wioskach tak odległych. że umknęły uwadze kartografów. w korytach wezbranych rzek. Niech zaskoczy we śnie tych. którym się wydaje. że żyjąc z dala od innych, mogą robić, co im się żywnie podoba. Niech przypomina im. że choćby nie wiadomo jak daleko uciekli. wiecznie obserwuje ich wielkie oko. A jeśli ktoś miałby się podjąć świętego obowiązku niesienia owego światła. ci trzej ubrani na zielono mężczyźni wydawali się do tego stworzeni.

Celem ich wyczerpującej jazdy w chłodny zimowy dzień przez ziemie. na których nigdy dotąd nie postawili stopy. była zamieszkała przez morysków • wioska o nazwie Plasencia del Monte. Położona na północ ixi Saragossy, była jedną z miejscowości przysparzających zmartwień Świętej

Inkwizycji. Tak, z tą wsią były same kłopoty. Płynące z niej

- Morysowie — muzulmańska ludność Półwyspu iberyjskiego. kur

116

wichrzycielskie idee przenosiły się jak zaraza na okoliczne

wioski i mąciły w głowach wielu niewinnym a ciemnym

ludziom. Mieszkańcy Plasencii del Monte. którzy jeszcze

trzydzieści trzy lata wcześniej co do jednego byli mude-

jures". przyjmowali kolejno chrzest, lecz ani trochę nie

zmieniało to ich zwyczajów. Wieśniacy byli twardzi jak

góry. w których żyli. święta Inkwizycja z początku jedy-

nie obserwowwała ich poczynania. niczym cierpliwy ojciec,

od czasu do czasu zadowolając się pociągnięciem które-

goś Za ucho. Ale dyskretne pokazywanie kija skrywanego

pod opończą na nic się nie zdało. Wieśniacy żyli tak, jak

chcieli. W końcu cierpliwość Trybunału się wyczerpała.

czego najlepszym dowodem byli właśnie trzej familiares••

na koniach zmierzający do Plasencii del Monte.

Ubrani na zielono jeźdźcy byli zdecydowani zmiażdżyć

łeb wężowi nieprawomyślności. Bo choć wszyscy miesz-

kańcy tej nieszczęsnej wsi zachowywali się podejrzanie. to

z pewnością był ktoś, kto ich do tego podburzał. Wieśniacy.

których głównymi cechami były posłuszeństwo i pokora.

sami na pewno nie wpadliby na pomysł by się buntować.

Skoro każdy wąż ma łeb. ten z wioski Plasencia del Monte

również go ma. a jego imię to Amet Zambarel.

W opinii trzech ubranych na zielono mężczyzn Amet

lambarel musiał być albo nieustraszonym śmiałkiem. albo

szaleńcem. Albo dawno już celowo zboczył ze słusznej dro-

gi, albo w swej naiwności nie wiedział, gdzie i jakie echo

wzbudzą jego nieroztropne kroki. Jednym z jego pierwszych

posunięć było wystąpienie przeciw zarządzeniu, że rzeźnictwem mogą zajmować się wyłącznie katolicy z dziada pradziada. Potem, ośmielony najwyraźniej brakiem kłopotów, ściągnął je sobie na głowę, nie kryjąc się z tym, że trzyma w domu książki po arabsku. Każdego, kogo spotkał, zachęcał do korzystania z nich. W końcu zaczął uczyć arabskich liter i Koranu. Z czasem mieszkańcy wsi, wszyscy co do jednego, zaczęli nosić muski przygotowane przez lambarela. Gdy któregoś razu w Saragossie jeden z nich oddał krawcowi do zacerowania podartą koszulę, ten, znalazłszy muskę, doniósł na niego Inkwizycji. Było pewne, że te amulety, noszone przez chłopów z Plasencii del Monte do ochrony przed rozmaitymi nieszczęściami i intrygami, nie przyniosą szczęścia ani im samym, ani Amelowi lambarelowi.

Trybunał nie przejął się zbyt pierwszymi doniesieniami, ale gdy w kolejnych raportach pojawiała się wciąż to samo nazwisko, postanowił dokładniej zbadać sprawę. Wystanemu w tym celu szpiegowi — przebranemu za tureckiego derwisza i opowiadającemu płynną arabszczyzną o istocie wszechświata, ilekroć otworzył usta udało się bez trudu zaskarbić sobie zaufanie niczego nie podejrzewających wieśniaków. Fałszywy derwisz przekonywał ich, że gdy Israel" zadmie w trąbę, życie doczesne nie dobiegnie kresu, wręcz przeciwnie — zacznie się na nowo: za wrotami otwartymi przez szpiega nie ma ani lęku przed potępieniem, ani strachu przed śmiercią: następujący po nocy poranek przynosił lekkie podmuchy wiatru i niesione nimi

nowe przyjemności; góry i drzewa. ziemia i kamienie. rzeki

i strumienie mają swoje duchy. ale tylko człowiek może płakać. bo tylko on nosi w kącikach oczu imiona wszystkich duchów: gdy płacze. imiona rozbijają się na wyrazy. wyrazy na sylaby. sylaby na litery: w tej samej chwili wszechświat się rozpada i tworzy na nowo. istnienie i nicość mieszają się ze sobą w jednej chmurze pyłii.

Opowiadając o tym wieśniakom. budził w nich nadzieję: zwiastował im dobrą nowinę, że każda przelana krew w innym świecie będzie lśnić na ich szyjach jako drogocenna perła. Gdy szpieg. mistrz w swoim fachu, powrócił. zakończywszy misję. przedstawił muskę przygotowaną własnoręcznie przez Aniela Zambarela oraz swój raport. w którym szczegółowo opisał to. co zobaczył podczas pobytu w wiosce. Raport bez ceregieli doniósł o wszystkim. muska. zeznając:. zalewała się łzami — oboje wielokrotnie wypowiedzieli jedno imię. .hmet lambarel!

Ubrani na zielono mężczyźni przebyli taki szmat drogi. by złapać Ameta tambarela na gorącym uczynku. Gdy zmiażdżą wężowi głowę. oczyszczą wrzód toczący tę górzystą okolicę. Wjechawszy na szczyt pagórka. ujrzeli nagle przed sobą wieś, której szukali. Plasencia del Monte przywitała nieproszonych gości w momencie, gdy zupełnie się tego nie spodziewali. Przystanęli, by uważnie się jej przyjrzeć. Chcieli nasycić się tym widokiem, nim popędzą. by pustoszyć. niszczyć. wysysać życiodajne wody. Pora ruszać. Już mieli puścić się galopem w dół wzgórza. gdy usłyszeli za sobą jakiś szelest. Odwrócili się i spojrzeli,

lecz nie zobaczyli nic oprócz skał i chwastów, milczących świadków tego, co miało się wydarzyć. Kto wie, może to wiatr wydał ów szelest. Cały dzień siedział cicho. ale teraz. odzyskawszy mowę. próbował coś powiedzieć. A niech

sobie gada! Mężczyźni w zielonych strojach nie mieli ani zamiaru, ani czasu go słuchać.

Odwróciwszy się od wiatru, ostrogami zmusili konie do galopu. Jednak czarne wierzchowce nagle stanęły dęba i zrzuciły jeźdźców z siodeł. W jednej chwili trzech mężczyzn, oszołomieni, leżeli jak dłudzy na ziemi, bezradnie tocząc dookoła ~okiem. Konie nerwowo rozdymały chrapy. jakby napotkały na swej drodze jakieś przerażające stworzenie. W żaden sposób nie można było ich uspokoić.

Mężczyźni rozglądali się z niepokojem, wciąż nie wiedząc, co się stało. Wtem ich oczom ukazał się niezwykle obraz.

Oto stały przed nimi trzy białe konie — pojawiły się tak nagle, że musiały albo wyrosnąć spod ziemi. albo spaść z nieba w wielkim koszu. jak gdyby nigdy nic spokojnie skubały trawę. Przy nich stał połamany wóz bez kół.

Gdy ubrani w zielone stroje mężczyźni podeszli bliżej, przeszył ich dreszcz przerażenia. Na wozie leżały trzy trumny. Każdą z nich oznaczono inną literą, lecz przybysze byli zbyt zaskoczeni, by spostrzec, że były to inicjały ich imion. Po długim wahaniu zebrali się w końcu na odwagę i unieśli wieka trumien.

Trzy białe konie dęba stanęły.

Trzy czarne konie szybko uciekły.

trzej mężczyźni po miecze sięgnęli.

trzy trumny paszcze rozwarły.

Od stuleci

mieszkańcy wioski Plasencia del Monte

liczbę trzy uważali za szczęśliwą.

Do trzech razy sztuka.

no trzech razy zemsta.

120

Styczniowy wieczór roku pańskiego tysiąc pięćset siedemdziesiątego piątego. Od chwili gdy trzej jeźdźcy przysłani przez Inkwizycję obserwowali ze szczytu wzgórza wioskę Plasencia del Monte, minęły cztery długie dni. Wiatr, który tamtego wieczoru próbował coś powiedzieć, musiał chyba oszaleć z wściekłości, bo wiał bez przerwy. Karawana, której jedyną winą było to, że udając się do Huerty, przypadkowo wybrała tę drogę, musiała się zatrzymać, gdyż nie mogła pokonać jego podmuchów. Na próżno podróżni próbowali iść dalej — ledwie zrobili krok do przodu, wiatr odpychał ich krok do tyłu. W końcu jeden z nich, rozsądniejszy od pozostałych, poddał się; uznał, że lepiej poczekać, aż gniewne podmuchy ustaną. Zauważył bowiem, że wiatr jakby oddawał wet za wet: za każdy krok do przodu wymierzał krok do tyłu. W tej sytuacji postanowił schować się nieopodal za cembrowiną studni i tam przeczekać. Ledwie jednak zbliżył się do prowizorycznego schronienia, gdy w jego nozdrza uderzył silny odór, tak intensywny, że nawet porywisty wiatr nie zdołał go rozrzedzić. Kilkakrotnie okrążył studnię, nieczynną od lat, by odkryć źródło smrodu; w końcu, walcząc z torsjami, zajrzał do środka.

Z początku dostrzegł jedynie ciemność.

Ciemność przez chwilę ciemność czarna krew czarny-
śnieg.

Nagle śnieg przestał padać. chwila przeminęła, ciem-
ność stopniała. Wraz z jego pojawieniem się i śnieg. i chwila,
i ciemność odeszły, nie ociągając się. Podróżny zrozumiał.
że tym. co połyskiwało na brzegu cembrowiny. był sztylet.
Niewiele myśląc, wyciągnął rękę i wyjął go.

Najpierw dostrzegł inkrustowaną rubinami rękojeść.

Wielkie purpurowe kamienie uwodzicielsko wyginały szy-
je, rzucając mu omdlewające spojrzenia. Na widok tej nie-
oczekiwanej zdobyczy podróżny się uśmiechnął: być może
zamierzał już przywdziać białe skrzydła marzeń o bogac-
twie, gdy jego wzrok ześlizgnął się niżej. Na końcu ostrza
tkwiło serce, ludzkie serce. Podróżny z niedowierzaniem
patrzył to na swoje palce ściskające rękojeść, to na wciąż
pulsujące serce. Skamieniał. Nie mógł wydobyć głosu. Nie
był w stanie ani zawołać kolegów. ani odrzucić sztyletu.

Stał jak zaczarowany, ze wzrokiem wbitym w trzymane
w rękę narzędzie zbrodni.

Wówczas przemówił sztylet i powiedział. że co innego
jest zabić kogoś żyjącego, a co innego uśmiercić martwego.

Przychodzi taki dzień, taka chwila, że każdy, bez wyjątku.
staje się zdolny do popełnienia morderstwa. Ktoś, kto nie
skrzywdziłby nawet mrówki, jest w stanie odebrać komuś
życie. Ale zabicie trupa. pocięcie jego ciała na kawałki to nie
skutek chwilowej nierozwagi. lecz dzieło furii. Sztylet dodał
też, że włóczenie się po miejscach. w których wściekłość jest

tak wielka. a nienawiść tak potężna. może się źle skończyć.

Podróżny udający się do Fluertv nie był jednak w stanie zrozumieć słów sztyletu, choć ten mówił powoli i wyraźnie. Szeroko otwartymi z przerażenia oczami wciąż wpatrywał się w serce kołyszące się na końcu ostrza. Sztylet tkwił w jego dłoni. przykleił się do niej. stał się szóstym palcem. Dopiero dużo później pozostali wędrowcy. gdy zorientowali się. co się dzieje i wzięli nieszczęśnika pod ramiona. zdołali rozewrzeć palce zaciśnięte na rękojeści. Jego dłoń się otworzyła. usta jednak pozostały zamknięte. Pechowy podróżny. którego jedyną winą było to. że wybrał

się do Huerty niewłaściwą drogą w niewłaściwym czasie,
do końca życia pozostał niemy.

W ten sposób odkryto ciała trzech wiernych sług Świętej Inkwizycji, którzy zmierzali do wioski Plasencia del Monte, by złapać Ameta lambarela. W ciągu nastę-
)) nych dni sprawa stała się bardzo głośna, choć człowiek, który dokonał odkrycia, stracił mowę. Wieść o zabójstwie e rozeszła się lotem błyskawicy. W cztery strony świata rozesłano ludzi, by ująć winnych. Listę podejrzanych otwierał oczywiście Amet Zambarel, który jednak zniknął bez śladu. Zemsta dosięgła więc jego rodzinę. żonę wywleczono z domu i aresztowano. Skazana, spędziła dwa lata w więzieniu. po czym na kolejnych dziesięć została wysłana do klasztoru. Starsza córka nie zniosła udręki. wyzionęła ducha w mrocznym lochu. Oskarżona o zaplanowanie zbrodni najmłodsza siostra Ameta. Serafina. wstała schwytna po pięciu miesiącach, gdy rozpalona gorączką leżała na wpół

przytomna w pieczarze nieopodal wsi. Nie pożyła długo. Samemu zaś Ametowi Zambarelowi udało się uciec. Podążał stale na północ, aż z pomocą pirenejskich górali, katolików. przedostał się do Francji i tam przez swoich stronników został wsadzony na statek płynący do Afryki Północnej. Zamordowanym familiares wyprawiono uroczysty pogrzeb. Okazało się jednak, że niełatwo ustalić, które resztki powinny spocząć w poszczególnych grobach. Mordercy bowiem, tak jakby chcieli podkreślić wspólnotę losu swych ofiar, wymieszali kawałki ciał. Które serce biło w piersi którego jeźdźca, miało na Zawsze pozostać tajemnicą. Kiedy we wsi szaleli śledczy przysłani przez Inkwizycję, kobiety z wioski Plasencia del Monte ukryły młodszą córkę Zambarela jak najcenniejszy skarb. Jej matka, druga żona Ameta, była niewolnicą z Maghrebu. Kupił ją od pewnego handlarza za dwie sakiewki złota i natychmiast wyzwolił. Ich miłość głęboko zraniła pierwszą żonę, która na znak doznanego upokorzenia kazała sobie wytatuować na czole oko. Wielkie, czarne oko z czerwonymi rzęsami wokół! Od tej pory miała troje oczu. Opowiadano, że gdy wpadła w ręce Inkwizycji, z trzeciego oka spłynęła łza. Druga, ukochana żona Zambarela. piękność o jasnej cerze i czarnych włosach, zmarła wiele lat przed tymi wydarzeniami, gdy wydawała na świat pierwsze i jedyne dziecko. Amet wielką miłość, jaką darzył żonę, przelał na młodszą córkę. Kochał ją nad życie. Ilekroć na nią patrzył — na włosy, jasną cerę, sylwetkę pozwalającą przypuszczać, że wyrośnie na wysoką dziewczynę — widział jej zmarłą mat-

kę. Dziewczynka była do niej niezwykle podobna. Z jedną różnicą: miała niebieskozielone oczy, jakich nie miał żaden członek rodziny ani ze strony matki. ani ze strony ojca.

Co dziwniejsze, jej źrenice w słoneczne dni rozszerzały się i stawały przezroczyste. w deszczowe zaś się kurczyły. przybierając niebieskawy odcień. W nocy jej oczy lśniły niezwykłym blaskiem. w dzień wydawały się matowe i zamglone. W ciemności mogła iść z sokołami w zawody. gdy było jasno, widziała tyle, co nietoperz. światło nie było dla niej.

Kobiety z wioski Plasencia del Monte. które wiele już przeżyły. lecz wciąż miały nadzieję. że nadejdą lepsze czasy, schowały dziewczynkę w spiżarni. Pozostała tam wiele dni, ukryta wśród najrozmaitszych przypraw. suszonych na zimę owoców, koszy pełnych zapasów i wielkich dzbanów o szklawionych szybkach, wdychając unoszący się w po-

114

wietrze mdlący zapach. Przez cały ten czas rozmawiała z białym kamykiem w woreczku z muską, który ojciec zawiesił jej na szyi. Rozmawiała. bawiła się nim. zabijała czas. W końcu drzwi się otworzyły. Przerazona, jak gdyby stanęła twarzą w twarz z jakimś okropnym stworem, z krzykiem uciekła w głąb pomieszczenia przed snopem światła, który wpadł do mrocznego schowka. Kiedy kobietom udało się w końcu wyciągnąć ją z ukrycia, osłupiały ze zdziwienia. Wszystkie bez słowa wpatrywały się w jedno: w jej włosy.

Zbielały, były teraz białe jak śnieg. Odtąd nazywano ją Starą. Kobiety wysłały ją do dalekich krewnych, do Gea de Albarracin, prawdziwej muzułmańskiej oazy między miastem Daroca a Segorbe. Na pożegnanie powiedziały, że kto nie zaznał pomyślności od ziemi, na której przyszedł na świat, powinien jak najprędzej przenieść się na obczyznę.

Stara nic na to nie odrzekła. Uśmiechnęła się tylko. - •

Odjeżdżając. ani razu się nie odwróciła i nie spojrzała na wieś, w której przyszła na świat i spędziła dzieciństwo, której zapach będzie wciąż nosić na skórze, której wiatr będzie czuć w swoim oddechu. A nawet jeśli by się odwróciła. i tak

k

niczego by nie widziała. Jak miałyby zobaczyć? Na nieboskłonie słońce: ognistoczerwone, nieziemskie; rozwiane włosy: białe; zasłona na zielononiebieskich oczach: gruba, mglista; zaszyty w woreczku kamyk: biały; zapach usiłujący przeniknąć przez frędzle zastony: intensywny. brzydki; samotność w spiżarni: czarna; przekleństwo w ustach podobnych do pieczęci: nieugięte, wieczne: posmutniałe dzieciństwo: białe: dziecięcy bączek w zasięgu przekleństwa: ognistoczerwony, słoneczny: dwa duchy, jeden podobny do nocy, drugi do dnia: czarno-białe.

— Dlaczego wołają cię Stara? Byłaś stara już wtedy, kiedy byłaś mała?

Dźwięczny głos Isabel wypełnił podwórko. Stara się uśmiechnęła. Zerwała jedną z hodowanych przez siebie róż. Kwiat miał dziwny kolor. Isabel nie lubiła róż, zwłaszcza tych o wielu płatkach. Stara dobrze o tym wiedziała; podniosła pąk do twarzy i spytała:

— Powiedz mi, co mam z ciebie zrobić? Olejek różany,
wodę różaną czy suszone płatki róż? jak sprawić, by Isabel
dostrzegła twoje piękno?

STRUMIEŃ

Miłość i pożądanie mogą być nadmierne.

SPINOZA, Eryka

(Tłum. I. Halpern-Myslicki)

Gdy się obudziła, usłyszała szum wody. Najpierw przypo-
minął dobiegającą z oddali nieśmiałą kołysankę. śpiewaną
dziecku walczącemu ze śmiercią. Potem stał się podobny
do słów przerywanych szlochem, mających zawsze to sa-
mo mętne znaczenie, niezależnie od tego. czy czytać je od
początku. czy od końca. W końcu zmienił się w zduszony
krzyk, pozbawiony echa. szamocący się jak ranne zwierzę
na dnie urwiska.

Nagle. zupełnie nieoczekiwanie, zaległa cisza. Koły-
sanka ustała, słowa się zatarły, krzyk urwał. Woda zamilkła.

Dało się jeszcze słyszeć żwawą melodyjkę kilku ostatnich
kropli, które jak kamień wrzucony do jeziora wzbudziły
zwielokrotnione kręgi. aż w końcu zanikły.

Gdy dźwięk wody ucichł. wstała z łóżka. Zamknęła
oczy i spojrzała na strumień. Nurt był silny — płynął ci-
cho i głęboko. Ileszcze nie wybrał dla siebie kierunku. ale
niesione przezeń kamienie, gałęzie. ryby i wspomnienia
zdradzały, skąd brał swój początek — z nie zaznaczone-

go na mapach koryta, położonego koniecznie gdzieś na północy.

Zmieniała się. Zauważała, że się zmienia. Czuła, że może stracić wszystko, co ma. Ale chyba nie odczuwała smutku z tego powodu.

NIESZCZĘŚCIE

Jakie to dziwne: cierpienie tego człowieka stało się liturgią.

KHALIL GIBRAN, *The Son of Man*

Gdy tylko Rodrigo Mendez Silva usłyszał o tym, co się stało. pospieszył do Miguela. Jednym tchem wyjawiał mu. czego się dowiedział, po czym zamilkł. wbiwszy w przyjaciela wzrok, który wyrażał jawną obawę. Teraz, zależnie od jego reakcji, albo uzna, że na próżno się martwi!. i poczuje ulgę, albo pozbędzie się nadziei, że dożyje następnego ranka. Tak jakby to, czy nastąpi koniec świata, zależało od jednego słowa, które wyjdzie spomiędzy warg Miguela. To jedno słowo może powstrzymać niebiosy przed runięciem na ziemię. umocować gwiazdy ześlizgujące się z firmamentu i sprawić, że zniknie cierpienie, zarówno to. które trzeba znosić teraz, jak i to, które ma dopiero nadejść. Lecz Miguel milczał jak zakłęty. Od czasu do czasu podnosił tylko głowę i uśmiechał się do wiecznie przestraszonego przyjaciela o olbrzymim ciele i duszy dziecka. W końcu nie mógł dłużej zwlekać, musiał coś powiedzieć.

— Nie martw się! — rzucił, choć wiedział, że nie za-

brzmi to przekonująco. Sam był zmartwiony i nie umiał te-

go ukryć. Ale cóż da martwienie się? Życie nie jest pasmem szczęśliwych zdarzeń. Jedyna różnica polega na tym, że teraz może być jeszcze mniej szczęśliwe, i tyle. Ale Rodrigo nie należał do ludzi, którzy potrafią to dostrzec. Tacy jak on w najlżejszym trzęsieniu ziemi, w byle drzeniu miękkiego gruntu pod stopami upatrują katastrofy: jak stary, uparty maź trzymają się kurczowo swej obrosłej wodorostami skorupy.

Zdarzenie, które tak przeraziło Rodriga i stało się niemal wyłącznym tematem rozmów w całym Madrycie, miało miejsce we wsi La Guardia w pobliżu Toledo. Mieszkający tam converso o imieniu [leniło Garcia został uznany za winnego uprowadzenia chrześcijańskiego chłopca, torturowania go i utoczenia żeń krwi na macę. Jak mówiono, zaprowadził on swą ofiarę do pobliskiej jaskini i tam, przybiwszy ją do krzyża z desek, przez długie godziny chłostał biczem. Kiedy zwłoki nieszczęsnego dziecka w cierniowej koronie na głowie i z krwawymi śladami tysięcy razów na całym ciele znaleziono i przywieziono do wioski, Benito natychmiast został pojmany i wtrącony do lochów Świętej Inkwizycji. Wieść o zdarzeniu szybko się rozeszła i najpierw w wiosce La Guardia. a wkrótce potem w Toledo i Madrycie zaczęto oddzielać wrogów od przyjaciół. Aby jacyś wrogowie nie splątali się przypadkowo między przyjaciół i nie uniknęli przez to kary, na drzwiach domów tych pierwszych robiono niewielki krzyżyk. Mały malusieńki ślad. Żeby pamiętać i w przyszłości się nie pomylić..

Rodrigo Mendez Silva, podobnie jak Misiie', był przechrztą. Przerażonym przechrztą! Bał się, że wrogość wobec wychrztów która zaczęła się w La Glutyna i szybko rozprzestrzeniała się od wsi do wsi. dotrze w końcu i tu.

oni zaś staną się jej obiektem. Jedyną osobą, która w takiej chwili mogła go uspokoić i pocieszyć, był Miguel. Dlatego Rodrigo od razu pospieszył do niego, jak dziecko, które chce, by ktoś je utulił, albo jak złakniony głaskania kot. Jego zdaniem Miguel miał niezwykłą zdolność, był niczym magiczny amulet — w jego obecności człowiek odzyskiwał spokój, jednocześnie jednak uświadamiał sobie z całą wyrazistością, że ten spokój może w każdej chwili prysnąć jak bańka mydlana.

— Dalej — zawołał Miguel, zrywając się z miejsca

— rusz się! Dość tych smutków. Pora się trochę zabawić!

Rodrigo ze zdumieniem patrzył na przyjaciela, który szykował się do wyjścia.

— Słuchaj, mam świetny pomysł. Przegonimy zgryzoty, co ty na to? Czy możesz mi znaleźć jedenastu ludzi?

— Jedenastu ludzi? Co ty poczniesz z jedenastoma ludźmi?

— To bardzo proste — odparł Miguel. — 1),.. ja i jeszcze jedenastu w sumie daje trzynastu.

W zadziwiająco krótkim czasie udało się zebrać jedenastu chętnych. Ruszyli ulicami hałaśliwą procesją. wśród głośnych śmiechów i okrzyków. Miguel sypał dowcipami jak z rękawa, zwracając się do swych jedenastu nowych towarzyszy tak swobodnie, jakby znał ich całe wieki. Rodri-

go się uspokoił. Powierzył swą osobę Miguelowi i robił to samo, co jego przyjaciel. W pewnej chwili Miguel ruchem ręki nakazał gromadzie, by się zatrzymała.

— Panowie, jesteśmy na miejscu! — oznajmił.

Stali przed zajazdem, którego właściciel kilka dni wcześniej o mało nie wylał zawartości nocnika na głowę

Miguela. Jego nazwa brzmiała "El Toro Azul" — z okrągłego szyldu wiszącego nad drzwiami spoglądał na przechodniów niebiesciutki byk. Wydając zgrzytliwe skrzypnięcia, szyld kołysał się lekko na wietrze, przez co byk sprawiał wrażenie, jakby nerwowo machał ogonem, by odgonić natrętne muchy. Posturę miał potężną, mógł nawet wzbudzać lęk, lecz z braku miejsca jeden z jego rogów został namalowany tylko do połowy, co nadawało zwierzęciu nieco żałosny wygląd. Miguel Pereira z szacunkiem pozdrowił byka, po czym z całym orszakiem wszedł do środka. Wszyscy w jednej chwili spowaźnieli. Musieli przecież być wiarygodni i dobrze odegrać swoje role, by także inni mogli w nie uwierzyć.

Miguel Pereira ze smutnym, zamyślonym wyrazem twarzy przekroczył próg zajazdu. Jego właściciel nie rozpoznał w nim człowieka, z którym ledwie kilka dni wcześniej obrzucał się wyzwiskami. Kątem oka zerknął na przybyłych gości. Wskazał im stół w rogu sali i wrócił do rozmowy z jego gościem, którego przekrwione oczy dobitnie wskazywały na spożycie nadmiernej ilości wina. Miguel zorientował się, że konwersacja obu panów może potrwać długo, kazał więc Rodrigowi, który z trudem powstrzymywał śmiech, nakazał podejść do karczmarza, poinstruowawszy go uprzednio,

co ma mówić.

— Ma pan niesamowite szczęście. panie karczmarzu

— odezwał się Rodrigo. starając się nadać swojemu głosowi barwę tajemniczości.

Karczmarz był nieokrzesanym, a do tego wyjątkowo mało urodziwym człowiekiem. Ponieważ nie mógł zrozumieć, co kryje się za słowami klienta, obdarzonego zresztą

pokaźną tuszą, spojrzął na niego drwiąco. Jednak Rodrigo nie dał się zbić z tropu. ,

— Dziś postanowiliśmy zaszczyścić swoją obecnością ciebie i twój zajazd. Czy jesteś gotów godnie przyjąć Pana naszego, Jezusa, i Jego dwunastu apostołów?

Karczmarz osłupiał; gapił się na Rodriga z ustami szeroko otwartymi ze zdziwienia — nie wyglądało na to. by gość stroił sobie z niego żarty. Właściciel zajazdu odwrócił się, po czym z uwagą i zaciekawieniem przyjrzał się po kolei mężczyznom, którzy siedzieli przy stole w rogu. Zupełnie nie wiedział, jak ma zareagować. Jeśli to niesmaczny żart, nie miał zamiaru dać się nabrać. Co jednak, jeśli to prawda? Gdyby odmówił, popełniłby straszny grzech. Spojrzał błagalnie na swego pijanego klienta, lecz ten skorzystał z chwili ciszy i przysnął. Odgłosy dobywające się z jego otwartych ust wskazywały, że wkrótce chrapanie będzie słychać w całym zajazdzie. Bezradny karczmarz zastanawiał się jeszcze chwilę. po czym na uginających się nogach podszedł do stołu.

— Witajcie! Zaszczyciliście mój lokal — powiedział

i natychmiast pożałował tych słów Nie spodobał mu się ów

powitalny zwrot. ale nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. A to kładł Woń na swym wydatnym brzuchu. a to przestępował z nogi na nogę jak skarcone dziecko. to znów z głupawym uśmieszkiem próbował schlebiać gościom.

— Mamy za sobą długą drogę. karczmarzu. Sam widzisz, jak bardzo jesteśmy zmęczeni i głodni — oświadczył Miguel Pereira, zdecydowany wykorzystać niepokój właściciela zajazdu.

Na te słowa karczmarz zerwał się jak wystrzelony z procy. uradowany, że wreszcie wie, co ma robić. Pobiegł

do kuchni i opowiedział o wszystkim żonie. Oboje zabrali się do przygotowywania wystawnego posiłku. istnej uczyty. Małżonka karczmarza. w przeciwieństwie do męża — żywnego, krzepkiego i pełnego wigoru jegomości, była drobna, sucha i koścista. jednak ta znaczna różnica postury nie stanowiła bynajmniej przeszkody, by osobą, która w tym małżeństwie pociągała za sznurki, od dnia ślubu była właśnie ona. I to ona zdmuchnęła okruszki ostatnich wątpliwości karczmarza. Usłyszawszy, że w ich zajeździe pojawił się Jezus w towarzystwie dwunastu apostołów. bez wahania rzuciła się pichcić najsmaczniejsze dania i dobywać z piwniczki najlepsze wina. Wobec niezłomnej pewności siebie i zdecydowania żony karczmarz. który pokornie godził się na wszystko. wyzbył się resztek wątpliwości i wraz z nią zaczął się gorączkowo krzątać.

Stół dosłownie ugiął się od potraw. Pojawiły się na nim dobrze uwędzone świńskie uszy. pieczone udźce, małe czerwone kiełbaski z drobnymi białymi cętkami tłuszczu.

koźlę z różną, pstrąg zapiekany w glinianym naczyniu, raki w winie, faszerowane kurczaki. duszona kura z warzywami. gęsie wątróbki, smażone kaczkę. pieczeń barania przygotowana w palenisku opalanym dębowym drewnem. kosze pełne owoców. które barwami cieszyły oczy. i desery z fig. a do tego wyborne wina z winnic Mondiego. Miro. Madrigal. Luque, St. Martin, Smakołyków było tyle, że brakowało miejsca. i niektóre talerze trzeba było układać jedno na drugim. Ta obfitość nie przeszkodziła jednak żonie karczmarza wnieść z dumnym wyrazem twarzy jeszcze jednej wielkiej tacy. Było jasne. że na koniec zostawiła popisowe danie. które przygotowywała tylko na wyjątkowe okazje i dla specjalnych gości. Na owej tacy, którą kobieta niezwykle uroczyście postawiła na stole, spoczywał wielki, zarumieniony dzik z czerwonym jabłkiem w pysku i wzrokiem wbitym w przestrzeń; sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał ożyć i rzucić się na biesiadników. Miguel i Rodrigo spojrzeli po sobie. Jak dwa ustawione naprzeciw siebie lustra zwielokrotniali wspólny sekret, którego posiadanie łaskotało ich mile jak łagodny wietrzyk. Przez jedną krótką chwilę obaj poczuli dreszcz, przeszywający ich na wskroś.

Miguel Pereira kątem oka zerknął na towarzyszy. Chciał dać im znak, by nie rzucali się na jadło. Ale piętrzące się przed nimi przysmaki były zbyt dużą pokusą. Dopadli stawy jak stado głodnych wilków. Także Miguel. zrozumiał, że nic na to nie poradzi, dołączył do nich i zaczął łapczywie jeść. Przekonało to karczmarza i jego żonę. że Jezus wraz z uczniami rzeczywiście przebyli długą drogę

i porządnie wyłodnieli.

Gdy wspaniale zastawiony stół zaczął przypominać pole spustoszone przez stado szarańczy, karczmarz przyniósł dużą miedzianą misę. Pochyliwszy się z szacunkiem, zdjął Miguelowi buty i zabrał się do obmywania mu stóp uprzednio podgrzaną wodą. Stopy niemal mruczały z rozkoszy, a Miguel, próbując zapanować nad odgłosami dochodzącymi z pełnego brzucha, delektował się sytuacją. Rozpartszy się na ławie, zanurzył się w morzu przyjemności. Pływał w nim prawie do utraty zmysłów. Nagle się wyprostował i wbił wzrok w karczmarza. Nieszczęsny właściciel zajazdu zadrżał, gdyż uznał, że przesywającym spojrzeniem, młody człowiek próbuje odczytać ukryte pragnienia harcujące w zakamarkach jego duszy. Błagające o ratunek oczy zwrócił ku brudnej wodzie wypełniającej misę. Ta jednak pozostała nieruchoma i milcząca.

— Mów — powiedział Miguel. — Chcę usłyszeć o wszystkich grzechach, których się dopuściłeś. — Wyjął stopy z misy, składając przy tym na brzuchu splecione palce. Miał zmarszczone brwi, a w jego głosie pobrzmiwał ton groźby.

Karczmarz poczerwieniał jak burak. Spuszczone kąciki ust wskazywały, że zaraz przestanie nad sobą panować i wybuchnie płaczem. Milczenie wody udzieliło się wszystkiemu wokół. Ustało skwierczenie dębowych polan w palenisku. kołyszący się na wietrze szyld przestał zgrzytać, nawet chrapanie pijaka śpiącego przy sąsiednim stole ucichło jak nożem uciął. Rodrigo Mendez Silva wstrzymał

oddech i z niepokojem czekał na to, co się wydarzy. Przez moment sądził, że karczmarz zerwie się na równe nogi i wszystkich wywali z zajazdu na zbity pysk, kładąc kres zabawie. Ten jednak, nie mogąc dłużej znieść panującej ciszy, ukląkł i zaczął wyznawać swoje grzechy.

Po opuszczeniu zajazdu, nie uszedłszy nawet dwóch kroków, wybuchnęli śmiechem. Wszyscy pokładali się ze śmiechu, aż z oczu zaczęły im płynąć łzy i rozbolały ich brzuchy. Już mieli się uspokoić, gdy któryś z wesołków, trzymając się za brzuch, wzdęty z przejedzenia, zaczął chichotać i zaraził wesołością pozostałych — znów rozległ się chóralny rechot, aż echo dudniło między ciasno ustawionymi domami.

Rodrigo i Miguel, opuściwszy pozostałych, skręcili w boczną uliczkę. Po kilku krokach Miguel zatrzymał się i zaczął przedrzeźniać karczmarza. Potężne cielsko jego

136

przyjaciela trzęsło się ze śmiechu. Nacieszywszy się do woli, Rodrigo nagle spoważniał:

— Miguelu... Czy ty to wszystko zrobiłeś umyślnie?

Miguel jakby nie słyszał pytania. Jego ramiona nadal drgały; próbując opanować rechot, wydawał dziwaczne dźwięki, które rozśmieszały go jeszcze bardziej.

, — Miguelu! Wiesz, że wywołujesz wilka z lasu, prawda?

Miguel Pereira przestał się śmiać. Wziął głęboki od-

dech i wsłuchał się w odgłosy nocy. Najadł się, zabawił: poczuł, że żyje. Teraz chciał tylko pójść do domu i dobrze się wyspać.

RÓŻE

Człowiek usiłuje napisać coś na rozsypanej soli,
lecz wiatr rozwiewa kreślone słowa. Człowiek
niestrudzenie stawia wciąż te same litery,
niezmiennie starannie, niezmiennie cierpliwie.

SYLVIE GERMAIN. Nurt d'Ambre

W niebiesko-białych wazonach stały krwistoczerwone róże:
swą intensywną barwą zdołały przyćmić wspaniałość dań.
którymi zastawiony był stół. Talerze co chwila zmieniano.
kielichy napełniano, zanim zostały do dna opróżnione.
w powietrzu szybowały pełne kurtuazji słowa. a one stały
niezmiennie, w tym samym miejscu. _Być może dlatego nie
lubi tych kwiatów — pomyślał Antonio Pereira. — W prze-
ciwienństwie do nich wie, że nigdy nie będzie szczęśliwa
w wazonie. w którym została umieszczona".

W pierwszych tygodniach po ślubie przynosił jej całe
naręczka czerwonych róż. Isabel za każdym razem przy-
mowała je jak nieproszonego gościa, zawsze z tym samym
sztucznym uśmiechem. z tą samą wymuszoną radością. I Za
każdym razem. uprzejmie podziękowawszy, umieszczała je
w wazonie, by potem nie spojrzeć na nie ani razu. Dopiero
po latach dowiedział się przypadkiem, że jego żona nie
znosi róż, zwłaszcza tych dużych, czerwonych, i poczuł się
wtedy jak głupiec.

138

Spojrzał na mężczyznę siedzącego przy przeciwległym
końcu stołu, nieokrzesanego gadułę, któremu nie zamykały

się usta. Był tak owłosiony, że zarost na piersi sięgał mu niemal do brody, a z uszu i zza nich sterczały całe kłęby włosów. Wśród tej gęstej sierści nieustannie poruszały się oczy i usta. Mężczyzna połykał łąpczywie całe kęsy, nie trując się, by je przeżuć. a ponieważ ani na moment nie przestawał mówić, rozpryskiwał dookoła ślinę i kawałki jedzenia. Przyglądając mu się, Antonio Pereira poczuł. że mimowolnie krzywi się z odrazą, podczas gdy pozostali biesiadnicy, zwłaszcza panie, jak zaczarowani słuchali tego okazu nieprzeciętnej brzydoty. Przestali nawet jeść, zajęci jego opowieścią. Człowiek ten był podróżnikiem. mistrzem sprzedawania w bogatych domach odpowiednio ubarwionych opowieści o tym, co widział i czego nie widział. W rzeczywistości zatrudniał się za wikt na statkach. a dzięki uśmiechowi losu często wychodził cało z rozmaitych opresji: zdarzyło się nawet, że był jedynym ocalałym z wielkiego okrętu. Spisywał opowieści, które zasłyszał od ! ludzi napotkanych w portach, i przedstawiał je jako własne przygody. a że nigdy nie opowiadał ich ZA darmo, za każdą zawsze otrzymywał coś w zamian. A to smaczny posiłek i do niego dobry trunek. a to rozkosz oglądania podziwu wymieszanego ze strachem malującego się na twarzach słuchaczy a to aksamitne ramiona wysoko urodzonej damy... Mimo to człowiek ów. nigdy nie wątpiący w prawdziwość swoich historii, nieustannie się skarżył. że jego wynagrodzenie nie rekompensuje trudów, na jakie narażał się na morzach i oceanach. Niebiesko-zielono-czarne wody pełne były niebezpieczeństw. Syren toczących z piersi pieniste mleko, by uwieść marynarzy: żądnych krwi korsarzy. rabu-

jących bezlitośnie każdy napotkany statek: ryb-morderców czających się na płycznach; potworów połykających jednym kłapięciem paszczy całe statki: zaraźliwych chorób, które atakowały kupców w ładowniach wypełnionych skarbami, nim zdążyli dobić do brzegu; trujących strzał nigdy nie chybiających celu; dzikich, pogańskich tubylców paradujących nago jak ich matka urodziła: dalekich podróży, które kazały ludziom pamiętać, że nie ma końca świata, jest za to koniec życia...

Kiedy posiłek dobiegł końca, służące szybko zebrały naczynia ze stołu, szeleszcząc wielowarstwowymi spódniami. Pozostały tylko srebrne dzbany z winem i niebiesko-białe wazony pełne krwistoczerwonych róż. Do igraszek barw przyłączyły się świeże figi ułożone na talerzach. Antonio Pereira mimowolnie się uśmiechnął. Lubił figi. Figa przypomina księgę. Gdy ostrożnie zdejmował cieką skórkę, jakby podnosił okładkę, dostrzegał drobne pesteczki, wymieszane chaotycznie, niespokojne niczym litery buntujące się przeciwko autorowi. Figa jest księgą. Do tego zakazana. Figa to zakazana księga. A może księga zakazów? Index librorum pruhibitorum.

We wszystkich indeksach ksiąg zakazanych wymieniany był Talmud. Index librorum, prabitia-am et expurgatorum. Do wciąż wydłużającej się listy dodano też dzieła kabalistyczne. W oczach Inkwizycji dzieła pisane po łacinie były mniej niebezpieczne. O wiele groźniejsze były te

w lingua vulgar*. Łatwiej mosty sprowadzić na złą drogą prostych ludzi, którzy łaciny nie znali, nie mogli się więc

140

zatrucć łacińskimi księgami. Magazyny świętej Inkwizycji pełne były zakazanych ksiąg, które straciły nie tylko czytelników, ale i autorów. Pragnęły przestać istnieć i czekały z nadzieją, aż pożą je mole: znużone wiecznym wspominiem, przeklinały po tysiącokroć pamięć, która wypełniała ich poźółkłe stronice, lecz nie wyzbyły się do końca marzeń, więc wciąż zdręczały się obawą, że ich atrament wyblaknie. Pestki stłoczone i ściśnięte w gorącej, dusznej macicy dojrzałej figi, zaskoczone i zrozpaczone, uwięzione i zrezygnowane. Osiągnąwszy wystarczająco wysoką pozycję i udowodniwszy, że jest człowiekiem godnym zaufania, Antonio Pereira miał już tylko jedno najskrytsze marzenie, upragniony cel — móc spędzać w tych magazynach całe dnie i noce.

— Dziś wieczorem wydajesz się bardzo zamyślony, drogi Pereiro.

Uniósłszy głowę. Antonio ujrzał przed sobą Alonsa flanco de Leona przyglądającego mu się z uwagą.

— Przyszło nam żyć w ciężkich czasach. Ty i ja. mój przyjacielu, obraliśmy sobie rozum Za przewodnika. Dlatego uważają nas Za tak nieprzystępnych. Nie mieścimy się w ich ciasnych światach, nie śmiejemy się z ich prostackich żartów. mają nas więc za nudnych. To cena. jaką przychodzi płacić podobnym do nas. przyjacielu.

Alonso Franco de Leon popatrzył na żonę. która prze-

szła obok. zostawiając za sobą smugę woni intensywnych
perfum. Była piękna. młoda, wesoła i ujmująca. To ona
wpadła na pomysł by przystroić stół buketami róż.

— Kobiety... — westchnął Alonso Franco de Leon. —

Nie powinniśmy ich winić, że zostały stworzone w taki
sposób. prawda?

41

140.1

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie i zaraz zapadła
między nimi krępująca cisza. Podróżnik siedzący na drugim
końcu stołu przylgnął do grubej, zezowatej kobiety, która
płonęła z żądzą, aby dowiedzieć się czegoś więcej o nagich
tubylcach, i coś jej szeptem opowiadał. Barwa róż w nie-
biesko-białym wazonie jak niespokojny duch krążyła po
wypukłości małych, czerwonych, wilgotnych warg, które
wydawały się przez pomyłkę zdobić nalaną twarz kobiety.
Od czasu do czasu spomiędzy nich, jak gdyby z pudełka,
w którym się chował, wysuwał się język i nie ukrywając
swego prostactwa, próbował pochwycić upartą czerwień,
polizać ją, zapisać.

KANAŁ

Wszystko na opak... książki bez nauczycieli,
nauczyciele bez książek... młodzi tracą siły,
a starzy młodnieją., stworzenia udają ludzi,

ludzie stworzenia...

BALTASAR GRACIAN. Cnticon

Najadł się, zabawił. Teraz jedyną rzeczą, której potrzebował.

było pójść do domu i dobrze się wyspać. Gdy z ust Rodriga padło nieopatrzne pytanie i rozbiło się niczym kryształowa czara na tysiące odłamków, w ogóle nie zwrócił na nie uwagi. Tak czy siak, było to jedno z pytań, które zadaje się tylko po to, by o cokolwiek zapytać, z góry skazane na brak odpowiedzi. Starając się nie nadepnąć na szklane odłamki, pożegnał przyjaciela i szybko się oddalił.

W domu wszyscy już mocno spali. Ściągnął ubranie i nie obmywszy się nawet, legł na łóżko, wpadając z impetem w sam środek jakiegoś zawikłanego snu. Podniósł się i otrzepał. Wskutek upadku musiał stłuc sobie tyłek. Rozcierając obolałe pośladki, rozejrzał się i stwierdził, że znajduje się w jakimś porcie. Tuż przed nim stały statki gotowe do wypłynięcia w morze. Kolorowe. ożywione. Rozmawiały. Roztaczały wokół aromat morza, wodorostów i przypraw. oszałamiały człowieka nieustannymi opowieściami o odległych lądach, nieznanym smaku i niezwykłych stworzeniach. Zuchwałym spojrzeniem mierzyły od stóp do głów tych, którzy nie słyszeli ich wezwań, nie czuli ich zapachu, nie umieli rozstać się z domem.

Odgłos gwałtownej kłótni wyrwał go z zamyślenia, w którym się pogrążył. patrząc na statki. Bili się dwaj pijani marynarze. Tłum obserwujący z upodobaniem szamotaninę i zamroczony alkoholem co najmniej tak samo, jak walczący ze sobą hultaje, składał się z żołnierzy mają-

cych rzekomo pilnować porządku, poszukiwaczy przygód pragnących ujrzeć na własne oczy krainy znane z baśni, kupców ogarniętych rządzą zysku oraz prostytutek, które chciały oskubać tych ostatnich i w tym celu bezwstydnie demonstrowały swoje wdzięki. Błysnęły noże. Krew przygotowywała się do wyjścia na scenę: już pudrowała sobie twarz i dekolt.

Szukając miejsca, z którego mógłby lepiej obserwować walkę. Miguel Pereira poczuł nagle, że jego stopy odrywają się od ziemi. Czarnoskóry marynarz potężnej budowy, o mięsistych wargach i z kolczykiem w uchu, złapał go i uniósł. Olbrzym nie wydawał się rozgniewany, chyba jedynie próbował zwrócić na coś jego uwagę. Rozpaczliwie szamocąc się w powietrzu. Miguel spojrzął w kierunku, który wskazał mu Murzyn. i dostrzegł żelazną klapę skrywającą wejście do lochu. Jednak gdy z powrotem znalazł się na ziemi. nie mógł się zdecydować. czy otworzyć właz i zejść pod ziemię. czy pozostać na powierzchni i dalej przyglądać się bójce. W końcu szybko. jakby pod wpływem nagiego impulsu. podniósł klapę. Nikt z tłumu oczekującego z zapartym tchem na pojawienie się krwi nie zwracał oczywiście na jego poczynania najmniejszej uwagi. Ostrożnie zaczął schodzić po niemal zupełnie prze-

144

I

gniłych szczelach drabiny. Choć bardzo uważał stopa mu się omsknęła i niewiele brakowało. a runąłby w dół.

Dotarli do ostatniego szczebla. ujrzał przed sobą Rodriga, który — zupełnie nieporuszony — włożył mu w dłoń kaganek, a następnie. sunąc niczym po lodzie jakby ciągnięty za sznur przywiązany do pleców zaczął się oddalać. Już miał zniknąć Miguelowi z oczu. gdy nagle się odwrócił i pomachał mu ręką. Chwilę później rozplynął się w mroku.

Miguel znajdował się w kanale ściekowym. Docho-
dzące do niego dźwięki wskazywały. że gdzieś niedaleko musiała być woda. Spłoszone światłem kaganka szczury rozbiegły się, wydając obrzydliwe piski. Nagle usłyszał głos nie mniej odrażający niż pisk szczurów: Agua ni! Rozejrzał się za daszkiem, pod którym mógłby się schować. Ale niepotrzebnie się niepokoił, gdyż zawartość porcelanowego nocnika oblała mężczyznę. który popijał wino na balkonie. Ten jednak jak gdyby nigdy nic dalej sączył trunek z kielicha. Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. Miguel od razu rozpoznał tkwiącego po uszy w grzechach grubego właściciela zajazdu. Choć było mało prawdopodobne, by karczmarz zszedł teraz na dół i zażądał wyjaśnień. Miguel wolał pospiesznie się oddalić.

Nieco dalej wokół wielkiego ogniska zebrali się jacyś ludzie. Nad płomieniami obracały się na rożnach przyrumienione kawały mięsiwa. przystrojone w korony ze szczerzego złota i drogocenne klejnoty. Żebrak z ranami na twarzy, którego spotkał ongiś na ulicy, wystawiał głowę z lektyki i nadzorował ich poczynania. Ubrany był w aksamitny kaftan zapinany od góry do dołu na guziki. a na głowie miał perukę w kolorze słomy, zdobioną perłami.

Najwyraźniej to on był przywódcą tej dziwacznej zgrai. Ogłosił się królem i natychmiast zaczął piec nad ogniem dotychczasowych władców. Nagle pośród szaleńców Miguel dostrzegł znajomą postać — to była Lukrecja. Pudy szminki, które nałożyła na twarz, nie były w stanie ukryć, że w jednej chwili postarzała się o pięćdziesiąt lat. Potrzęsając posiwiałymi lokami, dźwięcząc wielkimi kolczykami i kołyszając pomarszczonymi piersiami. La Loca przeszła obok niego. jej słynny śmiech odbijał się echem od ścian kanału, gdy osunęła się w ramiona Króla Żebraka. Po chwili lektyka zaczęła dygotać i podskakiwać jak podczas trzęsienia ziemi. Wokół roznosił się smród spalenizny. Nagle rozległ się przesywający krzyk i smród rozpadł się na drobiny, po czym w postaci atomów rozproszył się w powietrzu i zniknął bez śladu. Gdy wyszli z lektyki. wyglądali na porządnie wygłodniałych. La Loca zaczęła odrywać kawałki jeszcze na wpół surowego mięsa dawnych królów i karmić nimi ranę na nosie Króla Żebraka. Ta z głośnym mlaskaniem połykała podawane kęsy. Była tak głodna, że nie trudziła się nawet, by wyjąć kości tkwiące w mięsie, tylko pożerała je razem z nim, aż pochłonęła także kość nosa. którą trawiła. Nos odpadł. Król Żebrak się uśmiechnął, odsłaniając śnieżno-białe zęby. W miejsce nosa przyczepił żółty kwiatek, po czym rozkazał, by wszyscy mieszkańcy królestwa obcięli sobie nosy i usypali z nich stos na wielkim placu. a kto tego rozkazu nie posłucha. dostanie po łbie bez względu na wiek. Gdy heroldzi wyruszyli w drogę, żeby obwieścić wolę króla w całym kraju. tak by nawet głusi ją usłyszeli.

Miguel pospiesznie ruszył dalej.

Dotarł do najmroczniejszej części kanału, do źródeł wody. Nagle podmuch wiatru zdmuchnął płomień kaganka

i Miguel znalazł się w całkowitej ciemności. W tym samym momencie tamten zapach, który — jak sądził — zostawił za sobą, ale nie mógł o nim zapomnieć. Jej zapach, uderzył go w nozdrza.

— To ty? — spytał szeptem. — Ty też tu jesteś?

Zapach zaczął się oddalać. Miguel z radości niemal stracił zmysły. Zamknął oczy. Był gotów wydać ostatnie tchnienie w tym morzu odurzenia. Jego usta znowu poczuły dotyk jej warg. Chciał pocałunkiem ukoić wieloletnią tęsknotę. lecz ramionami objął jedynie pustkę. Gdy otworzył oczy, Luna znikła, znikł jej zapach, znikły usta słodsze od miodu. Zaczął płakać. miał dość tego miejsca. Kobieta, którą kochał do szaleństwa, była gdzieś w tym lochu, lecz nie mógł jej znaleźć. Była tu, na odległość kroku, na odległość pocałunku. Z płaczem ruszył dalej. potykał się. upadał i przeklinał siarczyście. Szedł jednak. nie zatrzymując się. chlapiąc i pociągając nosem, gdyż jedyną rzeczą. jaka przez całe życie pozostawała dlań zupełnie obca. było stanie w miejscu. I nawet jeśli jego serce lub umysł zapragnęłyby się zatrzymać, ciało — od lat przyzwyczajone do ruchu — natychmiast podniosłoby proporzec buntu. Dlatego jedynym wyjściem było robić to. co umiał najlepiej. Chcąc nie chcąc szedł więc dalej.

Wkrótce ujrzał przed sobą drzewo, którego gałęzie wrastały w ziemię. a korzenie sterczały ku górze. Rosły na

nich złocistożółte owoce. Gdy zerwał jeden z nich. z prze-
rażeniem stwierdził, że to nie owoc. lecz dziecko wielko-
ści palca. Natychmiast zaczęło wydawać dziwne odgłosy.
zmieniło kolor z żółtego na czerwony. potem na fioletowy.
aż w końcu stało się czarne. Z trzaskiem i chrzęstem wy-
schło, umarło. Teraz było przezroczyste.

Dalej, w głębi, w rozszerzeniu kanału oświetlonym nie
wiadomo skąd płynącym światłem dostrzegł dziesiątki, je-
żeli nie setki bezdennych studni. Z niektórych dobywały
się wyjątkowo nieprzyjemne dźwięki i zapachy, z innych
czarowne melodie, z jeszcze innych zaś — odbijające się
echem okrzyki, które zapomniały. z jakiego powodu zostały
wydane. Miguel z zaciekawieniem skierował się w stronę
jednej ze studni. Sądząc po dobiegających z niej odgłosach,
w środku dwie osoby prowadziły ze sobą ognistą dysku-
sję. Gdy przechylił się przez cembrowinę, ujrzał dwie pary
szeroko otwartych, wielkich oczu. Przed nim, powieszeni
za włosy, z minami rozpuszczonych bachorów kołysali się
nad otchłanią Harut i N.larut*. Te dwa anioły. wierzące. że
to, co ludzie nazywają czarną magią. jest czyste jak pierw-
szy śnieg, który topnieje. zanim spadnie na ziemię. zostały
zamknięte w tym lochu aż do dnia Sądu Ostatecznego, po-
nieważ nie posłuchały przykazań Najwyższego i pewnej
córce Ewy o imieniu Wiad zdradziły tajemnice magii.
— Nie rozumiem — zawołał Miguel. — Skoro znacie
czary, dlaczego nie próbujecie stąd uciec?

* WiSpiMirlialle w Kfilf3DIC nura Kuma. nen 1021 anioły. klery /1.413111bene
pbxltlalv ludzi prolnę. p.,ka/uut. Im t/ Mną magt< Według latemh „bit.

r-rone runlerkarm haiti muh bur prentmalse te edvtn było uhl.irtone
ttny%lanu. jak jak halit. nie „it”.tyb. n minerw nilu> udda...bh
Naivn././entu pgm tedzul _Gil. In m uhdart% I mu t m■
grre,tvivh. V. be lurtlnel niż hallw" pn 1n-m %prani!, ie niny)y b.,1, buvac
puwatlame. I zetłał r na tarniile, napurnmsow. lw abrut,real% %be Willa.
kultu ho/Jun., nmlenvaa I CULiti .141,in a N:a lenili i 1.4p., LI,
lu.lnetę I rapalah dn mon rumbbr fl iti4 tr itL tLi.1(lub ',W., br.II /dra-
di4 ic 4(Buca Anto/v ,mód. Ibu kubbeta ta.. u. rk •■■ wili lala „n, 11T11(
I ■■/1110,11 /ucha Boit urna-m bl ją na plam-, IV %%mw., 11..101111aS1
1 tar ula i \tar ■11.1 gilgtialTII • JÓI m ind n Itilti. nut. Gul ,w !butle wniet
tlij dnu 'udu thiantnc,cut pen p tlum I
fa

— To niemożliwe! — krzyknął Harut. — świat się
zawali!

— To niemożliwe! — wrzasnął Mant. — świat się
zawali!

— Przecież mówię! — zachnął się Harut. I znowu za-
częli się kłócić.

Przeklinając swój los, Miguel zaczął się oddalać: nagle
pod jego stopy potoczyła się długa. wąska. jasnioletowa
butelka. W jej szyjce tkwił mocno wciśnięty, malutki korek,
otoczony woskiem niczym obronnym wałem.

— Przecież ona jest pusta!

— Wiemy — powiedział Mant. — Gdyby była pełna.
nie dalibyśmy ci jej.

— Wiemy — powiedział Harut. — Gdyby była pełna.
nie dalibyśmy ci jej.

Podniósł butelkę i poszedł dalej. Nie zamierzał zaglądać

do pozostałych studni, lecz nie mógł się oprzeć ciekawości, gdy z jednej z nich dobiegł go cichy, przejmujący płacz. Zajął do środka. Na dnie studni klęczał Józef i modlił się do Boga. by jego zdradzieckim braciom zostało wybaczone. że uwięzili go w tak okrutny sposób. Miguel obszedł studnię dookoła, szukając sznura, by wyciągnąć nieszczęśnika. Gdy w końcu udało mu się jakiś znaleźć i spuścić do środka.

Józef przywiązał do jego końca nie siebie, lecz fiolet, który jakimś cudem wyrósł w szczelinie w ścianie studni.

— Co to ma znaczyć? — spytał Miguel ze złością.

— Czyżbyś nie chciał się rozstać z ukochaną studnią?

— Wyjdę z niej, gdy nadejdzie czas — odpowiedział

Józef. — Mimo to dziękuję ci!

— Skoro tak cię dręczyli, jak możesz wciąż się za nich modlić?

149

— Kocham ich.

— Czy to miłość? Jeżeli kochasz wszystkich bez wyjątku, nawet wrogów, jeżeli kochasz kogoś, kto cię dręczy, jakie znaczenie może mieć kochanie kogoś. kogo się kocha?

— Kocham wszelkie stworzenie przez wzgląd na Stwórcę.

— Neeee, to już przesada! — mamrotał pod nosem Miguel, odchodząc. — Są ludzie, których lubię, i tacy, których nie lubię, oraz oczywiście jeszcze ci, których najchętniej od razu utopiłbym w tyżce wody.

W końcu cały i zdrowy dotarł do końca kanału. Przy

wyjściu, podobnie jak przy wejściu. szczeble drabiny były przegniłe. Tak jak się spodziewał. wyjście zamykała żelazna kłapa. Pchnął ją z całej siły i ponownie znalazł się na powierzchni. Wiatr był znajomy. niósł znajome zapachy. Północ nadal była na północy. południe także było tam gdzie zawsze. A jednak znajdował się w obcym miejscu. To również było miasto portowe, okręty tak samo czekały na podniesienie kotwicy. ale wokół słychać: było zupełnie inny język. A skoro kanał przywiódł go z jednego portowego miasta do drugiego. oznaczało to. że tę długą drogę musiał przebyć pod morskim dnem.

Morze tunelem było tunel zaś morzem.

Kiedy wyszedł na powierzchnię. ujrzał przed sobą ludzką masę tak wielką, jakby właśnie nastąpił dzień Sądu Ostatecznego. Na widok Miguela tłum zaczął wydawać radosne okrzyki, ludzie obejmowali się i ściskali. z ich oczu płynęły łzy szczęścia. a szloch dławił im gardła. Najwyraźniej wszyscy oczekiwali Przyszłego przybycia — jego, Miguela Pereiry. Nagle na niebie pojawił się ptak o szmaragdowo-zielonych skrzydłach. Przez dłuższą chwilę powoli zata-

czał w powietrzu szerokie kręgi. po czym niespodziewanie usiadł Miguelowi na głowie. W tłumie rozległy się okrzyki zaskoczenia i radości. Wielu ludzi padło na ziemię i wiło się w ekstazie.

— Teraz rozumiem — mruknął Miguel. — Żebracy rozsiadają się w lektykach, królowie są przekąską dla hord nędzarzy. Mnie zaś otacza się szacunkiem. To musi być świat na opak!

Odwrócił się. by opowiedzieć o tym Harutowi i Marutowi. Skoro świat na opak jest światem, w którym nic się nie trzyma kupy, to ci dwaj mogą przecież zakończyć swą niewolę niewoli. Z całą siłą naparł na pokrywę włazu. Ta jednak ani drgnęła, jakby nigdy nie została otwarta, jakby całe wieki była zamknięta. W tym momencie z tłumu, który spostrzegł, że Miguel próbuje wrócić do kanału, dobiegły gniewne pomruki.

Tym, który pierwszy rzucił kamień, był ten, który pierwszy wręczył kwiaty.

Obudził się zlany potem. Odrzucił na bok okrywający go koc. Próbował zapamiętać treść snu, która błyskawicznie ulatniała się z pamięci: nagle dostrzegł jakiś ruch w kącie pokoju. Być może nie wyzwolił się jeszcze całkowicie spod władzy snu, gdyż przez moment sądził, że to Ona. Kto wie, może śniła ten sam sen. rozpałił ją ten sam pocałunek i postanowiła tu przyjść? Miguel wstrzymał oddech: zarys postaci wydawał mu się coraz bardziej do niej podobny. Po chwili zjawa zorientowała się, że została zauważona, zrobiła dwa kroki do przodu i stanęła w świetle księżyca.

Była biała, cała biała. Biała jak mleko bulgocące w wielkim miedzianym kotle w zrujnowanym, porzuconym szałasie w zimową noc, gdy mróz ścina jak nożem śnieg padający wielkimi, mokrymi płatkami. Stała nieruchomo, a mimo to nieustannie wiła się i wyginała niczym obłok dymu. Kiedy Miguel ją ujrzał, zrozumiał, że zjawa nie pochodzi z tego świata. Nie czuł strachu. Takie wizyty składano mu także

wcześniej. Już w dzieciństwie zwykł obcować z duchami, które zgubiły drogę albo po prostu umierały z nudów.

Nie ma się czego bać. Gdyby zjawą chciała wyrządzić mu krzywdę, mogłaby to zrobić już dawno. Lecz ona stała tylko i przyglądała się mu, a to oznaczało, że jest nieśmiała.

— Witaj! — zawołał, zmuszając się do nadania głosowi przyjaznego tonu.

Odpowiedziała, wyginając szyję w lewą stronę i przykładając dwa palce lewej ręki najpierw do policzka, a potem do skroni. Z pewnym rozbawieniem Miguel oddał pozdrowienie w ten sam dziwny sposób, z którym nigdy dotąd się nie spotkał. Duch przyglądał mu się z uwagą. Wyczuwalny w jego zachowaniu niepokój wskazywał, że opuścił tamten świat bez pozwolenia, niczym mały chłopiec, który nocą wymknął się z sypialni w internacie. Miguel poczuł doń sympatię. Przybysz podszedł bliżej i wyciągnął rękę w jego stronę:

— Czy tego szukałeś?

W nieustannie zmieniających kształt dłoniach trzymał długą, wąską, jasnioletową butelkę, którą we śnie podarowali Miguelowi Natul i Manil. Zdumiony Miguel dopiero po chwili doszedł do siebie. Wzruszył ramionami na znak, że nie pozwoli, by jakiś duch, którego ani imienia, ani intencji jeszcze nie zna, igrał sobie z jego odczuciami.

— Weź ją sobie. I tak jest pusta — powiedział i dodał z aroganckim uśmiechem: — Pełnej by mi nie dali.

— Miguelu! Przyszedłem tu, by cię ostrzec — odrzekł duch z całą powagą. — Jeszcze jest czas. — Zamilkł na

moment i głośno przełknął ślinę. — Nieszczęście jest już u bram. Tuż tuż. Nie czujesz jego oddechu?

— Nieszczęście? Jakie nieszczęście?

Odpowiadając pytaniem na pytanie, Miguel Pereira zauważył, że duch posługuje się jego głosem. Być może był pozbawiony własnego i musiał sobie radzić, naśladowując głos osoby, z którą rozmawiał.

— Miguelu, musisz jak najszybciej stąd wyjechać.

Uciekaj daleko, jak najdalej. I zabierz ze sobą tych, których kochasz. W przeciwnym razie... W przeciwnym razie zginiesz.

Suszyło go. Chętnie napiłby się wina. Jak przyjemnie byłoby upić się do spółki z duchem i odesłać go z powrotem na tamten świat pijanego jak bela. Zagryzł wargi. by się nie roześmiać.

— Byłbym rad wiedzieć, kto mi to mówi?

Miguel nie poddawał się tak łatwo. Nalegał.

— Zdradź mi swoje imię.

— Dlaczego? Moje imię jest ci potrzebne, by opowiedzieć o mnie innym. Ale jeśli to zrobisz, nigdy więcej ci się nie ukazę.

— To nie tak. To znaczy... nie po to. by o tobie opowiadać. Twoje imię... jest mi potrzebne dla mnie samego. Abym mógł sobie o tobie przypomnieć jutro, gdy nastanie dzień.

Ta odpowiedź przypadła widać duchowi do gustu, bo się uśmiechnął.

— Skoro tak, to sam nadaj mi imię.

Miguel wstał. Podszedł do zjawy i przyjrzał się jej z uwagą. Miała twarz białą jak mleko: w jej oczach igrały przyjazne ogniki. Ale spojrzenie przepęśniał smutek. Tkwiły w nim drobinki soli spotykane u tych, którzy zakosztowali bólu, zniszczenia i wojen albo doznali rozczarowania, jak dzieci, które uwierzyły, że gdy podzielą na kawałki własne ja, uwolnią się od samotności. Aby tu przyjść musiał sprzeciwić się rozkazom, być może nawet narazić się na niebezpieczeństwo. Miguel doszedł do wniosku, że zamiar spicia go do nieprzytomności wcale nie był dobrym pomysłem.

— Maggid — powiedział cicho. — jesteś tym, który przekazuje. Nazywasz się Maggid!

— Tym, który przekazuje. tak? Mag-gid. Mag-gid...

Za każdym razem, gdy wymawiał swoje nowe imię, ucząc się go na pamięć. jakby nieco się zmieniał. Jak gałąź niesiona nurtem wzburzonej rzeki, wynurzająca się i znikająca w odmętach. Wymazuje spisane na wodzie przeznaczenie. Jak Dar-i danva*. Nieustannie się obraca. krąży w zamkniętym kręgu do końca świata. Lecz ani razu nie wraca ponownie w to samo miejsce: za każdym razem inaczej odziany, za każdym razem nowy. Szuka i jest poszukiwany. Przychodzi i odchodzi. Po każdej przygodzie zostaje ślad. po każdej rzece kropla. Maggid z raj. Na ustach słowa bez sensu. w sercu ból. Wieczny smutek. Bo innego, zupełnie innego miejsca szuka, wynurzając się i znikając w odmętach. Dar-, danya*.

— Miguelu. jeśli nie potraktujesz poważnie moich

słów, nie będzie opowieści, którą można by nieść dalej.

Miguel zmarszczył brwi.

— Zgoda! — zawołał skruszonym głosem, jakby został ziajany. — Potraktuję poważnie to, co mi powiedziałaś. Ale o jednym chyba nie pamiętasz, przyjacielu. Choćby nastąpił koniec świata, na pewno pozostanie jakaś opowieść, którą będą przekazywać dalej.

— Nie o to mi chodzi. Ja poszukuję innej opowieści.

Mam dość opowiadania o nieszczęściach. Przez wieki wystarczająco się już naoglądałem stale powtarzających się. wciąż tych samych tragedii, rozumiesz? Daj mi inną. zupełnie inną opowieść. bym mógł nieść ją dalej.

— Inną opowieść? Bez bólu, bez krwi, bez zniszczenia? Pokażę ci zielone łąki, lecz nie zobaczysz, jak jastrzębie rozrywają małe ptaszki. a małe ptaszki łapczywie pożerają owady i robaki. Zgoda! Nikt nie chce cierpieć. Ja też nie chcę. W takim razie nie rozumiem jednak twojego postępowania... Jeśli właśnie tego pragniesz. to czego szukasz na tym świecie? Dlaczego nie pójdziesz do nieba, raju czy gdzie indziej, by tam żyć szczęśliwie?

Maggid nie odpowiedział od razu. Po zastanowieniu wyznał z zakłopotaniem:

— Wiesz... Tamtejsze opowieści są takie monotonne...

Nie ma w nich nic podniecającego...

Miguel wybuchnął śmiechem.

— Ależ z ciebie jeszcze większy wariat niż ze mnie!

Obaj zaczęli się śmiać. Potem zapadła głęboka cisza.

Otworzyli przed sobą mapy swoich serc i odkrywali się

nawzajem. Z zaskoczeniem spostrzegli, że nad zaznaczonymi na nich rzekami nie przerzucono ani jednego mostu. Świtało. Ogarnął ich dziwny smutek. Odwrócili wzrok.

PERŁA

Nasze wzajemne poznanie jest całkowite.

Ty jesteś mną i sobą, a tobą jestem ja i ty.

MARIO VARGAS LLOSA, Pochwała macochy

(tłum. C. Marroclan Casals)

Wczesnie rano Isabel wyszła na podwórze. Czuła nieodpartą potrzebę znalezienia się blisko studni. Chciała być sama. Nie miała ochoty spotykać znajomych, a co dopiero poznawać nowych ludzi. Jedynym jej pragnieniem było zamknąć się w swoim pokoju i siedzieć tam całymi dniami i nocami, nie widując nikogo: zagrzebać się w fałdach kołdry i czasu. Lecz domownicy jeszcze nie opuścili domu, więc szanse na chwilę samotności były raczej nikłe. Nie znosiła, gdy ze względu na innych musiała odkładać na później to, na czym jej zależało. W dodatku to małe, uroczne podwórko nie dawało już wytchnienia skołatanemu sercu, nie obdarzało jej — jak dawniej — spokojem.

Nagle poczuła na karku chłodny powiew wiatru. Zamknęła oczy i wciągnęła w nozdrza niesiony przezeń zapach. Zrozumiałszy, że się nie pomyliła, odwróciła się z radością.

— Stara! — wykrzyknęła.

Stara się uśmiechnęła. Zmarszczki na jej policzkach.

czole i brodzie stały się jeszcze bardziej widoczne. Jej twarz

przecinały dziesiątki linii biegnących obok siebie, nie przecinających się ścieżek. Stara rozłożyła ramiona — otworzyła serce. Isabel przypadła do niej ze łzami w oczach.

Wdychała zapach, za którym tak tęskniła. Stara zawsze pachniała przyprawami. Orzechami i szafranem. Na skórze wciąż nosiła zapach wsi, którą opuściła. w oddechu — woń wiatru. Którędykolwiek szła, zostawiała go za sobą, i jak dotąd nigdy nie zdarzyło się jej zgubić drogi powrotnej.

Nawet wtedy, gdy słońce świeciło najmocniej. gdy światło panoszyło się bezczelnie. umiała podążać za swoim zapachem i po własnych śladach trafić z powrotem do domu.

Isabel poczuła. jak opada z niej napięcie. i nagle, sama nie wiedząc dlaczego, wbrew swej woli Zaczęła głośno płakać; krztusiła się od szlochu. Stara ani drgnęła. Stała zdecydowana i spokojna, niczym schronienie rzucające wyzwanie burzy. świątynia czerpiąca siłę z braku boga, taka ciepła, cieplusieńka.

Potem zaczęła wodzić palcami po twarzy Isabel. Dotykaniem wyczuła. co dodały. a co zabrały lata. Isabel przyglądała się jej z czułością. Stały tak blisko siebie, że niemal dotykały się nosami. Stara była wysoką kobietą. Mimo wieku jej plecy wciąż były proste. a sylwetka zgrabna. Zakończony badanie, ponownie się uśmiechnęła. Isabel była jeszcze piękniejsza. lata nie przyćmiły jej urody, wręcz przeciwnie, uczyniły ją jeszcze bardziej promienną. Lecz jej piękno mącił cień jakichś trosk.

— Tysiąc kwiatów tutaj roztacza tysiąc i jedną woń.

Twój ogród musi być piękny!

— To wszystko dzięki temu, czego się od ciebie nauczyłam — odpowiedziała Isabel. — Nigdy tego nie zapomniałam. Ciebie, twojego ogrodu. kwiatów...

Isabel wzięła Starą pod rękę i zaprowadziła do jej pokoju. Od wielu dni z wielką starannością go przygotowywała. zadbała o każdy szczegół, by Starej było wygodnie. W panującym w nim mroku zasłona spowijająca oczy Starej powoli opadła. Isabel z radością obserwowała, jak w nieruchomych zielononiebieskich oczach pojawiają się świetliste błyski.

— To twoje — odezwała się Stara, podając Isabel wzięty z pazuchy woreczek. — Zawsze należał do ciebie. Zostawiłaś go u mnie.

Woreczek pokryty był haftem składającym się z drobnych kwiatków. Z aromatu, jaki roztaczał, można było wnosić, że wypełniają go suszone płatki róż. Isabel się uśmiechnęła. Lubiła ten zapach. Suszone płatki pachną inaczej niż świeże kwiaty. Aby się przypodobać Isabel. róże obmyły się w zimnej wodzie, wytarzały na łąkach pieszczonych poranną rosą, ruszyły na przechadzkę w świetle księżyca. spocły się w słońcu. rozwiały we mgle. aż w końcu zebrały rozrzucone to tu, to tam części samych siebie i weszły do woreczka. W środku, wśród suchych płatków poruszał się jakiś okrągły, twardy przedmiot. Drżał z podniecenia. Czuć było, że od dawna czekał na tę chwilę. Isabel pytającym wzrokiem spojrzała na Starą, która przygryzła wargi.

— Kobieta jest jak perła. Isabel. Czasem całe lata, cza-

sem całe życie skrywa się w skorupie małża. Lecz gdy raz
ujrzy światło dnia. w jednej chwili zapomina o przeszłości.
Jak przedtem się ukrywała, tak teraz chce być oglądana: jak
wcześniej pozostawała w zamknięciu. tak nagle pragnie
wyjść na świat. A gdy już wyjdzie, nic jej nie powstrzyma.
Nawet ona sama.

DROGI

Za oceanami nie ma złotego miasta.

CEMIL MERIC

KIELICH

Wierzysz w to, co słyszysz. Uwierz w to,
co niewypowiedziane, gdyż milczenie człowieka
bliższe jest prawdy niż słowa.

KHALIL GIBRAN. rhe Son ol Man

Owego roku nikt, nawet starcy, którzy nie umieli zliczyć
przeżytych wiosen. nie widział jeszcze takich dziwnych
zmian pogody. Już robiło się ciepło. słońce świeciło. a ptaki
i wszelkie stworzenia z ożywieniem oddawały się miłos-
nym igraszkom. gdy niespodziewanie pojawiał się ostry
mróz. który śmiało mógł iść w zawody ze swoim zimo-
wym bratem. i wyciągnąwszy miecz z pochwy. wznosząc
okrzyki: ..Allah! Allah!". przystępował do oblężenia miasta.
Bezradni mieszkańcy już mieli mu się poddać. gdy wtem
pojawiało się złote, gorące słońce i arogancko przechadza-
jąc się po niebie, ogłaszało swój powrót na tron. Tym ra-
zem miasto prażył nieznośny upał. który śmiało mógł iść

w zawody ze swoim letnim bratem. Bezsensowny pojedynek między mrozącym chłodem a palącym żarem musiał chyba namieszać w głowie wiosnie, bo ta, nie wiedząc, co robić, zataczała się raz w jedną, raz w drugą stronę niczym bywalec winiarni. To niezdecydowanie wiosny bez wątpienia najbardziej dało się we znaki drzewom. Widząc

pląsy słońca i słysząc radosne głosy ptaków, sądziły, że pora już zakwitnąć, jak panny na wydaniu zaczynały więc przygotowania, wyjmowały z wyprawnych skrzyń najrozmaitsze barwy. Gotowe do wyjścia, wystrojone, kusily przechodniów pięknymi zapachami, posyłały im zalotne uśmiechy. Lecz już chwilę potem silny wiatr wyginał ich gałęzie, a ulewy strącały kwiecie. Na koniec jeszcze nie wiadomo skąd pojawiał się grad i ucierał nosa dumnym z siebie drzewom, niszcząc do cna resztki ich splendoru. Ledwie zdołały otworzyć jeden kwiat. a już zostawały gołe — bezradne, zupełnie traciły głowę. Niektóre ponoć błagały nawet Pana, by je ścięto i zamieniono w różnego rodzaju drewniane przedmioty. Owego roku na wążiutkich, krętych jak labirynt uliczkach Miasta Miast trzeba się było prze-dzierać przez stosy zwiędłych kwiatów. połamanych gałęzi i niedojrzałych owoców.

Jednym z drzew, które poniosły największe szkody wskutek dziwactw wiosny, była grusza zamieszkała przy ulicy Chaima Szewca w wyżej położonej części dzielnicy Haskoy. Od lat poświęcała się dobroczynności. wszystko, co miała, oddawała potrzebującym. Jedynym jej pragnieniem na tym świecie było cieszyć podniebienia soczystymi

owocami, radować serca ich miłym aromatem. Największą radość odczuwała wtedy, gdy zanoszące rzewne trele i smutno poćwierkujące ptaki wiły bezpiecznie gniazda w jej koronie, a udręczeni upałem ludzie znajdowali ochłodę w jej cieniu. Miłosierne drzewo wydawało tyle owoców, że pod ich ciężarem uginały się gałęzie; robiono z nich całe wazy hofafus, mnóstwo słoików konfitur, a nawet nader

liczne beczułki marynat, a mimo to wciąż było ich pod dostatkiem. Pragnąc, by się nie zmarnowały i by jeszcze więcej ludzi mogło z nich skorzystać, grusza pokonała wysoki mur otaczający ogród i połowę gałęzi zwiesiła nad ulicę. W ten sposób wszyscy w dzielnicy, od dzieci po starców, mogli ku jej zadowoleniu objadać się owocami.

Niestety, mieszkańcy domu, przy którym rośło drzewo,

t. nie pochwalali tego postępowania. W gruncie rzeczy byli mocno niezadowoleni, że jedyna w ich ogrodzie grusza częstuje owocami każdego przechodnia. Byli na tyle pozbawieni serca, że każdego, kto choćby zbliżył się do niej,

mierzyli złym okiem, a jeśli to nie wystarczało, zaczynali mu wygrażać, byle tylko go przegonić. Jakiś rok wcześniej starsi domownicy kazali najmłodszym pełnić przy drzewie dyżury. Dzieci traktowały swe obowiązki nader poważnie: posunęły się nawet do tego, że strzelały z procy kamieniami do każdego, kogo uznały za intruza. Grusza w odpowiedzi na te działania, które uważała za szczyt bezczelności, wydała trzy, a nawet cztery razy więcej owoców niż zwykle.

Tym razem mieszkańcy domu wykopali ją i przesadzili w głąb ogrodu, byle dalej od muru. Ona jednak, równie

łaskawa, jak uparta, zacisnęła zęby i wypuściła gałęzie od wschodniej strony, pokonując w ten sposób spory dystans dzielący ją od ulicy. Po tylu trudach i szykanach, zadowolona z siebie, czekała na uspokojenie się pogody. Zamierzała pokryć kwiatami, a następnie obwiesić owocami tylko te gałęzie, które zwisały za mur, by dać nauczkę bezdusznym gospodarzom. Jednak z powodu niezdecydowania wiosny nie była w stanie dać nawet jednego owocu, a co dopiero nauzki. Kwiaty, które zwiedziona słońcem ochoczo otworzyła, padły ofiarą wiatru, deszczu albo gradu. Ponieważ

w tym stanie dla nikogo nie mogła być pożyteczna, spuściła głowę i tylko wdychała ciężko, zakrywając oczy, by nikt nie spostrzegł, że płacze. Stale dręczył ją ten sam zły sen, w którym walczyła z demonem — w chwili gdy już miała mu przebić mieczem pierś, postanawiała darować mu życie, a wtedy on zadawał jej zdradziecki cios w plecy. Po przebudzeniu było dla niej jasne, że tym złym duchem jest wiosna. Jak każdy kto ma w zwyczaju bezinteresownie czynić dobro i nigdy się nie skarży, grusza dusiła w sobie trującą gorycz i tak powoli, dzień po dniu obumierała od środka. Nie wiedziała, że popełnia zbrodnię z premedytacją. Od czasu do czasu wsłuchiwała się w pełne gniewu okrzyki i rozrywające serce błagania innych drzew, które niegdyś patrzyły na nią z zazdrością i niechęcią. Lecz dziś, same znalazłszy się w kłopotach, przestały się nią interesować. Wiedziała jednak, że skarżą się jedynie na to, iż nie mogą się stroić: nie była jedną z nich i czuła się straszliwie samotna, gdyż nie miała nikogo, kogo mogłaby

odurzać swym zapachem. zachwycać kwiatami i owocami. Bezsensowny pojedynek między mrozącym chłodem a palącym żarem głęboko zranił uczynną gruszę z ulicy Chaima Szewca. Z jej ropiejących ran spływały żółte krople tęsknoty za przeszłością.

I właśnie owego dnia zmęczone życiem, nieszczęsne drzewo zanuciło smutną piosenkę. zaśpiewało polne *Sili. Jednocześnie próbowało opatrzyć rany, które zadał mu padający poprzedniej nocy grad. Bezlitosne kawałki lodu nie tylko połamały gałęzie, ale także zgruchotały drzewu już wcześniej zranione serce. W pierwszych godzinach poranka wydawało się, że słońce przedrze się przez chmury, jednak zaraz zerwała się burza, która nie pozwoliła roślinom

166

w ogrodzie dojsć do siebie. Teraz wiatr nieco się uspokoił. a grusza, rozłożywszy szeroko ramiona. pustym wzrokiem wpatrywała się w niebo, jakby pytała: ..Co to było. co nas spotkało?". Jednak to nie z nieba. ale od zwisających nad ulicą gałęzi nadeszła wiadomość, która rozjaśniła uśmiechem jej stroskaną twarz: nadchodził stary przyjaciel, rabbi jakub.

Pogrążony we własnych myślach rabbi Jakub skręcił w ulicę Chaima Szewca. Szedł ze spuszczoną głową. przyglądając się zwiędłym kwiatom leżącym na ziemi. był tak zamyślony, że nawet nie zauważył, kiedy znalazł się przy gruszy której konary nieraz gładził. zwierając się drzewu ze swych trosk. Oprzytomniał na trzask gałęzi łamiącej

się pod stopami. Pochylił się i podniósł ją. Była to jedna z czterech gałęzi, które grusza straciła poprzedniej nocy pod ciosami gradu. Pozostałe pochwyciły niczym wojenne łupy okoliczne dzieciaki. Można było przecież zrobić z nich miecz albo procę. Dla tych urwisów pogoda była idealna. Jednak rabiego Jakuba ogarniał głęboki smutek. Ilekroć ujrzał ścięte drzewo, złamany konar czy opadły kwiat. Teraz też strapiony przyglądał się gałęzi.

Nagle zdał sobie sprawę, że należy ona do gruszy, i otrząsnął się z melancholii. Uśmiechając się gorzko, podszedł do drzewa i pogłodził zwisające nad ulicą zdrowe gałęzie. Ulica, wiosną i latem wypełniona słodkim aromatem, była teraz zupełnie bezwonna i opustoszała. Uczony mąż czuł gniew na wiosnę, którą obwiniął za ten stan rzeczy. Nie tylko zresztą ją, ale także mieszkańców tego domu.

Ci niemili ludzie w ogóle nie brali przykładu z gruszy rosnącej w ich ogrodzie. Nie czerpali nauki z jej postępowania. Jedną z rzeczy, które na tym świecie rado-

wały rabiego Jakuba, były właśnie te grube gałęzie, które pokonały wysoki mur, by zawisnąć nad ulicą. Dla niego był to dar drzewa, bezinteresowny upominek dla wszystkich wędrujących tamtędy podróżnych, także tych, których drzewo miało już nigdy więcej nie zobaczyć. A jeśli chodzi o szczodroliwość, nikt nawet się nie umywał do gruszy z ulicy Chaima Szewca.

Ona zaś z powodu wysokiego muru nie mogła dostrzec twarzy swego przyjaciela. Od dnia, w którym przesadzono ją w głąb ogrodu, jej oczami stały się gałęzie zwisające nad

ulicą. Zmierzywszy nimi rabiego. dostrzeżoną u niego melancholię przypisała wpierw osobliwemu stanowi pogody. Lecz przyjrawszy mu się dokładniej. dostrzegła. że martwi się nadal. Wyglądał na tak zgnębionego, że grusza, zapomniawszy o własnych troskach. zapagnęła gwałtownie go pocieszyć. Pogawędzili chwilę w przelocie. Potem rabbi Jakub się pożegnał i zamyślony ruszył dalej.

Miał dziś wiele do zrobienia. Nie czekając, aż burza ustanie, opuścił swój jednoizbowy domek przy ulicy Chaima Sprzedawcy Grochu. Domek był maciupki. lecz jemu wystarczał w zupełności. Mieszkał przecież sam. Poświęcił się czytaniu i przekazywaniu tego. co wyczytał — a przynajmniej części tego — innym ludziom: jednak pewnego dnia uniósł głowę znad książek i zauważył. że cały świat, łącznie z nim samym, się zestarzał. Oczywiście. wszystko mogło być inaczej. mógł być innym człowiekiem. mógł założyć rodzinę — ożenić się. zafundować sobie gromadkę dzieci. a potem martwić się o ich los. Wszystko mogło być inaczej. Ale nie było. Spoglądając czasem wstecz, robił sobie wyrzuty, że zmarnował tyle okazji. Szybko jednak

168

znajdował coś na pocieszenie, co słodziło gorycz rozczarowania. Od lat dbał o jedność gminy, której członkowie zamieszkiwali położoną wyżej nad Złotym Rogiem część dzielnicy Haskoy. Obserwował delikatną równowagę. naprawiał popsute stosunki, usuwał powstałe niepokoje i robił, co mógł. by porwana na kawałki, pozszywana i poce-

rowana łąta na łąacie społeczność trzymała się razem. A do tego — ponieważ uznał, że aby ludziom żyło się tu dobrze i bezpiecznie, nie może być ona zamknięta jak szkatułka — musiał nieustannie stawiać odpór tym, którzy chcieli ją otoczyć niewidzialnymi murami nie do pokonania. Ludzką naturę przyrównywał do rzeki. Gdyby nie łączyła się z innymi, płynącymi obok, gdyby ani razu nie opuszczała własnego koryta, nie wzbierała po ulewnych deszczach. nie zamieniała się w wąską strużkę podczas suszy, byłaby po prostu nikomu nieprzydatną kałużą. Dlatego tak pragnął i tak się starał, by mieszkańcy jego dzielnicy nie stronili od innych, zarówno swoich współwyznawców. jak i innowierców. Czyż jego najlepszym druhem nie był Seyb • Silleyman Sedef Efendi? Na myśl o przyjacielu się uśmiechnął. O tej porze tamten zamknął się zapewne w swoim pokoju. by ćwiczyć w samotności. Jakże chciał z nim porozmawiać o ostatnich wydarzeniach, jakże potrzebował jego rady! Pragnął przerwać milczenie w obecności przyjaciela. Ostatnio bowiem wszystko i wszyscy w dzielnicy gadali jak najęci. Nawet obtłuczone kamienie w ulicznym bruku nieustannie szeptały między sobą. Tylko rabbi pozostawał milczący i nie włączył się do rozmów.

169

Owego dnia zaszedł najpierw do pogrążonego w żałobie domu przy ulicy Chaima Siodlarza, by złożyć kondolencje. Jemu samemu było ciężko na duszy, dlatego nie udało mu się pocieszyć zapałkanej rodziny żegnającej nieoczekiwanie zmarłego bliskiego. Następnie. nadal pogrążony

w rozmyślaniach, ciężkim krokiem udał się na ulicę Chaima Podkuwacza, gdzie miały się odbyć postrzyżyny pewnego czterolatka. Zaproszono go już wiele dni wcześniej, by wraz z licznie zgromadzonymi krewnymi i znajomymi wziął udział w tej miłej uroczystości. Gdy jedwabiste loki malca spadały pod ostrzami nożyc, poczuł, że napięcie, które odczuwał, odrobinę zelżało. a świdrująca uszy skoczna muzyka odgoniła precz ponure myśli. Ruszył dalej, tym razem na ulicę Chaima Kowala. z wizytą do chorego. Stan owego człowieka kilka dni wcześniej znacznie się pogorszył i można się było spodziewać rychłego końca. Rabbi Jakub zamierzał nadać choremu nowe imię. by uciepiona stara choroba opuściła nieszczęśnika. Jeśli jednak dopadnie i nowego. nic już się nie da zrobić. Dlatego należało nader uważnie wybierać nowe imię. Przemysławszy sprawę. rabbi Jakub uznał, że najlepiej będzie nadać choremu imię Chaim.

Chodziło o to. że każdy obcy przybysz, zbłądziwszy do wyżej położonej części Haskóy tracił orientację wobec ogromnej liczby Chaimów w nazwach ulic w tej dzielnicy. Niektórzy przybysze mogliby uznać. że ów tajemniczy Chaim był niezdarą o dwóch lewych rękach, który bez powodzenia imał się kolejno najrozmaitszych zajęć. Inni zaś twierdziliby zapewne. że nie ma w tym nic dziwnego, skoro dziewięciu na dziesięciu mieszkańców nosi to właśnie imię. Lecz dla rabiego Jakuba istotne było w tym zupełnie co innego. Sekret tkwił w imieniu Chaim. Oznaczało ono życie. A jak wiadomo, imię powoli i wytrwale

urabia swego właściciela, aż ten przywiązuje się do niego.

Każde imię to początek. a każdy początek to inny szlak na mapie opowieści. Człowiek powinien żyć nie dlatego, że nie ma innego wyboru. ale dlatego. że życie doń pasuje.

Szanowny rabbi wierzył bowiem głęboko w siłę nie tylko imion, lecz także każdego wypowiedanego słowa. Kto twierdził inaczej, musiał chyba nigdy nie słyszeć przypowieści o Baalamie. Babiloński wróżbita zawdzięczał majątek i potęgę w równym stopniu swoim przepowiedniom i talentom retorycznym, to znaczy zarówno temu, co mówił, jak i temu, jak mówił. Pewnego razu wezwał go do siebie władca Moabu. Król Balak obiecał mu nieskończone bogactwa. żądając w zamian tylko jednego: rzucenia klątwy na lud Izraela. Baalam był dość bystry, by zrozumieć, co kryje się za tymi słowami. Znał tajemnice zarówno błogosławieństw, jak i klątw. Przyjąwszy bez wahania propozycję króla Balaka. wspiął się na wzgórze. z którego mógł dostrzec Izraelitów. Przez chwilę nie otwierał ust. Czekał. aż wiatr zacznie wiać jak szalony. Wiedział, że gdy wiatr osiągnie właściwą moc, każde słowo, które wyjdzie z jego warg. dotrze do podnóża pagórka. a klątwa będzie szukać ofiary jak strzała, która postanowiła trafić swego strzelca. Wiatr wiał. Baalam milczał. Nie minęło wiele czasu. a siła słów trafiła babilońskiego wróżbitę prosto w serce. Rabbi Jakub wierzył w magiczną moc imion i w moc wypowiedanych słów. W jego obecności słowa nie były grudkami błota czy kawałkami ciasta, które ludzie mogli kształtować podług własnej woli. Z tego względu posta-

nowił nadać choremu imię Chaim. Walczący ze śmiercią chory, by wrócić do zdrowia, powinien był nowe imię względnie uznać za swoje, przyjmując je z radością i polubić. Człowiek i imię muszą stać się jednym ciałem, jak woda mieszająca się z wodą. Rabbi pomyślał o swoim przyjacielu Seyhu Sńleymanie Sedefie Efendim. On zapewne spojrząłby na to zagadnienie nie przez pryzmat dziejów Baalama, lecz w kontekście jakiejś innej historii. Ale doszedłby na pewno do tych samych wniosków. Zdaniem Seyha Sńleymana Sedefa Efendiego dla mieszkańców dar-al islam* słowa miały zupełnie inną wagę. Żyjący tam ludzie najczęściej wyrażają swe troski, tęsknoty i pragnienia za pomocą nie obrazów czy muzyki. lecz słów. W ten sposób każdy mużłmanin od dnia narodzin stopniowo poznaje ich moc. Najpierw było słowo i nie było niczego przed nim. Drwić i rozmyślać — jedno i to samo. Magia sednem jest obydwu. Dotarłszy do rogu ulicy Chaima Tkacza. rabbi Jakub zatrzymał się. by złapać oddech. Zaczął się starzeć. W takich momentach uświadamiał sobie upływ czasu. Wystarczał krótki spacer. by rozboleły go kolana: najmniejsze choćby zdenerwowanie, by poczuł ucisk na sercu. Od tylu lat nie szczędził wysiłku, żeby społeczność w tym uroczym, małym zakątku utrzymać w jedności. Teraz niepokoił się. że te starania mogą pójść na marne, lecz odczuwanego niepokoju nie kładł na karb starości. a ucisku w sercu nie przypisywał zbliżającej się śmierci. Mury wilgoć zżera. człowieka zaś troski...

* Mam — z ar. -dom islamu", część świata, w której islam jest religią dominującą.

172

Ulica Chaima Tkacza krzyżowała się z ulicą Chaima Wozaka. W miejscu gdzie obie padały sobie w objęcia. znajdował się malutki, zazieleniony placyk. Wydawał się kopia, albo raczej zwiastunem większego. położonego nieco dalej. Wielki plac nosił imię Chaima Kupca i pokryty był rzędami straganów. Żydowski rzemieślnicy uwielbiali przesiadywać przed swoimi sklepami, pełnymi najkosztowniejszych towarów. i wdawać się w pogawędki. jedna z czterech ulic odchodzących od placu Chaima Kupca pięła się w górę w kierunku północnym. Wiodła po pagórkowatym terenie i była bez wątpienia najbardziej hałaśliwą ulicą w położonej wyżej części dzielnicy. To tu właśnie ulokowały się rzędem winiarnie słynące z dobrych trunków. Stąd i nazwa: ulica Chaima Opoja. Dwie kolejne ulice odchodzące od placu Chaima Kupca krzyżowały się z wieloma innymi. nader podobnymi do nich ulicami. Czwarta zaś wiła się jak wąż. by połączyć się w końcu z drogą wiodącą na cmentarz. Na przekór harmidrowi dochodzącemu z ulicy Chaima Opoja cmentarz nie odzywał się ani słowem. Z cierpliwością właściwą tym, którzy mają wiele do opowiedzenia. czekał dzień i noc z nadzieją. że zjawi się ktoś, kto chętnie wysłucha jego historii. i powoli starzał się w milczeniu. A ponieważ dotknięty był również wynikającą z wieku chorobą zapomnienia. z niecierpliwością właściwą tym. którzy nie mają nic do opowiedzenia. modlił się dzień i noc, by nie pojawił się nikt, kto chętnie wysłuchałby jego historii.

Droga prowadząca od pozostającego w tak dziwnym stanie ducha cmentarza do nabrzeża nosiła miano ulicy Chaima Ach-gdzie-te-czasy: tą ulicą o wiele mówiącej nazwie można było dojść do skraju położonej wyżej części dzielnicy HaskOy.

- -tele•■

;w- • ' >Ctrl: lii

;1'1" k 'S 41,1

47;)

Skręciwszy w ulicę Chaima Handlarza tarcicą, rabbi

Jakub zobaczył przed sobą ludzi stojących grupkami. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wiedzieć, co ich wzburzyło. Zmarszczył brwi. zrobił ponurą minę. Choć tyle razy ich ostrzegał, wciąż opowiadają sobie te bzdury. A przecież... Czyżby jedno nieszczęście nie było lepszą nauką od tysiąca napomnień?

Ludzie zgromadzeni na ulicy Chaima Handlarza tarcicą byli pogrążeni w dyskusji tak gorącej, że dostrzegli rabbiego dopiero wtedy, gdy stanął obok nich. Na jego widok ci. którzy chwilę wcześniej zawzięcie się sprzeczali, zamilkli jak trusie. Rabbi Jakub. marszcząc groźnie brwi. spytał:

— Wciąż chodzi o tamtą sprawę?

Ujrzawszy. że mężczyźni w dojrzałym wieku spuszcza- ją głowy niczym dzieci przyłapano na gorącym uczynku i purpurowi ze wstydu tylko przetykają ślinę, mimowolnie się uśmiechną. Mówił na wpół gniewnie, na wpół z wyrzutem:

— Nie macie nic do roboty? W taki sposób zamierzacie zarabiać na chleb?

Złajani przez rabiego mieszkańcy położyli uszy po sobie, tylko jeden z nich, młody człowiek z ledwie sypiącym się wąsem. nie mogąc dłużej znieść poczucia winy, zawołał:

— Zarabiać na chleb? Teraz nie pora pracować. Powinniśmy się modlić i czekać na Jego przyjście. Wczoraj Pater znowu miała sen... Wkrótce...

Uśmiech zastygł na twarzy rabiego. Gdy pozostali próbowali uciszyć gadatliwego młodzieńca i jakoś uratować sytuację. rabbi Jakub zrobił krok do tyłu. Patrzył na

tych ludzi, których od lat znał jak własną kieszeń, jakby ich pierwszy raz w życiu widział; przyglądał się im z ciekawością, niepokojem i strachem. Musiał chyba nie dowierzać własnym oczom, bo wpatrywał się w nich i wpatrywał.

Wszystko, co jeszcze miał zrobić tego dnia, przełożył na później. Spędził długie godziny, siedząc na murku przy ulicy Chaima Ach-gdzie-te-czasy. Rozmawiał z jaszczurkami, powyrywał chwasty, stał się kamieniem wśród kamieni, ptakiem wśród ptaków. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wskoczył do jednej z łódek kursujących przez Złoty Róg między dzielnicami Balat i Haskoy. Chciał uciec, zniknąć bez śladu. iść bez celu przed siebie, tak po prostu iść i iść. Ale nie mógł.

Tą samą łódką popłynął z powrotem.

KRAĞ

Senguts erum pul m corpore erumehs

m circulum movetur...*

GIORDANO BRUNO De Rerum Prmnpus

Stara opowiadała. a Isabel słuchała jej słów. była to jedna z tych dziwnych nocy. kiedy to w każdej chwili wszystko może się zdarzyć. Zrobiło się bardzo późno, pozostali domownicy już dawno udali się na spoczynek. W ciemności oczy Starej świeciły niezwykłym. błękitnym blaskiem. Isabel zasłuchała się w jej głosie, tak samo jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

Stara opowiadała o człowieku. który żył gdzieś za morzem. Nazywał się Bernoldo Rinozzi. Natura poskąpiła mu urody — najpierw był brzydkim niemowlęciem, potem brzydkim dzieckiem. Jego ciało wydawało się składać z członków pożyczonych od innych: na chudym tułowi tkwiła nie pasująca zupełnie do niego wielka głowa z małutkami, niemal niewidocznymi uszami, za to z nosem tak długim i spiczastym. że budził śmiech każdego. kto go zobaczy!. Gdy skończył dziewiąty rok życia. nagle przestał rosnać.

od tego momentu na jego ciele zaczął gwałtownie pojawiać się zarost — gęste. kruczoczarne włosy. Rosły wszędzie, nawet ze spiczastego nosa zwisały całe ich pęki. W miejsce każdego wyrwanego włosa szybko wyrastał następny. Co dziwne jednak. bezczelnie panoszące się włosy omijały

dłonie. Te pozostały miękkie i gładkie jak jedwab, delikatne i subtelne. Włosy zatrzymały się dokładnie na wysokości nadgarstków. jakby w swym wojennym pochodzie natrafiły na pasmo niebosiężnych gór i nie mogły posunąć się dalej. Dłonie były jedynym kapitałem Rinozkiego na tym świecie. Porywczy i samolubny, brak urody, której poskąpiła mu natura, bezwzględnie musiał zrekompensować sobie czymś innym. Kiedy skończył piętnaście lat, nikomu nic nie mówiąc. porzucił rodzinę, którą obwinał za to. że urodził się taki szkaradny. miał w życiu tylko jeden cel: zostać medykiem. Interesowało go nie to. co fascynuje malarzy, którzy popieściwszy ludzkie oczy pięknym obrazem, napełniają złotem swoje sakiewki, czyli wygląd ludzkiego ciała, lecz to. co kryje się wewnątrz niego. Nie obchodziły go kolor włosów, głębokie spojrzenie oczu. połyskujące bielą zęby czy żywy odcień cery. Pragnął wejść do zaczarowanego świata, na który składały się naczynia krwionośne. mięśnie. nerwy i kości. Krótko mówiąc. Rinozzi pałał chęcią odkrycia tego wspaniałego. olbrzymiego — dla wielu odrażającego — labiryntu skrytego pod urokliwą zasłoną ciała. Gotów był na wszystko, byle tylko spełnić to pragnienie. Po opuszczeniu rodzinnego domu tułał się to tu, to tam; zacisnąwszy zęby. imał się wszelkich, najbardziej nawet poniżających prac. by zebrać pieniądze na studia. A gdy uznał. że ma ich dość, wyruszył do owego uniwersyteckiego miasta,

które skrupulatnie oznaczył na mapie

umysłu. Tam udowodnił wszystkim swe zdolności i przeska-

kując po kilka stopni naraz na rozciągającej się przed nim drodze kariery, rzeczywiście zaszedł wysoko. Nie minęło wiele Czasu, a w tym wielkim, starym budynku, którego próg przestępował niegdyś pokornie zgięty wpół stał się znanym i poważanym nauczycielem, którego sam odgłos kroków wzbudzał respekt.

Stara opowiadała. a Isabel całym sercem wsłuchiwała się w jej słowa. Zdaniem Starej przed tymi, którzy chcą leczyć wewnętrzną, niewidoczną część ludzkiego ciała, pojawiają się dwie drogi. Jedni będą palić i wypalać, drudzy — ciąć i wycinać. Każda z tych metod odpowiada innemu usposobieniu. Wypalanie wybiorą ci. którzy są pogodzeni ze sobą i ze światem. Dla nich świat jest piękny i da się w nim żyć, dlatego każda plama. każda rana, która mogłaby zakłócić jego urodę. musi zostać jak najszybciej zakryta, zasłonięta magiczną zasłoną. Cięcie i wycinanie to z kolei oznaka niezadowolenia z życia i nadmiernej ambicji. Bywa to niebezpieczne. Chodzi bowiem nie tylko o oczyszczenie rany z ropy, lecz także o zbadanie. co kryje się głębiej. Bez wątpienia Rinozzi wybrał tę drugą metodę. Nie rozstawał się ze skalpelem. którego rękojeść ozdobił oprawny w złotu różowoczerwony kamień. Któregoś razu nawet pomachał nim przed oczami pewnemu studentowi, który ośmielił się zadawać mu pytania podczas wykładu: przypomniał W ten sposób młodemu człowiekowi, że to małe a poręcz- ne narzędzie może służyć też do zupełnie innych celów. Lecz student ów najwyraźniej nie wziął sobie do serca tego ostrzeżenia, gdyż dalej robił, co chciał, aż w końcu wypro- wadził nauczyciela z równowagi. I wtedy właśnie, w sali

prosektorium. na oczach zdumionych słuchaczy słynny skalpel Rinozziego poszybował ze świstem w powietrze i obróciwszy się kilkakrotnie. ściał pukiel z czupryny studenta, po czym wbił się w ścianę. Pechowy śmiałek zbladł jak prześcieradło. a w murze powstało pęknięcie. Dookoła zaległa cisza jak makiem zasiał. Jeśli zaś chodzi o oprawiony w złoto czerwony kamień, to najwyraźniej polubił miejsce. w które się wbił. bo już tam pozostał. Rinozzi Też uszanował jego wybór.

Uwielbiał martwe ciała i tajemnice, które powoli odkrywały. Co roku wolno było poddać sekcji dwa ciała. zwłoki mężczyzny i kobiety. Gdy je rozcinał. otaczający go całą gromadą studenci wstrzymywali oddech. Nikt nie pozwolił sobie na cień lekceważenia. w wielkiej sali panowała absolutna cisza, nie słychać było ani skrzypnięcia. Kroił trupa tak powoli, że samą głową mógł zajmować się całe tygodnie. Studenci się niecierpliwili, ale mogli co najwyżej cichutko mamrotać pod nosem przekleństwa. było jasne. że czas Rinozziego nie pokrywa się z ich czasem. Oni byli młodzi i niecierpliwi, chcieli jak najszybciej zobaczyć to. co powinni zobaczyć, odkryć to. co było do odkrycia. Lecz ich zapał natrafiał na mur uporu Rinozziego. Zresztą gdyby to od niego zależało, nikogo by niczego nie uczył. Czułości i zainteresowania, jakich nie szczędził trupom. nigdy nie okazywał studentom. Uważał ich za bezużytecznych statystów, za mgliste dekoracje zdobiące scenę. na której główne role odgrywali on i martwe ciała. Nie dość, że wykonywał sekcje w żółwym tempie. to na dodatek wystar-

czyło. że któryś ze studentów się spóźnił albo odezwał nie
pytany. a przerywał wykład w pół słowa. Do tego pracował
wyłącznie zimą i tylko wcześniej rano. Latem czy w jasnym

światle południa nie tykał zwłok skalpelem. Władze uni-
wersytetu bez słowa protestu tolerowały zachowanie tego
ekscentrycznego uczonego o nietatwym obejściu. z którym
jednak mało kto mógł się równać.

Dla Rinozziego największym problemem były trud-
ności, jakie napotykał w pozyskiwaniu ciał. Czasami, gdy
już miał przystąpić do sekcji, w prosektorium zjawiali się
bliscy zmarłego i po awanturze. a niekiedy nawet i bójce,
zabierali zwłoki. Rozwścieczeni krewni oskarżali uczonego
i uniwersytet, że kroją ludzi na kawałki. a następnie rzucają
psom na pożarcie.

Rinozzi ignorował obelgi i zarzuty i cierpliwie czekał
na nowe ciało, na którym mógłby pracować. Od czasu do
czasu jednak. gdy tęsknota za nim stawała się nie do znie-
sienia, szedł na cmentarz. by osobiście załatwić sprawę. Pod
osłoną nocy otwierał upatrzony wcześniej grób. niekiedy
zostawał w nim kilka godzin, innym znów razem zabierał
i wywoził ciało. Lubił cmentarze. Nazywał je „srebrzystymi
miejscami rzygającymi żałobą”.

Większość czasu spędzał w swojej obszernej i mrocz-
nej pracowni. Nie znosił jasnego światła. Pomieszczenie
wypełnione było księgami w różnych językach i rysunkami
przedstawiającymi miejsca na ciele człowieka i zwierząt
najspodobniejsze do upuszczania krwi. Wśród szkiców,
których nigdy nikomu nie pokazywał. znajdowały się wi-

zerunki uciętych głów Awicenny, Hipokratesa i Galena, ich skrwawionych zwłok. Ogromną przyjemność sprawiało mu wyobrażenie sobie, że kiedyś w przyszłości na biurku jakiegoś wyobcowanego, obrażonego na Świat lekarza będzie się rozpościerał pożółkły arkusz papieru z wyobrażeniem jego ciała pociętego na kawałki. W niektóre noce, gdy pra-

cował, studenci, którzy mieli z nim na pieńku, z odwagą, jakiej dodaje wypity alkohol, rzucali kamieniami w okna pracowni i krzyczeli:

— Wyłaż, Rinozzi! Wyjdź na światło!

— Ciemnota! — mamrotał pod nosem w odpowiedzi.

— Ciemni durnie! Światło jest wewnątrz mnie!

Po wielu latach grzebania w pokrojonych na kawałki niezliczonych zwłokach Rinozzi doprowadził wreszcie do końca prace nad swoim odkryciem. Ciało ludzkie było nieustannie obracającym się kręgiem. Nawet krew, gdyby się dokładnie przypatrzeć, zataczała koło w naczyniach, w których krążyła. Określić, gdzie ów krąg ma początek, a gdzie koniec, było niemożliwością. Krew w jednej połowie kręgu stopniowo stawała się brudna, w drugiej zaś krok po kroku się oczyszczała. W takiej sytuacji brud i czystość, część i całość, brzydota i piękno były dopełniającymi się częściami tego samego kręgu. Dokonawszy tego odkrycia, Rinozzi zapukał do drzwi pewnej młodej i pięknej kobiety, którą od dawna podziwiał. Kobieta z pogardliwym uśmiechem spojrzała na tego bardzo niskiego mężczyznę o zarośniętym włosami ciele. Niezmieszany tym Rinozzi wetknął jej do ręki różę. Potem, odchrząknąwszy, jakby chciał zaznaczyć.

że ma do powiedzenia coś ważnego. oświadczył:

— Jestem, droga pani. drugą połową tego samego kręgu. którego częścią jest pani. Niestety, nie ma pani oczu. którymi mogłaby pani dostrzec. że mnie potrzebuje. Wskutek pani ślepoty i niewiedzy nasz krąg nie może się obracać. Oznajmiwszy to, odszedł, nie zwracając uwagi na pełne zdumienia spojrzenia kobiety. Opuścił uniwersytet, na którym wykładał. i udał się w nieznanym kierunku.

Odkrycie, którego dokonał, całkowicie odmieniło jego pogląd na świat. Już nie złożył losowi, nie próbował szukać zemsty na naturze. był dopełnieniem kręgu. Bez niego wszystko byłoby niekompletne.

Stara zamilkła, wsłuchiwała się w odgłosy nocy.

— Dlaczego to ukrywał? Dlaczego nie podzielił się swym odkryciem ze studentami ani kimkolwiek innym?

— Moje dziecko — odrzekła Stara. — Gdy nie wiesz, boisz się własnego cienia, gdy wiesz — cienia innych. Pierwszy strach ogarnie cię od zewnątrz, drugi od wewnątrz.

Stara ponownie zamilkła. Wraz z nią zamilkły też wszelkie odgłosy nocy, wrzaski pijaków przechodzących ulicą, dobiegające z oddali ujadanie psa. Isabel poczuła nagłe ułknięcie w sercu. Coś się działo. Coś złego. coś mrocznego. Nagle ujrzała opowieść Starej w zupełnie innym świetle. Serce waliło jej jak młotem. Stara chwyciła dłoń młodej kobiety. Przytuliła ją do siebie i pogładziła po włosach.

— Wiesz. odkrycie Rinozkiego było już wcześniej zna-

ne innym ludziom. Jednym z nich był kalif al-Menne'.

Zanim założył miasto Bagdad, nakreślił na ziemi wielki krąg. "Takie oto — powiedział do zgromadzonych wokół — takie ma być moje miasto. Miasto powinno być kręgiem". Tak właśnie powiedział kalif al-Mansur, bo dobrze wiedział, że gdy stanie się w samym środku kręgu, jest się jednak oddalonym od wszystkich, czy to od biednych, czy od bogatych, od urodzenia prześladowanych niepowodze-

niem czy opływających w dostatki... Wszyscy są tak samo oddaleni. By zapewnić sprawiedliwość, zapragnął wznieść miasto-krąg.

Stara milczała przez chwilę. Zaschło jej w gardle. Była zmęczona. Została jej jeszcze jedna, ostatnia rzecz do powiedzenia. Zebrała więc siły.

— Gdy czujesz strach — wyszeptła — wiedz, że I strach, i odwaga są częściami tego samego kręgu. I wiedz, ten krąg jest wewnątrz ciebie. To oznacza, że możesz być równie odważna jak bojaźliwa, jak nisko upadasz, tak wysoko możesz się wznieść. Pamiętaj o Rinozzim, pamiętaj o al-Mansurze. I pamiętaj o kręgu. Gdy padnie na ciebie błąd strach, gdy wszystko się zawali i wpadniesz w czarną otchłań, musisz się cofnąć i ruszyć po kręgu z powrotem, aż znajdziesz się w jego przeciwległym punkcie. Aż osiągniesz przeciwieństwo tego, co stało się przyczyną nieszczęścia. Stara powiedziała, co miała do powiedzenia. Isabel wysłuchiwała, czego miała wysłuchać. Była to jedna z owych dziwnych nocy, gdy w każdej chwili wszystko może się wydarzyć.

Daj mi nie rzeczywistość, ale siebie samą.

Siebie, to znaczy swoje sny.

CEMIL MERIC, Bu U/te

Mamo. tym razem widziałam Go z bliska! — zawołała

Ester, gdy tylko się obudziła.

Przerażona kobieta pobiegła do córki. Nie budziła jej już wcześniej rano, pozwalała dziewczynce spać tak długo, jak ta chciała. Sny. które ostatnio zaczęła śnić Ester, były przecież zwiastunami niezwykle ważnych wydarzeń. były snami nie tylko Ester. ale wszystkich mieszkańców górnego Haskoy. Co prawda nie brakowało w dzielnicy i takich, którzy z przekąsem wydymali wargi. gdy słyszeli o proroczych wizjach, ale wkrótce miało się okazać, kto miał słuszność. Gdy ten dzień nadejdzie, nawet rabbi Jakub pożałuje, że wątpił w ich znaczenie. kilkakrotnie odwiedzał ich dom i prosił rodziców Ester, by nie wywoływali zamętu. lecz jej matka, choć żywiła dla uczonego męża wielki szacunek, dawno już dała się przekonać słowom córki. Jeśli prorocstwo okaże się prawdą. On wkrótce się zjawi. A gdy nadejdzie, życie zacznie się na nowo, świat zostanie na nowo

ukształtowany. Z jego nadejściem zimy nie będą już tak nudne jak niegdyś. a lata tak upalne.

Kobieta posadziła córkę obok siebie.

— Opowiedz mi w takim razie, jaki On jest?

— Jest młody! — zawołała podniecona Ester. — Ma bujne, kręcone włosy. Ach. mamo, jakie piękne ma włosy!

ZABAWA

W CHOWANEGO

-Jestem we własnym domu" nie jest właściwym określeniem; z tego względu powinien pan raczej powiedzieć: jestem w ich domu.

FRANZ KAFKA

Była to jedna z owych mglistych nocy, gdy w każdej chwili wszystko może się wydarzyć. Rozbłyskiwała w mroku, co chwila zmieniając postać. wcielając się w dobroduszną babcię z twarzą i dłońmi w mące. wyrabiającą ciasto na bułeczki dla swoich wnuków: odzianą w biel wyniosłą królową, dostojnie pozdrawiającą poddanych z balkonu swego pałacu: przystrojoną w stokrotki dziewicę strącaną w przepaść w ofierze gniewnym bogom: sprzedającą swe ciało za parę groszy prostytutką. rozkładającą szeroko białe jak mleko uda. albo Cyganką tańczącą nago wokół ognia swego serca. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Ulica Fortuny pogrążona była w głębokim śnie. Na jej twarzy malował się wyraz rozleniwienia: nocą mogła oglądać do woli to. czego nie można dostrzec w ciągu dnia. Od czasu do czasu przewracała się to na jeden. to na drugi bok i mówiła przez sen. Jej słowa przerywane były krótkimi, urwanymi chrapnięciami. Jej sen był tak mocny. a sny tak słodkie, że nie obudzili jej nawet ludzie z pochodniami w rękach. którzy przeszli po bruku. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. gdyż ludzie ci poruszali się wolnym, lecz zdecydowanym krokiem, nie robiąc przy tym najmniejszego

go hałasu. Panującą wokół ciszę zakłócały jedynie trzaski płonących żagwi. Nie zbudziły one ulicy Fortuny. zwróciły jednak uwagę księżycy w pełni. To on jako pierwszy zauważył. co się dzieje. Schował się za obłok w kolorze dymu i zamknął oczy. Od małego bawił się w ten sposób w chowanego. miał w zwyczaju zaciskać powieki nie po to, by ukryć się przed tymi. którzy chcieli go złapać i zabrać. lecz dlatego. że jednym gestem chciał wymazać wszystko wokół oprócz samego siebie. Sprawić. by coś. co istniało, znikło, było tak łatwe jak złączenie w jedną linię górnych i dolnych rzęs. Teraz też tak zrobił. W tym momencie nie działało się na ziemi wiele rzeczy wartych obejrzenia.

Otwierać! Otwierać w imieniu Świętej Inkwizycji!

Od śmierci Diega Elena Rodriguez budziła się w nocy na najłżejszy nawet hałas. Teraz też wyskoczyła z łóżka i pobiegła do kuchni. Niemal upadła. gdy długa. sięgająca do ziemi. fałdzista koszula nocna zaplątała się jej wokół nóg. Tym razem była gotowa na najgorsze. Tym razem zachowała spokój. choćby garnki miały się toczyć po podłodze. talerze fruwać w powietrzu, chochle lecieć w jej stronę. a cuchnąca zupa kipieć z kotła i zalewać wszystko dookoła. Cokolwiek się wydarzy, tym razem nie przestraszy się i nie ucieknie. nie upadnie bez zmysłów. Tym razem wytrwa. Pozostanie w kuchni i przegna szatana, który zawładnął duszą jej jedyne dziecko. A potem pożegna się z małym Diego i wyprawi go w drogę tam, gdzie całą wieczność będzie spał spokojnie. Lecz gdy zdyszana wpadła do kuchni, ujrzała, że wszystko stoi na swoim miejscu. Źródłem

hałasu nie był więc duch jej syna. Dopiero wtedy zdołała się nieco uspokoić i rozumiała, że dźwięki dochodzą z zewnątrz. W tym samym momencie oczy jej rozbłyły. Chwila, na którą czekała od tygodni, wreszcie nadeszła. Drzwi od ulicy, zdeorientowane, bo nieprzyzwyczajone do tego, by ktoś walił w nie pięściami, całe się trzęsły. Gdy przestaną stawiać opór, Elena Rodriguez zrobi pierwszy krok ku nowemu życiu. jej mąż chrapał w swoim pokoju. Budzenie tego człowieka, którego istnienie nic dla niej nie znaczyło, opowiadanie mu. co się wydarzyło, nie miało sensu. Zresztą gdyby nawet o wszystkim mu opowiedziała, w jej nowym życiu. ku któremu wyruszyła. by ocalić tamto dziecko. jedyną niewinną istotę w bagnie grzechu i występku, nie było miejsca dla kogoś takiego jak on. Próg otwartych na oścież drzwi przekroczy tylko ona z małym Andresem w ramionach. Dlatego teraz sama musiała stawić wszystkiemu czoła. Znalazła miejsce przy oknie, z którego mogła dobrze widzieć dom stojący naprzeciwko po skosie. Uklękła i cała drżąca, zaczęła zmawiać modlitwy. Gdy odmówiła wszystkie. wyjęczała ze łzami w oczach:

— Nie bój się. mój maleńki. Mamusia nie zostawi cię samego!

Drzwi wejściowe znalazły się naprawdę w okropnym położeniu. Im bardziej się opierały, tym cięższe stawały się ciosy pięści spadające na ich pierś. Najwyraźniej ludzie z pochodniami tym nieopisanym łomotem brali odwet na niedawnej ciszy. Niedługo potem we śnie śnionym przez ulicę Fortuny pojawiły się trąbki wygrywające sygnały do boju. Rozbrzmiewały one głośnym echem wśród murów, aż

cała ulica rozbijała się jak kołyska. Udowodniła w ten sposób, że nie wyrwie jej ze snu nawet wystrzał z armaty, a co dopiero dźwięk trąbki. Ale mieszkańcy znajdującego się przy niej domu nie mogli udawać, że nic nie słyszą. Wszyscy już dawno zerwali się z łóżek. Isabel wysunęła się z objęć Starej i zapaliła wyszukany po omacku kaganek. Co robić dalej, nie wiedziała, a wręcz nie chciała wiedzieć. Jej ciało jakby ścierpło, umysł nie pracował. Otępiłym wzrokiem wpatrywała się w migotliwy płomyk lampki. Jakże radosny był ten malutki płomyk! Kołysał się i wyginał w tańcu, wywołując na ścianach dziesiątki cieni nie mniej ruchliwych niż on sam. Chciała pocałować ten figlarny ognek, przytulić się doń i sama stać się złotym, gorącym ogniem: nawet perspektywa spłonienia, spopielenia się i rozwiania na wietrze nie wydawała się wcale taka straszna. Gdyby stała się ogniem, nie musiałaby się obawiać oparzenia. To bowiem może dotknąć wszystkich oprócz ognia oraz tych, którzy nim są. Gdyby więc ucałować płomienie... Gdyby stać się ogniem... Może skwiercząca śmierć w płomieniach... Na przekór tym, którzy podpalają... Przestać istnieć bez sinych plam, rozkładu, smrodu i robactwa... Isabel przestała nad sobą panować. Miotła się, jakby chciała nadrobić niedawną ospałość, targana i popychana wichrem bezładnych myśli. Zuchwały wiatr zaniósł ją na szczyt, by po chwili stamtąd strącić. Zaczęła szybko spadać i wtedy przypomniała sobie miedziane wiadro przy studni. Ono też musiało spadać w ten sposób. Jeśli sznur był dość krótki, nie uderzało o dno. Co jednak, jeśli nie był?

Gdy Isabel zmagąca się z tymi myślami. Stara podeszła do okna. Na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech, jakby patrzyła nie na pogrążoną w mroku ulicę FOrtuny, lecz na rozciągające się przed nią i widoczne tylko jej Oczom zielone łąki, błękitne morza i złociste pola. Po chwili rozłożyła szeroko ramiona, złączyła stopy. Wzięła głęboki oddech i wraz z nim spłynęły w nią wszystkie zgromadzone dookoła smutki, zgrzyoty, serca bijące strachem, miłością i gniewem, wszystkie tajemnice i szepty wszechświata, wszystkie litery, słowa i zdania przenoszące na papier opowieści ludzi. Piła je łapczywie i stawała się coraz lżejsza; rosnąc, malała, potężniejąc, słabła, brzydząc, piękniała. Była teraz lekka jak obłok, mała jak piórko. zwiewna jak liść. Nie musiała już patrzeć w prawo ani w lewo, przed siebie ani za siebie, wystarczyło, że spojrzała na siebie. w siebie. Nagle jednak przypomniała sobie o Isabel i cokolwiek zamierzała zrobić, zrezygnowała z tego. Nie mogła jej opuścić. Nie mogła małej, chorej, bezbronnej dziewczynki, którą przed laty ojciec przyniósł do niej umierającą. zostawić samej. Odsunęła się od okna.

— Chodź. moja jedyna — szepnęła. — Czas wyruszyć w wędrówkę po kręgu.

Lecz Isabel czuła, że nie może się nawet ruszyć, jak więc miała iść? Stara, nie widząc innego sposobu. wzięła młodą kobietę pod rękę. choć drżący płomyk kaganka oślepił jej zielonkawoniebieskie oczy. nie chciała go gasić. Powoli zeszyli po schodach. Na dole czekali przytuleni do siebie siostra Antonia Laura i jej mąż Pedro oraz służąca

Ana, wszyscy troje bladzi z przerażenia. Wiedzieli, że nie-
szczęsne drzwi wejściowe nie wytrzymają długo. Wszystkie
wyjścia zostały zablokowane. Nie było dokąd uciec. Księżyc
znów bawił się w chowanego, krąg szybko się obracał.

Na ostatnim stopniu schodów Stara wymierzyła Isabel
mocny policzek. Młoda kobieta oprzytomniała, jej otępia-
ły wzrok odzyskał bystrość. Miedziane wiadro tuż przed

roztrzaskaniem się o dno zawisło w powietrzu. Kto wie.
może sznur o coś zaczepił. a może rzeczywiście był wystar-
czająco krótki. Rozcierając zaczerwieniony policzek. Isabel
próbowała zrozumieć, co się dzieje. Szybko otrząsnąwszy
się z oszołomienia. zatkała uszy, by nie słyszeć zewu ognia.
Mimo wszystko musi spróbować ocalić życie. Pobiegła do
pokoju Andresa. Stara w tym czasie wezwała Con i Dzień.
Nie wygłosiła żadnej przemowy. nie wyjęła szydeł tkwią-
cych w ich szyjach. Powierzyła jedno opiece drugiego: noc
dniowi. a dzień nocy.

Z początku Isabel nie odważyła się zbudzić śpiące-
go spokojnie synka. Od dnia. gdy poczuła jego obecność
w swym łonie, miotła się rozdarta między dwoma prze-
ciwstawnymi stanami ducha. Czasami czuła do dziecka go-
rącą miłość, jakiej nigdy przedtem nie znała. Gdy malca coś
bolało, ona także czuła ból i płakała. a gdy się uśmiechał.
wszelkie jej smutki i troski znikwały. Jak ślicznie i niewinnie
wyglądał Andres. gdy chcąc pochwycić płomień świecy.
sparzył sobie swoje małe, różowe paluszki! Innym jednak
razem gorzko żałowała. że wydała na świat tę małą isto-
tę wymagającą nieustannej opieki. W takich momentach

choćby nie wiadomo jak się zmuszała, nie mogła znieść nawet widoku syna. a co dopiero go kochać. Nieustająco czegoś żądające. a gdy jego żądania pozostawały niezaspokojone, wybuchające płaczem. a czasem wręcz siniejące od krzyku dziecko doprowadzało ją do szału. Jaki nieznośny był Andres. gdy nie dostał tego. czego chciał! Tak więc raz był częścią jej duszy, raz czymś zupełnie osobnym, kimś obcym. kto znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie. Teraz zaś sama nie wiedziała, co czuje, miała zupełny mętlik w głowie. Ucałowała różowe policzki synka. pogładziła

jego kędzierzawe włosy, wciągnęła głęboko jego mleczny zapach. Tak jak nigdy nie udało się jej być dobrą żoną, tak nigdy nie stała się dobrą matką. W dodatku wcale nie było pewna, czy chciała nią być. Pelikan, który wyrzywa sobie z piersi kawałki mięsa, by nakarmić swe potomstwo, to przecież baśniowy ptak. Chwyciła w ramiona pogrążone we śnie dziecko i dołączyła do pozostałych.

Drzwi wewnętrzne pękły w końcu, wyłamane, i napierający na nie mężczyźni wpadli do środka. Nikt z domowników nie stawiał oporu. Pozwolono im założyć coś na siebie. Choć noc nie była chłodna, ubrali się ciepło i gdy nadszedł czas, po kolei, jeden za drugim. opuścili dom. Isabel lewą dłonią prowadziła Za rękę Starą, prawą zaś podtrzymywała Andresa obejmującego ją za szyję.

W tym momencie zamilkły wzywające do boju trąbki we śnie ulicy Fortuny. Dopiero teraz księżyc w pełni przebrany Za księżyc w pełni wychynął zza chmury w kolorze dymu. Na nic się zdała zabawa w chowanego. Ujrzał to.

czego nie chciał ujrzeć. I choć nikt nie wzywał go na świadka, nie czuł się uspokojony. Po jego uprzedniej filuterności i zadziorności nie zostało śladu, nawet jego blask wydawał się teraz przygaszony. Zresztą nawet jeśli wciąż by błyszczał, co by to dało? Ta mglista noc. gdy w każdej chwili wszystko może się zdarzyć. była bowiem od początku do końca ciemna choć oko wykol.

CASA SAN TA

Znalazłem się w niewłaściwym miejscu;
nie mogę się uwolnić od wrażenia,
Że jestem w niewłaściwym miejscu

FRANZ KAFKA

Budynek nosił nazwę Casa Santa. Święty Dom. Choć wzniesiony na płaskim terenie. wydawał się stać na wzniesieniu, na szczycie potężnej góry — tak wysokim, że mógł iść w zawody z orłami szybującymi po niebie. Dobrze widoczny z daleka. w miarę zbliżania się doń znikał z pola widzenia. Ten zaś, kto przekroczył jego próg. całkowicie tracił go z oczu. Wewnątrz mury stawały się coraz grubsze i grubsze. sufity coraz wyższe i wyższe, korytarze coraz dłuższe i dłuższe. Stopniowo wszystko, każda rzecz i każde miejsce, stawało się do siebie podobne. znikaly pola. równiny, morza, wybrzeża, trony, władcy i cała ta kraina zwana "na zewnątrz". Gdy jednym kłapnięciem szczęk

wewnątrz połykało zewnątrz, olbrzymia budowla wiła się w bólach. Pod jej ciężarem ziemia trzęsła się w posadach, skóra na jej coraz bardziej wzdętym brzuchu napinała się jak na bębnie. w środku zaś rozszalałe fale rozbryzgiwały się pieniście, uderzając o brzeg. W końcu skóra pękła. a święty Dom eksplodował niczym wulkan. który posta-

nowił przerwać stuletnie milczenie, poprzysiągł sobie, że będzie się o nim mówić przez następne wieki i z rykiem wyrzygiwał całe swoje jestestwo. To, co było w środku, wylewało się, a wtedy świat stawał na głowie, wewnątrz i zewnątrz zostawały z niczym. Wszystko było zagadką. Potoki rozżarzonej, czerwonej lawy przekraczały wyznaczone nigdyś granice i rozlewały się na przedtem i potem, na przeszłość i wieczność. Gdy w końcu pokryły wszystkie strony świata, gdy wszystko, co oddycha, wlaźło pod gruby koc i zasnęło, na powierzchni ziemi nie było już miejsca zwanego Casa Santa. Albowiem tak jak wszystko, co święte, ono też potrzebowało swego przeciwieństwa. Krótko mówiąc. Święty Dom był starą, olbrzymią, przypominającą pomnik budowlą, którą dostrzec i nazwać umieli tylko ci, którzy byli daleko, poza nim: ci zaś, którzy byli blisko lub znaleźli się w jego murach, nie byli w stanie określić ani jego kształtu. ani charakteru. nie umieli go opisać i wręcz powątpiewali w jego istnienie.

Wyrwani ze snu w środku nocy, wywleczeni z łóżek i bezceremonialnie zaprowadzeni do Świętego Domu. nigdy już nie byli tacy jak przedtem. Nie mogli być, bo nie było już żadnego dawniej. Nie było. gdyż czas płynął

tam inaczej — do tyłu. Dlatego ci, którym udało się wrócić do życia, jakie zostawili, nigdy nie mogli określić, ile dni i nocy spędzili w Świętym Domu. Czy przebywali tam trzy dni, trzy lata, czy trzy życia jedno po drugim, rezultat był zawsze ten sam. W casa Santa, gdzie czas biegi szybko wstecz, starcy młodzieli, młodzienci zamieniali się w dzieci, drzewa w kielki, a kielki w nasiona; nie miało znaczenia, co wskazują kalendarze czy zegary, gwiazdy na niebie czy astrologi na ziemi. Gdzieś, kiedyś pod ciosami zadanymi przez nieznanego sprawcę czas ze szczętem się rozłukał. A ponieważ jego kości, byle jak złożone, źle się rosły, dla więźniów Świętego Domu czas miał na zawsze pozostać kaleką.

Na pierwszy rzut oka tym, co w owej budowli poddawano torturom, co pozbawiano chleba i wody, czemu zadawano raz po raz ból w najbardziej wrażliwe miejsca, było ciało. To dla niego zgromadzono w lochach najrozmaitsze narzędzia tortur. Jednak właściwym celem nie było ciało, lecz pamięć. Najpierw zatruwano wody płynących przez nią rzek i strumieni. Używano do tego ziela skruchy. Barwę miało przezroczystą, smak gorzkawy. Rosło dziko na skalnych urwiskach, nad przepaściami nie do pokonania, na spustoszonych susza polach i ugorach, więc dobrze znało samotność i uważało się za króla roślin. Ponieważ nie tolerowało nikogo prócz siebie, ofiary należało bezwzględnie umieścić w osobnych celach, w pełnej izolacji. Wielu ludzi nie było w stanie wytrzymać długo w odosobnieniu: mimo to małe, pozbawione powietrza i światła cele w podzie-

miach Świętego Domu nigdy nie były puste. Jednych Zamykano, innych wypuszczano — stan liczbowy pozostawał constans. Imiona wydrapane na ścianach cel zamieniały się w sylaby. potem w litery, by w końcu — wygrzione przez oszalałe z głodu myszy — stać się ledwie kropką. Te małe, zuchwałe stworzenia wyspecjalizowały się w rozpoznawaniu smaków ludzkich imion. z których jedne były słodsze od miodu, inne potwornie gorzkie. a jeszcze inne — słone jak suszona ryba lub tak kwaśne. że gryzoniom cierpły zęby. Aby uzyskać truciznę. wystarczyło wziąć garść ziela, wysuszyć na słońcu, a potem suche jak pieprz liście utłuc w móżdżerzu na proszek. Dodany do wody, szybko się roz-

195

puszczał. Niełatwo było ów proszek zauważyć, co najwyżej pojawiała się lekka piana. smak stawał się odrobinę gorzkawy, i tyle. Po upiciu zaledwie łyka wody zatrutej zielem skruchy pamięć zaczynała działać w takim pędzie. jakby nigdy już nie miała się zatrzymać. Zaczynała przypominać sobie przeszłość, wszystko, co było i minęło, co minęło i zostało zapomniane. Z początku nie wyglądało to dziwnie. Pamięć zawsze przecież lubiła sobie przypominać. Przypominanie sobie oznaczało przywracanie do istnienia czegoś, co przestało istnieć. Lecz gdy trucizna z ziela skruchy zmieszała się z krwią, pamięć zaczynała odczytywać przeszłość na wspak. oceniać minione zdarzenia przez pryzmat żalu za grzechy, przyjmować oceny za pewniki. Łańcuch zarzucany na szyję pamięci zmieniał się w węża połykającego

własny ogon — krąg zła się zamykał. Przypominanie sobie wzbudzało coraz silniejsze wyrzuty sumienia, one zaś sprawiały, że ofiara jeszcze więcej sobie przypominała. W ten sposób przyjemności. jeszcze poprzedniego dnia smakowane z radością, stawały się ulotne jak dym, zacierały się wspomnienia doznanych rozkoszy, chwile szczęścia jedna po drugiej zmieniały się w momenty rozpacz. W końcu przeszłość stawała się ogromnym wstydem, plamą czarną jak smoła. źródłem nieznośnych katuszy i potwornych męczarni. Gdy wszystko zostało na nowo zapisane piórem żalu za grzechy. rozmywały się granice między snem a jawą. prawdą a kłamstwem. dobrym uczynkiem a występkiem. Skrucha zanosiła nieustanne modły o wybaczenie. prawdą zaś stawało się wszystko. w co pamięć — usilnie starająca się przypomnieć sobie cokolwiek — uwierzyła. Wkrótce pod wpływem krążącej w żyłach trucizny, tocząc pianę z pyska jak wściekły pies. prawda rzucała się z wy-

196

szczyronymi zębami na wszystko. co tylko znalazło się na jej drodze. Rozrywała mięśnie. wyrywała nerwy, łamała kości i rozszarpała organy wewnętrzne — doprowadzała do nierozpoznawalnego stanu wszystko, czego się tknęła: za sobą zostawiała jedynie ruiny i zwaliska. Ból, nie chcąc zostać za nią w tyle, mnożył się i rozrastał. Po niedługim czasie pamięć nie mogła już dłużej tego znosić i zaczynała unicestwiać samą siebie. Skoro wspomnienia przysparzają tyle bólu, lepiej niczego nie pamiętać. A niepamiętanie niczego oznaczało ostateczną śmierć!

Na tym etapie pamięci przesłuchiwane w Casa Santa osoby w większości rozpadały się z hukiem i jedna po drugiej targały na własne życie. A samobójstwo było przecież niewybaczalnym grzechem. buntem przeciwko Bogu. Buntowników należało bezwzględnie wydać na pastwę ognia. Aby ukryć jego okrucieństwo, płomienie odgradzały palonych od palących zasłoną z czerwonego aksamitu, ozdobioną purpurowymi chwostami. Gdyby nie ona, mordercy byliby zmuszeni patrzeć w oczy swym ofiarom i być może nie mogliby dokonać tego, co zamierzali. Zasłona spieszyła im z pomocą: płomienie się wznosiły, wina i winowajca ponosili karę i sprawiedliwości stawało się zadość. A przy tym nie przelano ani kropli krwi... W żadnym razie, pod żadnym pozorem krew nie mogła popłynąć, nie wolno było jej przelewać. W obrazie ognia miały bowiem panować kolor Żółty i ciepło. Zanim ogień ogarnął suche gałęzie, pamięć dawno już zamieniła się w popiół i uleciała w przestworza. Kto wie, może kiedyś, gdy czarne chmury się zderzą, a nieboskłon przebiegną błyskawice, ze strugami ulewnego deszczu spadnie z powrotem na ziemię. Krople pamięci użyźnią ziemię, trawa się zazieleni, będą się na niej paść

stada była prowadzone przez pasterzy-marzycieli. i to, czego ludzie nie odważyli się pamiętać. zostanie u dobrze wykarmionych krów oraz potulnych owiec.

Ludzie, którzy patrzyli z oddali na święty Dom, lubili o nim mówić. Mogli to zresztą robić tylko ci, którzy byli odeń daleko. a to dlatego. że w gruncie rzeczy ci, którzy byli najdalej. byli najbliżej niego. Często myśleli o nim, gdy

zostawali sami: gdy widzieli się z kimś w cztery oczy, rozmawiali o nim nieustannie, gdy zaś spotkali się we trójkę, upijali się, by o nim nie myśleć i nie rozmawiać. Niestety, pod wpływem trunku rozwiązywały im się języki. a ich usta opuszczały wyłącznie opowieści o nim. W ten sposób historie o Casa Santa krążyły z ust do ust. zmieniane, wyolbrzymiane i uduchowiane. Późną nocą tyle już było o nim powiedziane. że nie dało się powiedzieć nic więcej. Dla drzemających nad stołami stawał się okiem dostrzegającym każdy ruch. uchem słyszającym najmniejszy szelest, ciosem gotowym spaść w każdej chwili. Najtajniejsze pragnienia, najskrytsze tajemnice nie umykały jego uwagi. Niektórzy całymi dniami nie mogli się otrząsnąć po tym. co usłyszeli w czasie zakrapianej biesiady. Bali się tego. o czym sami opowiadali: nawet śpiąc w swoich ciepłych łózkach, nasłuchiwali odgłosów kroków świętego Domu. Dźwięki te tak przeszywały im uszy, tak ścisnęły serca, a udręka. którą odczuwali, była tak okrutna. że nim nastał dzień. ruszali w drogę. zalewając się łzami. Choć nie wiedzieli, dlaczego płaczą. za co tak żałują. przekonani. że na pewno popełnili coś, za co powinni bić się w piersi. raz po raz padając na kolana, przychodzili pełni skruchy i pokory do świętego Domu. Wynika z tego jasno. że nawykłe do samotności ziele skruchy, mające w zwyczaju wyrastać w najmniej oczekiwanych miejscach, umiało krzewić się również w umysłach naiwnych ludzi. Po przekroczeniu progu świętego Domu, zawodząc i płacząc, składali donosy na samych siebie. Dwuskrzydłowe, rzeźbione wrota z dębowego drewna otwierały

się, by wpuścić nie tylko tych, którzy byli przyprowadzani siłą, lecz także tych, którzy zjawiali się tu z własnej woli. Prawe ich skrzydło zdobity wizerunki świętych i aniołów. lewe zaś — diabłów i grzeszników. Anioły miały skrzydła, święci aureole, diabły ogony — grzesznicy nie mieli nic. Anioły były piękne. święci czysti, diabły paskudne — grzesznicy niczym szczególnym się nie wyróżniali. Kiedy drzwi się otwierały, anioły i diabły oraz święci i grzesznicy rozbiegali się w przeciwnych kierunkach, gdy zaś zamykały się z powrotem za wchodzącymi. stawali znów obok siebie i dalej zerkali jedni na drugich kątem oka.

Większość tych, którzy przychodzili do Świętego Domu Z własnej woli, wygadywała niestworzone rzeczy. w związku z czym po niedługim czasie była wypuszczana. Takie osoby ruszały pędem do domu, nie oglądając się Za siebie ani razu, jakby się bały, że obrócą się w kamień. Jednak dla tych, których opowieści potraktowano poważnie, czas zaczynał szybko płynąć wstecz. Bez względu na to. czy ich wizyty trwały krótko, czy też długo. stawali się miejscowymi. Oznakę bycia „stamtąd" nosili jak pieczęć na oczach.

Na co tymi oczami by nie spojrzeli, czy to na siebie, czy na cokolwiek innego, nic już nie było takie samo jak przedtem.

Dla nich nie było już przecież żadnego przedtem.

Oto dom święty, zwany Casa Santa.

Odarte ze srebra i tajemnic lustra miast.

tych powstałych oraz tych, które powstaną,

powielają jego oblicze.

Nieśmiało strach spogląda przez wpółotwarte
okno na Boga, który rozbłyska tragicznie.

JUAN RAMON JIMENEZ, Srebrzynek 1 Id

(Tłum. J Strasburgeu

Ściany pomieszczenia bez okna były czarne. zupełnie czar-
ne. Sufit tak wysoki, pokój tak rozległy, że gdy znalazła
się w środku, poczuła się malutka niczym mrówka, która
zgubiła zarówno drogę, jak i niesioną na plecach martwą
pszczolę. i spadła do wypełnionej ciastem formy, która za-
raz ma trafić do pieca. Być może jedyną rzeczą, jaka różniła
ją od mrówki, było) to, że nie próbowała w daremnym tru-
dzie sforsować gładkich ścian, za każdym razem spadając
z powrotem; nie szamotała się. by uwolnić drżące nogi
z lepkiej masy. Nie chcąc podzielić losu mrówki. czekała
w bezruchu, bez słowa. W drugim końcu pomieszczenia
stał olbrzymi stół na ozdobnych nogach. pokryty czarnym
aksamitem. Czerń tkaniny zlewała się z wszechobecnym
mrokiem, tak że trudno było określić. gdzie zaczyna się
blat stołu. łatwo było) natomiast poznać. gdzie się kończy.
gdyż na jego przeciwległym krańcu umieszczono sześć
świec. Ich wątłe płomyki były jedynym Źródłem światła.
Pośrodku stał krucyfiks. krew spływająca z ciała Jezusa łą-
czyła się z woskiem skapującym ze świec. Zaraz za stołem,
oświetlony pojedynczą świecą, znajdował się rzeźbiony
pulpit. Siedział przy nim zażywny pisarz szykujący się do
spisywania i odczytywania win przestępców. Gdy wodził
wzrokiem po więźniach i strażnikach, wwiercał się w nich
spojrzeniami, wydawał się szukać sposobności, by poka-

zać, że nie jest kimś zwyczajnym. Kiedy bowiem jedni na tym świecie popełniają grzechy, a inni wymierzają im za to kary. jego powinnością jest spisywanie linijka po linijce zarówno grzechów, jak i kar. Miną stulecia, i to dzięki jego gęsiemu pióru ludzie się dowiedzą, co się niegdyś wydarzyło. był widzem, obserwatorem zdarzeń. Bezpośrednim świadkiem ludzkich losów, jedynym źródłem wiedzy dla przyszłych pokoleń. Naczyniem z wodą, która przybiera kolor wrzuconego do niej proszku. połamanym magnesem przyciągającym słowa szybujące w powietrzu. pustą beczką. która — sama milcząc — odbije jedynie echem głosy innych. On tylko się przyglądał.

Jedyne krzesło przy olbrzymim stole ustawiono w pobliżu krucyfiks i świec. Siedział na nim Alonso Perez de Herrera. ubrany w białą szatę. z głową osłoniętą czarnym kapturem. Oparty łokciami o blat, dłonie złożył na skroniach. Wzrok wbił w leżący przed nim stos papierów. Zatoniony w nich, przypominał profesora uniwersytetu przygotowującego się do wykładu, który ma wygłosić następnego dnia. Dobrze wiedział, jak przerażające w takim miejscu i w takiej chwili mogą się wydawać spiętrzone karty i nieczytelne litery, czuł woń strachu ogarniającego więźnia. Aby jeszcze zwiększyć presję. siedział niewzruszony, nie obdarzając nieszczęśnika ani jednym spojrzeniem. Więzień kulił się w sobie, malał, nikt, aż w końcu zaczynał wątpić w to, że naprawdę istnieje. Sterczy tu, lecz nikt nie zwraca na niego uwagi. jego cień nie pada na ściany, jego ruchy nie wprawiają w drżenie płomieni świec, być może więc

już nie żyje: być może nigdy nie istniał.

Bał się. Bał się, gdyż umrzeć przed własną śmiercią było rzeczą przerażającą. Wydawało się, że jego żyły wypełnione są już nie krwią, lecz pęcherzykami powietrza, a pozbawione blasku oczy stały się dwoma głębokimi dołkami pełnymi błota. Z każdym oddechem ciało wypełniała pustka, on sam stawał się pustką. Rozszerzał się i w miarę rozszerzania się uspokajał. W każdym znanym języku pisał hymn pochwalny na cześć śmierci. Śmierć, którą znał od małości, lecz jej nie doceniał, jawiła mu się teraz jako wybawicielka. Już się nie bał.

I właśnie w tym momencie. w chwili gdy więźniowi wydawało się, że odnalazł spokój. Alonso Perez de Herrera nagle zaczął go dostrzegać. Pomieszczenie bez okien okazywało się pułapką na mrówki.

Pisarz dał znak, by się zbliżyła. Gdy nie zrozumiała, strażnicy popchnęli ją do przodu. Zrobiła kilka kroków w stronę stołu. Był jeszcze większy, niż sądziła. W tym rozległym pomieszczeniu nie tylko ona wydawała się mniejsza niż w rzeczywistości. Pośrodku blatu. w bogato zdobionej szkatule. leżała Biblia. Inkrustowane masą perłową wieko przypomniało jej o perle ukrytej w skorupie małża, czekającej w ciemności, aż ktoś ją odkryje.

Biblia to perła perła jest biblią.

— Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy Fortuny.

Alonso Perez de Herrera był ciekaw, czy kobieta pojmuje znaczenie i wagę słowa, które wypowiedziała. Wyraz

fortuna nie był po prostu słowem. Oznaczał stworzenie rodzaju żeńskiego nie znające, co to stałość, w najwyższym stopniu niebezpieczne, którego postępów nie dawało się przewidzieć i nigdy nie było wiadomo, kogo ucieszy, a kogo zmusi do płaczu. Podobne było do księżycy. Tak jak on lubiło zbijać ludzi z tropu, nieustannie zmieniając wygląd, przybierając coraz to inny kształt. Na wiecznie obracanym przez nią kole wszelkiego rodzaju nieszczęścia, katastrofy, krzywdy i strapienia czekały niecierpliwie, by się rozpetnąć: rozsiewały przy tym paskudny odór. Wzrok jej nie dopisywał: nie byłoby przesadą powiedzieć, że Fortuna jest ślepa. Nie widziała, kogo czym obdarza i na chybił trafił rozdawała podarunki ze swojego koła. W dodatku jeszcze nie oczekiwała podziękowań!

— jak się nazywa twój mąż?

— Antonio Pereira.

— Dzieci macie?

— Syna. Andresa.

Isabel przełknęła ślinę. Czuła ucisk w gardle. Przed oczami stanął jej obraz Andresa śpiącego słodko w noc aresztowania, jego różowe policzki, długie rzęsy i ciemne loki. Łzy wypełniły jej oczy, ale zdołała zapanować nad sobą i nie rozplakała się. Odgłos, jaki mimowolnie wtedy wydała, odbił się echem od ścian pomieszczenia: wzдрыgnęła się na ten dźwięk. Nie tylko zresztą ona. Poruszył on także Alonsa Pereza de Herrere, być może dlatego, że w tym ostatnim głosy budziły szczególne zainteresowanie. Po raz pierwszy obrócił głowę i spojrzał uważnie na stojącą przed

nim kobietę. Spojrzenie małych, wąskich czarnych oczu mężczyzny na moment skrzyżowało się ze spojrzeniem wielkich czarnych oczu kobiety. To spotkanie, trwające ułamek sekundy, przypomniało inkwizytorowi tajemnicę, o której przed laty szeptał głos. Być może żydówka, którą wziął za żonę jego dziadek, miała oczy tak samo duże i czarne, jak ta młoda kobieta. Oczy, których czerń zakłóciła czystą czerwień krwi przekazywanej z pokolenia na pokolenie, zmąciła wodę. Nieczyste oczy.

— Czy wiesz, dlaczego zostałam aresztowana?

Isabel nie odpowiedziała od razu. Czuła, że musi zachować ostrożność wobec tego mężczyzny zajmującego jedyne krzesło przy stole. Najmniejszy błąd mógł ją kosztować życie, nie wolno więc jej było użyć przypadkowych słów.

Musi z namysłem stawiać kroki, bo jeśli trafi na przegniłą deskę, szanse na wyjście stąd cało znacznie się zmniejszą

— Chyba wiem. Lecz przyczyną, dla której się tu znalazłam, nie były ani grzech przeciwko nauce Pana naszego, Jezusa Chrystusa, ani wyrzeczenie się wiary. Jestem tu bo... w sercach tych, którzy nie mają tego, co mam ja, gości zawiść.

Alonso Perez de Herrera spojrzał na kobietę z nieskrywanym zdumieniem. Takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

Po chwili zastanowienia zadał inne pytanie. Pisarz gorączkowo starał się zapisać ich rozmowę. gęsie pióro nerwowo przebiegało po papierze. skrybie drżały brew i powieka.

— Twierdzisz, że jesteś niewinna i zostałam fałszywie oskarżona?

— Nie twierdzę, że jestem niewinna. Nie wiem, kto na

tym świecie jest niewinny, a kto nie.

Usta Alonsa Pereza de Herrery wykrzywił drwiący

uśmiech. w oczach zabłyśły mu złośliwe ogniki.

— Czyżbyś nie wierzyła w niewinność Maryi Dziewicy?

Isabel dała się osaczyć. Obie próby skończyły się

powodzeniem, udzielone odpowiedzi ściągnęły gromy na

jej głowę. Następnego dnia miano ją przesłuchać ponow-

nie, teraz została odesłana do jednej z cel w podziemiach

Świętego Domu.

Poczuła uszczyknięcie w palce stóp. Na początku sądziła.

Że to jeden z głodnych szczurów. Gdy zebrał się na

odwagę. spojrzała w tamtą stronę. rozpoznała go, To ro-

bak strachu przycupnął u jej nóg. Miał przed sobą

długą drogę. lecz był szybki i umiał błyskawicznie się

przemieszczać.

KOBIETY

I ZWIERZĘTA

Credo, quia absurdum*.

Nie chciała zamilknąć. bała się ciszy. Zamknięta w celi.

godzinami mówiła sama do siebie. Od gadania bolała ją

już szczęka. ale udało się jej zasnąć dopiero wtedy, gdy do

reszty opadła z sił. Po przebudzeniu natychmiast znowu

zaczęła mówić. Najważniejsze było nie zaspokojenie głodu

czy pragnienia. nie odzyskanie wolności, lecz mówienie.

Prowadzona na przesłuchanie. nie kryła zadowolenia, że

znalazła kogoś. kto ją wysłucha. i niestrudzenie opowiadała

o wszystkim. nie pomijając najdrobniejszych szczegółów.

W końcu musiała się pogodzić z tym, że nie zostało jej już nic, co mogłaby wyznać. Zaczęła żałować. że nie popełniła więcej grzechów, które mogłaby opisać. Mówiła długo i rozwlekłe. powtarzając w kółko to samo. Ale chociaż z jej ust padały wciąż te same słowa, czuła podniecenie, jakby wypowiadała je po raz pierwszy. Miłość do Miguela Pereiry, czary, do których się uciekała, by go zdobyć, dziwaczne

wizyty w domu La Barbudy, trud, jaki sobie zadała, by wyrwać sobie z łona trzy włosy, tamta noc, gdy Miguel z ponurą miną przyszedł do niej i mu się oddała, a także to, że wiedziała, iż mężczyzna. którego kocha. myśli o innej...

Opowiadała o wszystkim po kolei, raz po raz zaczynając wszystko od początku. Wydawało się. że jedyny sposób na to, by ją uciszyć, to wyrwać jej język.

Alonso Perez de Herrera z litością spoglądał na młodą kobietę. Nie winił jej za to, co zrobiła. Kobiety z natury są bardziej skłonne do grzechu niż mężczyźni. Są wszakże córkami Ewy. Mają tendencję do wierzenia w bzdury. szukania pomocy w magii, słuchania szatana, wpadania w bagno występku i pociągania za sobą mężczyzn. Niezwykłą rzeczą jest nie zboczenie przez. kobietę z właściwej drogi. lecz pozostanie na niej. Z tego względu należy zawsze mieć ją na oku, pod kontrolą. Siedem grzechów głównych niczym siedem przeklętych zwierząt trzyma kobietę w swoich szponach. Pierwszym z nich jest zazdrość. Jak wąż nieustannie zmienia skórę. ukradkiem wspina się w górę po nogach kobiety. oplata jej szyję i zostawia w sercu

nasiona niesnasek i swarów. Drugim grzechem jest gniew. Jak wiadomo, kobiety szybko wpadają w złość i ciężko je uspokoić. Działają w gniewie, więc szybciej schodzą na złą drogę i popełniają grzech. trudniej też namówić je do poprawy. Gniew jest czarnopiórym kogutem o ostrym dziobie i jaskrawoczerwonym grzebieniu. Dzień i noc siedzi kobietom nad głową i pieje w najmniej odpowiednich momentach, czym doprowadza je do furii. Trzeci grzech to żądza. Ma postać wiecznie nienasyconej kozy. Gdy nie znajduje nic do jedzenia, pożera małżeństwo kobiety, by wrzucić cokolwiek do burczącego z głodu żołądka. Wszak dla niej

207

małżeństwo to zło konieczne, służące jedynie zapewnieniu trwania rodu. Czwartym grzechem jest chciwość. Wydając obrzydliwe dźwięki, niczym wielka ropucha roztacza całą swoją brzydotę i nie pozwala poprzestać na tym, co się posiada. Kobiety, które noszą ją między piersiami, odejmują mężom od ust, by kupować sobie coraz to nowe stroje i klejnoty, a i tak są wiecznie niezadowolone. Kolejny grzech to lenistwo. Leniwa kobieta niszczy własne ognisko domowe i sprowadza nieszczęście na otoczenie. Leniwa kobieta jest jak muł, który ani drgnie. choć na jego grzbiet spadają razy. Szósty grzech to pycha. Paw urzeka kobiety barwami piór, prezencją. ostentacyjnym przepychem i pewnością siebie. Od niego zarażają się próżnością. Siódmym i ostatnim grzechem głównym jest obżarstwo. Poszukując wciąż nowych smaków, kobiety nigdy nie potrafią nasycić się tym, co mają na stole, wszystkiego im mało. Nakłania je do tego świnia.

Tak oto siedem grzechów. siedem nieczystych zwierząt, nie opuszcza kobiet i podąża za nimi krok w krok.

Jednak nie tylko tych siedem stworzeń nieustannie namawia kobiety do złego. Czynią to także rozmaite diabły. pukając do ich serc i mieszając im w głowach. Należy dobrze znać ich imiona i wiedzieć, który w jakich sytuacjach odpowiada za dany rodzaj grzechu. gdyż źle dobrane egzorcyzmy mogą okazać się nieskuteczne. Przywódcą piekielnych hord jest bez wątpienia sam Szatan. Za nim idą Lucyfer, Belzebub i Barabasz. Szczególnie ten ostatni upodobał sobie nawiedzanie kobiet. Jeśli chodzi o mieszanie im w głowach, mistrzem jest inny bies. Mmodeusz. patron chciwców. Kiedy — czy to u kobiety, czy u mężczyzny — do głosu dochodzi nieposkromiona duma, natychmiast pojawia się, zwąchawszy okazję. Lewiatan. Belial zaś jest

patronem Cyganów, wróżbitów i czarownic. To on macza palce w większości popełnianych przez nich grzechów. Hazardzistom i bluźniercom przewodzi Auristel. Wystarczy cień wątpliwości w sercu człowieka, by go natychmiast przywołać. Ostatnim diabłem jest Renfas, żywiący się drobnymi rozkoszami. Gdy tylko wyczuje najmniejsze pragnienie. przybiega w podskokach jak młody koziołek. Ten Zawsze trzyma się w pobliżu kobiet. a zwłaszcza dziewcząt. Alonso Perez de Herrera był przekonany. że to Renfas właśnie nawiedzał od czasu do czasu Beatriz, lecz na manowce sprowadził ją sam Barabasz. Stan dziewczyny był poważny, gdyż diabeł ten należał do najbardziej uporczywych złych duchów. Gdy raz dopadł człowieka, nie

wypuszczał go łatwo ze swoich szponów. A skoro tak, to wymierzona kara powinna być na tyle mocna, by przegonić Barabasa. Skinął na pisarza. Gęsie pióro skreśliło rząd liter.

B-r-b-s

WSTYD

Gdy powierzasz komuś tajemnicę,
oddajesz mu swoją wolność.

FERNANDO DE ROJAS

— Jak cię zwą?

— Rodrigo, dostojny panie... Rodrigo Mendez Silva.

— Czy wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

— Nnn... Nnie, panie. Ja... za...pewniam pana. że...

— W takim razie powiemy ci. Znalazłeś się tu, gdyż wpadłeś w najstarszą pułapkę, jaką zastawia szatan, by zwieść ludzi.

Rodrigo był przerażony. Zgłupiał do reszty. Gdyby nie łańcuchy na rękach i nogach. podbiegłby i przypadł do kolan Alonsa Pereza de Herrery. Stale zalewał się łzami.

Co jakiś czas próbował coś powiedzieć, lecz głos wiał mu w gardle i wśród szlochów był w stanie wydać z siebie jedynie nieartykułowane dźwięki. Nie miał pojęcia. dlaczego go tu sprowadzono. o co został oskarżony. W dodatku było to już jego czwarte przesłuchanie. Za każdym razem szczerze odpowiadał na zadawane pytania, lecz nie zdołał złagodzić surowego wyrazu twarzy Alonsa Pereza de Herrery. Nie rozumiał już nawet, co do niego mówiono. Jakby czło-

wiek, przed którego obliczem ciągle stawał, przemawiał doń w obcym języku. Choć niekiedy z ust tamtego padały znajome słowa. Rodrigo nie pojmował wszystkiego. co mówił mężczyzna za stołem. Im większy mętlik miał w głowie, tym mocniej płakał. a im mocniej płakał, tym bardziej tracił głowę.

W pewnej chwili udało mu się opanować. Skupił się ze wszystkich sił i wsłuchał w słowa Alonsa Pereza de Herrey. Lecz gdy dotarło doń, że ten pyta go, czy współżył ze zwierzętami. zaczął jeszcze rozpaczliwiej szlochać. Toczył wzrokiem po ścianach, jakby spodziewał się od nich pomocy — od tych pozbawionych okien murów, które, miał nadzieję, szczęśliwym zbiegiem okoliczności zaraz runą i pogrzebią go pod sobą.

Tego ranka zaprowadzono go do sali tortur. Z serdecznością gospodyni pokazującej gościom obejście zademonstrowano mu wszystkie zgromadzone tam narzędzia służące do zadawania bólu. Jemu na razie go oszczędzono. Ta krótka wizyta miała jedynie dać mu wyobrażenie tego, co go czeka. Wśród przyrządów, jednych ostrzejszych. bardziej połyskujących od drugich. ujrzał ten jeden. stał z boku. jakby chciał pokazać. że nie jest taki jak inne, milczący, a zdecydowany, niewinny, a nieujarzmiony. Wydawał się spokojny, opanowany; na pierwszy rzut oka przypominał imponujące fotele stawiane w paradnej komnacie. Tym, co go od nich różniło, nie były ani zwisające po bokach skórzane pasy. ani dwa żelazne haki na oparciu. ani czarny

kosz umieszczony na samej górze niczym czapka. Tym, co go od nich różniło, było jego imię. Zwano go bowiem wyschnięta-ziemia-pełny-brzuch. Znaczenie tego miana stawało się jasne.

nymi pasami przywiązywano go za nadgarstki, a na głowę wsadzano kosz. Żelazne haki zaczepiano w kącikach ust nieszczęsnika, tak by nie mógł zewrzeć szczęk, i wlewano w niego najpierw dzbany, a potem całe wiadra i beczki wody. Woda wypłukiwała nieurodzajną ziemię. pełen brzuch zaczynał puchnąć. W końcu następował potop. Rozszalałe fale zalewały świat.

Usta Alonsa Pereza de Herrery bezustannie otwierały się i zamykały. Rodrigo od dawna już nie starał się rozumieć, co tamten mówi. wpatrywał się jedynie w stale poruszające się wargi. Nie krył zdziwienia. jak to możliwe. że dopiero teraz zauważył, że usta inkwizytora nie są czerwone czy choćby różowe, lecz zielone? Czy ktoś inny znał tę prawdę? Wargi wydawały się dzikim winem oplatającym wejście do mrocznej. ciasnej jaskini. Pnączem rozrastającym się, drążącym podstępnie niczym kret ziemię. zdradliwie opasującym drzewa stojące na straży. przecinającym na pół trujące grzyby. łamiącym karki delikatnym kwiatom. pożerającym tajemniczy las i pozbawiającym tym samym schronienia owady, robaki i wszelkie stworzenia... Pnączem, które rozczłonkuje rzeczywistość i błyskawicznie usuwa wszelkie odłamki i ślady. by ukryć jaskinię przed wzrokiem innych... Rodrigo Mendez Silva rozglądał się wokół z przerażeniem. Wszystko zniknęło w oszałamiają-

cym tempie. Czoło i policzki inkwizytora. jego broda i uszy zostały z chrzęstem przemielone przez ostre zęby pnącza. Pozbawione okien ściany, stół pokryty aksamitem, nakazy zawarte w Ewangelii. a nawet wyschnięta-ziemia-pełny-brzuch znikły. Wszechświat, niczym świeca o poranku. która paliła się całą noc, składał się teraz wyłącznie z cieniutkiego czarnego knota; unoszący się nad nim dym wskazywał. że jego puls wciąż jeszcze bije. Wahadło kołysało się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zielone wargi Alonsa Pereza de Herrery poruszały się bez przerwy.

Nagle jaskinię omiół zimny powiew wiatru, podnosząc tumany piasku i kurzu. Rodrigo Mendez Silva poczuł między palcami kwiat, ocalały z pogromu zgotowanego przez pnącze. Pochylony, przygnębiony, ale wciąż żywy. Usłyszał znajome imię. Pnącze mówiło coś o Miguelu. Knot wyprostował plecy, a wargi zmieniły kolor z zielonego najpierw na różowy. a potem na czerwony. Na dźwięk imienia przyjaciela Rodrigo poczuł — choć niewielką, to jednak — ulgę. Otwierając oczy szeroko jak dziecko, starał się zrozumieć. dlaczego Alonso Perez de Herrera wspomina o Miguelu. — Im szybciej się przyznasz. tym więcej będziesz miał czasu, by oczyścić swą duszę. Powiedz mi teraz, jakiego rodzaju stosunki łączyły cię z Miguelem Pereirą?

Rodrigo się uśmiechnął. Wreszcie otrzymał pytanie. na które znał odpowiedź. Już miał zacząć opowiadać siedzącemu naprzeciwko człowiekowi o Miguelu, gdy następne. nieoczekiwane zadane pytanie wytrąciło go z równowagi. Delikatny, potulny uśmiech na ustach dziwacznie kontrastował z przerażeniem malującym się w jego oczach

i z oszalałym biciem serca.

— Chciałeś. żeby cię wyruchał? Odpowiadaj! Zawsze tego chciałeś, czyż nie?

Rodrigo osunął się na kolana. Przełknął gromadzącą się w ustach ślinę. Nagle z ust dobył mu się krzyk, jaki mogłoby wydać jedynie zarzynane zwierzę:

— Tak, Bóg mi świadkiem, zawsze tego chciałem!

Alonso Perez de Herrera się rozpogodził. Wreszcie usłyszał to, co chciał usłyszeć. Rodrigo nie zostanie poddany torturom. Inkwizytor podszedł do grubasa o twarzy dziecka i łagodnie pogłaskał go po włosach. Rodrigo się uspokoił. Jak natrętny kot ocierał się o dłonie Alonsa Pereza de Hertery. Od czasu do czasu odchyłał głowę do tyłu i głęboko wzdychał.

Gdy zielone zwoje pnącza się rozchyliły, bez wahania zagłębił się w jaskinię. Jej wnętrze było co prawda mroczne, lecz odnalazł w nim spokój. Nie wstydził się już. Kołysał się powoli w objęciach fal, które łapczywie wzbierały i z furją uderzały o brzeg. roztrzaskiwały statki, lecz pozwalały płynąć tratwom. W górę i w dół. Nie zginął wszechświat, jego puls wciąż był wyczuwalny. Wahadło się poruszało. Raz w jedną, raz w drugą stronę.

WICHER

Któregoś dnia, kiedy białą ulicą przeszedł ów zły, czarny wiatr, nie zobaczyłem już więcej dziecka w drzwiach.

JUAN RAMON JIMENEZ. Srebron r ja

(Tłum F Śmiejał

Wkrótce miał wkroczyć w ósmy rok życia. Rósł jak na drożdżach. Jednak jego ładną twarzyczkę z wielkimi, wykrojonymi w kształt migdała oczami, okoloną burzą gęstych loków i przypominającą twarze aniołów z obrazów w kościele, zasnuwał mroczny cień. Przestraszył się wtedy i nadal się bał. Od owej nocy, gdy tamci ludzie wdarli się do ich domu, nie ujrzał więcej matki: strasznie za nią tęsknił. Czasami na ulicy jakaś kobieta wydawała mu się do niej podobna i ogarniało go pełne nadziei podniecenie. Lecz gdy znalazł się dość blisko, by dojrzeć jej twarz, kolejny raz rozczarowanie okrutnie wstrząsało jego sercem, dopiero co radośnie przyspieszającym rytm. Czysta, gładka i nieruchoma jak marmur twarz chłopca jeszcze bardziej mroczniała. a wielkie, wykrojone w kształt migdała oczy wypełniały się łzami.

W Casa Santa nie traktowano go źle. Zresztą nie minęło wiele czasu, gdy zjawiła się Elena Rodriguez i zabrała go stamtąd. Mieszkał teraz razem z nią, jadł to, co dla niego

ugotowała, i nosił ubrania, które dla niego wybrała, ubrania Diega. Kiedy miał je na sobie, nie wiedział już, kim jest, jak powinien się zachowywać, do kogo należy i z jakiego jest rodu. Zbierał koraliki ukryte w ciasteczkach chrup-chrup. Gdy dorośnie, zrobi z nich naszyjnik i podaruje ukochanej... Rzadko się odzywał. Od dnia, w którym zrozumiał, że gdy słowa opuszczą usta, nie można ich już zawrócić, starał

się. o ile to było możliwe, nie przerywać milczenia; nie ufał żadnemu nowemu słowu, które słyszał po raz pierwszy, ani żadnemu z już znanych. W rzadkich momentach, kiedy znajdował się poza polem widzenia Eleny Rodriguez, zagrzebywał się w samotność i bawił się najlepiej znanym sobie wyrazem:

STRACH

Ubierał jego litery w ubranka z fioletowego aksamitu. poił czekoladą i karmił ciasteczkami chrup-chrup, wznosił szklane domy i miasta z luster. Ilekroć zaś wystrojone, nakarmione i mające dach nad głową litery próbowały mówić, zatykał im szczelnie usta i z całej siły zaciskał ręce na ich cieniutkich szyjach, aż o mało nie wyskoczyły z nich nabrzmiące żyły.

RYBY

I pewnego dnia, gdy uwolniłem się od myśli że jeszcze nie czas, zostałem wysłany do tamtego miasta.

TAYFUN PIRSELIMOaLU, Qol Masallan

Założycielem miasta był święty Antoni. Ten, który to, czego nie mógł powiedzieć ludziom, mówił rybom. i od ryb słyszał to, czego nie mógł usłyszeć od ludzi. Studenci ściągający tu ze wszystkich stron Europy w poszukiwaniu swojej drogi niczym owe ryby świętego Antoniego płynęli rojnym tłumem przez brudne. pełne wody. śmierdzące uliczki. wśród mrocznych i ciasnych domów Padwy. Byli wśród nich tacy. którym z głodu cuchnęło z ust. i tacy. którym towarzyszyli służący: byli patrzący na wszystkich

z góry, a także kłaniający się z pokorą.

Antonio Pereira polubił Padwę. Choć nieco żałował, że nie ma tu z nim Isabel i małego Andresa. Był całkiem zadowolony, że się tu znalazł. Jedyne, na co mógł narzekać, to brak wieści z domu. Jediną rzeczą, o jakiej marzył, było nauczyć się jak najszybciej wszystkiego, czego w Padwie mógł się nauczyć, i wrócić do kraju, do rodziny, na swój uniwersytet. Wtedy będzie mógł pozostawić po sobie ślad na tym świecie. Pozostawić potomnym dzieło.

Pewnego dnia jego uwagę zwrócił skalpel z rękojeścią ozdobioną różowoczerwonym kamieniem w złotej oprawie, wbity w ścianę sali, w której demonstrowano studen-
tom sekcje zwłok. Gdy zaczął się dopytywać, skąd się tam wziął, opowiedziano mu, jak wbił go tam pewien wykładowca, zwany Rinozzi, brzydał nad brzydalami i dziwak nad dziwakami. Opowieść ta podobała mu się nie mniej niż samo miasto. Pragnął, by tak jak po Rinozzim pozostał ten skalpel, po nim samym zostało cenne dzieło i wymawiane z szacunkiem nazwisko. Dlatego pracował nieustraszenie; a gdy był już zmęczony czytaniem i pisaniem — by pozwolić odpocząć oczom — przyglądał się grze cieni dodającej uroku ulicom Padwy.

CAŁA WSTECZ

Nie można było zatem uznać kogoś
zarazem za winnego i za szalonego.

MICHEL FOUCAULT, Nadzorować karać

(tłum. T Komendant)

— Jesteś mądrą kobietą — oświadczył Alonso Perez de Herrera. — Lepiej, by się nie okazało, że to ty stoisz za tym wszystkim. Nadmiar rozumu najbardziej szkodzi białogłowom.

Isabel Nufiez Alvarez dobrze wiedziała, co oznaczały te słowa. Drugie przesłuchanie wypadło dla niej jeszcze gorzej niż pierwsze. Ilekroć próbowała stanąć prosto. Zraz traciła równowagę: z przerażeniem obserwowała, jak wszelkie możliwe punkty oparcia jeden po drugim rozsypują się w proch. a przy każdym kroku pod jej stopami otwiera się bezdenna pustka: nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna i tak samotna. Ci, którzy twierdzili, że ziemia jest okrągła, mieli być może rację. Lecz choć nie miała końca, miała dno. A Isabel właśnie tam spadała i próbując przypomnieć pękającej, łuszczącej się skórze, że nie jest wężem. bezustannie myślała o zielononiebieskich oczach Starej. W końcu nie wytrzymała i w chwili skrajnej bezsilności próbowała dowiedzieć się od inkwizytora czegoś o losach swej dawnej opiekunki.

219

— Nie wiem, o czym mówisz — oświadczył Alonso Perez de Herrera. — Nikt taki nie przekroczył progu casa Sante. Uważaj, by twój umysł cię nie zwiódł.

A zatem Stara tu nie trafiła! Znikła, czy też w ogóle jej nie było? Czy była snem, który się tylko jej przyśnił, czy też znaną wyłącznie jej rzeczywistością? jeśli to nie Stara,

to kto uratował Isabel życie? Kto małą, chorą, rozpaloną gorączką, nieszczęśliwą dziewczynkę wyciągnął ze studni, na której dnie czała się śmierć? Czy sznur z miedzianym wiadrem na końcu był wystarczająco długi. czy jej wola życia była dość silna? jeśli Starej nie było, skąd wziął się na jej szyi ten woreczek? Dlaczego pachniał różami, skoro Isabel nie lubiła ich woni? Jeśli Stara nie istniała, skąd Isabel wzięła biały kamień, który po długim wahaniu podarowała dawnemu ukochanemu? A on. gdzie on teraz był, co robił?

Robak strachu okręcał się wokół jej szyi: czuła, że to ostatnia szansa. Robak powoli łagodniał, oswajał się z ciepłem i zapachem jej ciała. Wkrótce dotrze na szczyt. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, robak zapanuje nad nią całą, weźmie w posiadanie jej całe "ja".

Szaleństwo nie jest ceną za odkrycie samego siebie.

To odkrycie samego siebie jest ceną za możliwość postradania zmysłów.

Odkrywca może nie wiedzieć, co odkrywa.

Może też nie być zadowolony z tego. co odkryje.

Wyciągnęła się na kamiennej posadzce i wymamrotała:

— Niech krąg ruszy wstecz, cała wstecz!

210

Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Rozumować odwrotnie, wymazać logikę, pokawałkować osobowość. jej ciało się wyprężyło. Gdy zatoczyła pełny krąg. a wąż połknął własny ogon. otworzyła oczy. Nie patrzyła już tym samym wzrokiem, co przedtem.

Trzecie przesłuchanie trwało najdłużej.

UCIECZKA

We Śnie, w ostatnim śnieniu przedporannem
stałem na wzgórzu — poza rubieżą świata
— i ważyłem świat.

FRYDERYK NIETZSCHE, Tako rzecze Zaratustra

(Tłum. W. Berem)

Od wielu godzin krążył wąskimi uliczkami, zataczając się
i raz po raz wdeptując w błoto. Niekiedy, straciwszy równo-
wagę, padał całym ciężarem na ziemię. Podnosił się z tru-
dem. Od czasu do czasu przytykał do ust bułak, ozdobiony
inicjałami NIC i pociągał zeń łyk wina. Przekrwione oczy
same mu się zamykały ze zmęczenia. a z płaczącego się
języka spływał potok pompatycznych złorzeczeń i grubiań-
skich przekleństw. Cuchnął jego oddech, cuchnął on cały.
Nie było żadnej przyjaznej duszy. u której mógłby szukać
wsparcia. żadnego Życzliwego domu. pod którego dachem
mógłby choć na jedną noc znaleźć schronienie. W dniach
gdy jeszcze żywił jakąś nadzieję. prosił przyjaciół o pomoc.
Pukał po kolei do ich drzwi, lecz za każdym razem spoty-
kało go to samo. Ludzie, którzy jeszcze niedawno lubili
spędzać czas w jego towarzystwie. chętnie dzielili z nim
stół i wspólnie przeganiali smutki. teraz na jego widok za-
czynali się pocić, jękać. drżeć ze strachu, jakby zobaczyli
ducha. I choć nikt nie powiedział tego otwarcie. wszyscy
dawali do zrozumienia, że nie mogą otworzyć przed
nim drzwi swojego domu. Wpuszczenie go bowiem za
próg oznaczałoby współudział w przestępstwie. udziale-

nie schronienia złoczyńcy. Nie był nawet zły na przyjaciół, którzy woleli przywdziać po nim żałobę, niż udzielić mu pomocy w potrzebie. Zapewne niektórzy nawet donieśli na niego do bezwzględnie panoszącej się w Madrycie inkwizycji. Wszystko było jasne. Nie miał już nikogo. został sam jak palec.

Musiał uciekać. Nie tylko przed wysłannikami Świętego Oficjum, przed ludźmi, którzy rozpoznawszy go, byli gotowi natychmiast go oczernić, przed przekłętymi pogłoskami, które szły za nim krok w krok, lecz także przed samym sobą i swoim sumieniem. Nie miał wątpliwości, że jedyne, co może robić, to uciekać, wiecznie uciekać, bojąc się każdego cienia i stale oglądając za siebie. W zasadzie już jako dorastający chłopak dostrzegł cienką linię dzielącą podążanie i przybywanie. i odtąd zawsze opowiadał się za tym pierwszym. Lecz uciekanie było czymś jeszcze innym. Podążanie było podróżą nie mającą początku ani końca, o nieokreślonej długości. przybywanie zaś — wspinaczką po wyznaczonym wcześniej szlaku do znanego celu. W podążaniu najważniejsze były nieustanny ruch, przemierzanie gór i dolin oraz powiew wiatru na twarzy. w przybywaniu — zdobycie szczytu i pochwycenie wiatru. Podążanie było rzeczą tych, którzy obdarzeni byli mocną pamięcią i uporem, przybywanie ZAŚ tych o nieskrępowanej i żarłocznej wyobraźni. Podążanie wybierali ci walczący z przeznaczeniem. przybywanie — ci, którzy w nie wątpili. Korzenie pierwszego tkwiły w przeszłości, a na używanej przez nie mapie zaznaczono wiele punktów: drugie otwie-

rało ramiona ku przyszłości, na jego mapie zaś był tylko jeden punkt. Stąd w pierwszym brał górę pierwiastek żeński, w drugim — męski. Ale uciekanie było czymś zupełnie innym. Stan ciągłego ruchu upodabniał je do podążania, z drugiej jednak strony ukryte gdzieś w głębi pragnienie znalezienia się w innym, odległym miejscu zbliżało je do przybywania. Krótko mówiąc, uciekanie było podobne i do podążania, i do przybywania, a jednocześnie nie przypominało żadnego z nich. Miguel Pereira uciekał. Znalazł nawet imię dla owego innego miejsca. odległego lądu tak drogiego każdemu uciekinierowi, tak pieszczonemu przez niego w myślach: Miasto Luster.

Aleksander Wielki miał ponoć olbrzymie zwierciadło, umieszczone na szczycie wysokiego wzgórza. Mógł przez nie dostrzec wrogów. którzy znajdowali się jeszcze w ogromnej odległości, krążące w ich umysłach lisy oraz zdradzające nieczne zamiary diabelskie ogniki migocące w źrenicach owych lisów. Lustró przekazywało Aleksandrowi wiedzę o przyszłych zdarzeniach, odślaniało przed nim tajemnice świata i niebios. Sprowadzając do niego inne miejsca, czyniąc bliskim to. co odległe. jednym ruchem przekreślało granice. które wydawały się nie do pokonania. Miguelowe Miasto Luster miało Zaś pokazaC to. co bliskie, oraz to, co dalekie, widoczne i niewidoczne. ziemię i niebo. W jego zwierciadłach Miguel miał ujrzeć, jak Przeszłość uwodzi Przyszłość. jak Przyszłość rozpala się i traci zmysły wewnątrz Przeszłości, jak w łonie Przeszłości chwila po chwili, dzień po dniu rośnie i kształtuje się Dziś. W Mieście Luster mógłby podziwiać do woli widok krainy, w której

przyszedł na świat i w której, być może, już nigdy więcej

nie postanie jego stopa. Dzięki niemu syciłby oczy wido-
kiem rodzinnych stron wewnątrz obczyzny, wszechświata
wewnątrz rodzinnych stron i własnej postaci wewnątrz
wszechświata. Miasto Luster, nie odrywając go od bolesnej
przeszłości i nie osądzając w imię wzniosłej przyszłości.

od razu objęłoby go czule i przytuliło do piersi. W Mieście
Luster czas zawsze byłby czasem obecnym. Miguel pojąłby
w nim, jak bardzo jest samotny, a jednocześnie — że nie
jest jedynym samotnym na tym świecie. Zamiast jechać,
by ujrzeć inną część świata, zaniósłby świat tam, dokąd
się udawał.

Nagle myśli o Mieście Luster i o sobie samym rozpierz-
chły się, syjąc iskry, jakby zdmuchnięte gwałtownym po-
wiewem wiatru. Przypomnił sobie rozmowę, którą odbył
tamtego wieczoru.

— Chciałbym podróżować po świecie — westchnął
Rodrigo.

— Daj sobie spokój, dla mnie świat jest wszędzie tam,
gdzie jestem — odparł Miguel na wpół pyszałkowato, na
wpół lekceważąco.

— Ach, rozumiem, wszechświat wydaje ci się aż taki
mały! — niespodziewanie obruszył się Rodrigo.

— Nie, to ja jestem taki wielki!

Na to wspomnienie do oczu napłynęły mu łzy.

— Wielkość, tak?! Kim ty jesteś, jaka wielkość? Jesteś
nikim, nędznym draniem! — wykrzyknął.

Szukał sposobu, by zadać sobie ból. Wbił paznokcie

w dłonie, zęby w ramię. zagryzł wargi do krwi. a ponieważ wciąż było mu mało. wyrwał garść włosów z głowy.

W końcu zaczął się wić i miotać. Przed oczyma wciąż miał olbrzymie ciało Rodriga. jego afektowane gesty i dziecinne

oczy. Przyjaciel wydawał się winić Miguela za to, co mu się przydarzyło.

— Druhu mój! — zawołał Miguel ochrypłym głosem, uspokoiwszy się nieco i zneruchomiawszy. — To ty miałeś rację, wiesz? Powinieneś być podróżować po świecie. Ty. Ty nie zasłużyłeś sobie na to, co cię spotkało.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Rodrigo oddalił się z gorzkim uśmiechem na ustach. Było zimno, noc się dłużyła, jakby świt nigdy nie miał nadejść.

W bukłaku zostało już niewiele trunku, musiał pociągać zeń z umiarem. Upiwszy kilka łyków. otarł usta wierzchem dłoni. Najgorsze wcale nie było to. że musiał włączyć się obdarty i głodny. ani to. że najbliżsi przyjaciele odwracali się od niego jeden po drugim. Najdokuczliwsze były nie dające spokoju myśli. Wciąż słyszał głos. który powtarzał. że to wszystko jego wina. Hulaszcze życie, jakie wiódł, łamane przez niego serca i zapieczętowane skrzynie, które beztrąsko otwierał, jego liczne występki i słynna już niefrasobliwość były dowodem na to. że zasłużył na los, jaki go spotkał. Był prawdopodobnie śmieciem. próżniakiem i grzesznikiem unurzonym w bagnie występku. Prawdopodobnie słusznie spotkało go nieszczęście. Tylko dlaczego to on pozostał na wolności, podczas gdy ci. których kochał najbardziej. zostali uwięzieni? Dlaczego Bóg tę właśnie

karę uznał za właściwą? To, że w noc aresztowania włóczył się nie wiadomo gdzie, niczego nie tłumaczyło. Dlaczego stało się to tej właśnie nocy, a nie jakiejś innej? Dlaczego Bóg sprawił, że znalazł się poza domem, i w ten sposób pozwolił mu ujsć cało?

Zachwiał się nagle, potrącony przez młodzieńca, który — sądząc po stroju i pośpiechu — zmierzał na waż-

216

ne spotkanie. Miguel stracił równowagę i runął jak długi. Młody człowiek omiół przelotnym spojrzeniem jęczącego pijaka leżącego na ziemi, skrzywił się i poszedł dalej. Kiedy indziej Miguel uznałby jego zachowanie za powód do wszczęcia bójki, wyjąłby szpadę i dałby nauczkę nieostrożnemu galantowi — pozostawiłby na jego twarzy cieką, długą, głęboką, paskudną pamiątkę. Teraz jednak nie miał na to ani chęci, ani siły. Nie był w stanie nawet go skląć, a co dopiero wymachiwać mu bronią przed nosem. Jak padł, tak leżał, złożywszy głowę na bruku. Znow zaczął płakać. Może zamiast znosić te piekielne męki, powinien pójść i oddać się w ich ręce? Albo któremuś z przechodniów zdradzić, kim jest, dając mu w ten sposób możliwość spełnienia dobrego uczynku, a jednocześnie kładąc kres własnemu cierpieniu? Buta młodzieńca, który go potrącił, nie pozwoliła mu odegrać tej roli, lecz z pewnością łatwo znajdzie się ktoś inny. Miguel Pereira uniósł głowę i bezradnie rozejrzał się dookoła. Jak na złość ulica była całkiem pusta. Postanowił zaczekać chwilę i zatrzymać pierwszego przechodnia, który się pojawi. Leżał, racząc się resztkami wina z bukłaka — z niczego w życiu nie korzystał z umia-

rem, trudno byłoby się więc spodziewać, że zacznie teraz rozsądnie gospodarować resztką trunku. Wreszcie się doczekał. W dodatku w uliczkę skręciło dwóch wybawców. nie jeden. Zajęci wesołą rozmową młodzi mężczyźni szli w jego kierunku. Zebrawszy wszystkie siły. Miguel próbował wstać. Nie udało mu się co prawda stanąć na nogi. ale zdołał podnieść się na kolana. już miał unieść rękę, zatrzymać zbliżających się przechodniów i wydać samego siebie, gdy usłyszał znajome imię. Mężczyźni rozmawiali o przedstawieniu w teatrze obejrzanym poprzedniego

dnia. Uwagę Miguela zwrócił uszczypliwy ton, z jakim wymawiali przezwisko La Loca. Lewe ramię, którym zamierzał dać im znak. by się zatrzymali, zawisło nieruchomo w powietrzu. Młodzieńcy przeszli, obrzucając obojętnym spojrzeniem klęczącego pijaka, tkwiącego nieruchomo jak pomnik. z jedną ręką uniesioną do góry i z dziwnym wyrazem twarzy. Miguel się uśmiechał. Stał się cud! Wspominali o La Loca, a to oznaczało. że Lukrecja wróciła do Madrytu.

Aż dziw, że będąc w takim stanie. znalazł siłę, by przebyć dość długą drogę, wkrótce jednak znalazł się przed domem aktorki. Upewniwszy się. że uliczka jest pusta. zaczął rzucać kamykami w okno sypialni Lukrecji. Niestety, kamyki trafiały w ramy wypełnione nie szkłem, lecz natłuszczonym papierem. więc nie wydawały pożądanego dźwięku. Miguel aż za dobrze wiedział, że o tej porze kobieta może nie być sama. Rzucił może z tuzin kamyków, wszystko na próżno. Oddając się z zapałem Bóg wie jakim uciechom, nie

usłyszała zapewne żadnego z cichutkich stuknięć w okno. Miguel uznał, że nic z tego nie będzie. odchrząknął i oczyściwszy gardło. zaczął na cały głos wyśpiewywać serenadę. Melodię, podobnie jak słowa. ułożył ad hoc O. La Loca. Lukrecjo moja słodka. Przybyłem do ciebie, weź mnie w ramiona. Inaczej twa chałupa ~stanie spalona... Klaskał przy tym i tupał do rytmu, robiąc w ten sposób nieopisany hałas. Nie minęło wiele czasu, a w oknach sąsiednich domów ukazały się głowy zirytowanych mieszkańców. Miguel zagrał na nosie rozwścieczonym sąsiadom,

którym jego występ najwyraźniej nie przypadł do gustu. po czym zaczął znowu śpiewać, tym razem jeszcze okropniej. Z któregoś okna ktoś chlusnął zawartością wiadra z nieczystościami. lecz Miguel ze zręcznością linoskoczka zdołał w porę uskoczyć. Ta mokra akcja przyniosła tylko taki skutek, że namolny pieśniarz jeszcze bardziej się ożywił. Już miał zaintonować kolejną pieśń, gdy drzwi budynku gwałtownie się otworzyły i wypadła z nich potargana i niekompletnie ubrana La Loca. Wściekłość malująca się na jej twarzy nie pozostawiała cienia wątpliwości, że zaraz pośle do diabła autora tych niestosownych popisów. Lecz ujrawszy przed sobą Miguela, dosłownie osłupiała. Lukrecja wróciła do Madrytu trzy dni wcześniej i od razu usłyszała, jaki los spotkał jej ulubionego kochanka i jego rodzinę. Widok ściganego przez wszystkich młodzieńca. dobijającego się o tak późnej porze do jej drzwi. a do tego usiłującego wyśpiewywać serenady, kompletnie zbił

ją z tropu. Jednak Lukrecja umysł miała równie sprawny jak ciało, więc błyskawicznie wzięła się w garść. Zerknęła na sąsiadów, którzy — choć powinni przywyknąć do podobnych wybryków — patrzyli na nich z nienawiścią.

po czym, uśmiechnąwszy się grzecznie. złapała Miguela i wepchnęła do domu. Zrobiła to w samą porę. gdyż ten. wyczerpany długą wędrówką. włożywszy ostatnie resztki sił w serenady. padł niemal bez czucia. ledwie znalazł się za progiem. Z zewnątrz dało się słyszeć jeszcze kilka złorzeczeń sąsiadów, potem stukot zamykanych okien, i ponownie zapanowała Cisza.

Lukrecja odetchnęła z ulgą. lecz w tym samym momencie z sypialni dobiegł męski głos. Nie było chwili do stracenia. Złapała Miguela Za nogi i zaciągnęła w kąt, gdzie

niełatwo byłoby go dostrzec. Sadzając go, dotknęła gęstych, kruczoczarnych loków, które zawróciły jej w głowie i sprawiały ją o szybsze bicie serca. Gładziła je przez chwilę, po czym, szybko otarłszy wzbierające w oczach łzy, pobiegła do sypialni. do kochanka. który czekał tam goły jak go Pan Bóg stworzył, zaciekawiony, a jednocześnie zaniepokojony hałasem. Ona jednak nie zamierzała niczego wyjaśnić, rzuciła mu tylko odzianie i oświadczyła przymilnie, jakby chciała wynagrodzić mu nieuprzejme traktowanie, że bardzo jej przykro. lecz zmuszona jest go prosić, by natychmiast sobie poszedł. Nieszczęśnik. brutalnie odtrącony, w momencie gdy już miał się wspiąć na szczyt rozkoszy, stał, ściskając w rękach gacie. niezdecydowany, czy ma się złościć, czy tylko dziwić. Korzystając z chwili jego wahania.

Lukrecja pospiesznie pomogła pechowemu kochankowi się ubrać, po czym, obsypawszy go na pożegnanie figlarnymi słówkami i czułymi uściskami, wypchnęła kompletnie oszołomionego za drzwi. Odetchnęła z ulgą i wyciągnęła z kąta na wpół przytomnego Miguela. "tymczasem niedoszły kochanek, ocknąwszy się pod wpływem nocnego chłodu, pojął w końcu, co się wydarzyło. W bezsilnej złości z całej siły wymierzył drzwiom kilka kopniaków. po czym stracił do reszty panowanie nad sobą i zaczął walić głową w mur. Już szykował się do ponownego przypuszczenia szturm na drzwi, lecz powstrzymały go gniewne protesty i groźby ze strony zniecierpliwionych sąsiadów. dla których całe to zajście to było za wiele, nawet jak na la locę. W końcu na wpół nagi mężczyzna, syjąc przekleństwami, znikł w mroku nocy.

Miguel cały się trząsł. Zwinął się w kłębek jak płód w łonie matki. Dygocąc, od czasu do czasu mamrotał coś pod nosem, jakby nie dość mu było odśpiewanej przed domem miłosnej pieśni. Na szczęście Lukrecja w krytycznych chwilach umiała działać z szybkością błyskawicy. Zawlokła Miguela do sypialni, rozebrała i zapakowała do łóżka. Z wysiłku z trudem łapała oddech. Otarłszy pot z czoła, pobiegła i przyniosła dzban wina. Gdy zimnym jak lód trunkiem natarła ciało młodzieńca od stóp do głów. Miguel na moment oprzytomniał. Uniósł lekko powieki i rozchylił usta.

— Lukrecjo, mój aniele — jęknął, po czym z głupawym uśmiechem natychmiast zapadł w sen.

Lukrecja czuwała przy nim całą noc, przykładając do

rozpalonego czoła mężczyzny chłodne kompresy i składowając na jego wysuszonych wargach wilgotne pocałunki. I smutniała, gdy mając w malinie, wypowiadał imię innej. Czasem potrząsała głową. Jakby chciała powiedzieć: „ja ci pokażę”, lecz nie mogła się powstrzymać, by z czułością i pożądaniem nie pogładzić Miguela po włosach.

Tej nocy rozpalony gorączką Miguel Pereira jątrzymał za rękę. Jej imię szeptał. Jeszcze raz na nowo przeżywał wspólne chwile. Z podniecenia jego ciałem niekiedy wstrząsały dreszcze, innym znów razem wił się i jęczał w straszliwej bezsilności. Ona zaś, rozpuściwszy splecione do pasa czarne włosy, uśmiechała się do niego. Usilnie starała się nie wybuchnąć płaczem: wierzchem dłoni ocierała łzy zbierające się w kącikach oczu. Jej uroda jak zawsze oszałamiała, zapierała dech w piersiach. „Chciałbym. byś poznał Isabel Nufiez Alvarez — powiedział Antonio. Odczekał chwilę, jakby chciał wzbudzić większe zaciekawienie, i dodał: — Zgodziła się zostać moją żoną”. W jego głosie brzmiała nieskrywana duma. Gdy nadszedł dzień spotkania z przyszłą bratową. Miguela opanował dziwny niepokój; nie umiał wyjaśnić jego przyczyny. Sądził, że kobieta, którą wybrał sobie za żonę jego starszy brat, musi być strasznie nudna. Mylił się jednak. Wielkie, czarne oczy, biała jak mleko cera Isabel. Jej zgrabna sylwetka i uśmiech oczarowały Miguela. Tamtego dnia odwracał wzrok, by na nią nie patrzeć. Pierwszy raz w życiu starał się nie spoglądać na kobietę. Potem. w ciągu następnych dni, tygodni i lat nadal odwracał oczy od Isabel. W niektóre noce nie wytrzy-

mywał i nadśłuchiwał pod ich drzwiami: gdy ze środka nie dochodził żaden dźwięk, czuł ulgę. W niektóre poranki z niepokojem szukał na twarzy Antonia oznak namiętnych nocnych igraszek. lecz gdy widział, że ten jak zwykle nie myśli o niczym innym, jak tylko o książkach, uspokajał się. Po wielokroć łowił wzrokiem spojrzenia, którymi darzyli się małżonkowie. i z radością dostrzegał malującą się w nich obojętność. Nie kochali się. to było pewne, jedynie godzili się na to małżeństwo. Być może szczęście nie było więc tak odległe. jak mu się wydawało — być może pożądał jej tylko dlatego, że była tak odległa. Nie wolno mu było o tym myśleć. Powinien trzymać się z dala. odsunąć się, jak tylko można. Ale jaka odległość byłaby wystarczająca, tego nie wiedział. Czasem biegł przed siebie. ile sił w nogach. jak najdalej, lecz gdy się oglądał. spostrzegał. że ona wciąż jest tuż obok. Biegła za nim, czy też on. sądząc. że biegnie. jedynie dreptał w miejscu? jak daleko było wystarczająco daleko?

— Czy sądzisz. że tylko ty się boisz?

Isabel stanęła w drzwiach. Poprzedniej nocy Miguel przesadził z alkoholem. obudził się więc dopiero po południu; kiedy się zorientował. że oprócz ich dwojga w domu

241

nikogo nie ma, wpadł w panikę: pod wymyślonym na poczekaniu pretekstem zamierzał wyjść z domu bez śniadania i już stał w drzwiach, gdy Isabel zagroziła mu drogę i zadała to dziwne pytanie. Pojął wtedy, że nie może już dłużej odwracać oczu. Usta miała miękkie, piersi drobne i jędrne. „Nie ma dalszej drogi — pomyślał.— To ślepa uliczka”.

Kochali się tylko raz. żadne z nich nawet nie brało pod uwagę, że to mogłoby się powtórzyć. W następnych miesiącach widział, że Isabel się zmienia, lecz coraz rzadziej bywał w domu. i późno zrozumiał, co się stało. Pewnego wieczoru po kolacji Antonio radośnie wznosił kielich. Za zwyczaj pił bardzo niewiele, gest ten zdziwił więc Miguela. »znoszę kielich za mojego syna. który wkrótce przyjdzie na świat!" W głosie Antonia znów pobrzmiwał ton nieskrywanej dumy. nie powściąganej radości. Od trzech lat był żonaty, a ożenił się w zasadzie wyłącznie po to. by rodowi Pereirów. który od pokoleń trudnił się medycyną, zapewnić godną kontynuację. Ponieważ był szczerza przekonany, że młodszy brat nie przyniesie familii żadnego pożytku. siostry Laury zaś nie uznawał za ogniwo w łańcuchu rodzinnej tradycji, doszedł do wniosku, że to na nim spoczywa obowiązek sprowadzenia na świat małego Pereiry — przyszłego lekarza. I skrupulatnie we wszystkie dni sprzyjające temu, by ziarno padło na urodzajną glebę. nawet wtedy gdy jego ciało ogarniało zmęczenie. a umysł tracił sprawność. współżył z żoną. Patrzył jej uważnie w oczy i cierpliwie czekał, aż ziemia się otworzy i przyjmie nasienie. W końcu właśnie owego poranka otrzymał szczęśliwą wieść i natychmiast wszystkim ją ogłosił. Teraz to Izabel unikała wzroku Miguela. Skoro zapędzili się w ślepią uliczkę, szukanie z niej wyjścia zapewne nie miało sensu.

Być może Isabel miała rację. gdy przed laty zadała tamto pytanie:

— Gdybyśmy nie byli sobie zakazani. czy pragnąłbyś

tak bardzo mojej miłości?

W miarę jak rósł brzuch Isabel i zbliżał się dzień porodu. Miguel coraz więcej pił, coraz częściej się włościł i zadawał z kobietami. Ranki po przemijających bez śladu nocach były bliźniaczo do siebie podobne: w świetle dnia nie mógł znieść ani samego siebie, ani własnego życia. Już nie próbował przypomnieć sobie po przebudzeniu, co robił w nocy, kogo uraził, ile bzdur napłócił i w jaki sposób zrobił z siebie durnia. Każdy nowy dzień był oderwany od poprzedniego, każdy sen skazany na natychmiastowe zapomnienie. Każdego ranka budził się w pustce. Tylko noce mimo wszystko były piękne, tylko ciemność mogła rozświetlić jego duszę. Światło dnia oślepiało OCZY i wypełniało mrokiem serce. Być może dlatego polubił Starą i więź łącząca ją z Isabel ani przez moment nie wydawała mu się dziwna. Doskonale rozumiał, dlaczego bratowa na miesiąc przed rozwiązaniem domaga się, by wezwano Starą. Bała się. Bała się, że zostanie ukarana za popełniony grzech, że umrze podczas porodu. Miała nadzieję, że w burzliwym milczeniu Starej odnajdzie spokój.

Po narodzinach dziecka Miguel długie dni i tygodnie nie zbliżał się nawet do kołyski. Obawiał się, że gdy się nad nią pochyli, ujrzy w niej siebie. Dopiero po długim czasie, znużony walką z lustrem w kołysce, zdołał zebrać się na odwagę i zajrzał do środka. Odetchnął z ulgą. Niemowlę jak niemowlę, małe, różowe i brzydkie. Próżne były jego obawy. Gdy Andresillo podrośł zaczął wyglądać jak kopia swojej matki. Wtedy Miguel polubił malca. Razem

odkrywali, ku swemu zdumieniu, ile ciekawych rzeczy jest w ciasnych pokojach, razem wsłuchiwali się w dźwięki słów wymawianych sylaba po sylabie. Nauczył się od niego czystej, bezinteresownej miłości. Spędzał z dzieckiem niemal cały czas, ciesząc się, że znalazł kogoś, kto go nie ocenia, kogoś, kto kocha go takiego, jaki jest. Dni znów zaczęły mu się wydawać piękne. Aż nadszedł tamten dzień. Niby zwyczajny, taki jak inne, i tamte słowa też niby zwyczajne, takie jak inne. Prawdopodobnie nic się za nimi nie kryło, zostały rzucone ot tak, ale raz wypowiedzianych nie można już było cofnąć.

— Zauważyłeś? Włosy ma po tobie.

Miguel zastygł. Antonio nie miał nic złego na myśli. Z uśmiechem patrzył to na brata, to na syna. Zwykłe słowa, lecz w jednej chwili wszystkie obawy Miguela, które niegdyś żywił i które, jak sądził, bezpowrotnie znikły, teraz nagle wróciły. W dodatku to samo spotkało Isabel. Niewinnie wypowiedziane słowa zabrzmiały jak uderzenie pięścią w stół. Od tamtej rozmowy Miguel, ilekroć pił trzeci kielich nieodmiennie wznosił za bratową. Po trzecim kielichu bowiem wino nabierało smaku jej ust. roztaczało zapach jej włosów. Po trzecim kielichu jej imię, jak gorejące piętno, naznaczało jego serce. I-sa-bel. Majaczył. Gorączka nie spadała. I-sa-bel. Lukrecja wzięta się pod boki i ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na niego gniewnie. Mijały dni i tygodnie. Lukrecja czule opiekowała się kochankiem. Karmiła i rozpraszała dręczące go lęki. Odprawiała wszystkich mężczyzn, którzy pukali do jej drzwi.

Jednych żegnała słodkimi słówkami, innych stekiem soczystych przekleństw. Wydawało się, że całe życie zamierza poświęcić wyłącznie Miguelowi. Świata poza nim nie widziała, jakby tylko dla niego biło jej serce. Lecz łzy błyszczące czasem w kącikach oczu zdradzały, że ta sielanka nie potrwa długo.

Aby dostarczyć kochankowi rozrywki, niekiedy odgrywała przed nim sceny ze sztuk, w których występowała. W futrzanej czapce na głowie zmieniała się w zazdrosnego męża, jako nieustraszony uwodziciel z różą w dłoni wspinała się na balkony. Najbardziej jednak lubiła wcielać się w rozpaloną namiętnością młodą żonę, która używa koronkowego wachlarza, a to by dać sekretny znak kochankowi, a to by schłodzić policzki czerwieniejące na wspomnienie nocnej schadzki, a to by skryć za nim rozmarzone spojrzenia. Wkładała w przedstawienie cały swój talent i po raz pierwszy w życiu doznawała rozkoszy, kochając się, lecz nie idąc do łóżka z mężczyzną, który przyprawiał jej serce o drżenie. Miguel zaś, raz po raz wybuchając śmiechem, oglądał sceny odgrywane wyłącznie dla niego i oklaskiwał je z takim zapałem, że aż siniaty mu dłonie.

Czerwiec minął jak z bata strzelił. Dni stawały się wraz gorętsze i coraz bardziej niespokojne. Ulice Madrytu pogrążyły się w gorączkowych przygotowaniach do zbliżającego się autodafe*. Po Plaza Mayor niósł się stukot młotków.

Po Plaza Mayor niósł się stukot młotków.

• Autodafe (z port. *auta da* - akt wiary) — publiczne wykonanie wyroku wydanego przez trybunał inkwizycji (przyp. tłum.).

Gdy La Loca po raz pierwszy usłyszała ten dźwięk, ze łzami w oczach spojrzała w okno z natłuszczonym papierem zamiast szyb. Jakże pragnęła otoczyć Miguela pancerzem, którego nie przetnie miecz pamięci. którego nie przebiją strzały zemsty. Wystarczyłoby, żeby zapomniał.

Wystarczyłoby... Wystarczyłoby, żeby nauczył się zadowalać...

SKALPEL

Skoro dotarło się tak daleko,
czy warto było > szukać rozczarowania?

LAMARTINE

Różowoczerwony kamień otoczony złotą obwódką niechętnie oddawał słoneczne promienie, które z taką łapczywością pochłaniał. Jednocześnie napręzał się i wysiłał. jakby to on, a nie słońce. oświetlał wnętrze sali. Jediną troską, jaka go zaprzętała, było) to, że wykład z anatomii dawno się skończył. a pomieszczenie goszczące jeszcze tego ranka tłum zaciekawionych studentów oraz sinego trupa stało teraz zupełnie puste. Nie miał się przed kim chełpić urodą, nie miał z kim grać w swoją grę. nie było nikogo. kogo mógłby sprowadzać na manowce. nudził się więc i żał ścisnął mu serce. Co prawda dziś nie został zupełnie sam, a nawet stał się obiektem dziwnego zainteresowania. Gdy po wykładzie wszyscy zaczęli się rozchodzić. mężczyzna z rudo-czarną brodą nie wyszedł z innymi: został i wpatrywał się w kamień. Obecność tego człowieka oraz myśl. że poprzez jego oczy będzie się mógł do syta napatrzeć

na samego siebie, wystarczyła, by klejnot odzyskał wigor.

Mrugając porozumiewawczo od czasu do czasu. starał

się kokietować swego obserwatora, któremu zawdzięczał uwolnienie się od nudy. Jednak mężczyzna nie wydawał się zadowolony z jego umizgów. Surowy wyraz twarzy nie zmienił się ani na moment, nawet powieki mu nie drgnęły. Oczy człowieka o rudo-czarnej brodzie, zmęczone uporczywym wpatrywaniem się od wielu godzin w jeden punkt, nabiegły krwią. Kto wie, może w ten sposób płakał?

Antonio Pereira stał bez ruchu, opierając dłonie o ścianę po obu stronach wbitego w nią skalpela. Jak zakarowany wpatrywał się w narzędzie. w różowoczerwony kamień zdobiący jego rękojeść i w płynące zeń światło. Nie sądzi!. by był w stanie wytłumaczyć komukolwiek, nawet sobie, dlaczego usłyszawszy o tym, co się stało, od razu przybiegł właśnie tu, do skalpela. Po wykładzie podszedł do niego nieznamy młody człowiek i szeptem przekazał mu wiadomość. Sądząc po jego zafrasowanej minie, młody posłaniec wcale nie był zadowolony, że to zadanie przypadło akurat jemu. Gdy tylko zrobił, co do niego należało, chciał odejść. Antonio Pereira nie zatrzymywał gońca. który przyniósł złe wieści, zadał mu tylko jedno pytanie:

— Wszyscy?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

— Pański brat... Miguel Pereira zdołał zbiec.

Nie mógł oderwać wzroku od słynnego skalpela Rinoziego. Blask. który roztaczał kamień w rękojeści, otoczył całe jego ciało jak pancerz ze stali i chronił go przed lęka-

mi, czyhającymi, by się na niego rzucić. Miał wrażenie, że może kropla po kropli roztopić się w tym świetle i zniknąć. i wcale nie chciał się opierać temu odczuciu. Różowoczerwony kamień otoczony złotą obwódką był z tego nader zadowolony. Mrugał do swego niespodziewanego wielbiciela.

jakby pytał: „Ktoś ty?”. Niestety. Antonio Pereira nie należał do ludzi, którzy wylewają swe żale przed kamieniem, choćby i obdarzonym magiczną mocą. Dlatego udawał, że nie słyszy tego pytania. Ale nadal nie był w stanie się od niego oderwać, wyjść na zewnątrz i ruszyć ulicami, które dotąd co dnia z wielką przyjemnością przemierzał. bał się bowiem napotkać kogoś znajomego. Podejrzywał, Wszyscy w mieście już wiedzą, wołał więc nie ruszać się z miejsca, by nie narażać się na zaciekawione spojrzenia i nietaktowne pytania. W uszach mu szumiało, drżały mu kolana, wszystko wokół wirowało. Ponieważ nie odrywał dłoni od ściany, nie mógł szarpać brody, zadowolił się więc przygryzaniem sięgających ust wąsów i wypluwaniem odgryzionego zarostu. Choć sala wykładowa była pusta. z zewnątrz dobiegały gwar rozmów i śmiech studentów.

Harmider, jaki robili studenci. bywał w niektóre dni tak okrutny. że władze uczelni zatrudniły kilku muzyków do uciszania niesfornych żaków w przerwach między zajęciami. Szybko się okazało, że ledwie ci zaczynali grać, studenci uznali za stosowne wtórować im pieśniami, aż kamienne mury szacownej budowli jęczały od wesołych melodii. Dźwięki te okazały się jednak miłsze dla ucha niż bezładne wrzaski, stąd pomysł zatrudnienia muzyków

można było uznać za skuteczny.

Antonio Pereira szybko nawiązał nić porozumienia ze studencką bracią i zyskał sobie jej szacunek. Padwą, jak wiadomo, rządili żacy, a profesorowie, którzy nie przypadli im do gustu, nie zagrzewali tu długo miejsca. Tutejszy uniwersytet został założony w roku 1222 przez grupę zbuntowanych studentów, którzy wraz ze swymi ulubionymi profesorami opuścili Bolonię. tamtejsza uczelnia nie spełniała bowiem ich oczekiwań, i postanowili sami stworzyć miejsce, gdzie mogliby bez przeszkód zaspokajać głód wiedzy. W zadziwiająco krótkim czasie udało im się ten zamiar zrealizować. Pragnienie wiedzy i wolności udzielało się wszystkim, którzy przybywali tu, aby się uczyć. co więcej — przekazywane było dalej, z pokolenia na pokolenie. W rezultacie Padwa stała się wesołą, rojną i gwarną stolicą rozumu i nauki, w której władza absolutna spoczywała w rękach studentów ściągających tu ze wszystkich stron Europy. Gdy Antonio Pereira na swoich wykładach patrzył w oczy słuchaczy z dumą noszących w sobie tego samego ducha, co ich koledzy sprzed kilkuset lat — założyciele uniwersytetu, mógł w nich dostrzec nie słabnące pragnienie badania i poznawania. Te same oczy były jednak nierzadko sino podkrążone, co wskazywało jednoznacznie, że studenci równie chętnie jak nauki poszukują nocami przygód na wąskich uliczkach. Owe oznaki skłonności do korzystania z uciech budziły w nim gniew. Od czasu do czasu bieżał wręcz i ganił swych uczniów; niekiedy wygłaszał na koniec wykładu krótką mowę, w której przypominał im.

że jeśli chcą się poświęcić profesji medyka. muszą wieść uporządkowane życie. Wreszcie, zanim pozwolił im odejść. mierzył każdego surowym spojrzeniem. a następnie. gdy pospiesznie się oddalali, mruzczał pod nosem:

— Tylko nie bierzcie przykładu z Miguela!

A teraz te straszne wydarzenia pokazały, że się nie mylił. Miguel ściągnął biedę nie tylko na własną głowę. lecz na całą rodzinę. W dodatku udało mu się uciec, podczas gdy pozostali mieli zapłacić za jego występki. Ciekawe, czy choć trochę dręczyły go wyrzuty sumienia, że ściągnął na innych nieszczęście? Nagle Antonio się zachwiał. By nie

241

upaść, chwycił się pierwszej rzeczy, jaką miał pod ręką.

Skalpel z różowoczerwonym kamieniem wprawionym w rękojeść znajdował się pomiędzy jego dłońmi. W ten sposób dotknął go po raz pierwszy. Dziwnym trafem narzędzie, niczym ulepione z ciasta. gotowe było wygiąć się w dowolny kształt. Pod Ciężarem ludzkiego ciała ściana. w którą było wbite, lekko zaskrzypiała. Niewielkim wysiłkiem można je było z niej wyciągnąć. Antonio szybko odpędził tę myśl, która nie wiadomo skąd pojawiła się w jego głowie. Aby udowodnić sobie, że jest zdolny wyrwać się z więzów, które sam sobie nałożył. wybiegł na dwór.

Wbrew temu, czego się spodziewał. świeże powietrze dobrze mu zrobiło.

W dodatku przez całą drogę nie napotkał nikogo znajomego. nie musiał więc odpowiadać na trudne pytania

ani stawiać czoła znaczącym spojrzeniom. Poszedł prosto do domu i spokojnie przemyślał wszystko raz jeszcze. To straszne, że nie miał pojęcia, co się dzieje z Isabel, gdzie jest mały Andres. Gdy nastał wieczór, postanowił napisać do Alonsa Franca de Leona — poprosić protektora o pomoc i przy okazji dowiedzieć się więcej szczegółów. Całą noc biedził się nad listem. Nie umiał jednak znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić swą prośbę. Nigdy wcześniej pisanie nie wymagało od niego tyle wysiłku. A przecież talent do posługiwania się piórem nieraz pomógł mu szybko przebyć drogę, którą niektórzy jego koledzy po fachu pokonywali z olbrzymim trudem. Po raz pierwszy doświadczył niewdzięczności słów. pojął, źródłem jak ogromnej udręki mogą się stać. Po raz pierwszy nie był zdolny formować ich tak, jak chciał, jakby były z gliny: ze zdziwieniem obserwował, jak buntują się przeciwko nadanym im przez niego

kształtom, poruszając się, jak im się żywnie podoba. W dodatku tym, co chciał napisać, nie było dzieło filozoficzne mające wytyczać nowe kierunki dociekań ani traktat na tematy medyczne. lecz zwykły list. Ileż udręki może sprawić człowiekowi napisanie listu? Należy zacząć od powitania, po którym trzeba zapytać adresata o zdrowie. a zakończyć życzeniami i wyrazami szacunku. Kłopot sprawiał więc nie początek ani nie koniec, lecz środek. Króciutka podróż na odległość ziarenka jęczmienia między „witaj” a „żegnaj”... Nieokreślony środek opowieści o znanym początku i zakończeniu...

Wkrótce miał nadejść świt. Antonio ślęczał nad listem

całą noc, aż w końcu udało mu się go ułożyć. Nie był jednak z niego zadowolony. Okazało się wszakże, że nie musi się dłużej męczyć. Wraz z pierwszym światłem poranka posłaniec przyniósł list adresowany do niego. Najwyraźniej Alonso Franco de Leon był dużo szybszy.

Drogi Pereiro.

musiałeś już słyszeć o napawających głębokim smutkiem zdarzeniach, które stały się udziałem twojej rodziny. Z pewnością się domyślasz, że mocno się wahałem, czy napisać do Ciebie ten list. Jednak twoje dotychczasowe osiągnięcia i nieskazitelna postawa, twoja szczerą wiarą w Jezusa i nasza długoletnia przyjaźń skłoniły mnie do chwycenia za pióro. Wyobrażam sobie, co przeżywasz w te trudne dni. Niestety trzeba się pogodzić z tym, że twoja rodzina okazała się Ciebie niegodna. Śledztwo prowadzone przez Świętą Inkwizycję wykazało dobitnie, że ani twoja żona, ani brat nie zasługują na Ciebie ani na szacunek, jaki otacza twoją osobę. Mogę dać Ci tylko jedną radę, byś nie wracał tu przez

241

dłuższy czas, rozwijał badania za granicą, a nad swoim dotychczasowym życiem zaciągnął jak najgrubszą zasłonę. Gdy sytuacja się uspokoi, wrócisz do kraju i podejmiesz pracę w miejscu, w którym ją przerwałeś. Będziemy dumni, widząc Cię wśród nas, jako utalentowanego medyka.

Z najszczerzszymi wyrazami przyjaźni

Alonso Franco de Leon

Pod listem znalazł się jeszcze mały dopisek:

Moja małżonka, w najwyższym stopniu zasmucona wydarzeniami, które miały miejsce, przesyła Ci serdeczne pozdrowienia.

Gdy Antonio przeczytał list, poczuł się jak uderzony obuchem w głowę. Pojął, że od wielmoży, którego traktował jako swego protektora, nie może spodziewać się żadnej pomocy, musi odtąd radzić sobie sam i zacząć wszystko od początku. Listem tym Alonso Franco de Leon w grzeczny sposób kładł kres ich znajomości.

Spędziwszy ranek na ponurych rozmyślaniach, po południu Antonio udał się na uniwersytet, by złożyć rezygnację. Jako przyczynę podał chorobę przyjaciela mieszkającego w Wenecji, a w związku z tym — konieczność wyjazdu z Padwy na pewien czas. W rzeczywistości nie miał w Wenecji nikogo znajomego, a władze uczelni też nie wydawały się traktować poważnie tego usprawiedliwienia. Nagle cała sytuacja wydała mu się komiczna. Wszyscy prawdopodobnie słyszeli już, co spotkało jego rodzinę. Jednak zarówno oni, jak i on sam udawali, że o niczym nie wiedzą, traktując się nawzajem z uprzedzającą grzecznością.

244

W Wenecji nie znał nikogo, to fakt, słyszał jednak, że w tym mieście ludzie, których spotkał podobny los, mogą swobodnie odetchnąć. Mógłby tam nadal praktykować jako medyk i jednocześnie pracować nad rozprawą filozoficzną, jakiś czas temu odłożoną na bok, a przy okazji wydobyć na światło dzienne tajemnicę, o której przed laty szeptali mat-

ka i ojciec. Jak napisał Alonso Franco de Leon. powinien zaciągnąć grubą zasłonę nad dotychczasowym życiem. ale nie zrobi tego w sposób, jaki doradzał mu niegdysiejszy protektor. Był zdecydowany wyciągnąć naukę z nieszczęścia, które go spotkało. W Wenecji przybierze nowe imię i rozpocznie zupełnie nowe życie. Pomyślał o rodzicach, którzy tak młodo odeszli z tego świata. Pewnego razu ojciec szeptem zdradził jemu i Miguelowi, że są Żydami: mama, która nosiła wtedy w łonie Laurę. w tym momencie ze zmarszczonymi brwiami z niepokojem wpatrywała się gdzieś w dal. Usta miała zaciśnięte, a twarz pobladała. jakby gdzieś tam, daleko ujrzała coś strasznego. Był zły na ojca. że mówi o rzeczach, które martwią mamę, a najbardziej gniewał się na siedmioletniego wówczas Miguela. Gdyby nie napady niepokoju dręczące młodszego brata, być może tajemnica wyszłaby na jaw dużo później. A może nigdy by jej nie poznali... Ale Miguel już jako dziecko był taki niecierpliwy, taki popędliwy. Jakby poprzysiągł sobie, że z niczym nie będzie czekał, aż nadejdzie pora.

— Już jako dziecko taki był, zawsze taki był — wyszeptał z żalem.

Lubił dociekać, drążyć: nie zastanawiał się. że drążąc. może ranić. Jakby życie innych jawiło mu się jako świat snu, do którego może wejść, ilekroć ma na to ochotę. I stale w tych samych miejscach popełniał wciąż te same błędy:

wkrótce zaczynał szukać z nich wyjścia, głęboko skruszony i płonąc ze wstydu. Wyjścia ze świata snu pilnowały zaś diabły. By zapłacić za przejście, zmyślał im różne kłam-

stwa. Śmiały się, unosząc do góry czerwone ogony — chyba udawało mu się je nabrać.

Odwrócił się i po raz ostatni przed wyjazdem spojrzął na olbrzymią kamienną budowlę. Nagle, jakby otrzymał sekretne wezwanie, ruszył w jej stronę. Niczym lunatyk skierował się prosto do prosektorium. Bez wahania podszedł do ściany, która dopiero co skrzypiała pod jego ciężarem. i po krótkiej szamotaniu wyrwał tkwiący w niej skalpel. Różowoczerwony kamień w złotej obwódce ze zdumieniem rozglądał się dookoła. Nagle zaczął wrzeszczeć na cały głos, rozpaczliwie wzywając pomocy. Na ostatnim stopniu schodów ochryplym od krzyku głosem zdołał zapytać. co się dzieje, dokąd jest zabierany. Lecz Antonio Pereira nie należał do ludzi, którzy rozmawiają z kamieniem, choćby i obdarzonym magiczną mocą. Mocno ściskając w dłoni skalpel należący do słynnego Rinozziego. ruszył pełnymi wody, cuchnącymi uliczkami. W milczeniu pożegnał się z Padwą.

LUSTRA SCENY

— Lustro? — odpowiedział — Jest jak szatańska ikona. Nawet prawą rękę zamienia w lewą

MILORAD PAVIC, Ruski/ hrt

Scena każdego teatru to wielkie zwierciadło. w którym przeglądają się widzowie. Każde lustro zaś to wielka scena ustawiona w samym środku życia. Ludzie, którzy dzioby

po wrzodach z przeszłości zatykali drogocennymi kamieniami, rozdarcia w szatach dnia dzisiejszego łatali pompacyjnymi tytułami i ślepli od blasku, gdy w snach patrzyli na przyszłość, dostrzegali w teatralnej scenie zwierciadło. w zwierciadle natomiast — teatralną scenę. Lustrzane sceny oferowały dziwną mieszankę tego. co istniało, z tym. co nie istniało: tego. co można osiąść, z tym, czego osiąść się nie zdoła. Każdy mógł do woli kosztować tej obfitości. Król i królowa zasiadali na tronach i wtedy powoli rozsuwała się aksamitna kurtyna, a oni byli jak kochankowie rzućeni przez los w przeciwnych kierunkach. Ze smutkiem i tęsknotą spoglądali na siebie, jakby zostali rozdzieleni nie bezwolnie, lecz na przekór. świadomie. wyzywająco: nie zwracali uwagi na to, co działo się na lustrzanej scenie.

Publiczność nie przypominała jednak kurtyny. Gdy sceniczne dekoracje rozbłyskiwały w świetle, pełne. białe piersi dam unosiły się i opadały w rytm podekscytowanych oddechów, cienkie wargi panów wzbierały z pożądania. wewnątrz zaś wypełniały okrzyki zaskoczenia czerpiące śmiałość jedne od drugich. Król i królowa siedzący z jednej strony sceny na tronach spowitych kosztownymi, szeleszczącymi tkaninami spoglądali na króla i królową zasiadających z drugiej strony sceny na tronach spowitych kosztownymi, szeleszczącymi tkaninami. Widzowie rozpierali się wygodnie w fotelach, zadowoleni, że mogą być choćby niewielką częścią spektaklu. w którym lustrzane sceny zwielokrotniały w nieskończoność sceniczne lustra. a sceniczne lustra — lustrzane sceny. W Madrycie każda sztuka wystawiona

w pałacu Alcazar na długie dni stawała się przedmiotem rozmów, i choć omawiana na wiele sposobów. wciąż pozostawała zagadką.

Scena wzbierała i zalewała scenę po drugiej stronie.

Aksamitne kotary wiły się jak w konwulsjach. kryształ gniewu iskrzyły w ich oczach. Królowa bacznie i zazdrośnie obserwowała swego sobowtóra na scenie. Król starał się wyglądać równie majestatycznie i niezłomnie, jak jego odbicie w lustrze: tysiąc siedemset dug czekało w gotowości na każde skinienie. Odgrywano grę w grze. przedstawienie w przedstawieniu. Czas grał na nosie zegarom usiłującym mierzyć jego bieg: nie płynął już ku zaraz-potem. lecz ku samemu sobie. Olivares wiedział. co zamierza czas. ale był zdecydowany mu wybaczyć. Jego największym pragnieniem było zawiązać fantazyjną kokardę na wstędze ciągnącej się od dziada do wnuka. przywrócić monarchii dawny splendor. Za Filipa III. pod zgubnym wpływem księcia

Lerma*, wstęga ta została zerwana, a potęga tronu naruszona: teraz należało przede wszystkim pozbyć się potomka złego doradcy, syna Sandovala**. Dlatego Olivares*** sprowadził własnych ludzi. z rodzin Guzman. Haro i Zufliga, doskonale zdając sobie sprawę, że droga do pozostania przy władzy na lustrzanej scenie przebiega przez sceniczne lustra.

Krążył po scenie i wokół niej, ani na moment nie odrywając wzroku od króla. Długo rozważał i starannie zaplanował rolę, którą ten miał odegrać. Filip IV miał stać się Rex Planeta**** i zająć miejsce we wszechświecie jako

czwarty glob od Słońca. Na początku jednak młody król nie wydawał się zbyt skory do słuchania rad Olivaresa. Drobne przyjemności przedkładał nad szczytne cele; zamiast poświęcić się pracy, spędzał czas na polowaniach. Tymczasem Olivares, łączący w sobie — na andaluzyjską modłę — cierpliwość z uporem, czekał na właściwy moment. Jednak bieg wydarzeń zmieniła w końcu nie milcząca wytrwałość Olivaresa, lecz ciężka choroba, która dotknęła króla. Gdy

* Francisco Gamez de Sarithwal, książę Lerma (1553- 1625) — wnuk papieża Aleksandra VI Borgii, faworyt króla Filipa III, w którego imieniu jako 'Widii, faktycznie sprawował rządy i doprowadził do osłabienia państwa. Odsunięty od władzy przez własnego syna, nie został uwięziony, gdyż zawczasu wystarał się u papieża Pawła V o kapelusz kardynalski (przyp. tłum.).

** Cristobal Gomez de Sandoval, książę Ijteda (1577-1624) — Syn księcia Lenny, zastąpił swego ojca jako raudo Filipa III. Po śmierci króla odsunięty od władzy przez hrabiego Olivaresa; zmarł w więzieniu (przyp. tłum.)

*** (;aspar de Guzman y P•ntel, hrabia De Olivares (1587-1645)— faworyt Filipa IV walczył z korupcją na dworze i wzrostem latyfundiów kościelnych, przeprowadzał reformy administracyjne, próbując przywrócić Hiszpanii silną pozycję w Europie (przyp tłum.).

***●

Rex Planeta — Król Planeta.

pokonawszy ją, władca wstał z łoża, spoglądał na świat z entuzjazmem zaprawionym goryczą, właściwym każdemu, kto przekonał się na własnej skórze, jak cienka jest nić, na której wisi jego życie. Szybko wziął się do pracy. Siedział

nad książkami, próbując zmusić je do mówienia, a jednocześnie zaczął bliżej interesować się muzyką i teatrem.

Sz szczególnie zaś malarstwem... Otaczał się najlepszymi mistrzami pędzla i ich dziełami, na których mógł podziwiać siebie samego. Olivares był zadowolony: młody król szybko dorastał, a stary Alcazar robił się dla niego zbyt ciasny.

Wznoszony z wielką szybkością i entuzjazmem Buen Retiro* był zupełnie inny. Przestronne komnaty o wysokich sufitach, przyjemne dla oka obrazy zdobiące ściany, ogrody tak rozległe, że wydawały się nie mieć końca, sztuczne jezioro z wyspą, na której miano wystawiać sztuki Calderóna — Buen Retiro był najspodobniejszym miejscem do zaprezentowania majestatu Rex Planeta.

Jeśli zaś chodzi o Olivaresa, był on zdania, że majestat ten powinni wesprzeć nie tylko armia, kler i politycy, lecz także artyści. Byli przecież niezbędni, by uwiecznić to, co było widoczne, i uwidocznili to, co wieczne. Pod opiekuńczymi skrzydłami Filipa IV dwustu dwudziestu trzech pisarzy trudziło się w pocie czoła dzień i noc, by to co znane, jeszcze raz ogłosić światu. zawsze-to-samo uczynić nowym-i-innym. skroić nowe portki na stary tyłek. W opowiadaniach, sztukach i wierszach niestrudzenie, nieprzerwanie głosili chwałę Rex Planeta. Ich mocno pudrowane nosy obdarzone były znakomitym węchem. nie przepuścili

* Buen Retiro — nie istniejący obecnie kompleks pałacowy w Madrycie.

wybudowany w latach 1630:1640 na rozkaz Filipa IV jako letnia rezydencja

więc żadnej nadarzającej się okazji, by za każde pochlebstwo spływające z ich gęsich piór zainkasować kosztowne

prezenty i brzęczące dukaty.

W roku 1631 nadarzyła się ku temu wyjątkowa sposobność. Wtedy to bowiem dla uczczenia drugich urodzin infanta Baltazara Carlosa* Olivares postanowił urządzać uroczystości w stylu starożytnego Rzymu, z popisami na arenie.

Trzeciego dnia października na Plaza dol Parque odbyła się fiesta. Scena wzbierała i zalewała scenę po drugiej stronie.

Arenę wypełniły głodne drapieżniki, a niezliczone tłumy widzów w napięciu wstrzymywały oddech, próbując przewidzieć, kto wyjdzie zwycięsko z walki. 'tygrysy były dzikie, konie szybkie, niedźwiedzie silne. a lwy odważne. Lecz jedynym, który zdołał ostać się na nogach. był byk. Potężne zwierzę potrząsało łbem z budzącymi grozę. Zakrwawionymi rogami, jakby chciało odrzucić niewidzialną grzywę. Dumnie wiodąc swój majestatyczny cień po pokrytym martwymi ciałami piasku areny. otwarcie rzucało wyzwanie naturze, która stworzyła je właśnie takim.

Król przez dłuższy czas przypatrywał mu się z uwagą.

Potem wstał powoli i wypalił z flinty. Nim byk osunął się na ziemię, osiemdziesięciu dziewięciu poetów zaczęło pisać dziewięćdziesiąt poematów o jego śmierci. jakże zadowolony musiał być byk! Spotkało go wielkie szczęście. skoro zginął z ręki króla Filipa! Strofy pełne były krwi i chwały. chwały i krwi.

* Baltazar Carlos (1629-1646) — książę Asturii. najstarszy syn Filipa IV (przyp. tłum.).

Pisarze i poeci w trudzie zmagali się ze słowami, ale to malarze byli bez wątpienia ulubieńcami lustrzanych scen. Velazquez i jego koledzy po fachu próbowali przedstawić, jak światło, spływając spomiędzy białych obłoków na niebie i doskonale wiedząc, dokąd zmierza. zalewa świetlistymi potokami królewski ród na ziemi. Portrety wszystkich gałęzi tego rodu, każdego listka na nich, zdołyły ściany paradnych komnat Buen Retiro.

Dwa obrazy wisały obok siebie. nie widząc się i zwielokrotniając nawzajem jak dwa zawieszane naprzeciwko lustra. Niezwykle podobieństwo łączyło portrety Filipa IV i infanta Baltazara Carlosa. Velazquez przedstawił ich obu na dobrze odżywionych gnidoszach. Konie wspinają się, jakby chciały okazać się godnymi swoich znamienitych jeźdźców. Stają dęba i zastygają. zawieszane w powietrzu. Król i księżę wydają się rozkoszować smakiem zdziwienia, które budzi ten cud, spoglądają z płótna wyniośle. a niezwykle poważny i dostojny. szlachetny i dumny uśmiech nie tyle błąka się na ich wargach, ile bije z ich źrenic. Na twarzy Baltazara maluje się powaga ani trochę nie pasująca do jego młodego wieku. Jedną dłonią mocno trzyma wodze, jakby chciał pokazać wszystkim. wrogom i przyjaciołom, że w tym małym ciałku kryje się potężny duch. Druga ręka swobodnie zawisa w powietrzu. Nie zajęta niczym dłoń może w każdej chwili zrobić, cokolwiek zechce — wymierzyć policzek ośmielającym się wątpić w powagę majestatu. wskazać. które ze wzgórz rozciągających się w Ile ma być zdobyte jako pierwsze. pobłogosławić tych. którzy kornie przyklękli. poprowadzić za sobą tysiące wystraszonych

żołnierzy, pogładzić policzki i sakiewki poetów układających eposy albo pożegnać swoją gałąź rodu i powitać sa-

motność. Wolna dłoń była jeszcze dzieckiem, którym nie był już sam książę, mogła zgłodnieć, znudzić się zabawą, pobiec za piłką i znaleźć się na innym obrazie. Gdyby coś takiego się zdarzyło, koń zostałby sam i czekałby choćby całą wieczność.

Tak nakazywał bowiem kastylijski zwyczaj. Koń, którego dosiadł władca, nie mógł już być dosiadany przez nikogo innego.

Scena każdego teatru to wielkie zwierciadło, w którym przeglądają się widzowie. Każde lustro zaś to wielka scena ustawiona w samym środku życia. Ludzie, którzy dzioby po wrzodach pozostałe z przeszłości zatykali drogocennymi kamieniami, rozdarcia w szatach dnia dzisiejszego łatali pompatycznymi tytułami i ślepli od blasku, gdy w snach patrzyli na przyszłość, dostrzegali w teatralnej scenie zwierciadło, w zwierciadle natomiast — teatralną scenę. Nie wolno jednak dotykać postaci widzianych w lustrze. Jeśli jakieś dłonie wyciągnęły się ku nim, ledwie dotknęły tajemnicy lustra, zaraz przypominano im, gdzie ich miejsce. i musiały się cofnąć. Pozostawał tylko przyprawiający o dreszcz dźwięk paznokci zgrzytających po twardej powierzchni.

Lustra jednakże były głuche.

GŁOSY

Ludzie muszą nie tylko wiedzieć. ale i widzieć

na własne oczy.

MICHEL FOUCAULT, Nadzorować • karać

(tłum T Komendantl

Młotek opadł — stuk — gwóźdź milczał — stuk — młotek
się wzniosł — stuk — zajęczał gwóźdź — wymamrotała
przez sen Lukrecja — stuk — piąta rano — stuk — spóźnia
się świt — stuk — Miguel się obudził — stuk — młotek
uderzył — stuk — zginął gwóźdź — stuk — zrozumiał Mi-
guel — stuk — młotek uderzył — świt nie przyjdzie — stuk
— stuk — stuk —

Słońce prażyło niemiłosiernie. a tysiące ludzi wypełniają-
cych Plaza Mayor tratowały się nawzajem, by znaleźć choć
skrawek cienia. Na nic zdawały się wachlarze i napoje chłó-
dzące oferowane przez ulicznych sprzedawców. W zbitym
tłumie złane potem. lepkie ciała ocierały się o siebie, nie
chłodzone, jak na złość. nawet najłżejszym powiewem wiat-
ru. Zasiadający na balkonach wysoko urodzeni widzowie
byli w dużo lepszym położeniu. Rozpościerały się nad nimi

założone wiele dni wcześniej markizy. które dawały cień.

Król i królowa, otoczeni grupą dworzan, którzy obserwo-
wali pospólstwo. z jednej strony starali się mu przypodo-
bać. z drugiej zaś nim gardzili; od czasu do czasu posyłali
komuś z tłumu uprzejmy uśmiech.

Dawno już nie urządzono równie wielkiego i wspaniałego autodafe. Przygotowania zaczęto wiele tygodni wcześniej, dużo wcześniej też podano termin tego wydarzenia. całe miasto nie mówiło o niczym innym. Wielu mieszkańców także specjalnie się przygotowało — w wyznaczonym dniu przybyli na uroczystość odziani w odświętne stroje. Gruz verde* umieszczono pośrodku placu, tak by zewsząd był dobrze widoczny. Przynieśli go tu poprzedniego popołudnia, koło godziny piątej, uczestnicy procesji Zielonego Krzyża, która przeszła od kościoła Colegio de Dofia Maria de Arago. Po jednej stronie umieszczono godło królewskie, po drugiej — godło Świętej Inkwizycji.

Niecierpliwi widzowie zaczęli napływać na plac jeszcze przed wschodem słońca. wraz z brzaskiem. Dominikanie zaintonowali nabożne pieśni. wicekrólowie i namiestnicy Kastyl i i . Aragon ii , Portugalii. Neapolu i Sycylii. Niderlandów i Indii Zachodnich zajęli swoje miejsca. Król oraz infant Baltazar w otoczeniu wspaniałej świty przybyli z pałacu. Ostatnim, który swą obecnością zaszczycił Plaza Mayor, był kardynał Antonio Zapata. Wszedł na balkon, na którym zasiadał Filip IV, i odebrał od niego przysięgę. że nie ustanie w zwalczaniu wrogów wiary chrześcijańskiej. Gdy wszyscy znaleźli się na przeznaczonych im miejscach, czas wstrzymał oddech — u wylotu ulicy Boteros pojawili

- Gruz verde — zielony krzyż

się skazańcy. Jechali na osłach, na głowach mieli corozos*. a w rękach długie. cienkie, żółte świece...

Młotek opadł — stuk — młotek się wzniosł — stuk

stuk

stuk

stuk

OGIEŃ

Ogień, ogień... Oto zapłata za rozpustę! Ogień

pali wasze oczy, wasze usta, wypełnia nozdrza.

Wewnątrz ogień, dookoła ogień, pod stopami

i nad głową. Wszędzie ogień.

Z kazań ŚW. LEONARDA Z PORTO MAURIZIO

Potępieni ujrzą tylko ogień. Będą wdychali

płomienie, otoczą ich one ze wszystkich stron.

Z kazań GIRARDA

Czerwiec roku pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego drugiego. Niedziela. Słońce dawno już weszło. Płomienie oznajmiające o istnieniu stosów rozpalonych za Puerta de Alcala lizały niebo.

Do krzyży sterczących pośród płomieni. wbitych w ziemię w odległości trzech kroków jeden od drugiego, było przywiązanych troje ludzi i kukła. Pierwszy stos przygotowano dla Rodriga Mendeza Silvy. W ostatniej chwili, jeszcze zanim szczapy pod jego stopami zajęły się ogniem.

Rodrigo o opasłym ciele i duszy dziecka okazał skrucę i błagał o wybaczenie, dlatego okazano mu łaskę i przed spaleniem zadano śmierć przez uduszenie. Na drugim stosie płonął Benito Garcia. uznany winnym torturowania dziecka w okolicach Toledo. Dziwnym zrzędzeniem losu

Rodrigo Mendez Silva za towarzysza ostatniej drogi miał sprawcę czynu, o którym kilka miesięcy wcześniej opowiadał z przejściem Miguelowi. Trzeci stos przeznaczony był dla Beatriz Blasquez. Włosy na jej głowie i łonie płonęły.

zwijając się powoli w koncentryczne kręgi i wydając głuche trzaski i pomruki niczym szeptane słowa.

Na czwartym stosie gorzała kukła. Wyobrażała Miguela. Ponieważ nie udało się go schwycić, wyrok wydano zaocznie, a zamiast skazańca spalono słomianą atrapę. Wydłubano jej oczy. Podniecenie ogarnęło tłum podziwiający potęgę ognia. Niektórzy widzowie podsycali płomienie przyniesionymi z domu szczapami. Lecz gdy dookoła rozszedł się paskudny śwąd. ludzie ci. choć z początku tak skorzy do dorzucania drew. cofnęli się o kilka kroków, jakby napotkali jakiegoś potępieńca. Nikt nie odezwał się słowem. Słychać było jedynie trzask płonących polan.

W tłumie stał żebrak ubrany od stóp do głów na CZarno. Od czasu do czasu poruszał wargami. przygryzanymi do krwi. i mruczał coś do siebie, jakby mówił w nigdy wcześniej nie słyszonym języku: przysięgał na księgę. której stron nigdy nie odwracał, uczył się na pamięć. szeptanego mu do ucha imienia. W popiele rozwiewanym przez wiatr rył każdą sylabę: ..Nie pozwól. bym zapomniał!".

Czerwiec roku pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego drugiego. Niedziela. Słońce dawno już zaszło. Wciąż tam stał i wpatrywał się w płonącą z trzaskiem kukłę.

KLASZTOR

Czas się cofnął Nagle znalazła się w samym
środku dzikiego dzieciństwa.

SYLVIE GERMAIN, Nutt d'Ambre

Była prawie północ. Przeorysza klasztoru Santa Clara nie-
spokojnie czuwała w celi. W znużonym milczeniu wsłuchi-
wała się w szum rzeki Duero. Tego ranka zebrała wszystkie
siostry i oznajmiła im, że dołączy do nich pewna osoba:
prosiła, by przyjęły ją z otwartymi ramionami, kimkol-
wiek jest. Myny niektórych zakonnice wskazywały, że nie
zgadzają się z jej decyzją, ale przeorysza wiedziała, że nie
sprzeciwią się otwarciu jej woli. Martwiła się. Była cieka-
wa, jak kobieta, która miała tu zamieszkać, patrzy na świat
po tym, co przeżyła. Myślała o niej. Przez nią zaś o sobie,
o swojej przeszłości i grzechu, którego nie umiała wyznać;
zastanawiała się, jak długo jeszcze zdoła żyć, niosąc jego
ciążę. Czasem jakiś wewnętrzny głos szeptał jej, że gdyby
nie popełniła tego strasznego grzechu, nigdy nie porzu-
ciłaby dostatniego, zwyczajnego życia, jakie wiodła u boku
rodziny, zostałaby z nimi i zgniła, odeszła, tak jak oni. W ta-
kich chwilach czuła, że wstydliva przeszłość. skrupulatnie
skrywana plama w życiorysie, wcale nie jest taka straszna.

Skoro grzech zbliża człowieka do Boga, to wolą być i po-
zostać grzesznicą. Ilekroć jednak takie myśli przychodziły
jej do głowy, wpadała w popłoch. czuła się winna i pełna
skruchy padała na poranione. posiniaczone kolana.

Wzdrygnęła się na odgłos stukania do drzwi. To była siostra Joanna. Gdy małomówna zakonnica w średnim wieku odsunęła się na bok, snop słabego światła wpadającego przez okno oświetlił mlecznobiałą cerę stojącej za nią kobiety. Nowo przybyta z ociąganiem weszła do celi. wnosząc ze sobą zapach nocnego chłodu.

— Będziesz żyć tu z nami, córko, pięć lat — oznajmiła przeorysza. — Oczywiście, jeśli zechcesz, możesz zostać całe życie. Pragnę. Byś pobytu tutaj nie uważała za coś, do czego zostałam zmuszona. Dlatego musimy sobie nawzajem pomagać.

Kobieta z uwagą spojrzała na zakonnice. Nie odezwała się ani słowem.

Cela wskazana przez przeoryszkę była duszna i mroczna. Wzrok kobiety napotkał spojrzenie Dzieciątka Jezus.

Podeszła do okna. Przywitała się z rzeką Dnem.

Dziedziniec niczym rajski ogród wyschnięta studnia
pośrodku /i w wiadrze ukryta złocona szkatułka przepad-
ły już dawno dlatego duszę z przez jawne szaleństwo /
porwaną na strzępy podczas obrotu kręgu i ofiarowała /
Jemu.

Szkatułka ukryta pod wiadrem stanowiła tajemnicę. jej tajemnicę. zawartość była zwyczajna, najzwyczajniejsza.

Ot, zebrane tu i tam urwane i porwane wspomnienia. Niebiesko żyłkowany otoczek — z wód rzeki Duero — jeden z setek, tysięcy podobnych kamieni. Obrazek — z biblio-

teczki matki — przedstawiający rycerza, pogromcę olbrzy-

mów. Spinka do włosów — podarunek od Antonia — sama nie wiedziała, dlaczego ją zachowała. Pukiel włosów — pamiątka postrzyżyn Andresa — kruczoczarny, skręcony lok. Pokreślone zapiski — z nie napisanej książki — opowieści innych ludzi. A także prześcieradło — poźółkłe, zmienione — wykreśliła na nim własne ciało.

Dawniej

powierzała szkatułkę wiadru, wiadro studni, studnię dzielnićowi.

Dawniej

każda najprostsza rzecz w pudełku była ważna.

Dawniej

patrzyła przez okno na studnię na dziedzińcu.

Dawniej.

Młode dziewczyny z dużych rodzin tylko w szkatułce mogą pobyć same — mawiała Stara.

To było dawno. bardzo dawno. Szkatułka dawno się połamala. jej zawartość wysypała się na ziemię i perła stała się widoczna.

POŻEGNANIE

Nie do Cordoby wiodą Ich drogi,

nie do Sewilli

ani Granady

odwiecznie marzącej o morzu.

Niosą ich zaspane konie

w ślepą uliczkę krucyfiksów,

w której drży on

FEDERICO GARCIA LORCA

— Chodź ze mną! — powiedział Miguel. — Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia, załatwię to i wyjedziemy.

Lukrecja przygotowywała coś do jedzenia. Ponieważ w gotowaniu nie mogła się poszczycić taką biegłością, jak w innych dziedzinach, czynność ta za każdym razem była torturą. Przyrządzone przez nią potrawy były zupełnie pozbawione smaku. Zbierało się jej na płacz, gdy się okazywało, że tyle wysiłku znów poszło na marne. Udała, że nie słyszy prośby Miguela. Po chwili jednak, gdy do reszty straciła nadzieję na ugotowanie czegoś jadalnego, zapytała:

— Ach tak! A dokąd to się niby wybieramy?

— Do Miasta Luster - odparł Miguel.

Wyprężył się, jakby był jego panem.

— Ładna nazwa — oświadczyła Lukrecja, wymachując chochlą. — Jednak sam wiesz, że to to niemożliwe. Ja nie z tych, którym przez całe życie wystarcza jeden mężczyzna.

262

— A kto mówi, że musisz poprzestać na jednym?

Popłyniemy okrętem. Proszę bardzo, wielki statek pełen mężczyzn.

— W żadnym razie — Lukrecja zachichotała. Wrócił jej humor, zepsuty chwilowo niepowodzeniem w kuchni. Nie było się czym przejmować. Czy ktoś oczekiwał od niej, że będzie równie utalentowana w każdej dziedzinie? — A gdy już przelecę cały okręt, to co wtedy? Ani odpłynąć, ani zostać. Nie dla mnie takie długie podróże. Nie jestem przy-

zwyczajona, jeszcze mi zośka zardzewieje...

Wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Cała się trzęsła i podrygiwała, jakby właśnie nastąpiło trzęsienie ziemi. W końcu szaleńcze wybuchy śmiechu przeszły w głębokie westchnienia. Należała do nielicznych osób, które w tym samym momencie potrafią śmiać się do rozpuku i jednocześnie płakać, szlochając przy tym rozdierająco. Miguel nie wytrzymał, wtulił się w ciało, w którego ciepłe grzał się tyle razy, w które się zanurzał i w nim, nad nim oraz pod nim przeżywał rozkosz do utraty zmysłów. Długie godziny to śmiali się razem, to płakali. W końcu Miguel zbliżył usta do warg Lukrecji i wyszeptał:

— Jutro wyruszam w drogę.

Więcej nie zamienili już ani słowa.

Zaczęli się kochać — gwałtownie, kurczowo, jakby starali się nie spaść z narowistego konia mknącego w pełnym galopie. pospiesznie, do utraty tchu. rozpaczliwie.

NADZIEJA

Zieloność traw, błękit morza, bezchmurność nieba — to ci dopiero problemy. Któż powiedział, że to nie mogą być problemy?

SAIT FAR ABASIYANIK

W południe, gdy promienie słońca paliły wyjątkowo mocno, Şeyh Silleyman Sedef Efendi zamykał się w swoim pokoju i pogrążał w samotności. Nie opuszczał go aż do wieczora. kiedy zachodzące słońce nadawało rudy odcień jego włosom. Dlatego Zîhre była wielce zaskoczona niespodziewanym pojawieniem się po południu rabiego Jakuba. który przecież doskonale znał zwyczaje jej ojca.

Tym. co młodą dziewczynę zdumiało jeszcze bardziej, była desperacja malująca się w oczach rabbiego. w których od lat dostrzegała jedynie dobrze znany spokój. W jego spojrzeniu czaiła się rozpacz. Wyglądał, tak jakby nie wiedział nie tylko, która jest godzina. ale nawet — po co przyszedł do lekka*. Jego stan tak wstrząsnął Ziihre. że wiedziona nagłym impulsem. cichutko, na paluszkach weszła na piętro. gdzie znajdował się pokój ojca. Przez chwilę stała nie zdecydowana pod drzwiami, przyglądając im się uważnie, jak

Tekke — kompleks budynków będący siedzibą bractwa derwiszy (PrzYP. tłum.).

264

kot szukający szpary, przez którą mógłby wsunąć głowę.

W końcu nie wytrzymała, uchyliła drzwi i wślizgnęła się do środka. Pierwszy raz weszła do pokoju ojca w porze, gdy pracował. Ale nie czuła, że robi coś złego, ponieważ uznała, że gdyby ojciec zobaczył przygnębianie widoczne w oczach przyjaciela, na pewno nie kazałby mu czekać.

Ledwie jednak przekroczyła próg, zastygła w niepomiernym zdziwieniu. Ojca nie było) w pokoju! Znajdowały się tam książki, flety ney i tambury*, na pufie rozsiadł się cień eyha SUleymana Sedefa Efendiego. czuć było jego zapach i woń tytoniu w pozłacanym nargile**, lecz jego samego tam nie było. Pomieszczenie, choć wypełnione tyloma przedmiotami, było puste.

Gdy dziewczyna znalazła się z powrotem na korytarzu.

zaczęła się zastanawiać, co powiedzieć rabbiemu. Skulony. jakby zmalowały, przycupnął w okiennym wykuszu. Wydawał

się nie dostrzegać zakłopotania ZUhre. która westchnęła głęboko, zaniepokojona. Na szczęście w tym momencie do pokoju weszła służąca Ziśan, niosąc srebrną tacę. Stara kobieta, która od lat zawiadywała kuchnią w tekke. poczęstowała rabiego własnoręcznie zaparzoną kawą. Sobie też przygotowała filiżankę napoju. Usiedli naprzeciwko siebie i nie wymieniając ani słowa, zaczęli wyglądać przez okno. Jedno mówiło językiem drugiego; wydawało się. że nawzajem wróżą sobie nie z fusów pozostałych na dnie filiżanki, lecz z namaszczeniem wypijanych łyków kawy. ZUhre poczuła się bezradna i osamotniona.

s Tambur — instrument strunowy o długiej szyjce i okrągłym pudle rezonansowym, charakterystyczny dla muzyki tureckiej

•Nugat— fajka wodna

165

Gdy promienie zachodzącego słońca zaczęły frywolnie igrać na brodzie i coraz cięższych powiekach rabiego Jakuba, Seyh Suleyman Sedef Efendi wyszedł ze swego pokoju.

— Czy nie przeszkadzam? — spytał rabbi Jakub; w jego głosie pobrzmiwały zakłopotanie i jednocześnie radość.

— Ależ skąd! Wręcz przeciwnie, cieszy mnie pańska wizyta. Wygląda pan na wyczerpanego...

— Znowu tamta sprawa?

Rabbi Jakub skinął głową. Milczeli. Oddali się panującej wokół ciszy. Zeihre wymknęła się za Zisan, która wróciła do kuchni. Zostali sami. W końcu po dłuższym czasie

Szejh SUleyman Sedef Efendi podniósł się powoli i przyniósł srebrną misę. Oczy rabiego rozbłyły. Zrozumiał, że szejch, który przed laty poprzysiągł zaniechać wróżenia ze snów, zamierzał teraz złamać obietnicę. czuł dla niego ogromną wdzięczność. Gospodarz pociągnął głęboki haust dymu z nargile i pozwolił mu wypełnić płuca. Potem podejmował go w każdym zakątku ciała, oddając mu część siebie. W końcu ostrożnie, jakby bał się go urazić, powoli wypuścił obłok dymu nad wodą. Nad jej taflą dym kłębił się i przybierał setki kształtów, wcielał się w setki postaci i przynosił wieści o setkach istnień. Rabbi wstrzymał oddech i czekał w pozie pełnej szacunku. Spośród tysięcy zjaw szejch wyłuskiwał jedne po drugich te, które pomyliły drogę i znalazły się tu przez pomyłkę. Trwało to długo i kosztowało wiele wysiłku, dlatego szeih porządnie się zmęczył. W końcu pozostała tylko jedna zjawa. Szeih SUleyman Secie, Efendi spojrział życzliwie na wciąż kłębiący się dym.

266

— Ten młody człowiek oznacza dla nich nadzieję

— powiedział zduszonym głosem.

— Ach! — wykrzyknął rabbi. — Nadzieja to poważna sprawa. Jest niebezpieczna.

Starł z czoła krople potu i dodał:

— Zwłaszcza dla tych, którzy przestali pokładać nadzieję w samych sobie.

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Takie chwile zdarzają się w szachach i w miłości;

spowijająca wszystko mgła ustępuje i człowiek
dochodzi do wniosków, o których jeszcze sekundę
wcześniej nawet nie myślał.

JULIO CORTAZAR

Nie opuszczał przestronnej jadalni, której ściany zdobi-
ły wizerunki diabłów i aniołów. nie przyjmował nikogo.
Błagalnym wzrokiem wpatrywał się w obraz i czekał. by
głos się odezwał. Ten jednak się obraził, pogniewał na
niego. Rozzłościł się. że bez jego zgody wypuścił Isabel
Nufiez Alyarez. Po raz pierwszy od tylu lat Alonso Perez
de Herrera nie posłuchał rozkazu Głosu, który w gniew-
nym przemówieniu oświadczył, że porzuca go. odchodzi.
by znaleźć sobie nowe, młode i posłuszne ciało. Alonso był
zdruzgotany. wiedział, że bez Głosu jest nikim. Nie
minęły trzy dni. gdy głos niespodzianie znów się pojawił.
Jak twierdził, zdecydował się mimo wszystko wrócić, gdyż
chciał go ostrzec przed niebezpieczeństwem. Wyczuwał,
jak mówił zapach krwi, krwi, która pod żadnym pozorem
nie powinna popłynąć, której nie wolno było) przelać.
Alonso Perez de Herrera z wielką uwagą wystuchał
Głosu i porządnie się wystraszył. Wychodził z domu tylko
wtedy. gdy musiał. nie przyjmował nikogo z wyjątkiem
kilku dobrze mu znanych osób. Co noc dręczył go ten sam
koszmar: najpierw, wzbijając tumany kurzu, zbliżała się
do niego wirująca świetlista kula, która potem zaczynała
przybierać coraz to inny kształt, aż w końcu stawała się
wysokim, szczupłym młodzieńcem ubranym od stóp do
głów na czarno. Młody człowiek nieustannie się uśmie-
chał. W wyrazie jego twarzy nie było ani odrobiny nie-

nawiści, żadnej oznaki okrucieństwa. Jego oblicze było czyste i niewinne niczym oblicze świętego. Z uśmiechem chwycił Alonsa Pereza de Herrere za rękę. Jego dłonie były gorące jak ogień. Mocno ścisnął palce Alonsa. podnosił je do wilgotnych warg i ssał. Alonso Perez de Herrera nie był w stanie mu się przeciwstawić, nie mógł od niego uciec, ba, nie mógł wykonać nawet najmniejszego ruchu. świetlista kula wirowała coraz szybciej. Młodzieniec wciąż się uśmiechał. a z pukli jego włosów tryskały żółto-czarne płomienie. Tańczył z nimi. Potem robił krok do tyłu i dobywał miecza, który połyskiwał w ciemności. Przecinał nim przeguby — najpierw sobie. potem Alonsowi Perezowi de Herrere. Obaj. kompletnie nadzy, pływali w morzu krwi.

Alonso Perez de Herrera, który całe życie poświęcił oswajaniu ludzi z myślą o śmierci, zapoznawaniu ich z nią, nie mógł uwolnić się od tego koszmaru dręczącego go noc w noc. śmierć, którą widział we śnie, była zupełnie inna niż ta na obrazie wiszącym w jadalni. On, który nie znosił jaskrawych barw, co noc był zalewany potokami krwistej czerwieni. Nie śmierci się bał, lecz umierania, nie bał się umrzeć, ale bał się zostać zamordowanym.

Muzyka była wiatrem niosącym zapach figowców. Jej delikatne podmuchy omiały kościół ze wszystkich stron.

wprawiły w drżenie płomienie świec i budziły drgania w posadzce. Podczas niesporów odprawianych w kościele

Los Innocentes* chór dominikanów odśpiewywał psalmy.

Nawa pogrążona była w mroku: wyglądało na to, że w kościele nie ma żywego ducha. Chór wydawał się jednym głosem, jedną nutą. Jego też jakby nie było.

Alonso Perez de Herrera miał zrobić tylko kilka kroków.

Siedem czy osiem wystarczyłoby, żeby znaleźć się przy dominikanach. osiągnąć bezpieczne schronienie, właściwą nutę. Nabożeństwo nie miało trwać długo. Kiedy znajdzie się na chórze. uklęknie. by się pomodlić. potem zapali białą świecę w zdobionym złotem lichtarzu, pobłogosławi muzykę i gdy tylko wypełni swoje obowiązki, wróci do domu.

Wówczas — daleki od wszystkiego i wszystkich. z właściwą temu stanowi swobodą — zasiądzie przed obrazem i będzie słuchał Głosu. Napije się wina z kielicha o złoconych brzegach. Każe się wić wężowi niepodobnemu do węża. Przygotuje się do nowego kazania. Ujrzy strach malujący się na twarzach ludzi. Postawi przed sobą zamglone zwierciadło i nie będzie się trudził, by je przetrzeć. 'Tylko kilka kroków i jak uschnięty liść będzie pływał w mglistym. zarośniętym wodorostami, płaczącym jeziorze. którego gładkiej tafli nikt nie śmie zmarszczyć falami.

Uklęknął. Zamknął oczy. Z pośpiechem zdradzającym niepokój zmówił modlitwę. Już miał wstać gdy z niezrozumiałego dla siebie powodu się zachwiał. Próbował odzyskać równowagę. a wtedy dostrzegł krew płynącą z lewej strony piersi. i choć wiedział. że powinien uciec w przerażeniu.

pozostał na miejscu. Miecz nie sięgnął jeszcze serca. mor-

derca stał tuż obok. świetlista kula wirowała z nieskończo-

ną prędkością. Poczłł ból.

— Nie róó tego — wyszeptłł.

— Ktoś musi to zrobić — powiedział tamten.

— Tylko nie ty — poprosił błłgalnym tonem.

— A co to za róóznica — odparł tamten.

Kościołł był mroczny i jakby pusty.

Chór skłłdał się z jednego głłosu. z jednej nuty. Jego teź

jakby nie było.

Muzyka — jak wiatr — niosłł

zapach figowców.

Tajemnica krwi teź pachniałł

KOPUŁY

— Podróóujesz, ųeby jeszcze raz przeźyc

swoją przeszłłosc — brzmiało w tym miejscu

pytanie Chana, które mogłł być róównieź dobrze

sformułowane: Podróóujesz, aby odnalezc

swoją przyszłłosc

ITALO CALVIN°. Niewidzialne miasta

Tłłum A Kreisberg)

Aby się upewnić. ųe to nie sen. wbił zęby w poraniony

nadgarstek. Ugryźłł. Odwrócił się i znów popatrzył. I jesz-

cze raz. Nie zniknęłł. Wciłó tam było. Nie wytrzymałł. Ile

sił w płucach zawołał do powstałłych pasażerów. bldych

i wyczerpanych z powodu choroby morskiej wywracajłcej

im ųołłdki na drugłł stronę:

— Dopłłnęłłsiemy. dopłłnęłłsiemy!

Na pokładzie zapanowała gorączkowa bieganina. Wielki okręt ocknął się z letargu i radośnie pozdrowił swych pobratymców w porcie. Ani on nie podpłynął do miasta, ani miasto nie rzuciło mu się na szyję. Po prostu, zwyczajnie, fale wycofały się spomiędzy nich. Okręt i miasto wreszcie się spotkały.

Zwierciadło Aleksandra zostało rozbite uderzeniem młota: jego odłamki musiały się rozsypać na wszystkie strony. Setki luster były w tym mieście, a w jego kopułach — setki otwartych ust przekazujących przybyszom opowieści o tych, którzy odeszli.

LUSTRA

A człowiek się wspinał.

Światło, które oślepiło

wypalało mu oczy.

CEMIL MERIC

Ilekróć ogarnia mnie zniechęcenie, przypominam sobie, po co tu przyjechałem. Powtarzam to sobie niestrudzenie, raz po raz, by przegnać z umysłu wszelkie wątpliwości:

„Przybyłem do Miasta Luster, gdyż jestem częścią opowieści, którą spisano jeszcze przede mną. Znalazłem się w Mieście Luster, by dowiedzieć się, kim jestem”.

Nie wiem, czy zdołałbym pokonać chorobę, gdyby nie Zisan. Był poranek pewnego deszczowego czwartku. Po przebudzeniu poczułem lekki ból głowy i łamanie w kość-

ciach. Sądziłem, że miną, gdy wstanę. Podniosłem się z łóżka, lecz ledwie zrobiłem kilka kroków, by podejść do okna i zobaczyć, jak deszcz pada na grób świętego. nagle zakręciło mi się w głowie, a przed oczyma pojawiły się ciemne plamy. Straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, zrozumiałem, że moje ciało zbuntowało się przeciwko mnie. Straciłem władzę w członkach, nie mogłem unieść rąk, ruszyć choćby palcem. Zisan była przy mnie. Jej widok przyniósł mi ulgę, natchnął wiarą, że nie umrę w tym prze-

rażającym mieście, że wyzdrowieję i będę taki, jak dawniej. Nie byłem co prawda przekonany, czy chcę być taki, jak dawniej, wierzyć w to było jednak całkiem przyjemnie. Zapadłem w sen. Przespałem wiele dni i nocy. Zisan czuwała przy moim łożu. Poiła mnie naparami z ziół i smarowała maściami, zmawiała modlitwy i w końcu przywróciła mnie życiu. Czułem wobec niej wielką wdzięczność. Gdy była przy mnie, ogarniał mnie spokój. Przyzwyczajony byłem u kobiet szukać pomocy i schronienia, być może więc dlatego obecność Zisan była dla mnie czymś zwyczajnym. Pamiętam, że w pierwszych dniach niemożność porozumienia się z nią w jakimkolwiek wspólnym języku zupełnie mi nie doskwierała, gdyż sądziłem, że nie mamy o czym rozmawiać. Z czasem jednak rozszyfrowanie słów padających z jej zasuszonych warg nabrało dla mnie ogromnego znaczenia. Ileż się namęczyłem, ucząc się tego języka! Teraz rozumiem już, co się do mnie mówi, lecz powiedzenie czegokolwiek wciąż przychodzi mi z trudem. Uczucie to nie jest mi jednak zupełnie obce. Przecież w żadnym

znanym mi języku nigdy dotąd swobodnie się nie wy-
wiadałem... Teraz przynajmniej mogę się tłumaczyć tym.
że dopiero uczę się mowy innych. Obcością zaślaniam
wyobcowanie.

Zdaniem Zisan ktoś rzucił na mnie urok. Wiem, co
to jest mul de Mus, mimo to zadziwia mnie władza wiary
w złe spojrzenie nad umysłem tej kobiety. W całym domu
pełno amuletów, nasion poganka oraz musek. Czasem

* Maż k — tle oko.

.• W anatolijskich wierzeniach ludowych nasionom poganka rutowatego
przypisuje się działanie magiczne.

się z nią droczę. Któż mógłby rzucić urok na kogoś takiego
jak ja? Zisan za każdym razem marszczy brwi i odpowiada,
Że są na tym świecie rzeczy, o których nie mam pojęcia.
W zasadzie ma rację. Niewątpliwie są rzeczy, których nie
wiem nawet o samym sobie. Z tego powodu zresztą się
tu znalazłem; czyż moim zamiarem nie jest naciąć dawną
opowieść, usunąć nagromadzoną ropę i utorować drogę
własnej opowieści? jednak choć w tym celu odważyłem
się na taką daleką wędrówkę i dotarłem aż tu, nie wydaje
mi się już, że jestem w stanie to zrobić. Samo wyjście z do-
mu jest dla mnie koszmarem. Nie mam nawet ochoty wło-
czyć się po Haskely. Wszędzie. gdzie spojrzę, dostrzegam
zło. Zamknąłem się w czterech ścianach. Gdyby nie Zisan,
nie oglądałbym ludzkiej twarzy. Jeśli chodzi o pieniądze.
to nimi się nie martwię — złoto, które przywoziłem. wy-
starcza na zaspokojenie moich potrzeb. Nie mam zresztą
zbyt wielu wydatków. Część złota dałem Zisan, by w razie

potrzeby miała na utrzymanie domu. Jej pomarszczonym dłoniom mogę powierzyć nie tylko złoto. ale także samego siebie. i to bez reszty. Przywykłem tak robić. Ktoś musi mną pokierować: jakaś kobieta, jak matka, musi roztoczyć nade mną opiekuńcze skrzydła. Nie ma znaczenia, że nie jest moją matką. Wystarczy, by chciała nią być.

Gdy zachorowałem, Zisan w mojej intencji rozsypała wokół grobu świętego męża trzy garście prosa. Nad każdą wypowiedziała moje imię. chuchnęła i okrążając trzykrotnie sarkofag. rozruciła ziarno. Teraz twierdzi, że wyzdrowienie zawdzięczam świętemu. Cierpliwie przekonuje. że gdy poczuję się lepiej, powinienem w podzięcie odwiedzić jego grób.

— Chyba zapominasz, że nie jestem muzułmaninem

— odpowiadam jej.

— Nie szkodzi — oświadcza zniecierpliwionym tonem.

— Cóż z tego? święty mąż nikogo przecież nie odtrąci.

Śmieję się. Jestem człowiekiem. który stracił wiarę.

Bez wiary, bez korzeni, bez rodziny. Rabbi Jakub chyba też dał sobie spokój. bo od wielu dni się nie pojawia.

Widać zrozumiał, że nie dołączę do wspólnoty, nie stanę się częścią społeczności. Gdyby jeszcze Zisan się z tym pogodziła... Nie oznacza to. że nie jest mi miło, gdy ktoś o mnie myśli i rozsypuje ziarno prosa. szepcząc nad nim moje imię.

Gdy doszedłem do siebie po chorobie, pierwszą rzeczą, jaka zwróciła moją uwagę. był roznoszący się dookoła przykry zapach. Dochodził ode mnie, od szmaty leżącej na

moim czole. Nie uznałem za konieczne wypytywać Zisan, co to takiego, wszak jej lecznicze metody i tak pozostawały dla mnie niepojęte. Ufałem tej starej mużułmance bardziej niż wszystkim lekarzom, których kiedykolwiek znałem. W jej świecie pełnym lęków, czarów i zaklęć wyczuwałem echa znajomej przeszłości.

Kiedy odzyskałem przytomność, spytałem, jaki mamy dzień.

— Czwartek — odpowiedziała.

był czwartkowy poranek. padał deszcz. ..Czyżbym w ogóle nie spał? — zdziwiłem się w duchu. — Jestem tam, gdzie byłem".

— Ach, dzieciaku! Calutki tydzień trawiła cię gorączka! — zawołała Zisan. Widać czytała mi w myślach. — Serce już podchodziło mi do gardła. Czy ty nie masz nikogo bliskiego? Nie wiedziałam. kogo powiadomić.

Być może w tym mieście zawsze pada deszcz i codziennie jest czwartek. A jeśli rzeczywiście tak jest, nie mam zamiaru dzielić się tym odkryciem z ludźmi, którzy nieustannie przebiegają jego wąskimi uliczkami. Zostawiam ich sam na sam z ich pośpiechem, krzątaniem. A ilekroć zaczyna padać, myślę nie o grobie, nie o świętym mężu, który wstaje z grobu i krąży nocami od drzwi do drzwi, lecz o ziarenkach prosa, z każdą kroplą deszczu zapadających się coraz głębiej w ziemię, ziarenkach noszących moje imię.

MIASTO

W owych czasach świat luster

I świat ludzi nie były tak oderwane

jeden od drugiego, jak teraz

BORGE S

Z krain odległych i bliskich przyływały do miasta barwne okręty, przemierzające morza. by wymieszać ze sobą rozmaite zapachy, opowieści z opowieściami. miłości z rozstaniem: uparte i wytrwałe, dzielnie stawiały czoła burzom. piratom, chorobom. wodnym wirom i niezliczonym niebezpieczeństwom. Żaden z nich nie przybywał z pustymi rękami. Nawet najskromniejsze. najnudniejsze z nich. jak skorupka orzecha rzucająca przez morskie fale w górę i w dół. przynosiły ze sobą poczęstunek. choćby tylko odrobinę na skosztowanie. Miasto pochłaniało wszystko. żarłoczne było miasto. ciekawskie. I w przeciwieństwie do swoich mieszkańców — nie wierzyło w przeznaczenie.

Dwa brzegi miało miasto, dwa brzegi. które nigdy się nie stykały. Jakby ktoś przedał na pół kawał sukna w kolorze lux:y. a powstała w ten sposób wielka rozdzierała. która nie została na powrót zszyta. tkanina nie została scalona.

Czegóż nie robiono, by połączyć obie części... Ale miasto

z uporem odwracało się od tych, którzy pukali do jego bram z naparstkami zdobionymi złotem i diamentami, z kryształowymi igłami. Aż w końcu jakiś nieustraszony krawiec sięgnął nożyczkami nieba i jednym ruchem wyciąwszy pas błękitnego nieboskłonu, załatał nim rozdzierała.

Oba brzegi miasta zostały wtedy bezpowrotnie rozdzielone

— pomiędzy nimi stańto morze. Kiedy krawiec pojął, co uczynił, oddał swe szczupłe. pełne wigoru ciało w lodowate ręce sukna w kolorze nocy. Jak sucha gałązka trzasnęła łamany kark, lecz z szeroko otwartych oczu nie spłynęła ani jedna łza.

Opowieść miasta była długą epopeją. a ono, choć nie wiedziało, co to wierność, nigdy nie wypierało się swej przeszłości. Co prawda. często przesiewało wspomnienia, ale temu, co chciało zapamiętać, nigdy nie pozwalało popaść w zapomnienie. Gdy zaczynało szaleć, nic, nawet mury spojone zaprawą z dodatkiem kurzego białka. nie było w stanie go powstrzymać. Wiedziało, kogo do siebie wpuszcza; oddawało się tym, których sobie upodobało. Czasami miało dość i wypluwało swoich mieszkańców jak pestki oliwek. Czasem zaś wiązało się z nimi silnymi więziami. Wąskie, długie i kręte uliczki stawały się setkami rąk trzymających tysiące nici, gdy miasto. zamieniwszy w mocny klej płynące przez nie kapryśne wody, cierpliwie jak pajątko tkło swoją sieć. Nie minęło wiele czasu. a już zatapiało szpony w białym mięsie ofiary, która zaczynała wtedy błagać płaczącym głosem: „Wypuść mnie. proszę!”. Miasto wybuchalo śmiechem, lecz po chwili cichło. a potem, pieszczotliwie pogładziwszy zdobycz po policzku, całowało ją czule i szeptało: „Ależ oczywiście, wypuszczę cię...- Coraz to zmieniającymi kolor oczyma spoglądało jej w oczy i dodawało: „Ależ oczywiście, będziesz mogła odejść, lecz tylko wtedy. gdy ja tego zechcę!”.

To nie było miasto, do którego wstępowało się po dro-

dze, odwiedzało przy okazji wizyty u chorego krewnego i kochało z daleka. Było tam, tak blisko, że ucieczka przed jego obecnością stawała się niemożliwa, i tak daleko, że nie można było istnieć jednocześnie z nim. Rozkoszowało się swoim rozdwojeniem i cierpiało z jego powodu. Było zuchwałe. Melancholijne. Samotne. I w przeciwieństwie do swoich mieszkańców — nie wierzyło w przeznaczenie. A jeśli już musiało w coś wierzyć, wołało wierzyć w to, że jest najpiękniejszym miastem na świecie. W miejscu, w którym nieszczęsny krawiec wbił w niebo nożyce, umieściło bezgraniczne lustro. całe dni wpatrywało się we własne odbicie, mrużąc jak wygrzewający się w ciepłe kot. Od razu zauważało nawet najmniejszą zmianę na swoim obliczu: twierdziło, że w nieustannie zmieniających kolor oczach nosi cały wszechświat. Dostrzegało dole i niedole synów Adama i córek Ewy, ugniatało je razem jak ciasto i tworzyło własne imiona. Potem się szczyliło, że ono jedno nosi tyle różnych imion. Miasto Przeklęte i Miasto Cudowne — Stambuł mieścił w sobie wszystko. co tyczyło się człowieka.

Żarłoczny był Stambuł. a jeszcze bardziej ciekawski.

Kupcy z bliska i z daleka dobrze znali tę słabość miasta.

dlatego odwiedzali je często i rozkładali przed nim towary.

Z Egiptu docierały tu cukier, kawa. henna. daktyle i konopie.

a także ryż. dar Nilu. Siatki z Wenecji przywoziły szkło,

papier. kryształ i lustra. Weneckie zwierciadła były najlepszymi powiernikami pięknych nałożnic, które ni w dzień.

ni w nocy się z nimi nie rozstawały. Mieszkające w stam-

bulskich pałacach, willach i yah* odaliski wdziewały
irańskie jedwabie, altembasy i złotogłowa. otaczały szyje
sznurami szlachetnych pereł i koralii, w uszach zawieszały
bursztyny sprowadzone z Gdańska lub rubiny przywiezione
z Hajdarabadu bądź Kaszmiru, po czym długo podziwiały
swe odbicia w lustrach weneckiej roboty. Płacząc. ocierały
łzy chusteczkami haftowanymi w Indiach srebrem i złotem
albo tkanymi w Chinach z czystego jedwabiu. Ich twarze
rozjaśniały się w uśmiechu, a oczy promieniały. gdy otulały
się w rysie futra sprowadzone z moskiewskich ziem. Na ich
stołach gościły smakowite dania, przyrządzane na oliwie
z Koron i Modon**, na maśle z Bukowiny. Chociaż ani ra-
zu nie przekroczyły granic wyznaczonych murami pałacu.
całe życie rozkoszowały się przysmakami pochodzącymi
z wielkiego. bezkresnego świata. Kto wie, może ów świat.
owo „na zewnątrz”, miał jakieś granice. swój kres; może
kompasy źle wyznaczały kierunki. a na mapy należało pa-
trzeć nie z jednej, lecz z wielu stron. Kto wie, może w roz-
ciągającym się jak okiem sięgnąć łożu bezwstydnej nagości
nie kryły się oceany, lecz tylko jedna kropla? Kto wie, może
zewnątrz nie było wcale tak rozległe. a wewnątrz — tak
ograniczone?

Miasto intrygowały zapachy. To tu. to tam rozsie-
wało woń ambry, drzewa aloesowego. piżma. benzoesu
i kadzideł; poruszając nosem jak szczur, starało się wciąż
wyczuwać nowe wonie, by dodać je do już posiadanych.
By sprawić mu przyjemność, w kadzielniczkach na roz-

* Yah — wille nad brzegiem Boj" (przyp tłum

** Porty na Ikaloponerie. obecnie Kowani i Methoni Przyp tłum

żarzonych węglach ludzie umieszczali kawałeczki drzewa aloesowego, nie większe niż orzech włoski. Dobywające się z nich opary przenikały brody i włosy: niektórzy, ci bardziej niepomiarowani. wypełniali gęstym dymem nawet turbany. Najrozmaitsze wonie i ammaty walczyły ze sobą. Miasto jednak nigdy nie miało ich dość.

Okręty z Wenecji. Genui. Livorno. Francji. Anglii i Niderlandów stały rzędem jedne obok drugich i oddawały cześć Słambułowi. Do kogo należały, można było poznać po złożonych rzeźbieniach połyskujących na ich dziobach. W świąteczne dni na maszty wciągano flagi opatrzone znakiem krzyża. Powiewały dostojnie na chwałę Chrystusa. Z pokładu oddawano salwy armatnie — miasto, uśmiechając się znacząco. wsłuchiwało się w ich odgłos. Gdy sułtan wyruszał na przejażdżkę, również rozlegał się huk wystrzałów. Władca sądził że to dla niego. miasto — dla niego.

Barwne statki przybijające do nabrzeży miasta przywoziły nie tylko towary cieszące sułtan:a i nabijające kiesy kupców o palcach powalanych atramentem, ale także ludzi. którzy spędzili długie lata. oddychając powietrzem nieznanym krain o znanych nazwach. Więksiość z nich wciskała swe opowieści pod fotel i schodziła na ląd: po chwili oszołomienia ruszali niepewnym krokiem, by wmieszać się w ludzkie mrowie wypełniające ulice. I dla nich znalazło się tu miejsce. Wszak miasto było żarłoczne i nader ciekawskie. Zawsze, odkąd pamiętali). jak niegdyś, tak i teraz.

nawykłe było gościć tłumy, nieprzebrane roje ludzi. Jego wąskie, kręte uliczki przemierzali Turcy w białych. Grecy w niebieskich i Żydzi w żółtych turbanach, Kunlowie o sumiastych wąsach. zabłąkani przybysze z gór. Cyganie

w jaskrawych, pstrokatych strojach. Ormianie o garbatych nosach, pozbawieni zarostu derwisze oraz zmierzający na Wschód europejscy podróżnicy. przekonani o nieomyślności swoich kompasów. Nim zniknęli w plątaninie ulic, cudzoziemcy zadawali sobie w duchu pytanie: Cóż za niezwykle miejsce, to miasto, dające dach nad głową tylu tak różnym ludziom?

Nienasycone było miasto. Nawet gdyby w jednej chwili do cna opróżniło spichrze wypełnione po brzegi pszenicą; z zarzynanych owiec, cieląt, kur, gęsi, kaczek i gołębi zostawiło tylko kości; w olbrzymich beczkach z miodem i oliwą odsłoniło dno; zużyło jeden po drugim worki zapasów: wypilo całe kotły hoşafu, dzbany ayranu* i karafki jerbetun: pożarło pospiesznie. jakby się paliło, słodczyce z orzechami włoskimi i pistacjami oraz desery ze śmietany i mleka, a rozkosze stołu wzmogło, delektując się kawą. tytoniem, opium i haszyszem, i tak nie zaspokoiliby apetytu. Czasem pochłaniało tak dużo, że dostawało rozstroju żołądka. Rzygało. Z bulgotem zwracało wszystko. co — mlaszcząc — pożarło wcześniej ze smakiem. Wyplute przez nie odpadki starannie przeglądali ludzie podlegający Oplak subavs,"*.

Było ich mniej więcej pięciuset. Włożywszy wielkie buciorzy z cholewami sięgającymi pachwin, ubrani w czer-

wono-czarne skórzane kaftany. w wysokich czapkach na głowach, na ramionach nieśli długie kije. a w rękach mo-

* Ajran — napój z jogurtu rozcieńczonego wodą (przyp. tłum

** .Serbet — napój z wody słodzonej miodem (przyp.tł

*** Oplak subavs,"*.—W imperium osmańskim urzędnik odpowiedzialny

Za wywóz śmieci: podlegał kadiemu. sędziemu sprawującemu funkcję administracyjną (przyp. tłum.)

tyki, miotły, łopaty i trzcinowe kosze... Choć cały dzień krążyli tu i tam, nikt ich nie zauważał. Ich istnienie nie było jednoznaczne z nieistnieniem, lecz z pewnością było mu bliskie. Bez słowa skargi, bez śladu obrzydzenia zbierali wymiociny miasta. Potem schodzili na brzeg morza i starannie płukali to, co znaleźli. Jeśli im się poszczęściło, wśród rzygowin, odpadków i brudu mrugało do nich załotnie kilka akces. czasem nawet połyskiwał jakiś klejnot. Powierzali zdobycz swoim żonom i wracali do pracy. Stambuł podobny był do gwałtownego wichru, do nieokiełznanego rumaka. Obcy, którzy gubili się w jego bocznych uliczkach i wkrótce zaczynali pojmować. że nie zmuszą tego miasta do posłuchu, szli do winiarni, by tam odpędzić swoje troski. Brzęczały dzwonki nad drzwiami knajp w Balikapazari. Ktinikapisi. Ilnkapani. Cibalikapisi, Ayakapisi. Balatkapisi. Fenerkapisi. Haskoy. °dakot Ar-naytitkoy. Bilvtikdere i Kadikoyti, gdy wślizgiwali się do środka i pili na umór, aż ich blade policzki stawały się czerwone. a oczy nabiegały krwią. Wkrótce odkrywali Galatg. W tamtejszych spelunkach. w których wino i arak lały, się

strumieniami, obrzucali niewybrednymi wyzwiskami żony
tłustych, bogatych kupców. przystrojone od stóp do głów
w jedwabie i klejnoty

Zamroczeni trunkiem cudzoziemcy. których pamięć
uparcie nie chciała wyzbyć się wspomnień. gapili się na
okręty przybijające do brzegów Galaty.

Trzeźwieli.

PO POTOPIE

I dusza jego popchnęła go do zabójstwa brata,

Zabił go

I znalazł się wśród tych, którzy ponieśli stratę.

Koran, sura V. wers 30

(Tłun, J. Bleiawski)

Po potopie Noe patrzył na rośliny, zwierzęta i ludzi, opuszczających parami arkę. Wyglądali na zmęczonych, lecz pełnych nadziei. Gdy wszystko i wszyscy zeszli na ląd, zapragnął po raz ostatni obejść statek, który stał się ich wybawieniem.

Spacerując w zamyśleniu po pokładzie arki, zbudowanej przez niego z własnoręcznie zasadzonych i czterdzieści lat doglądanych cedrów ujrzał nagle wciśniętą w kąt parę osobników różnej płci, całych drżących i bezradnie tulących się do siebie. Było jasne, że nie odważyli się zejść wraz z innymi ze statku, by na nieznaną ziemię rozpocząć nowe życie. Gdy podszedł bliżej. zrozumiał, że to Znaczenie i Rozum. Nie przypominał sobie, by przyjmował ich na pokład. Przyjrzał im się uważnie i pod sutą spódnicą Znaczenia dostrzegł

poruszające się dziecko. Wziął w ramiona maleństwo, które nawet nie otworzyło jeszcze oczu, i nadał mu imię: Filozofia. W ten sposób Filozofia stała się pierwszym i jedynym dzieckiem, które przyszło na świat na okręcie pływającym pomiędzy okropnościami przeszłości i obietnicami przyszłości, lecz nie przybijającym do żadnego z nich.

Gdy płomień świecy zatrzepotał w jeziorku wosku, wstał — nie mógł dłużej znieść bólu pleców. Dopiero w tym momencie poczuł, jak bardzo jest zmęczony, i przypomniał sobie, że w dodatku nic nie jadł od samego rana. Od miesiący zresztą nie odżywiał się, jak należy, i bardzo wychudł. Jego policzki, niegdyś pełne, zapadły się i pomarszczyły jak zleżające owoce, pod oczami pojawiły się fioletowawe, owalne cienie. Rudoczarne broda się przerzedziła, ponieważ w miejsce włosów wyrwanych niegdyś ze zgryzoty nie wyrosły nowe. Nie przejmował się tym. Nie miało to już żadnego znaczenia. Niebo zakryły chmury, czarne jak smoła, a deszcz lał, jakby nigdy nie miał przestać. Porwany nurtem wzbierającego potopu, nie zwracał uwagi ani na utracony zarost, ani na protesty wycieńczonego ciała. Jedynie, czego chciał, to pracować, tylko i wyłącznie pracować. Pracować, póki żyje, a gdy nie będzie mógł już pracować — umrzeć. Od dawna niezmiennie każdej nocy pisał i pisał, aż do chwili, gdy zupełnie opadał z sił. Dzięki temu, kiedy kładł się spać, nie miał chęci ani CZASU rozmyślać nad samotnością i natychmiast zapadał w sen. Jeśli się zdarzyło, że nie zasnął od razu, czas między jawą i snem zamieniał się w nieznośny koszmar. Zlany zimnym potem, wzdychał

ciężko i czuł, że rozpada się na kawałki. Wiercił się w łóżu, próbując rozluźnić naprężone ciało. rozgrzać się pod wieloma warstwami kołder i dodać sobie otuchy modlitwami odmawianymi jedna po drugiej. Chciał nie tyle się pocieszyć, ile zostać pocieszonym. Drżał z chłodu.

Kiedy Antonio Pereira poddał się obrzezaniu i stał się Abrahamem Pereirą. Zaczął pracować bez wytchnienia. w dzień i w nocy nad swoim wymarzonym traktatem, by jak najszybciej go ukonczyć. Najpierw jednak stracił sporo

czasu, usiłując zmyć osady przeszłości, potem na swej drodze napotkał nieoczekiwane komplikacje, a w końcu stał się świadkiem tego, jak każdy poruszany temat rozrasta się niczym drzewo i rodzi wciąż nowe pytania, dlatego ciągle nie udawało mu się postawić ostatniej kropki. Traktat stawał się coraz dłuższy i wyglądało na to, że księga, która miała go pomieścić, będzie grubsza, niż się spodziewał. Mimo wszystko był zadowolony i wierzył, że jeśli nie teraz, to kiedyś w przyszłości ten wielki wysiłek przyniesie owoce. Odkąd przybył do żydowskiego getta w Wenecji, z powodzeniem prowadził praktykę lekarską. a jednocześnie pracował nad swoim dziełem. Dystans. jaki utrzymywał wobec otoczenia. sprawił, że traktowano go z szacunkiem, ale także naznaczył piętnem samotnika. By nie poddać się nieszczęściu, albo raczej by go nie dostrzegać, pracował bezustannie; jeśli nie miał nic do roboty, wymyślał sobie zajęcia. Gdy zajmował się pacjentami lub książką, czuł, że stopniowo, choćby tylko na chwilę. uwalnia się od nieznośnego ciężaru przeszłości. Nie chciał już wracać do mi-

nionych zdarzeń, do tego. co zostawił za sobą. Nie chciał myśleć nie tylko o przeszłości, lecz także o teraźniejszości. Pierwszej wolał nie pamiętać. drugiej nie znosił, oddał się więc bez reszty przyszłości i dziełom, które pozostawi czytelnikom.

Pisał po łacinie. We wstępie przedstawił siebie jako zręcznego medyka. a jednocześnie filozofa o wielkim umyśle; zaznaczył, że przyszłe pokolenia będą mogły wiele się od niego nauczyć. Uznał, że okładka musi być ozdobna i przykuwająca uwagę; sporządził kilka jej projektów, przy każdym długo rozważając, w którym miejscu powinno się znaleźć jego nazwisko. Po wielu trudach u artysty, który

również mieszkał w getcie, zamówił w końcu rycinę na stronę tytułową. Była dokładnie taka, jak sobie życzył: arka. zbudowana przez Noego z cedrowego drzewa, wspinała się na górski szczyt, a w dole. u podnóża góry. burzyły się fale, wśród których pływały wielkie ryby. Po obu stronach okrętu widoczne były dwie kobiece postacie zwrócone do siebie twarzami. Jedna podtrzymywała słońce. druga księżyc. Ich długie włosy falowały w podmuchach wiatru wiejącego z nieznanego kierunku. Za Noem. stojącym na pokładzie arki, rozpościerał się mało widoczny na pierwszy rzut oka zodiak, ozdobiony złożonymi gwiazdami.

Choć w Wenecji znalazł dobre warunki do pracy, to wydać książkę zamierzał nie tu. lecz w Amsterdamie. Nawiązał kontakt z tamtejszymi żydowskimi drukarniami i nieoczekiwanie spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem. Teraz musiał tylko nadać tytuł swemu dziełu. Ileż trudu może

jeszcze kosztować wymyślenie go? Po napisaniu osmiuset osiemdziesięciu ośmiu stron niemożność skreślenia kilku zaledwie wyrazów, które złożyłyby się na nazwę, była zaskakująca. Niezwykła była też liczba stron: osiemset osiemdziesiąt osiem. Dlaczego nie osiemset osiemdziesiąt siedem albo nie osiemset osiemdziesiąt dziewięć .' Ale głowienie się nad podobnymi dziwacznymi problemami nie było raczej rzeczą ludzi pokroju Miguela. dlatego wcale nie zamierzał wgłębiać się w to zagadnienie.

Dzieło, któremu wciąż jeszcze nie nadał tytułu, składało się z trzech części. W pierwszej opisywał, jak dziecię Filozofia rozwijało się po opuszczeniu arki Noego. Ani Rozum nie okazał się dobrym ojcem. ani Znaczenie nie było dobrą matką. Filozofia dorastała więc samopas. Była

bardzo samotna, lecz jeszcze o tym nie wiedziała. Ponieważ nie znała nikogo, kto odpowiedziałby na jej pytania, nie mogła szybko o nich zapomnieć i zabrać się za stawianie nowych. Krótko mówiąc, w przeciwieństwie do swych rówieśników Filozofia nie radziła sobie z najprostszymi nawet pytaniami.

Jak twierdził Abraham Pereira, w wieku siedmiu lat Filozofia została znaleziona i przysposobiona przez Hebrajczyków. Tymi, którzy wyrwali ją z jej samotności i poszukiwali odpowiedzi na wciąż zadawane przez nią pytania, byli więc nie, jak się powszechnie sądzi. Egipcjanie czy Grecy. lecz właśnie Żydzi. Gdy dorastała. najpierw Abraham. a potem Józef nauczali w Egipcie matematyki. Wiedza zdobyta przez Egipcjan z czasem trafiła do Greków. Ponieważ jednak

greccy filozofowie, w tym Tales. Sokrates. Pitagoras. Platon. a nawet Arystoteles, nie mieli właściwego przewodnika. nie byli w stanie uniknąć powtarzania wciąż tych samych błędów. Pozostawione przez nich dziedzictwo było niczym pozbawiony blasku fałszywy diament. Abraham Pereira. który niegdyś na hiszpańskim uniwersytecie wychwalał pod niebiosa Arystotelesa, teraz bezlitośnie krytykował swojego dawnego mistrza — uznał go za złośliwy guz wyrosły na ciele dziecięcia Filozofii.

Drugą część dzieła poświęcił rozważaniom nad porządkiem rzeczy. Dotychczas myśliciele widzieli jedynie cztery żywioły, udając, że nie dostrzegają tworzących je niepodzielnych atomów. Tym, który te atomy stworzył i sprawił, że powstały z nich cztery żywioły, był bez wątpienia Bóg. A skoro atomy zostały stworzone przez Boga. nie były ani nieskończone, ani wieczne. Z tego samego względu składające się z nich żywioły — woda, ogień. ziemia i powietrze

291

— też nie mogły być ani nieskończone, ani wieczne. Oznaczało to. że wszystko ma swój początek i kres.

Prowadząc rozważania nad czterema żywiołami. z niezrozumiałego dla siebie powodu najwięcej miejsca poświęcił ogniewi. Jego myśli uporczywie krążyły wokół opowieści o salamandrze. Wrzucona do ognia. może przetrwać pewien (czas, gasząc płomienie wilgocią ze swego ciała. Gdy jednak zapas płynu się wyczerpie. przygasający żar ponownie zostanie podsycony i zajmie jej ciało; salamandra jest wtedy skazana na zagładę. Jeśli wyjąć ją z ognia.

nim wyczerpie wilgoć. otrzyma się cud, a jeśli zrobić to, gdy wilgoć się skończy — kupkę popiołu. Wynika z tego, że najważniejszy jest czas. Ludzie jednak dostrzegają chwilę, nie czas. i dlatego, sądząc, że salamandra może pokonać ogień. dają się omamić próżnym marzeniom. Chwila jest oderwaną cząstką. czas — ciągłością. Chwila to chaos, czas to ład i porządek. Rozum rozkwita w rękach czasu, przecucia — w rękach chwili. Panem chwili jest Szatan, czasu — Bóg.

Trzecią i ostatnią część dzieła Abraham Pereira przeznaczył na rozważania nad nieśmiertelnością duszy i wielkością Stwórcy. Opowiedział w niej o ziarnach zła i niezgody rozsiewanych po świecie przez tych, którzy nie wierzą w nieśmiertelność duszy:

Pierwszym z tych, którzy nie chcą dostrzec nieśmiertelności duszy. był niewątpliwie bratobójca Kain. Nim zabił Abelu, wiódł z nim długi spór na ten temat. W gruncie rzeczy czuł, że to, co mówi Abel. jest prawdą, lecz w żaden sposób nie chciał przyznać mu racji. Bał się, że ten go przekona, więc zatkał sobie uszy. Wtedy zaś usłyszał, jak wyje jego dusza. Przestraszył się. Ponieważ się przestraszył. wił przestraszyć brata. Bez zastanowienia zabił go, a potem próbował ziemią zmyć krew ze swych rąk. Ziemia go jednak odrzuciła. Ruszył dalej, znajdował coraz to nową ziemię, lecz każda go przepędzała. Gdy zrozumiał, że dokądkolwiek pójdzie, wszędzie zostanie przez nią odrzucony, postanowił z kamieni zbudować miejsce dla siebie. W ten sposób pierwsze miasto miało stać się jego dziełem, nabrać kształtu w jego dłoniach. By je zbudować, wyruszył w długą, długą

wędrowną. Tam gdzie postawił stopę, więdły kwiaty trawy stawały w płomieniach. a studnie wysychały Mosty, na które spojrzął, waliły się w gruzy, drzewa próchniały, gazele umierały. Rozsiewając wszędzie, którądy przeszedł. ziarno nieszczęścia, podążał dalej i dalej, dniami i nocami, przez zmieniające się pory roku, by znaleźć miejsce. w którym wzniesie swój dom, ulepiony, tak jak on sam. z żądzy, namiętności i gniewu. W końcu pewnego dnia na bezkresnej pustyni natrafił na wielki, błyszczący. czarny kamień. Tam właśnie, z owego kamienia, wznosił pierwsze mury. Po pracy otarł pot z czoła i uśmiechnął się z dumą. Swoje dzieło nazwał Miasto.

Traktat był coraz dłuższy. Spod pióra Abrahama Peireiry wychodziły stronica za stronicą. Ale w ogóle go to nie przerażało. Był przekonany, że każda tworzona rzecz ma początek, a każda rzecz, która ma początek. musi mieć i koniec. Kończąc swe dzieło, którego wciąż jeszcze nie zatytułował, napisał:

Rebeka, podobnie jak Sara, była bezpłodna. Jej modlitwy zostały jednak wysłuchane. Pod sercem nosiła nie jedno. lecz dwóch synów naraz. Ezaw i Jakub już w łonie matki zaczęli ze sobą walczyć. Pierwsze starcie wygrał Ezaw i jako pierwszy przyszedł na Świat. Lecz to Jakub ostatecznie zwyciężył, gdyż to on otrzymał ojcowskie błogosławieństwo.

Kiedy kładł się spać, nie zgasił świecy. Był pewien, że i tak wkrótce zacznie go trawić własny ogień. Musiał wcześniej wstać i pracować dalej. Tylko tego chciał tego pragnął.

Pracować. póki żyje, a gdy nie będzie już mógł pracować
— umrzeć.

W ogniu kropla wilgoci — proch na jeden wystrzał —
z popiołów powstanie

W Czasu morzu chwila — sil na jedno tchnienie —
w szatana władanie.

OBCY

Obcy, zwłaszcza ten, który przed czymś ucieka.

jest w magiczny sposób pokawałkowany

BILGE KARASU, Nade Inctre Gazel

Gdy Miguel Pereira postawił stopę w mieście, które
w przeciwieństwie do swoich mieszkańców nie wierzy-
ło w przeznaczenie. na tronie Osmanów wciąż zasiadał
sułtan Murad IV*: jego imienia, cienia i odgłosu kroków
lękano się bardziej niż czegokolwiek. Władca jednak nie-
domagał. Choroba tocząca jego ciało w pierwszej kolejno-
ści postanowiła stłumić dźwięk jego kroków, który niegdyś
rozbrzmiewał złowrogim echem na ulicach miasta. Kiedy
padyszach utracił ów dźwięk, zrozumiał z przerażeniem.
że od dawna porusza się po własnych śladach, krąży po

* Murad IV (1612-1640) — panował w latach 1623-1640. Zwalczał
korupcję, ograniczył wpływy dworu. zreorganizował armię i zlikwido-
wał wielkie lenna — w ten sposób przywrócił świetność imperium. był
ostatnim sułtanem, który osobiście dowodził wojskami w polu. Słynął

z okrucieństwa i drakońskich metod działania — za picie kawy i alkoholu oraz palenie tytoniu karał śmiercią, by skontrolować przestrzeganie wprowadzonych zakazów, miał w przebraniu krążyć po ulicach Stambułu (przyp. tłum.).

wąskim kręgu, drepce w kółko. i by nie stawać wciąż twarzą w twarz z tą okrutną prawdą, całkiem znieruchomiął. W drugim stadium podstępna choroba zaatakowała jego cień. Snujący się po pałacowych korytarzach, pojawiający się w spijających wieczorną zorzę oknach zajazdów, ukazujący się w lustrach tym, którzy powątpiewali w jego istnienie. stale się wydłużający. nieustannie się powiększający i coraz mroczniejszy cień sułtana nagle podzielił się na dwie części. Jedna wyginała się do wewnątrz. druga zaś na zewnątrz siebie. a im większa stawała się odległość pomiędzy nimi, tym silniejszy ból odczuwał władca. Gdy w końcu oba cienie zupełnie się od siebie oddzieliły, sułtan Murad w ostatniej chwili zdążył złapać je za skraj i oderwać po kawałku każdego. Trzymając w garściach zaledwie po strzępie, bezsilnie patrzył, jak się oddalają. To. co mu z nich zostało, było tak małe. że zmieściło się w tabakierce. Czasami uchylał wieczka i przyglądał się malutkim pozostałościom swojego cienia, który niegdyś budził tak wielki strach. Zaraz jednak zatrząskiwiał srebrne puzderko, inkrustowane szlachetnymi kamieniami, gdyż bał się. że utraci i te resztki. Teraz, w trzecim i ostatnim stadium choroby, był świadkiem, jak zanika jego imię. z którego jedna po drugiej odpadały litery i rozsypywały się w proch. Padyszach, który zamykał i równał z ziemią kawiarnie

i winiarnie, napełniał strachem serca miłośników używek. każdy obłoczek tytoniowego dymu czy kroplę wina uważał zarówno za grzech. jak i za bunt przeciwko władzy, tęsknił teraz za odgłosem własnych kroków, za niepodzielonym cieniem i mocnym imieniem i krok po kroku zbliżał się do śmierci. Była wiosna roku tysiąc sześćset trzydziestego dziewiątego.

296

Gdy sułtan Murad IV wstępował na tron, miał zaledwie jedenaście lat. Pięć dni przed ceremonią obrzezania zaprowadzono go do Mauzoleum EyUpa*, gdzie przypasano mu miecze Proroka i Osmana. Blask mieczy oślepił mu oczy. Padyszach był dzieckiem. Latami znosił katusze, nie mogąc nikomu, nawet sobie, a co dopiero innym, pokazać, kto włada Memalik-i Osmaniyyen; mógł jedynie biernie obserwować wydarzenia. W tym czasie imperium wstrząsały epidemia dżumy, zwana zarazą z Bayrampaąy, wybuchające raz po raz bunty, egzekucje buntowników i następujące po nich egzekucje tych, którzy bunty tłumili, tumulty spahisów. janczarów i płatnerzy. Nie udało się odzyskać utraconego Bagdadu. Wspomnienie tego miasta było dla sułtana jak jątrząca rana:

Zanim kalif al-Mansur założył miasto Bagdad, nakreślił na ziemi wielki krąg".

W roku tysiąc sześćset trzydziestym drugim sułtan Murad zaczął szukać sposobu. jak odwrócić niepomyślny bieg wydarzeń. Z uwagą wysłuchiwał rad dworzan, każdą rozważył w sercu i pewnej nocy. gdy na niebie pojawił się błądy

* Abu Avvtib al-Ansari (tur [bo — towarzysz Mahometa, zmarł w 670.r. podczas pierwszego oblężenia Konstantynopola przez Arabów zmarły

W 670 t podczas pierwszego oblężenia Krmstantynopula przez Arabów „pochowany pod jego murami. Według legendy w czasie oblężenia miasta przez Turków grób miał odnaleźć w cudowny sposób mistyk i uczoney eyh5crnsettin. mentor sułtana Mechmeta Zdobywcy, który wznosił W tym miejscu Mażzoleum stanowiące po dziś dzień cel pielgrzymek wiernych Odtąd tutaj odbywała się ceremonia będąca tureckim odpowiednikiem koronacji: władcom wstępującym na tron przypasywano miecz założyciela dynastii, sułtana Osmana I (przyp. tłum.).

s* Mnualik-g iihrnanitrye — ziemie Osmamów (PrzYP- tłum.).

297

sierp księżycy, ogłosił towarzyszom swe postanowienie. By zrealizować to, o czym myślał, potrzebował ich pomocy.

Pochlebcy, zjednoczywszy się z odgłosami kroków władcy, od lat skarżącymi się, że nie mogą do woli rozbrzmiewać echem na ulicach miasta. z jego cieniem, zmartwionym, że nie może się nonszalancko przechadzać. gdzie zechce, oraz z jego imieniem, nadal szukającym samego siebie, radośnie ochoczo przyklasnęli pomysłom sułtana.

By wszystkim zapewnić sprawiedliwość. zapragnął wznieść miasto na planie okręgu".

Rok tysiąc sześćset trzydziesty drugi był trudnym rokiem. W lutym buntownicy zebrani na placu Końskim• wręczyli władcy przygotowaną przez siebie listę siedemnastu nazwisk i przez trzy dni przewracali miasto do góry nogami. Sklepy zostały zamknięte. mieszkańcy ze strachu

pozamykali się w domach. Zawsze wypełnione mrowiem ludzkim place teraz świeciły pustkami. było zimno, wiatr bez litości smagał miasto podmuchami. Wszędzie czuć było swąd spalenizny. tysięcy-sześćset-trzydzieści-dwa-plus-minus-siedemnaście-plus-minus-trzy-plus-minus...

Prypadkiem obok siebie cyfry się znalazły..

Skoro wszyscy o tym wiedzieli, po co tyle zabiegów.

skąd ta tajemniczość?

Marzec bynajmniej nie był wcale lepszy. Spahisi, nie rozstający się z bronią, ściągali haracze w poszczególnych

dzielnicach Stambułu, a tym, którzy nie chcieli płacić, podpalali dach domu. Wokół roznosił się swąd spalenizny.

W czerwcu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Nowy wielki wezyr, Mehmet Pasza. noszący przydomek Płaskostopy*, postanowił terrorem odpowiedzieć na terror. Miasto stało się żelazną płytą. pod którą szaleńczo buzował ogień. Spaliło własne przeznaczenie. Odsunawszy dym niczym kurtynę, sułtan Murad ruszył wąziutkimi uliczkami. Mimowolnie się skrzywił. Wokół unosił się dziwny zapach...

Jakby czuć było spaleniznę...

W' następnym roku urodziła mu się córka. Wkrótce miano ją uznać za zwiastun nieszczęścia, lecz jej przyjście na świat uczczono uroczystościami w ogrodach Kandilli tak wspinałymi, że wspominano je długie lata. Imię, które wyszeptano jej do ucha**, było piękne. imię zaś, które szeptał wiatr — przerażające. Znalazła się, tak jak wcześniej wielu innych, w środku opowieści napisanej na długo przed jej narodzinami. Minęło dwadzieścia dni. Pożar w Ci-

bali pojawił się skrycie. Za Bramą Obali pewien szkutnik
uszczelniał łódź i rozpałił ognisko z wrzoścowych polan.

Skąd miał wiedzieć, co się stanie? Ogień zajął najpierw
hangar dla łodzi, a potem przeniósł się dalej z podmuchami

- Tabaniyassi Mehnwt — w 1632 r mianowany przez Murada IV
wielkim wezyrem. odegrał istotną rolę w przeprowadzonej przez sułtana
reorganizacji janczarów. Zdymisjonowany w 1637 r. za utratę Erewania

wiatru. Przekroczył miejskie mury i rozwierając paszczę,
w jednej chwili pochłonął bazar w dzielnicy Kiiëikmusta-
fapasa wraz z jego bogatymi sklepami. Wciąż nie nasycony,
ruszył na sąsiednie dzielnice. Całe połacie miasta obróciły
się w perzynę. piękne domy zamieniły w popiół.

Sułtan Murad przywykł już do tego zapachu. Wiedział,
że wszystko dookoła czuć spalenizną.

Kiedy Miguel Pereira. który nie wytrzymał długo w żadnym
z odwiedzanych kolejno trzech śródziemnomorskich miast.
znów wyruszył w drogę i w ostatnich chwilach 1639 roku
przybył do Stambułu. nie miał pojęcia ani o chorobie suł-
tana Murada. ani o pałacowych intrygach. ani o niepewnej
sytuacji w kraju. Pragnął jak najszybciej dotknąć luster.

które dostrzegł z pokładu. i pospiesznie zszedł na ląd. gdy
tylko okręt zawinął do portu. Nie wiedział, dlaczego tak się
spieszny. ale czuł. że jest już spóźniony. Biegł. Biegł i biegł
ulicami miasta, aż stracił orientację. Gdy ze zmęczenia nie
był w stanie zrobić kroku. zatrzymał się na opustoszałej
uliczce, by zaczerpnąć tchu. Zerwał owoc z gruszy. której
gałęzie zwisały z muru. Gruszka była smaczna, twarda
i soczysta. Drzewo wydało mu się dziwne, ale nie zastana-

wiał się nad nim dłużej.

KSIĘGA

To, co następuje potem, jest jak monety
wykopane z ziemi. Błyszczą, ale nic nie mówią.

MURATHAN MUNGAN, LAI Masallar

Gdy muezzin odśpiewywał wieczorne wezwanie na modlitwę, Scyll Snleyman Sedef Efendi Wyszedł ze Swojej biblioteki. Tuż za progiem zatrzymał się, jak to miał w zwyczaju robić codziennie. i starym, zamyślnym wzrokiem spojrzął w górę, po czym zamknął za sobą drzwi tak gwałtownie, jakby się dokądś spieszył, i oddalił się szybkim krokiem. W pokoju na drugim końcu korytarza czekała na niego ZUhrę ze świeżo zaparzoną wieczorną kawą. Ojciec i córka uśmiechnęli się do siebie. Dziewczynę aż świerbiło. by zadać ojcu pytanie, którego nigdy dotąd nie odważyła się wypowiedzieć. Jednak jak zawsze, w momencie gdy otworzyła usta, słowa uwięzły jej w gardle. Ach, gdyby mogła wydobyć głos. rozwiązać węzeł krępujący jej język i spytać. dlaczego za każdym razem wychodzi z biblioteki taki smutny: skoro to pomieszczenie z tysiącem książek tak go przygnębia, po co zamyka się w nim codziennie? Ale nie umiała się na to zdobyć. Jak zawsze oboje zamiast rozmawiać o tym, o czym nie należy mówić, woleli nie rozmawiać o tym, o czym mówić należy. Milczenie, niczym falująca zasłona z gęstniejącej mgły. spowiło całe pomieszczenie.

Zhre obserwowała ojca kątem oka. Zestarzał się Sedef Efendi. Swą starość nosił z czcią. jak święty dar. jednak jego plecy wciąż były proste. Wydatny, orli nos, rzucający wyzwanie zmarszczkom pokrywającym twarz, posiwiałym włosom i brodzie. pokazywał, jakim upartym i samowolnym człowiekiem był szejch w młodości. Z tego. co ojciec opowiadał i czego nie opowiadał. ZUhre wynioskowała, że niegdyś musiał wieść zupełnie inne życie. Zresztą sam Sedef Efendi. wspominając czasami przeszłość, twierdził. że w jednym ciele dostrzega dwie dusze.

Skrzynia z orzechowego drewna

wewnątrz wyłożona macicą perłową...

Gdy Sedef Efendi opuścił selamlıke. Ztihre popatrzyła za nim w milczeniu. W rzednącej miejscami mgłę jej wzrok padł na filiżankę ozdobioną wizerunkiem pawia. z której ojciec pił kawę. Nakryła naczynie spodeczkiem i odwróciła, po czym trzykrotnie zatoczyła nim krąg w powietrzu. Spokojnie i cierpliwie czekała, aż kawa wystygnie. Wróżba z fusów. Spróbuje znaleźć w niej odpowiedź na pytanie. którego nie umiała zadać.

— Dziś rano otrzymałem list od dawnego znajomego z Salonik. Rozpisuje się na temat pewnego człowieka. Ten ktoś

przebywa w ich gminie. Twierdzi ponoć, że dusza nie jest nieśmiertelna. Uważa również, że istota ludzka nie różni się niczym od zwierzęcia. Nie wierzy w cuda. Mówi, że żyjemy tak długo. jak długo oddychamy, a potem jest tylko nicość. Wielu ludziom namącił w głowach. W dodatku...

W dodatku napisał dzieło, w którym to wszystko wyjaśnia.

Teraz szuka drukarni, która mu je wydrukuje. Mój znajomy się obawia, że ów człowiek może ściągnąć na wszystkich niebezpieczeństwo, i pisze w swoim liście, że powinno się go ukarać.

— Ty jednak, przyjacielu, jesteś innego zdania. A może się mylę?

— Nie mylisz się, tak jest w istocie — odparł rabbi

Jakub. — Czuję, że mój znajomy nie ma racji. ale sam nie wiem, co w takiej sytuacji należałoby zrobić.

— Nie rozumiem — westchnął Seyh Sńleyman Sedef Efendi, nie odejmując od warg ustnika nargile. — Zawsze powtarzasz, że obowiązkiem każdej gminy jest zadbać o własny spokój. Twierdzisz, że nie można pozwalać. by ktokolwiek ten spokój zakłócił. Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale któregoś razu powiedziałeś. że w tym kraju zagrożenie dla żydowskiej społeczności płynie nie z zewnątrz, lecz z wewnątrz. Dało mi to wiele do myślenia. Szczerze mówiąc, do dziś nie jestem pewien. czy dobrze zrozumiałem twoje słowa.

— Mój lud kocha ziemię. pragnie na niej osiąść i Zapuścić korzenie — powiedział rabbi Jakub po dłuższym milczeniu. — Ci. którzy myślą głupotę z odwagą, nie wiedzą nawet, do czego mogą doprowadzić. A przecież powinniśmy mieć nazwy ulic, które moglibyśmy zostawić w spadku naszym dzieciom...

— Mimo to martwi cię ten człowiek z Salonik. Prze. raził cię także cudzoziemiec, o którym mówi się w górnej części dzielnicy. Nie człowiek z krwi i kości, lecz już sama

pogłoska...

— Każdy z nich to zupełnie co innego — szepnął rabbi.

— Książka mówi własnym głosem. sama szuka sobie drogi, a jeśli nie znajdzie. ginie. Ta książka nie jest już własnością jedynie człowieka z Salonik. To znaczy... Chcę powiedzieć, że musimy dyskutować z dziełem, nie zaś z człowiekiem, który je napisał.

Wydmuchując powoli dym z nargile, Sedef Efendi ze smutkiem spojrzął w okno.

— Przyjacielu — odezwał się zduszonym głosem — obawiam się. że większe zaufanie pokładasz w książkach niż w ludziach.

STWÓR

On znikł, lecz ja nadal muszę nosić to przekleństwo.

TAYFUN PIRSEUMOGLU, Vol Masallar,

— To tylko sen — pomyślała. — To we śnie słyszę stukot młotów. Przygotowania do autodafe. Wszystko ucichnie, gdy otworzę oczy.

Nie miała odwagi, by spojrzeć w ciemność, nie pozostało jej więc nic innego, jak wtulić głowę w ramiona i z mocno zaciśniętymi oczami czekać. aż łomot ucichnie. Ale on nabierał na sile, uderzenia młotów odbijały się echem w jej głowie. Nic nie mogła na to poradzić. jedynym pocieszeniem było przekonanie, że wszystko, co zamieniało jej życie w koszmar, zostawiła daleko za sobą. Nie było się czego

bać. Już nie ubierała się, jak dawniej, w czerni od stóp do głów, nie chodziła z ponurą miną, nie narzekała na wszystko od rana do wieczora. Choć powoli, przyzwyczajała się już do widoku żywych kolorów na własnym ciele. a nawet zaczęła się uczyć czerpać przyjemność z życia. Skoro czas żałoby minął, prędzej czy później noc na powrót pogrąży się w ciszy. W takim razie dźwięki powinny ucichnąć, gdy tylko otworzy oczy.

Aby udowodnić sobie słuszność tego toku myślenia.

zebrała się w końcu na odwagę i nagle otworzyła oczy.

Chyba miała rację. Niepotrzebnie panikowała. W nocnym półmroku przyjrzała się uważnie białej jak mleko twarzyczce dziecka, śpiącego spokojnie tuż obok. Andres stał się jeszcze ładniejszy. Wielkie. czarne oczy, otoczone długimi, podwiniętymi rzęsami. miał po matce: nigdy nie wypowiedział jej imienia, ani razu nie zapytał, co się z nią stało.

Jego gęste. kręcone włosy jakby nie rosły. jakby wciąż były tej samej długości. lecz gdy chwycić je w garść i pociągnąć, okazywało się, że w rzeczywistości są dłuższe, niż na to wyglądają. Żał jej było obcinać loki chłopca. Taki był śliczny, taki niewinny, że czasami aż bala się go dotykać.

Co dziwne. w głębi duszy czuła, że ma wobec niego dług wdzięczności. To dzięki niemu odzyskała spokój, którego tak pragnęła. Odkąd pojawił się w jej domu, zasypiała.

gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. a rano budziła się szczęśliwa. Ulica Fortuny wydawała się jej piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Dom po przekątnej dawno już popadł w ruinę. Andres czasami patrzył na ów dom w za-

myśleniu. lecz nigdy nie zadawał żadnych pytań. Tylko raz, niecały tydzień po tym, jak zamieszkał u niej, zapytał. gdzie jest jego stryj.

— Zapomnij o nim! Zapomnij o wszystkim! — zawołała z gniewem Elena Rodriguez. — Zostawili cię i odeszli. więc zapomnij o nich!

Znowu usłyszała stukot. Teraz młoty waliły jeszcze szybciej. jakby chciały odbić sobie krótką chwilę ciszy. Być może zdołałaby jakoś przetrwać noc, nie reagując i jedynie

w myślach zmagając się z zagadką pochodzenia dziwnych dźwięków. ale bała się, że hałas może zbudzić chłopca.

W końcu nie wytrzymała, postanowiła wstać i sprawdzić, co się dzieje. W sąsiednim pokoju, potwornie chrapiąc, spał jej mąż. Odkąd pojawił się Andres, stali się sobie do reszty obcy. Mężczyzna traktował chłopca chłodno, ten też wyraźnie go nie lubił. Elena Rodriguez gotowa była pokazać mężowi drzwi, jeśli będzie trzeba, ponieważ jednak ten w żaden sposób nie okazywał sprzeciwu wobec obecności malca, nie czuła się zmuszona dokonać wyboru.

Odgłosy dobiegały z kuchni. Zapewne opanowały ją stada myszy oszalałych z głodu. Nie było innego wytłumaczenia. Nie mogło być, gdyż wizyty Diega się skończyły, kiedy do tego domu przybył Andres. Była pewna. że martwy chłopiec, ten niespokojny duszek. zaprzestał już swoich diabelskich igraszek. Wrócił tam, gdzie teraz przynależał. Poszedł do nieba, by zająć miejsce wśród aniołków. Nie było się już czego bać. Zarzuciła szal na ramiona i skierowała się do kuchni. Gdy tylko przekroczyła jej próg.

z przyzwyczajenia zapewne zerknęła na garnki, patelnie i chochle. Ale wszystko było z nimi w porządku. Andres spał w łóżeczku, Diego przebywał w niebie, a ulica Fortuny pogrążona była we śnie. Myszy najwyraźniej zdążyły uciec. Jeszcze raz omiotła spojrzeniem kuchnię i już miała wrócić do sypialni, gdy nagle go zobaczyła: stwora. o którym tyle słyszała. lecz nigdy go nie spotkała. Widziała jego sługi. oznaki jego obecności, ale nie była w stanie sobie wyobrazić, jak on sam wygląda...

Oto przyszedł. Wreszcie się pojawił. Tyle znaków go zapowiadało, tylu postaciów wysłał. a teraz stał przed nią we własnej osobie.

Zwisiał głową w dół z sufitu wśród warkoczy czosnku, kołysał się i wpatrywał w kobietę. Przypominał człowieka, lecz nim nie był. Przypominał zwierzę, lecz nim nie był. Na jego twarzy malował się wyraz tak łagodny, tak dziecięco niewinny, jakby zamierzał przeprosić. że zjawił się tu w środku nocy z takim łoskotem. Nucił pod nosem piosenkę, której słów nie dało się zrozumieć. i w jej takt nieustannie się kołysał. dłuższej chwili zniechęca przerwał śpiew i nieśmiało się uśmiechnął. Zęby miał białe i drobne niczym perły. Przez chwilę wisiał jeszcze, jakby nie wiedział, co ma robić, po czym fiknął w powietrzu kilka koziołków i zeskoczył na podłogę. Znów się uśmiechnął. Dopiero teraz Elena Rodriguez zauważyła, jak długą miał szyję. Długą i cienką. cienusieńką. Szyja stawała się coraz cieńsza i coraz dłuższa. Ramiona stwora okrywała jaskrawoczerwona peleryna. pod nią widać było smolście czarny

strój. Był cieniutki. długi. czerwoniutki. czarniusieńki, jakby chciał dobitnie pokazać, że nie da się opisać żadnymi przymiotnikami.

Elena Rodriguez przycisnęła dłonie do gorsu. Splotła długie, wąskie palce, by w razie czego móc pochwycić serce, bijące jak oszalałe. Jeśli chciałoby wyrwać się z piersi Ręce, zajęte pilnowaniem serca, nie mogły nakreślić znaku krzyża, a wyschnięte, zlepione wargi — zmówić pacierza. Zamknęła więc tylko oczy i czekała w bezruchu. Gdy tak stała, przez nieboskłon przebiegło wiele spadających gwiazd, chłopiec na górze wyszeptał coś przez sen, ulica Fortuny uścisnęła się ze swoim imieniem, a ona z całej siły objęła i przytuliła życie. W końcu, nie mogąc dłużej opierać się ciekawości, kobieta podniosła powieki i spojrzała na stwora. On też wytrzeszczając oczy, przyglądał się jej

z figlarną miną. Tego było już za wiele! Skoczyła i złapała za chochlę. Wymachiwała nią na wszystkie strony, stwór jednak zwinnie uchylał się przed ciosami i nie przestawał się przy tym uśmiechać. Elena Rodriguez była bliska szaleństwa. Przestała wymachiwać chochlą; rzucała teraz w stwora wszystkim, co tylko wpadło jej w ręce. Rumor był nieopisany. Gdy została jej pod ręką ostatnia patelnia, stwór jednym susem doskoczył do niej, dyszącej ciężko jak miech, i złapał ją za nadgarstek.

Przysunął twarz do jej twarzy. Jego oddech pachniał trawą. A raczej chwastami, które wozy dostarczające do Madrytu żywność i wino w beczkach czasem jedynie wgniatały w ziemię, a czasem wyrwały z korzeniami i na

skrzypiących kołach niepostrzeżenie zanosiły aż do miasta.

Elena Rodriguez w oszołomieniu wdychała znajomą woń.

Później zerwał się wiatr. Przyniósł woń małych, paskudnych owadów żywiących się chwastami i zmieszał z Zapachem stwora. Zaraz potem zaczął padać deszcz. Krótki, lecz dość intensywny, zmoczył wszystko. Gdy ustał, rozszedł się silny aromat wilgotnej ziemi. Elenie Rodriguez kręciło się od niego w głowie. mliło ją. niemal straciła przytomność. Zupełnie opadła z sił. Nagle spostrzegła, że z ziemi wychynęły dżdżownice i zaczęły wspinać się po jej stopach. Z przerażeniem pomyślała, że zaraz wślizgną się między jej nogi i będą wić się w jej brzuchu, ale nawet nie drgnęła. Nie mogła uciec.

Wyschły kałuże, które pozostały po deszczu.

Ucichł wiatr:

Nagle dżdżownice zaczęły ginąć jedna po drugiej.

Gdy żar prażył ziemię.

Oprzytomniała na dźwięk rozdieranej tkaniny. Z przerażeniem obmacała ciało — koszula nocna była nienaruszona. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na stwora — na jego czarnym stroju też nie dostrzegła nawet śladu najmniejszego rozdarcia. Wtedy zrozumiała, że ten trzask wydały — gwałtownie rozdzielone — jej własne wargi. Chwilę przedtem, uparcie zaciśnięte, nie przepuściły ani modlitwy, ani błagania o pomoc. teraz jednak niespodziewanie się rozchyliły. Krew z rozdartej skóry trysnęła na zęby. — To jedyna niewinna istota w tym mieście! Nie odbierzesz mi go! — krzyknęła i pobiegła do drzwi.

Już miała postawić stopę Za progiem. gdy ogon stwora
niczym bicz owinał się wokół jej pasa. Znieruchomiła.
Przypominał ogon szczura: cienki, łysy i śliski. Niemal
czarny. bez przerwy się poruszał. niczym głodne zwierzę
próbujące wyczuć pokarm. Chrogotał przy tym jak pluskwa.
która wlaża do szafy z zapasami. To on całymi godzinami
wydawał owe nie kończące się. nieprzyjemne stuki. Wy-
dawało się. że coś opowiada — krwawą i łzawą historię
miłosną. żywcem wziętą z pamięci wieśniaków Nim skoń-
czył mówić, ogon podzielił się na dwie części. jak rozcięty
wzdłuż niewidzialnym sztyletem. Z nacięcia wysunął się
inny ogon, mniejszy. różowawy. Wijąc się. zrzucił z siebie
resztki starej skóry. Zaczął dalej snuć opowieść od miejsca.
w którym jego czarny poprzednik ją przerwał. Zaczął od
środka, ale pozmieniał wszystko. Zgadzał się. że ta histo-
ria. podkradziona wieśniakom. jest łzawa, twierdził jed-
nak. że za to w żadnym wersie nie spotka się śladu krwi.
Elena Rodriguez wpatrywała się w niego. zeszywniała ze
strachu. starając się znaleźć w jego słowach jakiś sens, Po
chwili ogon. który nie miał już nic więcej do powiedzenia,
rozszczerzył się pośrodku na dwie części, i w ten sposób
pojawił się ogon trzeci. Był fioletowoczarny, jak paznokieć,
pod którym zebrała się krew. Ponieważ nie miał absolutnie
nic wspólnego z wieśniakami, nie uznał za stosowne kon-
tynuować opowieści swych poprzedników.
Gdy Elena Rodriguez, próbując się ratować, cofnęła się
nieco. spostrzegła. że ogon porusza się wraz z nią. Stwór
w bezruchu obserwował zmagania kobiety i ogona. Z wy-

razu jego twarzy można było łatwo wyczytać, że jest wielce zadowolony. Kobieta podjęła ostatnią próbę uwolnienia się od napastnika. Odwróciła się i resztką sił wbiła weń paznokcie. Czerń i fiolet rozdzieliły się, trysnęła krew. Ogonek był malutki niczym malusieńkie zadrapanie. Wciąż krwawił.

W mroku nocy! pośrodku lasu zatracił się w tańcu / wokół wielkiego ogniska / w nasyceniu nieistnieniem / upojony / odrzuciwszy wszystko. co znał / niczym szaman! tańczył z własnym cieniem! lekceważąc Czas ułożył płomień w krąg! otoczył nim kobietę. Wirował bez końca. Dopadł i ukąsił. Wbił się i wysunął. Opadł i się podniósł. Krzyknął i wytrysnął. Pozostawił ślad jak po ukłuciu kolcem róży. Z ranki spływała ciepła, pienista ciecz. Elena Rodriguez nie była w stanie powstrzymać wymiotów. Zmusiwszy w końcu do posłuszeństwa rozdygotane nogi, wróciła do sypialni. Obmacała ciało, by przekonać się, czy nadal żyje. Poczła cierpki zapach dochodzący spomiędzy ud. Był znajomy. Wdychając go, poczuła gniew na wozy z zaopatrzeniem przyjeżdżające do Madrytu. Przez chwilę z zachwytem wpatrywała się w twarzyczkę śpiącego Andresa. Przyglądała się jej uważnie, jakby spodziewała

311

się ujrzeć na niej wyjaśnienie tego, co się stało. Chłopiec mówił coś przez sen. jego słów nie dało się jednak zrozumieć. jakby mówił w obcym języku: brzmiało to jak imię kogoś, kogo nie znała albo jeszcze nie znała. Dłońmi, które

pachniały chwastami. Elena Rodriguez chwyciła chłopca pod brodę. Z mamrotanych przez niego dźwięków zdołała wychwycić tylko jeden. Uniosła literę, otarła ze śliny. Polyskujące Z. Nie pojmowała. co może oznaczać to błyszczące Z. które wypadło z ust śpiącego chłopca.

Od tamtej nocy minęło siedem miesięcy i siedem dni. Przez siedem miesięcy i siedem dni Elena Rodriguez kneblowała usta swej pamięci. Uznała. że przyśnił jej się zły sen: zamiast szukać czegoś. co przyniosłoby jej ukojenie, wołała po prostu o nim zapomnieć. I choć komuś takiemu jak ona. kto kiedyś nieustannie mówił o przeszłości. przychodziło to z wielkim trudem. milczała. Ale po siedmiu miesiącach i siedmiu dniach jej brzuch nagle spuchł. Gdy wstała rano. wyglądał jak mały. okrągły bukłak. Odbiło się jej kilkakrotnie raz po raz. Po południu brzuch przypominał wielką. miękką poduszkę. Czknęła kilka razy. Pod wieczór zamiast brzucha miała przed sobą beczkę. pełną po brzegi. Kilka razy wymiotowała. O zachodzie słońca wielki ciężar nie pozwalał jej już zrobić kroku. Zawołała męża Powiedziała mu. że nosi w łonie dziecko szatana. Mężczyzna z wielką powagą wysłuchał jej słów. Pogłodził po włosach żonę. którą uważał za chorą na umyśle. powłócząc nogami, poszedł do kuchni. gdzie uciął. a potem zjadł spory kawałek kiełbasy, wypił kilka kielichów wina. przetań do połysku koraliki z ciastek chrup-chrup. po czym opuścił dom.

P

Elena Rodriguez została sama z Andresem i stale powiększającym się brzuchem. Nagle zauważyła, że nie tylko

w domu, ale na całej ulicy Fortuny czuć mocną woń czekolady. Żołądek podszedł jej do gardła, ale tym razem ani nie beknęła, ani nie czknęła, ani nie zwymiotowała. Podpierając się laską i ciężko dysząc, ruszyła w drogę. Ledwo szła, bo brzuch wciąż rósł. Przy każdym powiewie wiatru kołysała się na boki, ale nie przewracała się, nie padała na ziemię. Stała się olbrzymią wańką-wstańką.

— Pomóżcie mi! Noszę w łonie pomiot szatana! — zawołała cała we łzach, przekraczając w końcu próg Casa Santa.

Wróciła po dwóch tygodniach. Brzuch miała zupełnie płaski. Woda, która z niego spłynęła, wypełniła aż siedem wiader. Jej kolor był nieco dziwny, ciemnozielony, mętny. Od razu po przyjsciu do domu Elena Rodriguez położyła się do łóżka, naciągając kołdrę aż na głowę. Wystawały jedynie sute falbany jej nocnej koszuli. Andres dostrzegł na nich wielką plamę, ukrytą wśród fałd materiału. W pierwszych dniach tylko się jej przyglądał. W końcu nie wytrzymał i dotknął. W tym momencie ciepła, mętna ciecz, zwana strachem, splamiła jego dłonie. Szorował palce z całej siły, ale ciemnozielona plama widać upodobała je sobie, bo nijak nie chciała zejść.

ĆMA

Jestem ćmą. Czekają na mnie płomienie
wszystkich, zapalonych i nie zapalonych, świec.

YAKUP KADRI KARAOSMANOGLU, Bor Serencam

Najpierw zaczął mu drzeć palec wskazujący. ten, który od-

poczywał, zatrzymawszy się na jednej z wielu sylab listu. Stopniowo drzenie obejmowało dłonie, ramiona, kolana i nogi, aż w końcu rozlało się po całym ciele. Dygotał jak nieszczęśnik, który mroźnej zimy wpadł do wody, gdy załamał się pod nim lód. Próbował uchwycić się jakiejś gałęzi; woda była lodowata, szczękał zębami. Stukot uderzających o siebie zębów był tak potworny, że lód dookoła zaczął trzaskać i pękać, aż rozprysł się z hukiem na kawałki. Gdzie okiem sięgnąć, widać było kry, topniejące kropla po kropli. Oblewały go zimne poty. Tak jak wcześniej nie znalazł gałęzi, której mógłby się uchwycić, tak teraz nie mógł dostrzec choćby skrawka lądu. List, ten list, wpadł do wody. Atrament powoli się rozpuszczał, rzucając na tafle niebieskie kręgi niczym cienie. List nie tonął: uparcie, na przekór utrzymywał się na powierzchni. Z czasem atrament zupełnie się rozpułynał a słowa porzuciły list papier szybko powędrował na dno słowa zaś, sylaby i litery unosiły się na powierzchni wody. Ostatkiem sił próbował złapać się jakiegoś słowa, lecz rozpadło się na litery i w ręku została mu tylko jedna, jedno jedyne M. Po chwili atrament tego M też się rozpułynał i litera zniknęła bez śladu. Wtedy zrozumiał. Paroksyzm, który w dzieciństwie nawiedzał jego ciało, powrócił. W dodatku jeszcze silniejszy, gorszy od poprzednich. Gdy zamknął oczy, widział kształty i kolory podlegające nieustannym zmianom, przechodzące jedne w drugie. Kształty się poruszały, wydawało się, że wyprawianie kolorów w pole sprawia im przyjemność. Czy oczy miał otwarte, czy zamknięte, stale je widział.

Atak powrócił. był na czubku palca i wciąż się rozszerzał. Stawał się coraz cięższy i zaczynał zwisać.

Kropla na czubku palca wskazującego z głośnym pluskiem wpadła do nieustannie falującego morza barw i kształtów i wzbudziła na jego powierzchni koncentryczne kręgi. W miejscu, w którym jej dotknęła, rozbłysła iskra.

I oto znów rozpoczęła się odwieczna walka ognia z wodą.

Na równinie ciała starły się ze sobą, zbrojne w ostre miecze. krople i ciężko opancerzone płamienie. Konie, rozdętymi chrapami wietrzące nadchodzącą śmierć. ruszyły na siebie.

nim wydały ostatnie tchnienie. Ogień rozgrzał ziemię.

woda ją zwilżyła. Z ziaren rzuconych przez konie wykiełkowały połamane kości i spalone zwłoki. jakże urodzajne było pole walki! Ile łyków można upić. nim wypije się całe morze, ile gwiazd zakwita na nieboskłonie każdej nocy, ile płatków śniegu porywa lawina schodząca ze szczytu, tyle bólu i udręki przynosi.

Gdy bitwa dobiegła końca, przekrwionymi oczami spojrzął na jeńców obu stron. Padłszy na kolana. zawołał:

— Kim jestem?!

Ilu ludzi. których nie znam. żyje we mnie?

Mama ze zmarszczonym czołem wpatrywała się gdzieś w dal. Ojciec słowo po słowie wyjaśniał. Gon-ver-so! W ten sposób dowiedział się nie tego, kim jest, lecz kim nie jest.

Ataki nie ustały, stały się jedynie rzadsze.

Zaciskając małe piąstki. Antonio trzymał się za głowę i słuchał z niepokojem. Stroszył brwi tak jak ojciec. starał się upodobnić do niego pod każdym względem. Posłuszny

syn, jedyny następca. Ojciec z aptekarską dokładnością
wazył słowa: to za ciężkie. tego dziecko nie zrozumie:
przebierał je starannie. Troskliwy ojciec. zręczny lekarz.
Matka spoglądała na drugą stronę muru: w nadziei, że bę-
dzie mogła wrócić do raj. z którego ją wypędzono, szukała
w nim jakiejś szczeliny, jakiegoś pęknięcia. Czuła matka.
ciepła macica. Wszyscy troje byli nieprawdziwi, wszyscy
troje byli oszustwem. Prawda musiała być gdzieś tu. gdzieś
blisko. Zerwał się z miejsca i przyłożył ucho do obrzmiałe-
go. napiętego brzucha kobiety, to było prawdą. Szaleństwo
ukryte w spokoju. Rozdzierające krzyki wydawała z siebie
Laura. rozpaczliwie wierzyła. Miguel chwycił niewidzialny
sztylet i próbował rozciąć brzuch matki. wyciąć okno w jej
pępku. Nie po to. by światło wpadło do środka. lecz by to
wewnętrzne wydostało się na zewnątrz. By nie narodzone
jeszcze dziecko przestało krzyczeć i się szamotać. Palce za-
cisnęły się kurczowo. paznokcie wbiły w ciało; niełatwo by-
ło je oderwać od miejsca. którego się uczepiło. i wyciągnąć.
Ataki się nie skończyły. stały się jedynie rzadsze.
Znów się zaczęło. Odkąd pamiętał. każdy atak był
gorszy od poprzedniego, lecz ten był straszny, okrut-
niejszy od wszystkich innych. czuł ból. który wgryzał się
W żołądek, rozdzierał pazurami gardło. rozszarpał serce.
Ból był wszędzie. W palcach stóp. w dłoniach. w nadgarst-
kach. w wypełnionych szumem uszach, w zatykających
się żyłach. Bolały go nawet rzęsy. „Jeśli wpadłem do lodo-
watej wody, powinienem być zamarznąć”, pomyślał. „Jeśli
zamarzłem, powinienem stracić czucie. jeśli straciłem

czucie, nie powinienem odczuwać bólu". Przez moment poczuł ulgę. Wody opadały powoli: na powrót łączyły się rozproszone litery, sylaby i słowa. Wciąż trzymał w ręku list. Papier był zakrwawiony. Zaskoczony, spojrzął na głębokie nacięcie wewnątrz prawej dłoni. Kiedy się tak zranił, kto go zranił? Nic nie pamiętał. Ale co tam, ciało przestało dygotać, już nie szczękał zębami. Atak się skończył.

Wkrótce po przyjeździe do Stambułu dowiedział się, że brat przebywa w Wenecji i wydał nową książkę. Z radością dziecka, które odnalazło zgubioną zabawkę, zaraz do niego napisał. Opowiedział mu obszernie o tym ludnym mieście, jego mieszkańcach, ulicach i zapachach. Pisał, jakby nie mógł się zatrzymać, list okazał się więc o wiele dłuższy, niż zamierzał. W następnych dniach, tygodniach i miesiącach wyczekiwał odpowiedzi. W końcu nadszedł list od Antonia, podpisany nowym imieniem. Abraham Pereira obwinił brata o to, co się stało, i wyrażał zdziwienie, że ten ma czelność pisać do niego, jakby nic się nie stało. List Antonia milczał, a jego milczenie przerywało jedno tylko zdanie:

Z twojego listu. młodszy bracie. spływa krew ta sama.

która splamiła palce Kaina!

Czytał je po wielokroć. Może miał nadzieję, że odkryje ukryte gdzieś głęboko znaczenie, dlatego czytał je od początku do końca i od końca do początku, raz po raz, wciąż od nowa. Lecz nic się nie zmieniło. Ta jedna linijka wyjaśniała wszystko. Spojrzął na swoje dłonie. Tak, spływała z nich krew, ale jego własna. To jego dusza cierpiąca, zraniona. List wyciągnął się obok jak długi i patrzył na niego. Gdzieś na

marginesie widniało słowo „krew”. a może Miguelowi tylko tak się wydawało. Przetarł oczy, zaczerwienione od płaczu, i wytarł nos. Zaczął pisać list, krótki jak ten, który otrzymał, odpowiedź obelgą na obelgę. Przypomniał sobie sen, który kiedyś mu się przyśnił. i to. co w nim powiedział: „To już przesada! Są ludzie, których lubię, i tacy, których nie lubię, oraz oczywiście jeszcze ci. których najchętniej od razu utopiłbym w łyżce wody”.

Skreślił tylko trzy zdania. Trzy zdania wyrył głęboko w sercu.

Gdy zachodzi słońce. przypominam sobie to. co powiedziałeś tamtego wieczoru. przed laty. i wiesz — przyznaję ci rację. Tak jak zauważyłeś. Andres jest podobny do mnie, toczka w toczkę. Twoje stwierdzenie było słuszne, my zaś postąpiliśmy właściwie. milcząc.

Gdy czytał to, co napisał. okrutny uśmiech pojawił się na jego twarzy. To sprawi ból większy niż pchnięcie nożem. niż cios mieczem. Wiedział o tym. Chciał zadać ból. Sam cierpiał i cierpieniem chciał ukoić cierpienie.

Teraz wystarczyło powierzyć list komuś. kto udaje się statkiem do Wenecji. i z braku odpowiedzi odczytać udrękę brata. Ubrał się szybko i wybiegł z domu.

— Nic nie rozumiem — oświadczył zrezygowany.

Odłożył książki, których od rana nie wypuszczał z rąk.

i głęboko westchnął.

— Czego nie rozumiesz?

— Boga. Dlaczego przemawia w liczbie mnogiej. To znaczy... Dlaczego gdy mówi o stworzeniu człowieka, wy-

powiada się w liczbie mnogiej?

— To ważne pytanie — odpowiedział rabbi Jakub.

— Wielu uczonych zastanawiało się nad tym zagadnieniem, wiele dzieł na ten temat powstało. Na przykład według Nahmanidesa* użycie przez Boga liczby mnogiej ma oznaczać, że wzywa On wszystko, co stworzył, do udziału w stworzeniu człowieka. Wszak ludzkie ciało powstało z prochu ziemi, a jego dusza z niebios. To ona właśnie daje człowiekowi wiedzę i doskonałość i odróżnia go w ten sposób od pozostałych stworzeń. Zdaniem Nahmanidesa Bóg mówi „my”, gdyż zaprasza wszystko do tworzenia istoty tak pięknej, jak człowiek.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Przyglądał się starcowi z uwagą.

— A ty, mój nauczycielu? jak odpowiedziałbyś na to pytanie?

— Odpowiedź na skomplikowane pytania bywa czasem bardzo prosta. To, co jest najdalej, okazuje się najbliższe — odparł rabbi. — Być może Bóg mówi „my”, gdyż...

— zamilkł i zamknął oczy, by wargi nie dokończyły tego, co zostało przerwane w połowie. Ale słowa, zebrane na końcu upartego języka, najpierw wysunęły głowy przez oczka sieci, a po chwili powoli wyparowały z rozgrzanego ciała:

— ...gdyż on też ceni samotność.

* Mojżesz ben Nahman (1194-1270) — znany pod akronimem kam-bary żydowski uczonec, lilowi, lekarz, badacz Talmudu, komentator Pisma świętego (przyp. tłum.).

Wtedy właśnie Miguel Pereira, noszący teraz nowe

imię Izaak, spostrzegł, jak bardzo samotny jest rabbi Jakub.

„No. właśnie! — pomyślał. — Ja jestem synem bez ojca, a on ojcem bez syna. Jakie to dziwne, że odnaleźliśmy się właśnie tu, w Mieście Luster”.

Wstał i przeciągnął się leniwie. Postanowił, że dopóki rabbi Jakub nie znajdzie dla niego właściwej drogi, zostanie z nim przez jakiś czas. Gdy się przeciągał, jego wzrok padł na palec wskazujący, który wydawał się wszystko wiedzieć. Nie zamienił z nim jednak ani słowa.

LITERY

PRZEŚMIEWCY

Człowiek, który w dzieciństwie był świadkiem takich rzeczy, musi być już naznaczony nimi do końca życia.

UMBERTO ECO. Wyspa dnia poprzedniego

(Tłum. A. Szymanowski)

Gdy leżała na wznak na łóżku, przez okrągłe okienko w suficie mogła obserwować gwiazdy. Lubiła je. były małe i błyszczące, małe i oszołomione. Robiąc to okienko, ojciec opowiedział jej pewną historię, historię poety prześmiewcy. Gwiazdy były ponoć literami należącymi do pewnego mistrza satyry, którego imię dziś już było zupełnie zapomniane. niegdyś jednak cieszył się on wielką sławą. Tworzył z liter sylaby, słowa i zdania, by zapisać to, co widział. i ujrzyć to, co napisał. Piętnując ohydę, nie obrzucał

jej błotem, wbrew ciętemu językowi w jego sercu, czułym i łagodnym, nie było miejsca na grubiaństwo. Mądrym człowiekiem był mistrz: na tyle mądrym, by wiedzieć, że miecz nie przecina własnej pochwy. Samotnym człowiekiem był mistrz: na tyle samotnym, by nie znajdować ukojenia dla serca, które nigdy nie wypowiedziało słowa skargi. I kompletnym wariatem był mistrz; na tyle szalonym. by zarobione złoto rozdawać rybom, ptakom, dzieciom i deszczom.

421

A jeśli chodzi o litery, radośnie i ochoczo uczestniczyły one w poczynaniach poety, który niczym sztukmistrz zamieniał nicość w byt, chaos w porządek. Kochały go tak bardzo, że w niektóre noce, gdy spał, zamieniały się miejscami, by w miarę możliwości pomagać mu znaleźć jeszcze głębsze znaczenia.

Mijały lata. Upływ czasu nie tylko nie przygasił gorących uczuć łączących mistrza satyry z jego literami, lecz jeszcze je podsycał. Niestety, wielu ubogich duchem i rozumem, urażonych jego ostrym językiem. szukało okazji, by się na nim zemścić. jeden z nich był szczególnie zawzięty. Człowiek ten, zwany Mehmetem Połączanym Orzechem, uwielbiał wystawne życie. W pałacowych intrygach sprytnie wykorzystywał jednych przeciw drugim. dzięki czemu szybko napełnił kiesę i wspiął się wysoko po szczeblach kariery. Jednak w żaden sposób nie umiał się obronić przed ostrym jak żądło językiem mistrza satyry. Szczególnie bo-

leśnie Mehmet Poźlacany Orzech nadział się na owo żądło po tym, jak się ożenił. Kiedy miał na karku sześćdziesiątą szóstą już wiosnę życia, upodobał sobie młodziutką dziewczynę. niemal dziecko. i zamąciwszy jej w głowie, pojął ją za żonę. Poeta, który nie miał w zwyczaju powściągać języka. i tym razem powiedział to. co myśli. i použíwał sobie na podstarzałym żonkosiu okrutnie. Gdy wydrwiony Mehmet Poźlacany Orzech dostał się na języki. do reszty znieawidził swojego prześmiewcę. Pewnego dnia żądza zemsty tak w nim wezbrała. że poskarżył się sułtanowi; zarzucił przy tym poecie. że wszystko. co ten do tej pory napisał. zaczerpnął od innych. By zbadać dokładnie zasadność oskarżeń. władca wezwał mistrza do siebie! i rozkazał mu w ciągu jednej nocy napisać czterysta czterdzieści czte-

ry wersy. Nie omieszkał przy tym dodać, że jeśli poeta nie upora się z tym zadaniem do rana, straci głowę.

Wróciwszy do domu, mistrz satyry napełnił fajkę haszyszem i zapłakał. „Ile trzeba żyć, by dość się nażyć?”, pytał samego siebie. Nie znajdował odpowiedzi. Widząc, że mistrzowi płaczą się ręce i nogi i nie jest w stanie skreślić jednego słowa, a co dopiero czterystu czterdziestu czterech wersów, litery całą noc pracowały jak mrówki, aż wypełniły zadanie. Rano, po przebudzeniu, mistrz satyry już miał namalować sobie czerwoną kredką pętlę na szyi, gdy ze zdziwieniem spostrzegł, że czterysta czterdzieści cztery wersy leżą przed nim na stole. Płacząc i śmiejąc się jednocześnie, podziękował wiernym przyjaciółkom. Potem pobiegł do pałacu i wręczył padyszachowi owe czterysta

czterdzieści cztery wersy. Zaskoczony władca rozkazał wypłacić mistrzowi czterysta czterdzieści cztery sztuki złota. [Rozgoryczonemu i rozzłoszczonemu takim obrotem sprawy Mehmetowi Połączanemu Orzechowi nie pozostało nic innego. jak tylko podkulić ogon pod siebie i przez pewien czas nie pokazywać się na dworze. Jednak niedługo po tym zdarzeniu znów zaczął szeptać padyszachowi na ucho. że złotem, którym władca tak hojnie go obdarzył, mistrz satyry podzielił się z rybami. ptakami. dziećmi i deszczami. za to, CO mu zostało, nakupił całe dzbany wina i pił na umór wiele dni i nocy. Władca ponownie wezwał poetę do siebie.

— Jeśliś ty to napisał. będziesz pamiętał. Jeśli pamiętasz, napiszesz to samo raz jeszcze — oświadczył i rozkazał mu ponownie napisać słowo w słowo te same czterysta czterdzieści cztery wersy. Tym razem nie uznał już za konieczne dodać, że w przeciwnym razie poeta straci głowę.

Po powrocie do domu mistrz satyry nabił fajkę opium po brzegi i zaczął się śmiać: „Ile trzeba żyć, by dość się nażyć?”, pytał samego siebie. Nie znajdował odpowiedzi. Aby mu pomóc. litery próbowały przypomnieć sobie miejsca, które wcześniej zajmowały. Ale choć usilnie się starały, ani rusz nie umiały ułożyć się tak samo jak tamtej nocy. Powstały zupełnie inne czterysta czterdzieści cztery wersy: litery nie zdołały odtworzyć tych samych. Ku ich zdziwieniu napisanie czegoś innego okazało się znacznie łatwiejsze niż napisanie jeszcze raz tego samego.

Bezgłowe ciało wrzucono w wody Bosforu. Dom wy-

dano na pastwę płomieni. Osieroczone litery, zajęte ogniem, wzniosły się ku niebu w postaci iskier. Niegdyś pragnęły stać się całością pełną znaczenia, teraz zamieniły się w pojedyncze gwiazdy i rzucone w ciemność rozsypały się po nieboskłonie, by już nigdy nie zająć miejsca jedna obok drugiej.

Gwiazdy nie straciły nadziei, że odnajdą swoje towarzyski. dlatego wciąż były takie oszołomione. niepewne. Szukały. Nadal szukały znaczenia. które mogłoby uratować życie sławnemu mistrzowi satyry Na przekór tym. którzy starali się wyznaczyć kierunek ruchu kręgu. były szczerze przekonane. że w czasie można się posuwać zarówno do przodu, jak i do tyłu. Dlatego wciąż nerwowo, niespokojnie krążyły w mroku nocy. Wytężając pamięć. obwąchiwały się nawzajem, usiłując wpaść na trop tych. które niegdyś były ich sąsiadkami w szeregu.

Gdy leżała na wznak na łóżku. przez okrągłe okienko w suficie mogła obserwować gwiazdy. W niektóre noce chciała im pomóc, wysuwała rękę przez okienko i próbowa-

ła ożywić czterysta czterdzieści cztery wersy. Wówczas do rana odpędzała od siebie sen. Gwiazdy godziły się na tę grę. Nie ociągając się, szły tam, dokąd je prowadziła, rozglądały się na prawo i lewo, badały teren i modliły się, by tym razem wszystko poszło, jak trzeba. Bywało, że niektórym udawało się zebrać na powrót w całość kilka dawnych wersów, lecz jutrzienka szybko rozpraszała tych parę linijek. Wraz ze światłem dnia ułożone z takim trudem słowa znikają. Ogarniał ją wtedy smutek i postanawiała sobie, że nigdy

więcej nie będzie się już bawić gwiazdami. jednak którejś nocy nie wytrzymała, znów przez okienko wysuwała rękę w ciemność i w pocie czoła składała wyrazy, dopóki świt nie zniweczył jej trudów. Z czasem, by nie powtarzać tych samych błędów i nie dać się pokonać porannej zorzy, zaczęła wzywać na pomoc cyfry. Numerowała gwiazdy, obliczała, jakim liczbom odpowiadają słowa, które udało się złożyć i umieścić na miejscu, spisywała uzyskane wyniki. Przypadkiem obok siebie cyfry się znalazły...

Skoro wszyscy o tym wiedzieli, po co tyle zabiegów, skąd ta tajemniczość?

Tej nocy sierp księżyca kaprysił jak dziecko, któremu wyrzynają się ząbki. Obrzmiałe, zaczerwienione dziąsła pocierał wszystkim. co mu wpadło w ręce. Ogryzał noc. nieświadom, że wraz z jej ubywaniem ubywa także jego samego.

Usiadła na łóżku. Wsluchiwała się w odgłosy płynące w noc z lekka. Derwisze spali. Pogrążeni we śnie byli ojciec. siostra i Ziṣ8l). A także bezdomni nędzarze na cmentarzu i drzewa, nie zrzucające liści ani zimą, ani latem. I sala zgromadzeń, i cele derwiszy. 'tylko ona i półksiężyc nie spali.

425

W księżycowym świetle brzydka istota usiadła na łóżku. Różowe plamy na pozbawionej włosów głowie przypominały nie ukończony obraz, mapę, która zapomniała. co przedstawia. Tylko nad czołem sterczała ruda kępka. Kosmyki opadały na czoło. a gdy dmuchnęła ku górze, unosiły

się na moment, by zaraz powrócić do poprzedniej pozycji.

Lubiła tak robić. Całymi dniami i nocami bawiła się w ten sposób.

Nazywała się Zrílfe. Niewidzialna linia dzieliła jej twarz na dwie części. Po jednej stronie skóra była pofałdowana, ciemnoczerwona. niemal czarna. gruba. szorstka i spękana. Po drugiej — biała. miękka i gładka. Z daleka jej oblicze przypominało maskę. pomalowaną na białą i czerwono. Powieka po czerwonej stronie zwisała, niemal zupełnie zakrywając oko. Otaczały je krótkie. rzadkie rzęsy — wszystkie. co do jednej. skierowane w dół. Oko na białej części twarzy było duże i błyszczące, źrenica miała żółtą obwódkę. a długie, gęste. czarne rzęsy wywijały się ku górze. Była brzydka, lecz nie miała co do tego pewności.

Zarówno litery mistrza satyry. jak i ojciec patrzyli na nią z taką miłością. że czasami. gdy spoglądała w podsuwane przez nich lustro. czuła się wręcz piękna. Zwierciadło. które podsuwała jej pamięć.. pokazywało zupełnie inną postać. W noc, gdy księżyc w pełni nie zasłaniał jej okienka. gdy nie zajmowała się układaniem gwiazd. gdy nie marudził sierp księżyca. powracały strzępy wspomnień. Przed jej oczyma zaczynały tańczyć zamglone obrazy. po czym stopniowo rozmywały się i znikały.

Pamiętała kobietę. Młodą kobietę śpiewającą piosenki. która — gdy się zdenerwowała — garściami wrywała jej

włosy z głowy, a kiedy się uspokoiła — obsypywała pocałunkami tyse, zaczerwienione, zakrwawione miejsca.

Pamiętała ogród. Zielony ogród pełen owocowych

drzew. Rozpalane w nim ognisko, czerwone wstążki zawią-
zywane na krzakach róż, wzbijające się w powietrze kłaczki
watt gdy wałek do ciasta* opadał raz po raz. I wiecznie
wrzące kotły z bielizną.

Pamiętała gąsienicę. Wijąc się. wychynęła spośród liści
i wspięła się po jej dłoni, malutka, jaskrawozielona, gadat-
tliwa gąsienica. Pamiętała jej słowa:

Czy wiesz, co oznacza twoje imię**, dziewczynko? Lu-
bisz je?

Pamiętała swoją twarz. Twarz, która nagle podzieliła
się na dwie części.

I z całą mocą odczuwała, jak to jest stać się dwoma. gdy
się było) jednością. a gdy się było dwoma, stać się zerem.

W świetle księżycy dwukolorowa maska, dziwne. sa-
motne stworzenie. kobieta-dziecko bawiła się opadającymi
na czoło kosmykami włosów. Na imię miała ZUlfe. Choć
zdawała sobie sprawę, że jest brzydka, to od dnia, w którym
się dowiedziała, że rozbite w lustrach odpowiedzi przyno-
szą nieszczęście, nie była już pewna ani swej brzydoty, ani
tego. czym w ogóle brzydota jest.

* Wałka do ciasta. mającego formę cienkiego kijka. używało się także
jako trzepaczki (przyp. tłum.).

es Ztnę — (osm.) loczek: inne znaczenie pienna część nart/ (przyp. tłum.)

PLAMA

Nie daj się zwieść nieruchomości powietrza.

Morze śpi, śpi, aż nagle się budzi.

NAZIM HIKMET

Pociągnął jeszcze jeden łyk. mlasnął z zadowoleniem

i wtedy jego wzrok padł na odstawione na bok i patrzące nań z wyrzutem wino z lesbos. Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Wiedział, że pominięte przez niego. poczuło się urażone, lecz dziś w wyborze trunku posłuchał głosów podniebienia i wnętrzości. od dawna stęsknionych za smakiem muszkatu. Gdy koło południa dostarczono to wino od Chaima szynkarza, nie posiadał się z radości. By móc dłużej rozkoszować się smakiem pierwszych łyków, trzymał je w ustach i przechylał głowę na boki, pozwalając trunkowi obmyć język i policzki; udawał przy tym. że nie słyszy wrzasków i przekleństw zniecierpliwionego żołądka. czuł, jak żółtawy muszkat spływa w końcu w głąb przełyku, pozostawiając po sobie smak słodki i cierpki jednocześnie. i po raz kolejny utwierdzał się w przekonaniu, że świat jest piękny.

Znalezienie wina tego gatunku wcale nie było trudne. Za odpowiednie pieniądze zarówno w greckich. jak

i w żydowskich winiarniach można było dostać wszelkiego rodzaju trunki. Ponieważ powiedziano mu, że kupowanie od Greków byłoby rzeczą niestosowną, zaopatrywał się u żydowskich handlarzy, a że od miesięcy nie miał ochoty wychodzić z domu, nabywał je wyłącznie od Chaima. właściciela winiarni mieszczącej się przy ulicy Chaima Opoja.

Jeden z zatrudnionych tam chłopaków co dwa, trzy dni dostarczał napitek. odbierał pieniądze i czym prędzej się oddalał. Za każdym razem uparcie przynosił to z Lesbos, lecz tym razem dziwnym trafem miał w koszu to, co zwykle, ale i muszkat, po który zaskoczony i stęskniony Izaak Pereira

sięgnął natychmiast. Dlatego teraz, zawstydzony, patrzył z przepaszającym uśmiechem na wino z Lesbos, rzucające mu spojrzenia pełne wyrzutu. Chciał wypić, ile zdoła, nim rabbi Jakub wróci do domu, musiał się więc spieszyć.

Upiwszy jeszcze jeden łyk, wrócił do lektury rozłożonej przed sobą książki. Już miał przewrócić stronę, gdy dostrzegł na niej plamę z wina. Rabbi Jakub, który z wielką pieczołowitością obchodzi się ze swymi książkami, na jej widok na pewno zmarszczył brwi. Izaak próbował zetrzeć ślad — najpierw palcem wskazującym, potem wnętrzem dłoni. Plama przestała być wilgotna, ale jeszcze bardziej rozlana — wciąż tkwiła na swoim miejscu, między dwoma wersami, nie dotykając żadnego z nich. Wydała mu się całkiem urocza. A zresztą, czy na tym świecie jest coś bez choćby jednej plamki? Postanowił się nią dłużej nie zajmować. Zresztą książki, tak jak ludzie, powinny mieć prawo skosztować wyborczego muszkatu. Myśl ta wyjątkowo przypadła mu do gustu. Tego dnia był nader zadowolony z siebie, humor mu dopisywał. Świat był piękny, a życie pozbawione trosk.

Izaak Pereira dopiero w domu rabiego Jakuba polubił książki. Dotychczas nie interesował się nimi, być może dlatego, że wolał spędzać czas z ludźmi albo okazywał w ten sposób ukrytą niechęć do brata. Teraz jednak, w domu przy ulicy Chaima Sprzedawcy Grochu, całe dni spędzał na lekturze. Rabbi z zadowoleniem obserwował, jak jego gość coraz chętniej obcuje ze słowem pisany, czyta, rozmyśla i bez skrępowania zadaje pytania dotyczące nurtujących

go kwestii. Obiecywał, że wkrótce zapozna go z biblioteką o wiele większą niż jego własna — z księgozbiorem Seyha Snleymana Sedefa Efendiego.

Opróżniwszy dzban z muszkatem, sięgnął po wino z Lesbos, patrzące nań spode łba. Jednocześnie poczuł, że mimo spożytego rano słusznego śniadania zdążył już porządnie zgłodnieć. Kwestia jedzenia była jedną z tych spraw, w których nie był w stanie dojść do porozumienia z rabbim Jakubem. Izaak Pereira żartował sobie czasem z rabiego, który jadał tak mało, że można mu było policzyć wszystkie Żebra. Twierdził, że jak tak dalej pójdzie, porwany silniejszym wiatrem, wzbije się w przestworza. Rabbi Jakub śmiał się z tego do rozpuku i znosił do domu najróżniejsze produkty, po czym z zapalem, któremu sam nie mógł się nadziwić, przyrządzał z nich dania — jedne smaczniejsze od drugich. Gdy zasiadali do stołu, był syty po paru zaledwie kęsach, przestawał jeść i zadowalał się obserwowaniem, jak jego gość, spocony z wysiłku, zmiata wszystko z talerzy, niczym dziecko, któremu dopisuje apetyt. Rabbi był szczęśliwy, widząc jak Izaak wciąż zajada się przygotowanymi przezeń potrawami.

Wziął trochę ciemnego chleba i owczego sera. Chleb, upieczony z mąki marnej jakości, nie był smaczny, ale z serem jakoś dawało się go zjeść. Wlał do kubka nieco wina z Lesbos. Rabbi Jakub poszedł na ulicę Chaima Podkuwacza. Mieszkała tam dziewczynka o imieniu Ester, której sny wzbudzały niepokój wśród mieszkańców dzielnicy. Jak powiadano, jej stan ostatnio bardzo się pogorszył. Nocami dy-

gotała w gorączce, rano budziła się zrana krwawym potem. Rabbi poszedł odwiedzić ją i jej rodzinę, nie wróci zapewne wcześniej niż za kilka godzin. Izaak Pereira czasami czuł się swobodniej, gdy gospodarza nie było w domu. Mógł czytać, pić, jeść i oddawać się marzeniom tyle, ile chciał. Innym znów razem brakowało mu pogawędek z rabbim i umierał z nudów. Ale choć nudził się jak mops, choć ulice kusity barwami i dźwiękami, ani myślał opuszczać dom. W ogóle nie interesowało go, co się dzieje w mieście i w kraju. Gdy rabbi wspominał o nowym padyszachu, gdy próbował mu wyjaśnić, jak nowy władca może wpłynąć na życie gminy, pozostawał obojętny. Zamknąwszy się w sobie, zajmował się sobą i tylko sobą.

Mimowolnie odgryzł tak duży kawał chleba, że wypełnił nim całe usta. Nie mógł ani przeżuć, ani przełknąć, ani wypluć olbrzymiego kęsa. Przez chwilę stał nieruchomo.

W końcu postanowił zwilżyć chleb winem i zaczerpnął z kubka łyk trunku. Jednak w ustach nie było już zupełnie miejsca i napój od razu ściekł mu po brodzie. Policzki miał wypchane do granic możliwości. Przypomniał sobie, jak rabbi napominał go, że jeśli będzie jadł tak łapczywie, pewnego dnia udławi się i umrze przy stole, i z trudem panował nad sobą, by się nie roześmiać i rzeczywiście nie udusić ze śmiechu. Ciekawe, jak zareagowałby rabbi na jego śmierć w tak komicznych okolicznościach. Kiedy się nad tym zastanawiał, nagle wyczuł za sobą jakiś ruch. Wy-

tężył się i z wielkim trudem przełknął w końcu kęs, który

zagroził jego życiu. Gdy chleb wędrował w dół do żołądka, Izaak wziął głęboki oddech i odwrócił się gwałtownym ruchem, by zaskoczyć nieproszonego gościa skradającego się za jego plecami.

— Maggid, to ty?! — zawołał radośnie, kiedy otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia.

Zapomniał już, jak biała była zjawa. Wyglądała, jakby spędziła noc w worku z mąką i ruszyła w drogę, nawet się nie otrzepawszy. Jedynie czarne jak węgiel. duże oczy zakłócały wszechobecną biel. Duch przywitał się. przechylając głowę w lewą stronę i przykładając dwa palce lewej ręki najpierw do policzka. a potem do skroni. Bez wątplenia był to Maggid.

— Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę

— powiedział Izaak.

Zapominając, że ma do czynienia z mglistą zjawą.

próbował uścisnąć przybysza. Jego ramiona zwały się w pustce. Rozbawiony własną głupotą. parsknął śmiechem. rozrzucając na wszystkie strony resztki dopiero co przekniętego chleba. Maggid widać również dostrzegł ko-

mizm sytuacji. gdyż się uśmiechnął, a właściwie zmrużył

w uśmiechu oczy, jako że pozbawiony był ust. Odezwał się

głosem Izaaka. gdyż tak jak poprzednio — nie miał własne-

go, i posługiwał się głosem osoby. z którą rozmawiał.

— Oczywiście, że będziemy się widywać. Jestem prze-

cież tym, który przekazuje. Pośłańcem. Przekazuję to. co ty

•' przeżywasz.

— Skoro tak, to czemuś się tak długo nie pokazywał?

— spytał Izaak z wyrzutem i zanim jeszcze skończył zda-

nie, zorientował się, że mówi po hiszpańsku. To prawda

sefardyjscy mieszkający w Haskby posługiwali się tym językiem. znały go nawet inne grupy Żydów, lecz on od miesięcy nie opuszczał domu, odzwyczaił się więc już od dźwięku tej mowy. Ucieszył się.

— Dopiero teraz tu dotarłem — odpowiedział Maggid.

— Nie przybyłem do tego miasta tą samą drogą co ty.

— Masz rację — uśmiechnął się Izaak. — Ja morzem, a ty... — wskazał palcem do góry. Nie posiadał się z radości. Ująwszy się pod boki, jakby udzielał reprimendy niesfornemu dziecku, spytał ze śmiechem: — Powiedz, znów przyszedłeś mnie uratować, ostrzec przed katastrofą?

— Nie — odparł Maggid po chwili zastanowienia. —

Zapomniałeś. że to ty nadałeś mi imię? Jestem Pościańcem. Skoro noszę takie imię. nie mogę już wtrącać się do twojego życia. Mogę tylko przekazywać to, co ty przeżywasz.

— Przekazywać komu? — z twarzy Izaaka można byłoby wyczytać niepokój. — Powiedz, komu przekazujesz to, co przeżywam? Każdy ma własne troski. Zresztą dlaczego ktoś miałby się zajmować losami kogoś takiego jak ja. jeśli nie miałby w tym jakiegoś interesu?

— Nie wiem. Czasem mi się wydaje, że chodzi wyłącznie o samo przekazywanie. Komu — to już bez znaczenia. Innym razem mam wrażenie, że przekazywanie ma podwójny sens. Chodzi zarówno o to. co przekazuję, jak i o to. komu przekazuję... Skoro tak, to zabieranie się do przekazywania. jeśli nie znalazło się brakującego elementu, może przypominać pisanie na wodzie... To znaczy... Czemu mnie

o to wypytujesz? Nie należysz chyba do tych, którzy biorą się w garść tylko dlatego, że ktoś będzie o nich opowiadał?

Izaak Pereira ostentacyjnie wzruszył ramionami, by okazać, że ta odpowiedź zupełnie nie przypadła mu do gu-

stu. Upił kolejny łyk wina z Lesbos i uwolniwszy przetyk od ciężkiego jak kamień kęsa. odezwał się:

— Jak chcesz. Wiedz jednak, że u mnie niewiele się teraz dzieje. Wszystkie dni są do siebie podobne, nie ma o czym opowiadać.

Zamiast odpowiedzieć. Maggid zajął się oglądaniem ksiąg zgromadzonych w pokoju. By nie pominąć żadnego szczegółu i przekazać wszystko jak najdokładniej, dobrze przyjrzał się wnętrzu pomieszczenia i starannie zapisał je w pamięci. Zwrócił uwagę nawet na plamę muszkatu widniejącą między dwoma wersami na stronicy księgi leżącej przed Izaakiem. Potem zmierzył przyjaciela wzrokiem od stóp do głów. Zauważył, że ten nieco przytył, nie wyglądał już tak niechlujnie jak dawniej. a w bujnej czuprynie pojawiły się srebrne nitki. Ale jego oczy w ogóle się nie zmieniły. Wciąż igrały w nich szalone ogniki. których. być może. on sam nie dostrzegał. Nadal krwawiła głęboka rana na nadgarstku. ta sama, co to nie pamiętał. skąd się wzięła. Milczeli. Najpierw słyszeli tylko ciszę. Obu się ona nie spodobała. dlatego wkrótce do ich uszu dotarły inne dźwięki. Zaczęli wsłuchiwać się w hałas dobiegający z ulicy. w płynący z dali szum morza. w echa przeszłości i szepty przyszłości. Maggid był jednak tak znużony. że zasnął, widząc uznawszy te odgłosy Za kołysankę. (kły

!! spał. unosił się zeń opar. tak lekki jak tytoniowy dym Izaak

Pereira opróżnił kielich za zdrowie śpiącego druha i zaczął rozmyślać nad pomysłem, który przed laty przyszedł mu do głowy. Któregoś dnia powinien spać Maggida i pociągnąć go za język. Wszak duch podjął się zadania przekazywania cudzych opowieści. musi więc istnieć jakiś powód. dla którego ucieka od własnej.

LEGAT

Człowiek wolny z tą samą siłą ducha unika niebezpieczeństwa, jak i usiłuje przezwyciężyć je.

SPINOZA, Etyka

(tłum I Halpern-Myśleclu)

Trzeciego dnia otworzył oczy. Bolesny uśmiech pojawił się na jego twarzy na widok przyjaciół o pobladłych twarzach i powiekach zaczerwienionych od płaczu, którzy zebrali się wokół jego łoża. Dopiero teraz. gdy śmierć zajrzała mu w oczy, zrozumiał, jak bardzo potrzebował tych, których przez całe życie od siebie odpychał: pojął. że mimo wszystko nie jest sam na tym świecie, że są ludzie. którzy go kochają. Jakie to dziwne. Nie okaże jednak żalu z tego powodu. Nie pozwalając sobie pomóc. usiłował o własnych siłach usiąść na łóżku: jego wzrok padł na okrywającą go kołdrę. Grubą zasłonę. którą sam niegdyś bez wahania spuścił na przeszłość, by znaleźć nową, inną przyszłość. teraz życie szykowało się, żeby zaciągnąć nad nim. Kołdra, sięgająca w tej chwili jego brody. wkrótce za-

kryje mu usta, nos i czoło, otuli go całego. W zatłoczonym weneckim getcie, w dusznym, mrocznym domu, w ciasnym pokoiku Abraham Pereira od trzech dni spoczywał nieruchomo na łożu, a na nim spoczywały zatroskane

spojrzenia znajomych i sąsiadów. Wiedział, że niedługo umrze.

Choć choroba pojawiła się niespodziewanie. o śmierci dumał już od dłuższego czasu. By oswoić się z myślą o niej, stale przypominał sobie, że nie ma więcej dzieł do napisania ani zagadnień, które chciałby rozważyć. jedyną pociechą była dla niego wiara w to, że po śmierci będzie wspomniany jako ceniony medyk i filozof o wielkim umyśle, którego sława wykroczy poza mury weneckiego getta, zaś pamięć o nim będzie podtrzymywana przez jego uczniów i przyszłe pokolenia czytelników. Starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że mogłoby stać się inaczej. Spotkanie ze śmiercią teraz, gdy po życiu spędzonym z książkami, które napisał, pisał lub zamierzał napisać, nie miał już ani słowa do napisania, nie wydawało mu się wcale straszne. Mimo to w jego oczach, rozświetlonych ulgą, jaką dawało mu to przekonanie, gdzieś w głębi źrenic można było dostrzec dwa mroczne cienie. Pierwszy z nich związany był z Miguelem, młodszym bratem Abrahama Pereiry. drugi — z żoną Isabel.

Oderwał wzrok od kołdry i skierował ku otaczającej go grupie ludzi, lecz nikt z nich nie dostrzegł cieni tkwiących w jego spojrzeniu. Zebrani przy łożu chorego zauważyli w jego oczach jedynie żywy blask. w ruchach zaś żwawość,

i uznali je za zwiastuny rychłego wyzdrowienia.

Chwilę później musieli jednak przyznać, że się mylili — z największym trudem zdołał tylko poprosić, by przyniesiono mu safianowy woreczek, schowany w szufladzie biurka. Szuflad było dziewięć: nim przetrząsnęto wszystkie, powstało spore zamieszanie. Gdy mieszek w końcu znaleziono, Abraham Pereira podziękował, krzywiąc wargi

w gorzkim uśmiechu. Z zamkniętymi oczami wodził dłoń po związanej rzemieniem, długiej, wąskiej sakiewce z koźlej skórki. W pomieszczeniu słychać było jedynie jego chrapliwy oddech. Wypełniając płuca powietrzem, zdawał się w pocie czoła toczyć pod górę olbrzymi kamień, a gdy już miał go umieścić na samym szczycie, głąz z charkotem staczał się w dół. I choć oddech był uparty, a Abraham Pereira zawzięty, kamień był zbyt ciężki, zbocze zaś zbyt strome, i nawet najwięksi optymiści wśród obecnych rozumeli, że te daremne wysiłki wkrótce się skończą.

Poprosił, by przyniesiono mu pióro, atrament i papier. Nikt nie zwrócił uwagi, że pod kilkoma wersami, które skreślił, podpisał się imieniem nie Abraham, ale Antonio Pereira. Podał testament rabbiemu Samuelowi. Ten bez słowa wziął złożoną kartkę papieru i safianową sakiewkę. Abraham Pereira spojrział rabbiemu w oczy i się uśmiechnął. Jego rudo-czarna broda zadrżała.

Żaden z obecnych nie miał odwagi się odezwać. Nagle Abraham Pereira wstał, wyslizgując się z objęć milczenia. Stało się to tak niespodziewanie, że nikt nie zorientował się, co się dzieje, i nie zdążył mu podać ramienia. Chwiej-

nym krokiem podszedł do biblioteczki, w której na półce stały napisane przezeń księgi. Wyjął jedną z nich. Tę, którą pisał bez ustanku, zamieniając noc w dzień, której słowa były dla niego schronieniem w najtrudniejszych dniach życia i nie wiedział, komu ma ją zadedykować. Otworzył księgę na chybił trafił, na jednej z ośmiuset osiemdziesięciu ośmiu stron. Lecąc w pustkę, jak tonący sznura uchwycił się kurczowo tej jednej stronicy, lecz cienki papier nie utrzymał jego ciężaru. Sznur pękł, Abraham Pereira padł na ziemię. słowa się rozsypały.

Sznur pękł...

Wszystko stało się tak nagle, że obecni nie od razu zrozumieli, co się stało. Z płaczem podnieśli ciało, w którym nie było już życia. Rabbi Samuel rozchylił zaciśniętą dłoń zmarłego i wyjął z niej oderwany kawałek stronicy. Gdy rozprostowywał pognieciony papier. jego wzrok padł na zdanie:

Lecz to Jakub ostatecznie zwyciężył. gdyż to on otrzymał ojcowskie błogosławieństwo...

Rabbi ze smutkiem spojrzął na wymiętą kartkę, po czym złożył ją na pół i umieścił w długiej. wąskiej, sifanowej sakiewce. Gdy na powrót zawiązywał rzemień, jego twarz oświetlił na moment blask dochodzący z wnętrza mieszka. Coś lśniło na jego dnie. Nie próbował jednak sprawdzić co.

GNIEW

Tymi, którzy zmieniają losy świata, są ci, którzy
własnych losów się wstydzą.

CEWI MERiG

Wymieniając się uwagami o napotykanym po drodze ludzich, prowadzili tak przyjemną pogawędkę, że gdy dotarli do wzgórza, na którym leżała tekka, rabbi Jakub wydawał się zawiedziony zbyt szybkim końcem wędrówki. Jakby przy tak zajmującej rozmowie sam cel podróży przestał mieć znaczenie. Izaak zdawał się podzielać jego odczucia.

Po kilku miesiącach przebywania w czterech ścianach, niemal wyłącznie w towarzystwie książek, po raz pierwszy wyszedł na zewnątrz i poczuł, że odżywa w nim chęć włóczenia się po ulicach — wygasła, zdawałoby się, już dawno temu. Mógłby tak chodzić godzinami, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Jednak gdy wspięli się na grzbiet wzgórza, rabbi Jakub niespodziewanie zatrzymał się przed rzeźbioną bramą z metalową kratą. Zamierzał przedstawić dziś Izaaka swemu bliskiemu przyjacielowi Seyhowi Sleymanowi Sedefowi Efendiemu.

Przekraczając bramę, Izaak Pereira poczuł, że brak mu tchu. Wokół było pełno zieleni. Rabbi Jakub spytał o zdrowie niskiego, chudego derwisza, który powitał ich przy bramie.

Gdy rabbi i derwisz ruszyli przodem, Izaak pozostał nieco w tyle i z ciekawością zaczął się rozglądać. Nieco dalej, po lewej stronie, za inną metalową bramą znajdował się cmentarz. Duży budynek naprzeciwko to zapewne semahane*, obok niej mescitn. Gdy Izaak wyraził chęć obejrzenia

sali zgromadzeń, chudy derwisz zostawił rabiego Jakuba, by oprowadzić gościa.

Weszli przez drzwi wiodące w kierunku Mekki. Izaak uderzyło to, że było tu dużo chłodniej niż na zewnątrz. Jakby pomieszczenie owiewał zimny wiatr płynący nie wiadomo skąd. Zaczęli iść wzdłuż brzegu kręgu wyłożonego pozbawionymi gwoździ, gładkimi deskami. Przejście wyścielono kilimami. Ich barwy i wzory idealnie odpowiadały dominującym we wnętrzu kolorom ziemi i zaokrąglonym liniom. Derwisz-przewodnik wyjaśnił, że zasiadają na nich widzowie, którzy przybyli spoza tekke, ale uważają siebie za jego część. Naprzeciwko drzwi znajdował się niihniib•••.

Izaak uniósł głowę, by lepiej przyjrzeć się nisz i w górnej części sali zgromadzeń dostrzegł galerię, do której wchodziło się po schodach znajdujących się na zewnątrz. Przewodnik, najwyraźniej lubiący pogawędki, oznajmił, że miejsce to nazywa się mutnb. a zasiadają w nim derwisze grający na flecie ney i bębnie kudnm oraz śpiewacy wykonujący ayin•***. Gdy derwisz opowiadał, Izaak podszedł do znajdującego się z boku grobowca. Tak go zaciekawił, że przewłóknął się cerenunnie derwiszów <przyp.

tłum)

ss Mew« — mak met- tel lprzsp tłum I

ss•Aldwrir— nisza modlitewna wskazująca kierunek, w którym znajduje

SIĘ Mekka (przyp tłum

••ss /1vm - tu utwór ntuivunw towarzyszący ceremonii w tekke derwiszy (przyp. tłum.).

11

stał słuchać objaśnień. Od reszty sali zgromadzeń oddzie-

łała grobowiec wysoka, sięgająca szyi bariera z metalowych prętów. W głowach sarkofagu. nakrytego filcowym pokrowcem, umieszczono destarh sikke*, a przed nim i wokół — lichtarze, tablice z kaligraficznymi napisami oraz podpórki pod Koran. Gdy wsunął głowę między pręty, dostrzegł. że do tej części prowadzi osobne wejście. Przewodnik powiedział tylko, że spoczywają tu wielcy szejchowie, po czym zamilkł. Izaak poczuł, że tutaj ma swój początek ożywczy powiew. wyczuwalny w całym pomieszczeniu. Co prawda drzwi były zamknięte, nie było tu też żadnego okna, lecz chłód bez wątpienia płynął z tego właśnie miejsca.

Przeszli na tyły sentahane, gdzie Izaak ujrzał cele derwiszów znajdujące się po obu stronach długiego korytarza. Pomieszczenia były malutkie. Zdjąwszy w przedsionku buty i pokonawszy kilka stopni, weszli do celi, której akurat nikt nie zajmował. Podłogę wyścielały barwne kilimy i dywany, przy jednej ścianie stała sofa. o przeciwległą oparto materac i poduszki. W niewielkiej niszy znajdowały się lampka i kilka ksiąg. Mieścił się tu jeszcze mały piecyk do parzenia kawy. Chudy derwisz oznajmił, że hacreniąjn dede** częstuje nią gości, ponieważ jednak jest nieobecny, nie będą mogli, niestety, skosztować napoju.

Po opuszczeniu semahane Izaak ponownie popatrzył na cmentarz, stele zwieńczone kołpakami', cyprysy i plalA-starli ęblutt — wysoki filcowy kołpak z owiniętym wokół turbanem: nakrycie głowy srejebtów (przyp. tłum.).

/hr rrtmpli dne — derwisz, który pomyślnie przeszedł Ok. czyli okres próby trwający -tysiąc i jeden dzień, podczas którego nie opuszcza, teklu:. a następnie otrzymał osobną celę (przyp. tłum.).

W dawnej Turcji na nagrobkach IIIII i aaaaaaaaaa wyobrażenie nakrycia głó-
Wy charakterystycznego dla zawodu i pozycji zmarłego (przyp. tłum).

tany, na położony nieco dalej sad i tabliczki z inskrypcjami.

Cmentarz go zainteresował. ale nie chciał się spóźnić, po-
dążył więc bez słowa za derwiszem. który prowadził go do
selamliku. w którym Sedef Efendi przyjmował gości.

Nagle się wzdrygnął. Miał wrażenie, że ktoś go obser-
wuje. Odwrócił się gwałtownie. Stanął oko w oko ze stary-
mi. milczącymi drzewami. Drzewa były wszędzie. zewsząd
wysuwały się niczym ramiona ich potężne konary, mocne
gałęzie niczym palce. Mogły według własnego uznania
przepuszczać światło lub pogrążyć wszystko w nieprze-
niknionej ciemności. Wśród liści mógł dostrzec oczy duże
i małe, patrzące przyjaźnie bądź z ukosa. Napierały nań
dziesiątki drzew, setki gałęzi. tysiące oczu. Przeszył go
dreszcz. Zanim się zorientował, czy to kolejny atak, czy
też rzeczywiście ktoś go obserwuje. znalazł się w selamliku.

Wziął głęboki oddech. Seyh Snleyman Sedef Efendi i rabbi
Jakub pogrążeni byli w rozmowie.

Przedstawiając przyjacielowi Izaaka. rabbi nie krył po-
ruszenia. Doprowadził do spotkania dwóch bliskich mu
osób i oczekiwał zapewne. tak jak wielu ludzi w podobnej
sytuacji, że ci dwaj natychmiast zaczną darzyć się sympa-
tją. Sedef Efendi zachowywał się jednak nader powściągli-
wie. Izaak zaś był wyraźnie spięty. Na szczęście w krótkce
pojawiła się Ziśan i poczęstowała gości bułeczkami z na-
dzieniem z ziół. Jedząc je. Izaak wciąż ~myślał o obrazie.
jaki chwilę przedtem roztaczał się przed jego oczami. Nagle

wydał stłumiony okrzyk. Próbował przełknąć, lecz mu się to nie udawało. Nie mógł zaczerpnąć powietrza. zaczął sienieć. Nim rabbi Jakub zorientował się, że coś z nim nie tak. Secie' Efendi. nie tracąc zimnej krwi. błyskawicznie doskoczył do młodego człowieka, objął go od tyłu i trzy-

krotnie mocno ucisnął mu brzuch na wysokości żołądka. pod wpływem tych ruchów z gardła Izaaka wyleciał kęs, który tam utkwiał, a z woreczka na jego szyi — biały kamień. Gdy Izaak starał się dojsć do siebie, kaszląc i zmieniając kolor z fioletowego na czerwony i z czerwonego na żółty. kolorami zaczął się mienić na twarzy także Secie(Efendi. który z wielkim zdumieniem patrzył na leżący na podłodze mlecznobiały kamień. Po chwili podniósł go drżącą ręką. Kilkakrotnie zamrugął oczami. Wydawał się lękać klejnotu. który trzymał ostrożnie w dłoni.

— Już go kiedyś widziałem — szepnął drżącym głosem. Po czym, wpatrując się badawczo w Izaaka, spytał:

— Mów zaraz, skąd go masz? jak trafił w twoje ręce?

Izaak zerwał się na równe nogi. urażony tonem, jaki pobrzmiwał w głosie Sedefa Efendiego. Gwałtownym. pełnym złości ruchem odebrał mu kamień. Usiadł, lecz jeszcze przez chwilę gniewnie sapał.

— Kamień należy do mnie. To kamień księżycowy — oznajmił i uniółszy lekko głowę. oświadczył z dumą: — To mój kamień księżycowy.

— Mnie się wydaje, że ten kamień nie należy do nikogo. Ty jesteś dla niego tylko przystankiem w drodze.

Te słowa do reszty rozwścieczyły Izaaka. Nie zwraca-

jąc uwagi na bladego jak prześcieradło rabbiego Jakuba, który próbował go powstrzymać, zaczął wrzeszczeć jak opętany.

— A to dlaczego?! Może właśnie odwrotnie?! Może ten kamień całe życie właśnie mnie szukał? Przewędrował tyle dróg, by do mnie trafić. Czy nie mogło tak być? A może uważasz, że nie zasługuję na kamień księżycowy? To... to spojrzenie... Spojrzenie kogoś, komu się wydaje.

że widział wszystko. co na tym świecie można zobaczyć, poznał wszystkie mądrości... Takie dostojne, spokojne, pełne zrozumienia. Dumne spojrzenie tych, którzy nigdy się nie mylą, którzy kroczą pewnie. niezachwianie. Mrozi mi krew w żyłach... Na kogoś spotykanego pierwszy raz w życiu trzeba patrzeć jak na kogoś. kogo widzi się po raz pierwszy. Każdy nowo poznany człowiek to nowa zagadka, są w nim rzeczy dotąd nieznanne. Dzieci to potrafią. Tak patrzy na świat dziecko. które dopiero uczy się chodzić — z podziwem i ciekawością.

głos mu zadrżał. Andres. którego imienia od lat nie wymieniał. którego nie wpuszczał do swoich snów, stanął mu teraz przed oczami, jakby wyszedł z wnętrza bułeczki z ziołowym nadzieniem. Nic się nie zmienił, nie wyrósł. Chciał go uścisnąć. lecz chłopiec odsunął się od niego. Był nagi. Z psotną miną nasusiał Izaakowi na stopy i zniknął. Próbując ukryć zmoczone nogi. Izaak podciągnął je pod siebie. Podłoga przestała być stabilna. plama mętnego, ciemnozielonego moczu Andresa zmieniła ją w grząskie bagno. w którym łatwo mógłby załtonąć,

— Powtarzam się — powiedział Sedef Efendi, który wydawał się nie widzieć Andresa. — Dusza powraca w nowym ciele. Oczekujesz, bym traktował to jako coś nowego. A ja nie mogę nawet nazwać tego starym.

Z przerażającym chlupotem trzęsawisko pochłaniało ofiarę. Ostatnim wysiłkiem upłócił z włosów linę i podciągając się na niej, wydostał się z bagna.

— Nie wiesz, co przeżyłem. Nie jestem tym, na kogo wyglądam. Jestem nikim — jęknął. — Księżycowy kamień o tym wie. I Margid — szeptał gorączkowo — on też kiedyś o tym wiedział.

344

Şeyh Silleyman Sedef Efendi wstał i podszedł do Izaaka. Wyglądał na znużonego.

— Młody przyjacielu — odezwał się. — Powiedz mi, czy możesz się pogodzić ze swym gniewem?

Izaak Pereira zaniemówił. Z jego oczu można było wyczytać zdziwienie lunatyka, który obudził się w nieznanym miejscu. Pożegnał się pośpiesznie i biegiem opuścił selamlik. Gdy znalazł się na zewnątrz, poczuł na twarzy łagodny powiew ciepłego wiatru. Zrobiło mu się głupio, że tak się uniósł. Zawstydził się swej furii. Niepohamowanego temperamentu, który przynosił mu tyleż chwały, co wstydu. Gniewufuriinieopanowania.

Przez moment pomyślał, że powinien wrócić i prosić o wybaczenie, ale zrezygnował. Nie mógł tego zrobić, zebrawszy w końcu rozbiegane myśli, już miał opuścić tekke, gdy znów ogarnęło go uczucie, że ktoś mu się przygląda.

Tym razem spojrział nie na drzewa, lecz na górną część selamliku. Cokolwiek to było, stało tam i obserwowało go uważnie, z zaciekawieniem. Nie żywiło zapewne wrogich zamiarów. Tym czymś kierowała raczej ciekawość. Mimo to jego spojrzenia budziły niepokój.

Gdy Izaak wyszedł, rabbi Jakub, ze wstydu czerwony jak burak, nie odezwał się ani słowem. Wbił wzrok w buteczki z ziołowym nadzieniem. Wzdychał głęboko.

— Wiesz co, mój przyjacielu? — powiedział Şeyh Silleyman Sedef Efendi, żegnając go. — Ten młody człowiek przypomina mi kogoś, kogo znałem bardzo dawno temu. Kogoś, kto nie zdawał sobie sprawy, jakie szkody może wyrządzić gniew.

LUNA

Wiedziałem, że jestem cudzołożnikiem, że tego, co kocham, nie znajdę w domu.

JEANE riE vWINTERSTONE. Piec ~nt

Ithon Z Ratko,

Uchyliwszy odrobinę wieczko tabakierki, sułtan Murad zerknął na schowane w nim dwa strzępki. pozostałości swojego cienia. Dziś nie słyhać było ich oddechów. Szybko zatrzęsął pudełeczko. Resztki cienia próbowały uciec, dlatego dla pewności zamknął tabakierkę w złotej szkatułce. Westchnął ciężko. Ostatnio 4blitle Sulfon była wciąż zatroskana. jeszcze jako Anastazja, córka greckiego popa, który z niejednego pieca chleb jadł. dostała się jako branka w ręce bejlerbeja" Bośni: dzięki urodzie. uśmiechowi i elokwencji zwróciła na siebie uwagę i została wysłana

do sułtańskiego pałacu. by stać się sułtanką krisem Mahpeyker. małżonką Ahmeda li matką Murata IV. "teraz była gotowa zrobić wszystko, by imperium nie pozostało bez władcy. a tron bez następcy. Niestety. ku zmartwieniu mat-

ki młodszy brat Murada IV, książę Ibrahim, nijak się do tego nie nadawał. Nieszczęsny Ibrahim, przez całe dwadzieścia trzy lata więziony w pałacu, nie znający nie tylko krain.

którymi miał władać, lecz nawet samego Stambułu. pozbawiony odpowiedniego wykształcenia, po zamordowaniu na

rozkaz Murada IV kolejno Sńleymana. Kasima i Bayezida

— ostatni z osmańskich książąt... Sułtan Ibrahim I. który

pozostał przy życiu jedynie dzięki zapobiegliwości matki,

sułtanki Kńsem, oraz nagłej śmierci starszego brata, i ni-

gdy nie uwolnił się od lęku. gdy poproszono go o objęcie

tronu, sądził, że zostanie uduszony, tak jak pozostali bracia,

dlatego nawet siłą nie chciał się dać wyciągnąć ze swo-

jej klatki i uspokoił się dopiero na widok trupa Murada,

po czym — nie zwracając uwagi na zgorszone spojrzenia

dworzan — w podskokach. tanecznym krokiem ruszył do

sułtańskich apartamentów i zasiadł na tronie; unikający

jak ognia nałożnic z haremu i nie tykający nawet palcem

dziewcząt podsuwanych mu przez matkę, piękniejszych

jedna od drugiej, nanizujący litery strachu na włosy ze swej

brody. nie ufający nikomu ani niczemu... Sułtan Ibrahim

I. uważany za przyczynę wszystkich nieszczęść spadają-

cych na miasto, w tym potężnego wichru, który zerwał

się, gdy schwytyanych kozackich piratów, napadających na

statki ze zbożem na Morzu Czarnym, wbijano właśnie

na pal w różnych częściach miasta, po czym zamienił się w istny huragan i pozrywał ołowiane pokrycia dachów, czy też wielkiego pożaru, który wybuchł w odlewniach wosku w pobliżu Balat Kapisi i zamienił w popiół wszystkie yah na brzegach Złotego Rogu... Sułtan Ibrahim I. uznany przez Kibsem 74 bezlistną gałąź na drzewie °milanów, chory duch

— kiedy dał rodowi następcę, powinien zniknąć na powrót w pustce, z której się pojawił...

Gdy służąca oznajmiła przybycie Żydówki, sułtanka Kiisem otrząsnęła się z zamyślenia. Jak jej doniesiono, ta kobieta zna. być może, lek na problemy jej syna. Postarała się dowiedzieć o niej jak najwięcej. Lubiła wszakże znać historie innych ludzi. Uważała, że mając w ręku ich przeszłość, może lepiej zrozumieć ich terażniejszość; jakkolwiek się zachowają, będzie przygotowana i nie zaskoczą jej swoimi postępkami. Dlatego wywiedziała się wszystkiego o tej Żydówce: tego, że swojej sztuki nauczyła się od pewnej starej muzułmanki i że wiele w życiu wycierpiała. Lubiła takie kobiety. Wiedziała też bowiem, że ci, którzy zostali doświadczeni przez przeszłość. śmiało będą brać się z losem za bary..

Sułtanka z uwagą przyjrzała się stojącej przed nią młodej kobiecie. Była ładna. Pochylona w pozie pełnej szacunku. czekała. wpatrując się wielkimi. czarnymi oczami we frędzle perskiego dywanu leżącego pod jej stopami.

— Nie wiem. co zostawiłaś Za sobą. przybywając tu. Ale bądź pewna. że jeśli znajdziesz lek dla mego syna, życie. które ci zapewnię. przyćmi wspaniałością wszystko, co

do tej pory było twoim udziałem.

W chwili gdy Isabel Nutiez Alvarez ujrzała oczy sułtanka Kósem. już dawno była zdecydowana przekroczyć próg wrót. które się przed nią uchyliły. W chwili gdy sułtanka Kósem ujrzała oczy Isabel Nutiez Alvarez. zrozumiała, że obie są ulepione z tej samej gliny. I nie chodziło już o zdobycie cudownych driakwi, które mogłyby uleczyć jej syna. lecz o rzadko spotykaną wśród kobiet przyjaźń. Z uśmie-

348

chem spojrzała na Mihrengiz Kadyn*, dając jej znak, by zajęła się Isabel i zapewniła jej wszelkie wygody. Mihrengiz i Isabel już miały odejść, gdy sułtanka matka spytała zduszonym głosem:

— Czy masz jakieś inne imię oprócz tego, które znam?

— Tak. pani — odpowiedziała Isabel — niegdyś zwano mnie Luna.

Sułtanka Wisem nie odezwała się więcej, wskazała im jedynie gestem. że mogą odejść. Gdy wyszły, zostawiając ją samą. zamknęła oczy. Z nerwowym uśmiechem wsłuchiwała się w rozdzierające skargi płynące z tabakierki, w odgłosy pijatyk dochodzące z wiadomych domów, w stukot kroków żarłocznych korników nadchodzących, by pożreć tron. w śpiew dudka zanoszącego Balkis, królowej Baby. wieści od Salomona. w szepty pałacowych intryg, w charkoty dobywające się z szyj duszonych sznurem, w modlitwy recytowane przy marmurowych sarkofagach, w sekrety szeptane drzewom wotywnym**. w lamenty wciąż roz-

brzmiewające po klęskach i katastrofach, w gniewne nawały buntowników i brzęk tłuczonych lusterek. Mimo zaawansowanego wieku słuch wciąż miała doskonały.

* Kadyn (tur. kadin) — tytuł przysługujący głównym wielmożom sułtana (przyp. tłum.

** Tur. ustak agan - drzewa rosnące w miciwach „wlatanych r kubem. Do gałęzi przyczepia się szmatki. mające zapewnić spełnienie zanoszonych modlitw (przyp. tłum.

CENA

Ya werw mashsah
cle los altos cselos,
sholar d'oro er mano
to vsene tanyendo

Dawna pieśń ludowa w języku latino

Rabbi Jakub odjął dłoń od rozpalonego czoła małej Estery.

Nie ukrywał niepokoju. Dziewczynka była poważnie chora.

Jej stan stale się pogarszał. Rodzice, szczerze przekonani, że ich córka jest zwiastunem nadejścia nowego porządku, uważali chorobę za cenę, którą trzeba zapłacić za jej wyjątkowość.

W drodze powrotnej do domu przystanął pod gruszą na ulicy Chai ma Szewca. Delikatnie pogładził gałęzie drzewa.

Zadał mu pytanie. którego nie ośmielił się zadać ludziom.

Czekać.

Lecz na co...

Na kogo...

I jak długo...

Czekać.

Lecz po co?...

O ZACHODZIE

SŁOŃCA

Jakże byłam (...) kobieca pod czapą krótkich

włosów.

SIDONIE•GABRIELLE COLETTE, Cryste, ~czysto

(Tłum K Bartkiewicz)

Słońce chowało się za horyzont. Pragnąc coś jeszcze z niego uszczknąć, gniewne, zuchwałe fale wspinały się jedne na drugie. ono zaś, rozlewając się na powierzchni wody jak kropla akwareli, rozptywało się powoli.

Wpatrywała się w jego tarczę. W willi dość skromnej w porównaniu z innymi w Galacie. w pokoju, którego okna wychodziły na morze, przyglądała się. jak Bosfor potyka słońce. Wiedziała, że gdy tylko zniknie ono w morskiej toni, czas się rozpołowi. Od tego momentu czas słońca i Czas morza będą się różnić. Muszą się różnić, gdyż czas dla dwóch różnych ciał biegnie niekiedy w różnych kierunkach. Dla jednego ze wschodu na zachód. dla drugiego z zachodu na wschód. Tak jak to się stało tamtego dnia, na tamtej ulicy.

Czy sądzisz, że tylko ty się boisz?

Przez te wszystkie lata, które minęły od tamtego zdarzenia, miała dość sposobności, by przemyśleć przeszłość, jeśli nawet nie całą, to przynajmniej część, ten jeden ino-

451

ment. Mimo to wciąż nie była pewna. czy udało się znaleźć odpowiedź na to uporczywe pytanie, nieustannie zaprzątające jej myśli: Tamtego dnia, gdy nie pozwolił jej przejść, gdy rozłożył ramiona i zagroził jej drogę. czy zrobił to z pożądania, czy tylko po to, by pokazać. że i ona może je odczuwać? Skoro nie mógł być pewny. że spotka się z wzajemnością, skoro miał świadomość, że jeśli jego namiętność nie zostanie odwzajemniona, wszystko legnie w gruzach, a jeśli tak, to skutki tego będą nie mniej niszczycielskie — dlaczego zdecydował się na ten prowokujący gest? Na usta cisnęły się jej dwie odpowiedzi. każda wiodąca innym szlakiem, każda czcząca innego boga.

Przez jedną z nich przemykał cień jego pięknej twarzy. kruczoczarnych, kręconych włosów i smagłej cery. To on nadawał jej sens; to on powołał tę chwilę do istnienia. Zrobił ten gest, bo nie mógł już dłużej ukrywać uczuć. W drugiej odpowiedzi pobrzmiwały echem okrzyki od lat nawarstwiających się zgrzyot. odroczone tylko, ale nie rozwiązanych wątpliwości. Sens nadawał jej dzień wczorajszy. wczoraj poprzedzające dziś. W tym wypadku powodem jego zachowania była chęć. by stanąć twarzą w twarz z brakiem wiary w siebie i upieranie się przy tym. by otworzyć pierwsze napotkane drzwi. Pierwsze drzwi, czterdzieste drzwi..

Rankiem po nocy poślubnej książkę posadził sobie małżonkę na kolanach. — Możesz wchodzić wszędzie, gdzie zechcesz — powiedział — w tym domu o czterdziestu pokojach, lecz nie próbuj otwierać czterdziestych drzwi, złamać jego zamków! — Dobrze — odpowiedziała kobieta z przyjaznym uśmiechem. Lecz gdy tylko mąż znalazł się za progiem domu, popędziła do czterdziestych drzwi. Zadziewiające! Drzwi były otwarte.

351

Inny dla słońca czas, inny dla fal w oceanie.

Która odpowiedź jest dobra na to pytanie?

Gdy w tamtym wielkim, mrocznym, pozbawionym okien pomieszczeniu stała — śmiertelnie przerażona — przed inkwizytorem, którego twarz z trudem mogła dostrzec. nie przyszło jej na myśl. by rzucić mu w twarz Zawartość szkatułki ukrytej pod studziennym wiadrem. Niebiesko żyłkowany otoczek, jeden z setek, tysięcy podobnych kamieni. Obrazek przedstawiający rycerza, pogromcę olbrzymów. Spinka do włosów, którą z niewiadomych powodów zachowała. Pukiel włosów — pamiątka postrzyżyn Andresa. Pokreślone zapiski — opowieści innych ludzi. I prześcieradło, na którym wykreśliła własne ciało. Dlaczego nakreśliła jego kształt? By udowodnić sobie, że nie różni się od innych kobiet, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, może tak jak one oszałamiać, zapierać dech w piersiach. że może przeżywać i dawać rozkosz nie mniejszą niż one? Ciało takie samo jak ciała innych kobiet... Identyczne pod każdym względem. Pod każdym? Dlaczego na tym prześcieradle na-

rysowała siebie? By mieć pewność, że winę ponoszą inni?
Dlaczego przez całe życie nikogo nie pokochała. namiętnie,
gorąco? Dlaczego nie poświęciła całej siebie mężowi. syno-
wi albo jemu — czterdziestym drzwiom? jak to możliwe, że
choć wyszła za męża, nigdy nie uwierzyła, że jest żoną, że
choć urodziła Andresa, nigdy nie poczuła się matką, że
gdy popełniła ten straszny grzech, nie uświadomiła sobie,
że zgrzeszyła? Bez względu na to, czy była przy zdrowych
zmysłach, czy ogarnięta szaleństwem, nigdy nie czuła tego,
co powinna była czuć.

354

Niezdolność odczuwania bywa darem; nie podcina się
zamarzniętych żył.

Niezdolność odczuwania bywa bólem; nie podcina się
zamarzniętych żył.

Słońce zachodziło. Gdy zanurzało się powoli w morzu,
a czas miał się lada chwila podzielić. zawołała do siebie
w duchu: „Isabel, czy to jednak nie twoja wina? Uważaj,
by z tego powodu... Tylko z tego powodu... Ani miłości,
ani namiętności. ani pożądania... Ani omdleń i powrotów
do zmysłów, ani szybszego bicia serca. ani dusznych snów.
Czy to możliwe, że wszystkie. ale to wszystkie te rzeczy
były ci aż tak obce?”.

Czy dlatego. że tak go pragnęła. pierwszy i ostatni raz
w życiu poczuła rozkosz? A może pragnęła go tak mocno.
bo pierwszy i ostatni raz w życiu doznała rozkoszy? I dla-
czego oddała mu swój jedyny skarb, swoją perłę — księży-
cowy kamień powierzony jej przez Starą?

Do pokoju weszła jedna z odalisek, wnosząc na tacy filiżankę kawy i zapaloną fajkę. Isabel postąpiła jej uśmiech. Uśmiechając się nieśmiało w odpowiedzi. odaliska postawiła tacę na sini". Miała na imię Serfiraz. Nfi brengi z kadyn, która udzieliła gościny Isabel. wyznaczyła tę dziewczynę do usługiwania jej. Sułtańska małżonka miała spory majątek: należało do niej kilka rezydencji w różnych częściach

Stambułu. Gdy zaproponowała, by Isabel zamieszkała wraz z nią lub ulokowała się w jednej z rezydencji, ta bez wahania wybrała skromną willę w Galacie. Była mniejsza od innych, mniej wystawnie urządzona. Spodobą się jej nie tylko dlatego, że mogła stąd rozkoszować się widokiem zachodzącego słońca. lecz także z tego powodu, iż małe uliczki za nią wydawały się prowadzić do świata związanego ze Starą — w Galacie, między Meczetem Arabskim • a Wieżą** . osiedlili się andaluzyjscy muzułmanie.

Znaczące chrząknięcie Serfiraz wyrwało ją z zamyślenia. Odaliska czekała na dalsze rozkazy. Jej blond włosy, spadające lokami na ramiona, jaśniały w zapadającym mroku. Rzęsy otaczające duże, zielone oczy, grube. mocno zarysowane brwi, delikatne włoski tworzące wąski pas biegnący w dół od potylicy. a nawet smutne, poważne spojrzenie — wszystko to postanowiło nie odróżniać się barwą od włosów i przybrało odcień blond. Na brodzie miała malutki dołeczek — ponieważ rzadko się odzywała, przez cały dzień pozostawał nieruchomy. Mihrengiz Kadyn jx) wiedziała, że Serfiraz od malarńkości jest u niej na służbie.

Isabel znów uśmiechnęła się do dziewczyny i poprosiła, by przyniosła jeszcze jedną filiżankę kawy i jeszcze jedną fajkę. Serfiraz, szeroko otwierając oczy, spytała, czy spodziewa się gości.

- Meczet Arabski — według legendy meczet wzniesiony w czasie oblężenia Konstantynopola przez Arabów w 717 r; w rzeczywistości — zamieniony w kościół św Pawła. a następnie św. Dominika. Wzniesiony w połowie XIII w przez krzyżowców IV krucjaty na miejscu bizantyjskiego kościoła z VI w (przyp. tłum".

- *• Wicia Gaista (Iur Galata Kulni) — wzniesiona w 1384 r jako element dawnych fortyfikacji otaczających genueńską kolonię w Konstantynopolu (przyp. tłum.).

— Nie — odpowiedziała Isabel. — Nie dla gościa, dla ciebie.

Nie kryjąc zdumienia, ale też nie zadając więcej pytań, Serfiraz wyszła z pokoju. Po chwili wróciła z drugą filiżanką kawy i fajką; zatrzymała się, jakby nie wiedziała, co ma z nimi zrobić. Stała tak nieruchomo przez chwilę, dopóki Isabel ruchem ręki nie kazała jej usiąść na poduszce naprzeciwko siebie. W milczeniu piły kawę, ze sposobu, w jaki dziewczyna trzymała fajkę, zaciągała się dymem i przy-
mknąwszy oczy, wypuszczała wijące się smugi spomiędzy różowych warg. Isabel zorientowała się, że Serfiraz wcale nie jest taka niewinna i prostoduszna, na jaką wygląda. Co powiedziała Mihrengiz Kadyn, oddając ją na jej usługi? "Serfiraz to prawdziwa mistrzyni w każdej dziedzinie. Jej usługi są bez zarzutu".

Słyszała plotki, jakie krążyły o Mihrengiz Kadyn. Była ponoć prawą ręką Meleki Kadvn, mającej znaczące wpływy w pałacu: darzyła zainteresowaniem przedstawicielki własnej płci oraz wszystko, co piękne. Można było wywnioskować, że za tak gościnnym przyjęciem ze strony tej przebiegłej kobiety, za oddaniem gościowi do dyspozycji domu i służby nie kryła się jedynie chęć dokładnego wypełnienia woli sułtanki Kósem. Jednak Isabel widywała Miluengil nader rzadko, a jeśli już, nie czuła się w jej towarzystwie nieswojo czy w jakikolwiek sposób skrępowana. Nie miała więc powodów do narzekań. Co więcej, sama myślała, że może wejść w środowisko tej kobiety i w ten sposób pozyskać względy sułtanki matki, sprawiając, że krew w jej żyłach zaczyna żywiej krążyć. Nie mogła się doczekać następnego spotkania z Kosem. Elixir był gotów. Wyszepiała nad nim zaklęcia Starej. Teraz potrzebowała jedynie odpowiedniej

butelki, by go przelać. Szukała tej, którą widywała w snach: długiej, wąskiej, w kolorze fioletowym.

Serfiraz dopiła kawę i spytała, czy może odejść. Sączący się z fajki dym wskazywał, że zostało w niej jeszcze sporo tytoniu. Nim wyszła, odaliska ponownie spojrzała na Isabel dużymi, zielonymi oczami; pierwszy raz zrobiła to z tak bliskiej odległości, tak bezpośrednio, jakby z jej twarzy chciała odczytać myśli i uczucia. Isabel nagle ogarnęła wątpliwość. Być może Mihrengiz się myliła. Być może Serfiraz wciąż była dzieckiem, którego dusza nie nadążała za bujnie rozwijającym się ciałem, przedwcześnie dojrzałą dziewczynką. Poczowała ukłucie w sercu, odwróciła głowę.

małe dziecko...

Czujące ból dziecko...

Nie była zła na siebie. Próbowwała jedynie zrozumieć.

Zachowywała dla siebie rzeczy, których nie mogła nikomu

opowiedzieć, bo wiedziała, że i tak nie zostanie zrozumia-

na. Bo któż mógłby zrozumieć, dlaczego ani razu nawet

nie zatęskniła za Antoniem, dlaczego nie chce zachować

wspomnień o Miguelu jedynie jako pięknych wspomnień.

dlaczego woli nie pamiętać o własnym dziecku? Nie chciała

się na siebie złościć. Próbowwała jedynie zrozumieć. Dlacze-

go gniew i namiętność, i miłość, i nienawiść były jej tak ob-

ce? Czyżby z natury była zła? I jeśli rzeka Duero zamarzła.

czy powinna oddać się słońcu tylko dlatego, że uważa, iż

powinna płynąć?

Co wieczór, w porze gdy słońce ginęło w morskiej toni.

a czas dzielił się na dwoje, piła kawę i paliła fajkę, wspomi-

nając to, o czym nie chciała pamiętać. Rozmyślała wtedy

o rzeczach, nad którymi o innej porze dnia wcale by się nie

zastanawiała, ba, nawet by jej przez myśl nie przeszły. Gdy

w filizance ukazywało się dno. a tytoniowy dym rozpływał

się w powietrzu. nie wracała już do tego. co tak zaprzętało

jej umysł, aż do następnego wieczoru, gdy gniewne, zu-

chwałę fale, pragnąc coś jeszcze uszczknąć z zachodzącego

słońca, wspinały się jedne na drugie. a Serfiraz wchodziła

do pokoju z nową kawą i fajką na tacy.

GĄSIENICA

Kto mnie pokocha, kto mnie zabije?

PIERRE JEAN JOUVE, Pauttna 7880

Seyh Sbleyman Sedef Efendi wcisnął guzik ukryty pod skrzynią z lipowego drewna. Zaczął powoli wchodzić po schodach spuszczonech z sufitu. Zblfe spała. Najwidoczniej poprzedniej nocy nie zmrużyła oka, bawiąc się z gwiazdami i gawędząc z księżycem. Przyglądał się jej w milczeniu. Patrzył z bólem. Patrzył na ból. Wiele nad tym rozmyślał. Wypuścić ZBlfe z poddasza. wprowadzić ją między ludzi oznaczało pogrzebać ją żywcem. Nie zniostaby życia poza swym schronieniem. Nie wiedziała, jak bardzo została oszpecona. W oczach Sedefa Efendiego. oczach, które nigdy nie zapomniały, co widziały tamtego nieszczęsnego dnia, zabłysty łzy.

Byli w ogrodzie. Simten znowu robiła pranie. Ostatnio niemal co dnia ustawiała w ogrodzie kocioł i śpiewem wtórując trzaskom buzującego pod nim ognia, wałkiem do ciasta okładała bawełniane postania jak trzepaczką. Uderzała nim zaciekle, z furią, jakby chciała się zemścić na niewidzialnym wrogu. Zmieniała się Simien. Stawała się

coraz bardziej gniewna, coraz bardziej ponura. Co prawda już przed ślubem miała gwałtowne usposobienie, sądził jednak, że się uspokoi i złagodnieje po urodzeniu dzieci. Ale ani ZUlfe, ani ZUhre nie zdołały dać Simten szczęścia. Dwa mosty, które — miał nadzieję — połączą ją z życiem i rodziną, po cichu rozsypały się w gruzy. Z.Yilfe miała pięć lat, ZUhre trzy. Simten się zmieniała. Gdy dostrzegła na

bieliźnie najmniejszą plamkę. w furii rzucała się na ziemię. wierząc: z wściekłości wyrywała trawę i kwiaty. Bez przerwy płakała. nie wyjaśniała jednak dlaczego. Simten cierpiała. Ale nie mówiła, co ją boli. Sedef Efendi był bezradny. Bezradny i jeszcze bardzo młody. Gdy nie wystarczało jej wyrywanie kwiatów. rwała włosy z głowy. kawałki skóry. i gdy leżały potem na ziemi. głaskała je i śpiewała piosenki. Simten pogrążyła się w szaleństwie.

Czy mogła to zrobić świadomie? Świadomie i celowo? A może to, co przydarzyło się Zulfe. to był wypadek? Czy to możliwe, by człowiek własne dziecko... Do oczu Nadda Efendiego znów napłynęły łzy. Powstrzymał je, gdyż bał się, że obudzi ZULfe, a nie chciał, by ujrzała ojca płaczącego. Dotąd zawsze widziała uśmiech na jego twarzy. Uśmiechał się do niej. uśmiechał się zawsze. jakby nic złego się nie stało. jakby tamten nieszczęsny dzień nie odmienił ich życia. Widział jednak. Że nie zdoła jej ukrywa. dłużej na poddaszu. któregoś dnia jego córka je opuści. Wyjdzie stamtąd i dowie się o swej szpetocie.

Gdy podczas rozmowy Izaak Pereira tak się uniósł,
w jego gniewnie gorejących oczach ujrzał ślad
Tei sinen, która — niczym tęskniąca a za czymś rzeka
— raz wzbierała i przerywała tamy, innym razem
spokojnie drążyła koryto. Simten noszącej w oczach odbicie mglistego nieba. Jakże ją kochał! Na początku małżeństwa wierzył, że ich miłość wszystko pokona i z czasem niepokój dręczący jej serce ucichnie. Nie przypuszczał. że Simten może próbować zagłuszyć własny ból cierpieniem

innych.

Czy tamtego dnia wiatr był bardzo silny? Dość silny.

by przewrócić kocioł z bielizną?

Zulfe znalazła w ogrodzie gąsienicę. Trzymając ją w zaciśniętej piąstce, z radosnym okrzykiem pobiegła pokazać mamie. Kocioł się wywrócił. Gąsienica zwinęła się w ukropie. Poczerniała trawa.

Zulfe zastygła w bezruchu. Ani drgnęła.

Pół jej twarzy było motylem. drugie pół — gąsienicą.

ZAKRĘT

Jeśli nawet popełnię jakiś błąd, nic strasznego:

opowieść się przez to nie zmieni.

UMBERTO ECO. Wyspa dnia poprzedniego

(Tłum A Szymanowski)

Stała przed nim. Tak samo piękna jak dawniej. tak samo odległa i nieodgadniona, jakby zaprzeczała upływowi czasu.

Odwracał głowę. by na nią nie patrzeć. zamykał oczy. jednak za każdym razem znów wbijał w nią wzrok, nie mogąc się napatrzeć na białą jak mleko cerę i wielkie. czarne oczy.

Oto ona. Mała przed nim, zwielokrotniona w odbiciach luster miasta. Milczała. jej oczy mówiły, czego nie chce, lecz ani trochę nie zdradzały, czego pragnie. Gdy tylko ją ujrzał. Izaak wiedział, co ma uczynić. Isabel nie chciała tego małżeństwa, on zaś nie chciał robić tego. czego ona nie chciała.

Rabini szczegółowo zbadali i przedyskutowali tę kwes-

cię: w końcu wydali postanowienie. Zadanie przekazania go powierzono rabbiemu Jakubowi, który objaśniając Izaakowi tradycję, wydawał się zmartwiony. Zgodnie z zasadą lewiratu owdowiała po nagłej śmierci Abrahama Pereiry Isabel Nufiez Alvarez powinna zostać poślubiona jego bratu. Jeśli jednak ten nie zechce wziąć jej za żonę, po ceremonii zwa-

nej chalica zostanie z tego obowiązku zwolniona. Słowa zasypywały go jak grad ostrych kamieni. Spadały na niego jedno po drugim. Wbijały się weń, rozrywały ciało. Imiona przesywały go na wskroś. Nie czuł jednak bólu. Słyszał słowa, rozpoznawał imiona, ale nic nie czuł. Ze zdumieniem spoglądał na ramiona, nogi i piersi, podziurawione jak sito. Próbował pojąć, kiedy i jak znalazł się w takim stanie, lecz zaraz się poddawał. Ogarniało go otępienie. Isabel spowijały błyszczące, kosztowne materie, szeszczące przy każdym ruchu. W długich, falujących włosach połyskiwały cenne klejnoty. Na jej ramionach przysiadły ptaki. Uśmiechając się do nich, unosiła się w powietrzu. lekka jak piórko, nieuchwytna jak wiatr, niepowstrzymana jak woda, żywiołowa i radosna. Krew plamiła jej suknię, lecz ona nie zwracała na to uwagi. Strącała ptaki. Nie oglądała się za siebie i być może dlatego nie zamieniała się w kamień, nie stawiała się słupem soli. Przekraczała bramy pałacu, przebiegała jego korytarze. Kochała malutkie dziecko Ibrahima. Zawsze uśmiechnięta, w spojrzeniu nosiła piętno Kiisem. Pieczętowała znakiem Kiisem serca, które już złamała i które miała złamać w przyszłości.

Oto ona na zakręcie zrodzonym przez drogi dróg. roz-

kawałkowanym przez lustra luster. wymazany z pamięci przez opowieści opowieści. Stała spokojna i obojętna, wolna od obaw i trosk, jakby chciała pokazać, że to nie ona jest przyczyną potwornego kataklizmu rozłupującego trzewia ziemi, że ten koniec świata, ten potop, zniszczenie i ból nastąpiłyby i bez niej. Oczekiwała, że wszyscy to pojmą. Izaak rozumiał. Wiedział, że Isabel nie chce tego małżeństwa, że gdy tylko odzyska wolność, dołączy do wędrownych ptaków i odejdzie. Najwidoczniej w jakimś miejscu

ich pamięci się rozdzieliły, zapamiętali bowiem zupełnie co innego. Wspomnienie, które osadziło się w sercu jednego, odplynęło już dawno z krwią drugiego. Tam gdzie jedno się zatrzymywało, drugie ruszało do wyznaczonego celu.

Tego, co jednemu wystarczało, drugiemu było za mało. Zrozumiał to Izaak. Pochylił się i szepnął rabbiemu Jakubowi na ucho, że nie chce się żenić. Otoczyli go starsi gminy i przekonywali, jak tylko mogli, namawiali, aż im języki kołkiem stanęły. Patrzył na nich z gorzkim uśmiechem, na ich wyschnięte wargi, na splecioną z tradycji linę, której uczepili się kurczowo z lęku przed samotnością. Jeśli już musieli kogoś lub coś przekonywać, to raczej oczy Isabel odbijające się w oczach Izaaka. Pieczęć Kosem, lustro miasta, wędrowca łapiącego oddech na zakręcie powinni namawiać, nie Izaaka Pereirę.

Isabel pościła. Nie odzywała się słowem. razem z Izaakiem stanęli naprzeciw pięcioosobowego trybunału. Skoro starcy nie przekonali Izaaka do zmiany decyzji, przyszła kolej na ruch Isabel. W obecności starszyny Isabel po.

deszła do szwagra. Przyklęła. Przez moment trwała w tej pozycji. pochylona. Potem podniosła głowę. powoli. jakby wyciągała z wody sieć pełną małych rybek. Llewą dłonią ujęła prawą stopę Izaaka. rozpięła klamry i ściągnęła but. Splunęła na ziemię.

— Tak zostanie uczynione człowiekowi, który nie chce zbudować domostwa swemu bratu!*

— Niech Pan oszczędzi ceremonii chalicy córkom Izraela — wymamrotał rabbi Jakub głosem, z którego przebijał smutek.

• według: Ibra Pude% Lauder, 2006 — Dewarim, 25,9 (przyp. tłum.).

364

Ceremonia dobiegła końca. Izaak Pereira wciąż stał bez ruchu. Nie zauważył, kiedy Isabel wyszła. Ciekawe, czy obejrzała się za siebie? A jeśli się obejrzała, czy w oczach opatrzonych pieczęcią Kusem zostawiła pożegnalny list? Został sam. Słońce skryło się za horyzontem, wzeszedł księżyc, zabłyśły coraz liczniejsze gwiazdy. Był sam jak palec.

SEKRET

Nikommu nie mów — Ziemia Jest okrągła.

TOM ROBBINS Perfumy w rytmie ilterbu98

(Tłum M Hesco Kołodziejska

Trzy dni po tym, jak Isabel odeszła. Izaak Pereira po raz pierwszy od miesiący wyszedł z domu. Wydawał się radosny. Nucąc pod nosem piosenkę, której nie śpiewał od

lat, z każdym jej taktem czując. jak opuszcza go napięcie.
zaczął iść ulicami pod ołowianoszarym niebem. Nie oczekując odpowiedzi. pozdrawiał napotkanych na drodze imamów, rabinów i popów. wierzących i niewierzących: pytał O zdrowie smagłych uliczników. wystrojonych modnisiów. klnących brzydko Cyganów. bezczelnych kieszonkowców, wdzięczące się dziwki i zalanych w sztok pijaków. którzy nie wiadomo, gdzie się szlajali. Janczarów o groźnych bezczelnych kieszonkowców.

wdzięczące się dziwki i zalanych w sztok pijaków, którzy nie wiadomo, gdzie się szlajali, janczarów o groźnych minach, obdartusów uczujących wśród odpadków i nalańców: wrzucał kawałeczki orzechowego rat hallokim) do żebraczych miseczek danyiszow o ogolonyli twarzach. wtykał je w pomalowane henną ręce urwisów i zostawiał na progach stojących rzędem domów, po czym uciekał jak najdalej i nie starał się zrozumieć przyczyn chorobliwej radości, jaką wzbudzał. Szedł przez place, skryte w cieniu

466

platanów, kręte uliczki, mroczne podwórza, migotliwe jarmarki i wypełnione gwarem bazary. Podziwiał domy z wykuszami, zrujnowane chatki o izdebkach tak malutkich, jak skorupka orzecha, pałace niczym z bajki, pyszniące się bogactwem wille. urocze i zapierające dech w piersiach rezydencje na brzegach Bosforu. Gdy znów znalazł się w dzielnicy położonej w głębi Złotego Rogu. usiadł na przystani i zapatrzył się na łódki kursujące między Haski:wa a Balat. Kiedy słońce kryło się za horyzontem, wspiął się na

czubek skały, u której podnóża przesiedział kilka godzin.

Ukloniwszy się, zawołał do miasta, którego brzegi nigdy nie miały się połączyć:

— Heeej! Pamiętasz mnie?

Stambuł przeglądał się właśnie w lustrze, umieszczonym tam, gdzie nieszczęsny krawiec wbił w niebo nożyce. Myślami był daleko. Obojętność miasta rozwścieczyła Izaaka. Ujawszy się pod boki, zaczął wrzeszczeć, ile tchu w piersiach:

— Ty! Za kogo mnie uważasz?! Myślisz, że odejdę, nie pozostawiając po sobie śladu? Powiedz, za kogo mnie masz!

Miasto Miast starało się umalować sobie oczy kajalem.

Z zaskoczenia ręce mu zadrżały i linia wyszła nierówna.

Teraz ono miało powód do złości. Już miało obrzucić śmiałka niewybrednymi obelgami. gdy spostrzegło, że młody człowiek, który prowokował je krzykiem, przestał się nim interesować. Odłożyło kredkę i zaczęło bacznie mu się przyglądać.

Gdy stanął na szczycie skały, spojrzął na świat zupełnie innymi oczami. Wielkie miasto zostało gdzieś w dole, jego zgiełk zamienił się w chmurę dymu i opadł. zniknął bez śladu. Nie przepuścił takiej okazji. Zwróciwszy się plecami

do morza, a twarzą do ludzi, zaczął krzyczeć, napinając się z wysiłku:

— Heeej! Dokąd to? Stójcie! Zatrzymajcie się i posłuchajcie. Nie widzicie, że to ja jestem tym. na którego czekacie? To mnie widziała Ester w swoich snach!

Wokół niego grupkami zaczęli się zbierać ludzie. Wieść

wzniosła się lotem błyskawicy. Podmuchy poryazu roznieciły na nowo przygasły ogień. Rabbi Jakub poczuł żar płomieni i ze żwawością nieoczekiwaną u osoby w jego wieku pospieszył na przystań. Choć wyczerpany biegiem. ledwie chwycił oddech, natychmiast złapał Izaaka i próbował ściągnąć go ze skały.

— Izaaku, synu mój! — powiedział ściszym głosem.

— Ty też wiesz. Ty też to zauważyłeś, czyż nie? Wiedziałeś, że ten, na kogo czekają, to ja. nikt inny. Zrozumiałeś to w chwili, gdy mnie zobaczyłeś. lecz zachowałeś ten sekret dla siebie. Prawda jednak wyszła na jaw.

— Izaaku, nie rób tego. Igrasz z ogniem Nie iestes mesjaszem. jesteś... jesteś po prostu nieszczęśliwym człowiekiem — rabbi z trudem dobywał głos ze ściśniętego gardła. Próbując powstrzymać łzy. uparcie cisnące się do oczu. nie był w stanie zapanować nad drżeniem brwi i posiwiałej brody.

— Być może — odparł Izaak. który wydawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na mękę starca. — Sądzę jednak, mój drogi mistrzu, że podejrzliwie należy traktować nie tych, którzy stali się nieszczęśliwi. lecz tych, którzy mimo wszystko szczęśliwi pozostali.

— Przestań, synu. Narobisz sobie kłopotów. Zaszko- dzisz sobie i innym — cierpliwość rabbiego była na wyczerpaniu. — Przysporzysz sobie wrogów.

— Nawykłem do tego — oświadczył Izaak z gorzkim uśmiechem. — Moje sumienie do tego nawykło i ja też. — Zamyślił się na chwilę, po czym dodał: — Trawy nie mają

wrogów, robaki też nie. Ot. żyją i giną. Spójrz na mnie. Czy ja przypominam trawę albo robaka? — Rozłożył szeroko ramiona i krzyknął: — Kocham gniew. a gniew kocha mnie. Wątpię. czy ci, którzy nie czują gniewu, są przy zdrowych zmysłach. czy mają dusze. Moje serce mieści tyle gniewu, że każdego z was mogę nim obdarzyć, mogę obsypać was szczerze całymi garściami niczym złotymi monetami...

Chodźcie. podejdźcie tu wszyscy!

Pokryta zmarszczkami twarz rabiego stawała się raz żółta jak cytryna, raz czerwona jak owoc granatu, raz biała jak śnieg. raz zielona jak strach. Nagle Izaak zapragnął go objąć, uścisnąć, pocieszyć. przypomnieć. że Bóg przemawiał w liczbie mnogiej... Zeskoczył ze skały. Spojrzał starcowi prosto w oczy.

— Nie rozumiesz? Nie widzisz, jakie to wszystko dziwne? Tyle bólu, tyle tęsknoty. tyle rozpaczy... Dlaczego stale mnie to spotyka? Dlaczego nie staje się to udziałem innych, tylko moim i tych, których kocham? Musi być jakieś wytłumaczenie. Jak to wyjaśnisz? Jeśli nawet uda ci się mnie przekonać. to jak przekonasz mój gniew?

Rabbi Jakub nieco się uspokoił. Chwycił dłoń Izaaka, zimne jak lód.

— Mój synu — powiedział łagodnie — ból jest udziałem nas wszystkich. wszystkich ludzi. Ale z każde cierpienia bez wątpienia otrzymamy kiedyś zadośćuczynienie.

— Nie! — jęknął Izaak. — Zajrzyj w głąb mojej duszy. Ten dzban pomieścił więcej, niż mógł. Teraz wystar-

czy kropla, by się przelało. Niech płynie, chcę się od tego

uwolnić.

Odwrócił się plecami do ludzi, słuchających go z radością i zapalem miłośników widowisk. Czuł ucisk w gardle.

— Niegdyś pewien mój przyjaciel powiedział, że chciałby podróżować po świecie. Wyśmiałem go. Potem jednak przyznałem mu rację. Tak, on powinien być podróżować, zobaczyć świat. Ale ja... jestem inny. Ja sam jestem światem. Świat jest tam, gdzie ja jestem. Ludzie powinni przybywać. by mnie obejrzeć. zwiedzić mnie, zagubić się we mnie — głos wiązał mu w gardle. lecz mówił dalej.

— Zwykłeś dodawać ludziom otuchy, mówiąc, że wszyscy cierpimy. Ale dla mnie to żadna pociecha. Mnie pocieszyć może tylko świadomość, że nikt nie cierpi tak, jak ja.

ZEWNAȚRZ

Zostaliście uwięzieni, ale nie Jesteście sami

Jest wielu takich, którzy chodzą wolni po ulicach,
a są włężniami.

KHALIL GIBRAN, The Son o/Men

Obudził ją własny krzyk. Nie zmieścił się w małym poikoiku na poddaszu. wyfrunął przez okno, dotarł do nieba i rozdarł się w powietrzu odgłosem gromu. Burza była blisko. Czuła to. Widziała. Przyśnił się jej. Cudzoziemiec o kędzierzawych włosach, którego tamtego dnia ujrzała na dziedzińcu tekke. Rozglądał się z zaciekawieniem, a potem wybiegł rozgniewany. Teraz miał kłopoty.

Wstała z łóżka. Przez chwilę z zamkniętymi oczami wśluchiwała się w szum deszczu padającego na dziedzi-

niec tekke. sad i cmentarz. Gdy otworzyła oczy, była zdecydowana wyjść na zewnątrz.

Wsunęła dłoń w kopułę nieba / powoli wyciągnęła
sieć i zebrała garść i rozsypanych liter poety prześmiewcy
/ policzyła je / zeszała po schodach / i zaczęła się przygoda
- dzieciństwo wołało Za nią / cień pobiegł jej śladem i za-
skrzypiały drzwi / Zuhre wyszeptwała imię nieznaney siostry
/ deszcz przyspieszył i złapała fatum za włosy uchyliły
się drzwi z metalową kratą/ Şeyh Snleyman Sedef Efendi

zapłakał przez sen / ulice miasta stanęły otworem / gdzieś
daleko wariatka zaśmiała się głośno! pół twarzy / jęknęło
z bólu / zewnątrz połknęło wewnątrz/ rozsypując na uli-
cach / litery poety / ułożone w słowa! zaczęła biec / nie po
to. by znaleźć drogę powrotną! lecz by nie kroczyć dwa
razy tą samą.

KIM JESTEM?

Cóżby zależało na Bogu, który by nie znał
gniewu, zemsty, zawiści, szyderstwa,
chytrości, gwałtu?

FRYDERYK NIETSCHE, Antychryst

(tłum. L. Staff)

W porze gdy ciemność zmaga się z jasnością, gwałtownym
ruchem otworzył — niemal rozdarł — woreczek, który no-
sił na szyi, i spośród suszonych płatków róż wydobyl spo-

czywający w nim bez ruchu księżycowy kamień. Na jego widok poczuł ucisk w sercu. Dysząc ciężko. niczym ranny koń, daremnie próbujący wydostać się z rowu i desperacko łąpiący powietrze przez rozchylone w przerażeniu chrapy. przyglądał się przyczynie swego nieszczęścia. Pogładził kamień, pocałował. powąchał, przesunął po wargach. „Powiedz mi, proszę. kim jestem?” Poczuł się urażony zdziwionym spojrzeniem kamienia. nie rozumiejącego. o co mu chodzi. Znow poczuł niepokój w sercu. Nic to. „Dlaczego milczysz? Powiedz mi, kim jestem? Do kogo wydaję się podobny z miejsca, z którego na mnie patrzysz?”. naciskał. Niebo rozjaśniła błyskawica. Księżycowy kamień pękł lecz nie rozpadł się na części. Jedynie powstała na nim rysa. W porze gdy gwiazdy zaczęły się poruszać. to samo pytanie zadał kielichowi wina. Uniósł go na wysokość oczu,

spojrzał nań, zezując, i zapytał: „Powiedz mi, proszę, kim jestem?”. W odpowiedzi kielich się skrzywił, a wino spieniło. Miał tego dosyć. To nie było jedno z pytań-zadawanych-tylko-po-to-by-o-coś-zapytać, lecz należące do tych głodnych i spragnionych odpowiedzi. „Dalej. odezwij się! Powiedz mi. kim jestem?”, naciskał. W jego głosie zadźwięczał gniew. głos uderzył w kielich, który rozprysł się na kawałki, a wino wylało się na ziemię.

W porze gdy gwiazdy zbiły z tropu znaki zodiaku, zadał to pytanie ulicom. Z brzękiem dzwonka drzwi winiarni zatrzasnęły mu się przed nosem i nagle znalazł się na bruku. który — chichocząc — przyglądał się włóczędze o miłym głosie i aparycji. Gdy tak szedł chwiejnym kro-

kiem, potykając się i wstając. wśród jęków lic. odkrył, że ślepe uliczki mają ukryte przejścia. i poczuł złość na ich dwulicowość. Był jednak gotów wybaczyć im to zakłamanie, jeżeli wyjaśni mu to. co go nurtuje. Zapytał więc po raz kolejny: _Powiedzcie mi. proszę, kim jestem.

..Kim jestem? Czy jestem piękny. czy: brzydki? Czy jestem wyjątkowy, czy taki jak wszyscy? Czy powinienem mówić w liczbie pojedynczej, czy mnogiej? Dlaczego tak bardzo pragnę wiedzieć, kim jestem? I dlaczego im usilnie staram się odnaleźć siebie. tym bardziej się gubię?"

W porze gdy gwiazdy zaczynały powoli gasnąć. zadał to pytanie samemu sobie: _Kim jesteś.>". W odpowiedzi jego serce zaczęło bić jak oszalałe. Wtedy przestraszył się siebie. -Ty... jaki jesteś? Kim jesteś?"

W chwili gdy się tego zupełnie Spodziewał, dostał odpowiedź na zadawane po tylekroć pytanie. Skoro to takie ważne, nadstaw dobrze uszu i posłuchaj mnie uważnie! Jesteś..." Jeżeli słowa opuszczające usta nabierają mocy,

te, które ich nie opuszczają, stają się przeklęte. Nie zdążył dokończyć. Zwijając się z bólu, padł na ziemię. Krew była ciepła i słodka. Nie rozpoznał zabójcy.

Gdy jego czoło uderzyło o bruk, rozległ się głuchy odgłos. Ból rozrywał mu pierś. Nie mógł się poruszyć. Nagle tuż przed sobą dostrzegł coś błyszczącego. W pierwszej chwili nie poznał co to. Nagle zasłona się rozsunała, mgła rozproszyła. Różowoczerwony kamień w złotej obwódce mrugał do niego przymilnie. Zakrwawiony skalpel leżał na ziemi; strumienie deszczu nie zmywały z niego krwi.

„Dlaczego?“, wyszeptał Izaak. Skalpel się uśmiechnął. „Nie wiem — odpowiedział — mnie o to nie pytaj. Znalazłem się w opowieści napisanej po mnie“.

Umierał. Krew zmieniała się w wodę, dusza sączyła się kropla po kropli. Skalpel z rękojeścią z różowoczerwonym kamieniem w złotej oprawie zerkał na niego kątem oka i ziewał znudzony.

Coż pocznę
kiedy zapładniający wiatr
zostawi mi zarazę
ISMET ÓZEL, Erbom

„Kim byłem?“
Miguel Pereira
na jednym krańcu Morza Śródziemnego.

„Kim byłem?“
Izaak Pereira
na przeciwległym krańcu Morza Śródziemnego.

„Kim byłem?“
Morderca i ofiara. Mam na rękach krew innych, inni mają na rękach moją krew. Popełniłem zbrodnię. być może niejedną. Ale wszystkie ślady zostały w jakiś sposób wymazane z mej pamięci.

Staję się ofiarą zbrodni. Być może niejednej. I jakoś nie wierzę. by przywdziano po mnie żałobę. Nie widzę twarzy moich morderców: z ich imion pozostają jedynie litery. Ty-

siące słów. dziesiątki opowieści utkwily mi w gardle. Mil-
czę, gdy powinienem mówić. Nie powściągam języka. gdy

powinienem milczeć. Wiele mam rzeczy do opowiedzenia,
lecz nie wiem, czy chcę zostać zrozumiany.

„Kim byłem?”

Jeśli powiem — czy ktoś będzie to wciąż pamiętał, gdy
przewróci stronicę?

•

KAMIENIE

Morze śródziemne to szlaki

LUCIEN FERVRE

Obraca się nieustannie Morze śródziemne.

Obraca się i nie wie. że od tego kręci nam się w głowach.

Olbrzymie i malusieńkie, wieczne i nic nie znaczące.

Wilgotna i płodna piękność nad pięknościami.

Wysuszona gniewem. zazdrosna sekutnica.

Mijamy je. przychodzimy i odchodzimy.

Od krańca do krańca spisywane są opowieści.

A potem

W pośpiechu. by się nie spóźnić.

pamięć zapomina to. co zapisała.

Pełne zatopionych okrętów jest Morze Śródziemne.

A przecież

Zawsze w horyzont

wpatrują się żeglarze.

Kamienie przelatywały w powietrzu niczym iskry tryskające spod młota kowala. Nie trafiające celu, nie wiedzące, o co chodzi, nie wierzące w istnienie ani początku. ani końca; kamienie o językach napiętnowanych żelazem i zmąconych umysłach; nigdzie nie znajdujące schronienia, próbujące opowiedzieć osiadłym pobratymcom o swych pragnieniach. rzadkie i cenne, wędrowne kamienie...

Przelatując, zataczały kręgi nad Morzem Śródziemnym. Wbrew temu, co pokazują mapy, morze to samo jest olbrzymim kręgiem. Stale się obraca, pokazując minioną urodę, niegdysiejszą świeżość. W jednym miejscu krąg został przerwany. Kamienie zatkały dziurę, by wody nie zalały ust niczym róże.

W wody Bosforu wrzucają bezgłowe ciało mistrza satyry. Perła w zaciśniętej lewej dłoni... Algierscy korsarze rabują jego przeszłość. Perła na pokładzie... Niewolnica z Afryki Północnej zostaje wyzwolona. Perła błyszczy w jej włosach... Amet Zambarel przepada jak kamień w wodę. Perła zaszyta w musce... Mała dziewczynka wychodzi z piwnicy. Perła w jej zielononiebieskich oczach... Wzbierają wody rzeki Duero. Perła w obojętności kobiety... Jedno jedyne miłosne zbliżenie pozostawia po sobie ślad. Perła na szyi mężczyzny... Okręty przemierzają Morze Śródziemne. Perła w marzeniach dziwnego stworzenia, na wpół motyla. na wpół gąsienicy...

Żarłoczne było miasto i nader ciekawskie. CZEmu pochłaniało tak dużo, że dostawało rozstroju żołądka. Rzygało. Z bulgotem zwracało wszystko, co — mlaszcząc — pożarło wcześniej ze smakiem.

Było ich mniej więcej czterystu. Perłę znalazł tylko jeden z nich. Poszedł na brzeg morza i optukał znalezisko. Spojrzał na klejnot i uśmiechnął się. Samotni ludzie, samiuteńkie jak palec kamienie i opowieści o samotności pływają w wodach Morza Śródziemnego. Kołyszą się na falach, w górę i w dół. Kręgiem jest Morze Śródziemne. Obraca się. obraca. obraca.

PRZYPADEK

A co jest poza?

Poza nie ma nic.

BE5IR WAD

Gdy próbował się poruszyć. z jego piersi wyrwał się prze-
rażliwy krzyk. Ale choć rana była głęboka, a ból przeszywa-
jący, zaskoczenie tym, że wciąż żyje. pozwalało o wszyst-
kim zapomnieć. Ten ktoś, komu zawdzięczał życie, stał
przed nim. Nosił na twarzy dwukolorową maskę, piekło
i raj jednocześnie. Kiedy spojrzał na tę osobę, zrozumiał,
że spogląda na własne odbicie w lustrze. Gdy tylko jej
dotknął, ogień tłący się w pachwinach na nowo wybuchł
płomieniem.

Czasem nie ma poddasza. by się na nim na powrót
skryć, ani miasta, do którego można wyjechać. Każde miej-
sce jest w zasadzie takie samo i żadne nie jest takie samo.

Móc wyjechać to tęsknota kryjąca się w słowach pewnych ludzi; inni modlitwę niemożliwą do spełnienia kończą słowem „amen”. Bywają tacy, którzy podczas ucieczki zapuszczają korzenie, i tacy, dla których zapuszczenie korzeni jest ucieczką. Tym, którzy uciekają w pośpiechu, w popłochu, podróż nawet na odległość ziarenka pszenicy może wydać się drogą trudną do pokonania. Gniewne duchy z tym samym nasieniem trafiają do macicy i z tym samym wiatrem przychodzą na świat. Ktoś okaleczony w jednej chwili odczytuje rodowód innego okaleczonego. Jest ich tak niewielu, że nie chcą stracić jedno drugiego. Uprawiają miłość. Niekiedy przynosi to ulgę. Pragną zabić z premedytacją swoją pamięć i — by znaleźć najbardziej odpowiednie miejsce zbrodni — wyruszają w drogę. Ich kompasy niezmiennie wskazują wschód. wszak Ziemia jest okrągła. Uciekinierzy ci nie mają ojczyzn więc i obczyzna dla nich nie istnieje. Należą tylko i wyłącznie jedno do drugiego. Do nich miłość nigdy nie przychodzi z czasem. Jeśli jest — to od razu. I tyle.

Trzymali się za ręce. Połączyli się pod mrocznym niebem w swojej samotności, zwielokrotnieni w odbiciach luster. Przypadkiem liczby znalazły się obok siebie.

liczby...

Gdy Izaak objął Zuhfe. gdy połączyły się dwie różne postawy wysublimowane z dwóch zupełnie różnych opowieści, krąg się zamknął. Iailfe wciągnęła w nozdrza zapach kruczoczarnych, kędzierzawych włosów i uśmiechnęła się. Wiedziała przecież. Nie miała wątpliwości. że to. co jest

jednym i staje się dwoma. gdy jest dwoma — może stać się zerem.

PLATAN

Choćbym wysiłkiem rąk obu wstrząsnąć
zapraǳnął tem drzewem, nie zdołam
przede tego uczynić. Lecz wiatr, którego
nie dostrzegamy, dręczy je i przegina, jako
zechce. Najnielitościwiej dręczą nas i poginają
niewidzialne dłonie.

FRYDERYK NIETZSCHE, Tako rzecze Zaratustra
(Tłum. W. Berem)

Stary był platan. stary i znużony.
Krwawy był platan, krwawy i urażony.
Gdy wody odzyskały przejrzystość, śmiałe cienie dni
minionych bez śladu. niepostrzeżenie zbliżyły się do stu-
letniego drzewa. Rozesłały na ziemi połatana płachtę i po-
trząsnęły jego gałęziami, z których z trzaskiem posypały
się resztki ciał. To były jego owoce: wyschnięte, cuchnące
kaczany. Cienie musiały zatkać nosy. bo fetor był nie do
wytrzymania. Platan śmierdział wiatrem i okrucieństwem,
deszczem i śmiercią.
stał zupełnie nagi. Wraz z każdą obdzieraną ze skóry
ofiarą tracił część liści, kora odpadała płatami, łamały się
gałęzie i teraz stał nagi, nagusieńki, marząc o liściu figo-
wym, który zakryłby jego wstyd.

Gdy Zolfe i Izaak stali się kręgiem wewnątrz kręgów,
wirowali, trzymając się za ręce, twarzą w twarz, po splą-

484

tanych, wąskich, prowadzących donikąd uliczkach Stambułu. aż znikli bez śladu; jednak pozostali mieli jeszcze niejednego doświadczyć.

Ósmego sierpnia roku tysiąc sześćset czterdziestego ósmego zbuntowali się janczarzy. Żądali, by na tronie miejsce ibrahima zajął jego syn. sześćioletni Mehmet. Gdy śmierć, przed której imieniem i odgłosem kroków wciąż uciekał, zajrzała mu w oczy. sułtan Ibrahim nie stawiał oporu. Zatrzepotał skrzydłami jak ptak. lecz nie znalazł mięsa, w które mógłby wbić szpony.

Trzeciego września roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego w objęcia śmierci popchnięta została sułtan-ka Krisem. Nie spodobało się jej to. Próbowano uciekać. lejszyja*. przeklinając zabójców. przypomniała sobie, że sama została przeklęta.

Czwartego marca roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego szóstego niepokoje osiągnęły szczyt. Na dłoniach Stambułu platan wyrzył swe imię: Drzewo Krwi.

Gdy janczarzy. którzy dopiero co powrócili z wyprawy na Kretę. otrzymali żołąd nie w srebrnych ale w lepszej monecie, podnieśli bunt pod wodzą kunia Nasilili' Agi i wojewody Galatv Nlehmata Karakasa. ile w pojedynkę niewiele mogli zdziałać. o tyle w grupie stawali się

groźni. Zarządca lenn Kara Abdullah miał być mediatorem między padyszachem a wichrzycielami. Okazał się jednak wielce nieostrożny, gdyż sądził że jako poseł jest nietykalny. i swą pomyłkę przypłacił życiem. Sułtan mógł jedynie

obserwować z okien pałacu, jak zbuntowani żołnierze rozrywają na sztuki jego posłańca. Jak powiadają, władcy drżała lewa powieka. Jedna ofiara nie wystarczyła jednak, by uśmierzyć gniew janczarów. Otrzymane miedziaki zawinęli w chusty i cisnęli padyszachowi pod nogi — za czerwone monety zażądali czerwonej śmierci. Na ich liście widniało trzydzieści jeden imion.

Martwe ciała dowódców czarnych eunuchów* i białych eunuchów** zrzucano z murów pałacu Topkapi. Buntownicy przywiązali sznury do stóp zamordowanych i powlekli ich ciała na Plac Koński. Tam czekał na nie platan. Jak każdy, kto chciał odejść, lecz nie mógł, drzewo marzyło, by uciec, ale nie zdołało tego zrobić, i przeklinało trzymające je w miejscu korzenie. Następnego dnia padyszach kazał udusić dwóch czarnych agów i hosodaboși***, ciała zaś zrzucić z murów. Je również powleczono na plac i powieszono na drzewie. Janczarzy im więcej dostawali. tym większy mieli apetyt i odgrywali się Za ponizenie, mierząc coraz wyżej — teraz zażądali głów ochmistrzyni sułtanki matki, Meleki Kadyn. musahipana Yusufa Agi. a także innych dworzan. W miarę ubywania imion z listy zamykały się sklepy, pustoszały ulice, mroczyły lustra. śmierć panoszyła się na ulicach Miasta Miast. Ósmego marca na gatur kular agaw laga dziewcząt) — naczelnik sułtańskiego haremu do-

wodzący czarnymi eunuchami (przyp. tłum.).

ss Tur. kap; agam (aga %%Tri() — naczelnik białych eunuchów obsługujących męską część pałacu

**s Hasodahav sułtański szambelan, biały eunuch zawiadujący nenbi-mytni apanamentami władcy

***s Musahip — przyboczny władcy. zajmujący się także organizacją marywrk (przyp. tłum.).

łęzi zawisło ciało ęaywbay*. Heroldzi rozgłaszali w całym Stambule, że ci, którzy wskażą kryjówki zbiegłych dostojników, otrzymają zeamet**. Następnego dnia Meleki Kadyn i czworo innych dworzan podzielili smutny los poprzednio straconych. Ciała wieszane na płatanie obdzierano ze skóry. wypruwano im wnętrzności. Mięso i tłuszcz obierano kawałek po kawałeczku — cieszyły się dużym powodzeniem jako lek na rozmaite choroby.

Wówczas przemówił sztylet i powiedział, że czymś innym jest zabicie kogoś żyjącego. a czymś innym uśmiercenie martwego. Przychodzi taki dzień, taka chwila, że każdy, bez wyjątku, staje się zdolny do popełnienia morderstwa. Ktoś, kto nie skrzywdziłby nawet mrówki, jest w stanie odebrać komuś życie. Ale zabicie trupa. pocięcie jego ciała na kawałki...

Dziesiątego marca spahisom i janczarom wypłacono żołd w srebrnych akce. Miedziane monety pozbierano w całym mieście i w workach wrzucono do morza.

Dziewiątego maja roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego szóstego przywódców buntu pod różnymi pretekstami zwabiono do pałacu i zamordowano. Przetrząsnięto mia-

sto i ujęto jeszcze dwadzieścia osób, które powieszono. Te dramatyczne wydarzenia ani trochę nie zdziwiły dwóch strzępów cienia uwięzionych w tabakierce %budda IV. Martwy sułtan przewracał się w grobie. "Po mnie choćby

Te

dramatyczne wydarzenia ani trochę nie zdziwiły dwóch strzępów cienia uwięzionych w tabakierce Murada IV. Martwy sułtan przewracał się w grobie. „Po mnie choćby

•

alsibmis — ybsydi „ki urzędnik na dworze osmańskim, do którego obowiązków należy m. in. organizacja obrad dniano (rady wezyrów) b opatrywa-

potop". Jedna część kraju w ranach. druga — pogrążona w hulankach. Wszędzie czuć było śmierć, stolica oddychała jej odorem.

Platan był zupełnie nagi. Wraz z każdą obdzieraną ze skóry ofiarą tracił część liści, kora odpadała płatami, łamały się gałęzie i teraz stał nagi, nagusieńki, marząc o liściu figowym, który zakryłby jego wstyd.

łzy, które przelał, spłynęły do Morza śródziemnego od wschodu, zaś łzy ulicy Fortuny — od zachodu. Podniosły się fale, wzburzyły się wody. Lecz choć na dnie leżały zatopione okręty i utracone skarby, to w horyzont wpatrywali się wszyscy żeglarze.

(...) człowiek nowożytny jest nieodwracalnie wliczony w historię i postęp, [implikuje

to] ostateczne porzucenie rajy archetypów

i powtarzania.

MIRCEA ELIADE, Mit wtoczono powrotu

(Tłum. K. Kocian)

Powód, dla którego przyjechałem do tego miasta, przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. W Mieście Luster nie ma już nikogo, kogo chciałbym zobaczyć, żadnej opowieści, w której chciałbym zostawić ślad. Zisan umarła. Z nią zaś umarło dla mnie całe miasto.

W noc, gdy Zisan odeszła z bolesnym uśmiechem na ustach, wydarzyło się coś dziwnego. Pojawił się stwór...

Pojawiła się zjawa, cała biała. Jakby wyszła z worka z mąką. Stanęła przede mną i przywitała się. przekrzywiając głowę w lewo i przykładając dwa palce lewej ręki najpierw do policzka. a potem do skroni. ze strachu serce podeszło mi do gardła. Zjawa wydawała się smutna. Jakby... jakby coś ją dręczyło.

Przesiedzieliśmy w milczeniu naprzeciwko siebie do rana. Gdy zaczęło świtać, oznajmiła, że nazywa się Maggid I ma mi do opowiedzenia pewną historię. Odparłem, że wcale mnie ona nie interesuje.

— Ależ Andresillo zachnął się duch.

Wzdrygnąłem się. Od dawna nikt nie zwracał się do mnie tym imieniem. Jakże obce mi się wydało!

— Andres, jesteś w środku opowieści napisanej długo przed tobą. Nie chciałbyś jej poznać? — nalegał.

Nie chciałem. Powiedziałem, żeby zostawił mnie

w spokoju. Nie naciskał dłużej. Wepchnął pod fotel opowieść, która nie znalazła słuchacza, i mamrocąc pod nosem coś o podwójnym znaczeniu tego, co miał do przekazania, rozwiął się powoli jak dym, wlokąc za sobą spojrzenia czarne jak oliwki, zakłócające nieskazitelną biel jego postaci.

Nie wydałem jeszcze całego złota, które przywiozłem z sobą. Nie wiem nawet, gdzie mógłbym je wydać. Odkąd nie ma Zisan, wydatki i w ogóle wszystko stanęło w miejscu. Korzystam na razie z zapasów zgromadzonych w kuchni. Nie wiem, co zrobię, gdy się skończą. Ale cokolwiek się stanie, jestem zdecydowany nie opuszczać domu. To miasto mnie przeraża. Ludzie biegają w popłochu, na wąskich ulicach panuje chaos. Ja zaś, jak każdy tchórz, który wie, co to jest, zachowuję sekret tylko dla siebie.

Tu, w tym domu, w tym pokoju, na dobre zżyję się z niewiarą. W końcu porozmawiałem szczerze z rabbim Jakubem. Wyszedł stąd urażony, tak samo jak Maggid. Nikt za nim nie pobiegł. Nikt nie pobiegnie za mną. Ten dom to moje schronienie. Zostanę tu.

Abym mógł sprzeniewierzyć się krwi, która płynie w mych żyłach, muszę stać się tym, który zostaje, nie tym, który odchodzi. I dopóki nie pożegnam się z życiem, będę się przyglądał, jak deszcz pada na grobowiec świętego męża. W czasie deszczu będę myślał nie o wstającym z grobu świętym, lecz o ziarenkach prosa, rozsypanych tu i tam

i z każdą spadającą kroplą deszczu coraz głębiej zapadających się w ziemię, ziarenkach prosa, które ode mnie wzięły imię, które odebrały mi imię.

I o rozsypanych jak ziarenka prosa opowieściach...

WYMOWA W JĘZYKU

POLSKIM NIEKTÓRYCH

GŁOSEK TURECKICH

— czyt. cz (akce — akcze)

c — czyt. dź (mescit — mesdžit)

— czyt. y (kam — kapy)

j — czyt. ż (viraj — wiraż)

— czyt. sz (hiicreniğin — hndžreniszin)

y — czyt. j (ąeyh — szejch)

g - a) w otoczeniu samogłosek tylnych: a. i. o. u oznacza
wydłużenie poprzedzającej samogłoski i ścieśnienie gardłowe
(luzlar agam — kyzlar aasy)

b) w otoczeniu samogłosek przednich: e. i. ó. n czyi. j
(beglerbey — bejlerbey)

' — nad samogłoską a zmiękcza poprzedzająca spółgłoskę
(dergbh — dergiah)

b — czyi. francuskie eu. niemieckie b
— czyt. francuskie u. niemieckie G

SPIS

ROZDZIAŁÓW

TAIEMNICE

Kielich	11
Studnia	32

Egzamin	41
Bliźnięta	49
Ulica	60
Wzniesienie	69
Czary	89
Zakręt	98
Potwór	102
Bunt	115
Strumień	127
Nieszczęście	129
138	
Róże	
Kanał	
Perła	
143	
157	
DROGI	
Kielich	163
Krąg	175
Sen	184
Zabawa w chowanego	186
Casa Santa	193
Robak strachu	200
Kobiety i zwierzęta	206
Wstyd	210
Wicher	215

Ryby	217
cała wstecz	219
Ucieczka	222
Skalpel	238
Lustra sceny	247
głosy	254
Ogień	257
Klasztor	259
Pozegnanie	262
Nadzieja	264
Niebezpieczeństwo	268
Kopuły	272

328

335

Obcy

295

Księga

301

Stwór

305

Ćma

314

Litery prześmiewcy 321

Plama

Legat

Gniew	339
Luna	346
Cena	350
O zachodzie słońca	351
Gąsienica	359
Zakręt	362
Sekret	366
Zewnątrz	371
Kim jestem?	373
Ja	376
Kamienie	378
Przypadek	381
Platan	383
	388
Wymowa w języku polskim niektórych głosek tureckich	391